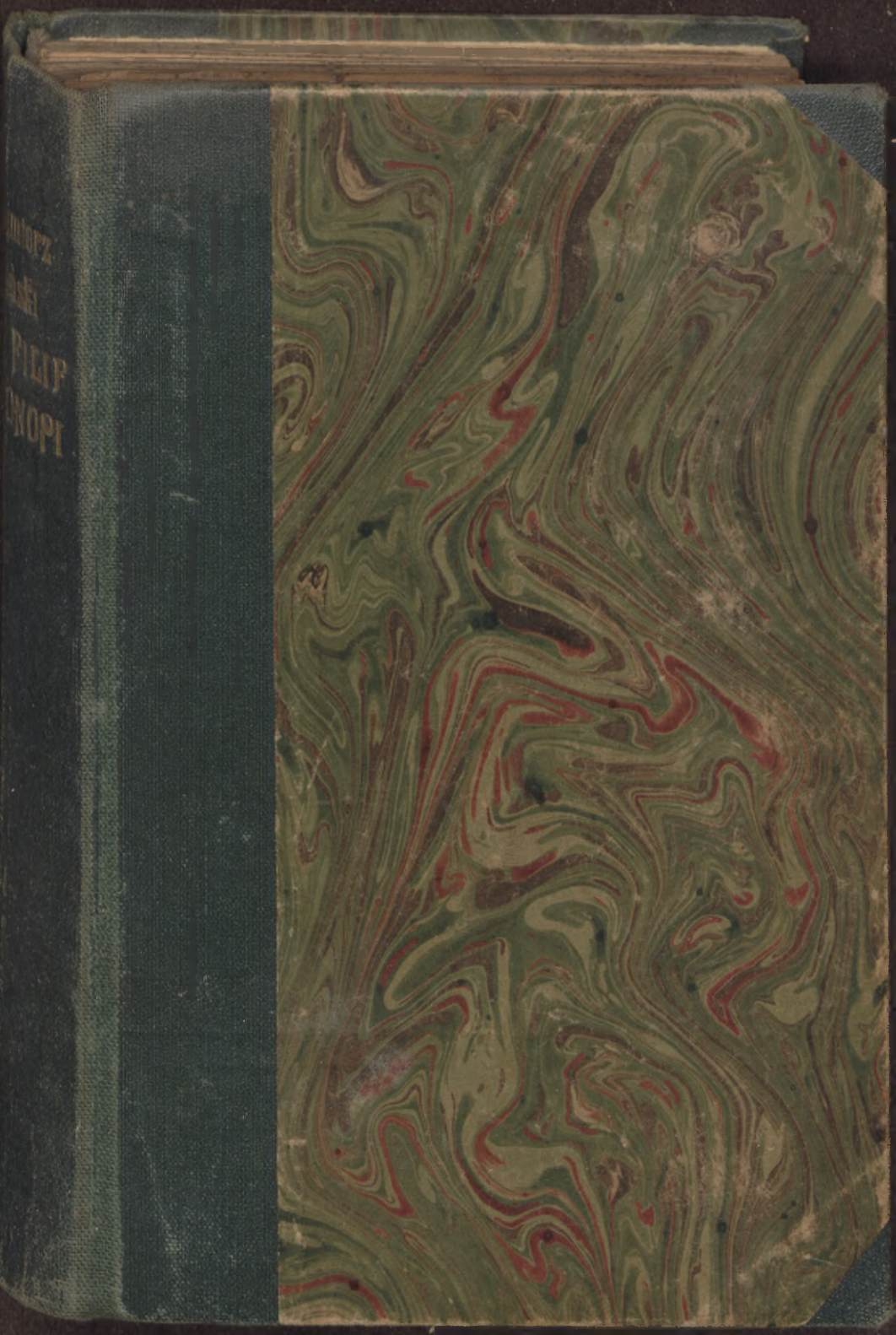


MILITARY  
AND  
NAVAL  
HISTORY



W. H. ...

...

...

2AE 154

...

262

70

~~1790~~  
1791  
1792  
1793  
1794  
1795  
1796  
1797  
1798  
1799  
1800



2977

5/25

21.

# PAN FILIP Z KONOPI



# PAN FILIP Z KONOPI

Z NIEZNANYCH DOTĄD ŻADNEMU HISTORY-  
KOWI RĘKOPISÓW SUMIENNIE ODTWORZYŁ  
I DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI PODAŁ  
**Kazimierz Gliński**

CZEŚĆ I.



[1902]

**Biblioteka Dzieł Wyborowych**  
WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11



106105



*Kochanemu Synowi  
Mieczysławowi Glińskiemu  
na pamiątkę od ojca  
d. 29 Marca 1902 r.*



## I.

Po tarapatach różnych, w jakich nieszczęśliwa Rzeczpospolita za smutnych czasów Jana Kazimierza znajdowała się, nastąpił chwilowy spokój. Do stolicy swojej powracał król-wygnaniec, szlachta do zagród, niewidzianych od dawna, kmieć do chat wółtrozwalonych, nawet zwierz wystraszony do leśnych siedlisk swoich,—cóż miał tedy lepszego i imci pan Filip uczynić, jeżeli nie wrócić do rodzinnych Konopi, leżących na samym krańcu województwa ruskiego.

A gdzie on nie był, czego nie widział i nie doświadczył? Ale ręka Boska czuwała nad nim i wydobyła go zawsze z terminów okrutnych. I tak: ani Szwed go nie zadławił, ani Zaporozec na spisie wziął. W Korsuniu miało go już rozbestwione kozactwo żywcem na rożnie upiec, ale pan Filip zwrócił się do Chmielniczeńki, świadka tej operacji, i rzekł:

— Zenobi! a czy ty nie pamiętasz, jakeśmy w Czerkasach razem pili i razem pod stół się zwalili?...

— Pamiętam!—odpowiedział watażka i czknął, bo właśnie gardło suche śmierdzącą siwuchą zalewał.

— Zenobi!—ciągnął dalej pan Filip.—A czy pamiętasz, jak po wspólnem przespaniu się pod stołem, nazajutrz pan Czaplicki wszedł i ciebie za łeb, a mnie za kark chwycił, a ja go w pysk za nieposzanowanie honoru szlacheckiego.

— Pamiętam!—czknął znów Chmielniczeńko.

— A pamiętasz, jakem go, obrażonego za ten despekt, kolanem pod krzyż i za wrota wyrzucił, a tyś rzekł wówczas do mnie: Druh ty mój, a brat, z tobą żyć i umierać słodko!

— I co?—zapytał ataman, czkając raz trzeci.

— Nadziej się teraz razem ze mną na rożen, gdy ci się zdarza sposobność użycia słodkości śmierci wraz ze mną. Jeżeli nie uczynisz tak, jakoś mi ongi przysięgał, to powiem, stanąwszy przed Panem Bogiem, żeś pies, i wyrobię u Króla Niebieskiego glejt bezpieczeństwa dla ciebie, byś bez przeszkody do samego Lucyfera mógł trafić...

Tu Chmielnicki rozczulił się i, powstawszy z pnia, na którym siedział, rzekł do hajdamaków:

— Zostawcie tego Laszka na rozplódek.

Nie lepiej było, gdy po potrzebie beresteckiej, w obliczu króla, nie zdzierzał i Radziejowskiemu w łeb dał obuchem, który przeciw panu swojemu zawarcholił. O mało go szlachta na szablach nie rozniosła, lecz od gwałtu tego powstrzymała ją obecność majestatu. Pachołkowie królewscy schwycili Filipa i przed obliczem króla stawili, który za łeb chwycił się i zawołał:

— Nieszczęsny! wiesz-że, co ciebie czeka?

— Żal dośmiertny, miłościwy panie, żem tego zdrajcy nie ubił.

— I ja żaluję—król mruknął.—Ale porwanie się na podkanclerzego w obliczności naszej... Majestat znieważyleś.

— Bierz łeb, najjaśniejszy panie, lecz pozwól mi psa tego dorzezać.

— Ba!—król na to.

I kazał mistrza poszukać.

Tymczasem Filipa zamknięto do karceresu przygodnego, lecz mistrza na razie nie znalezione, bo w rowie nad Styrem spał, pijany z żalu, że od dawna nie opatrywał nikogo, a tymczasem król, ofiarą zacnej głowy pana Filipa z Konopi pragnął Radziejowskiego ugłaskać, który namawiał szlachtę do opuszczenia pana, podczas kiedy on z odniesionego zwycięstwa korzystać chciał, nad Dniepr i za Dniepr pójść, do samej Chortycy dotrzeć i raz na zawsze łeb urwać hydrze stugłowej.

— Teraz pójdą za mną—pocieszał się...

I ze świtem kazał wojskom swoim w pochód iść, ale Radziejowski górę wziął nad pospolitem ruszeniem, a król z pięciu tysiącami jazdy naprzód pomknął, ku wschodowi, idąc w gniazdo szerszeni, szlachta zaś pod Radziejowskiego przewodem, ku granicom zachodnim, do ciepłych siedzib swoich. I tak zabawiono się sobie w orła dartego, a pan Filip pozostał w karceresie, sam, czekając powrotu króla, który nieprędzej jak za kilka miesięcy mógł z onej wyprawy szalonej powrócić...

Cicho było i pusto na stepie — jeno zlatywały kruki na żer, jeno krogulce nad opuszczoną chałupą, gdzie siedział skazaniec, krążyły, świerkając najwyraźniej:

— Śmierć! śmierć! śmierć!...

Nocami czasem wilk podchodził i wyl, na przyzbie siadając. Wtedy pan Filip małe okno chałupy otwierał i —

— A do budy—wrzeszczał!...

Wilczysko umykało zdziwione, że tutaj jeszcze głos ludzki słyszy.

Po kilku dniach takich panu Filipowi zachciało się jeść. Podważył więc drzwi, które bez wielkiego oporu mu się poddały i zaczął obmacywać kieszenie pobitych hajdamaków, którzy mu już żadnego wstrętu nie robili. U tego suchy chleb znalazł, u tego manierkę niedopitej siwuchy; tam flintę jakąś ściągnął, prochownicę kozacką, lub szablę szlachecką, która mu mogła w niejednej przygodzie stanąć, gdyby zbój jakiś chciał w złej myśli do jego karceresu zajrzeć, do którego sumiennie po zaspokojeniu głodnego żywota, powracał, co czynił z pośpiechem, lękając się, by wypadkiem król, powróciwszy wcześniej, niż zamierzał, z wyprawy, jeńca swojego w przeznaczonym mu miejscu nie zastał... Z lubością jednak patrzył na pobojuwisko i szeptał:

— Dobrze tak wam zbóje! którzy powstajecie na matkę rodzoną i przeciw wolnościom jej...

Ale dni mijały, króla widać nie było, z którym i mistrz poszedł...

Panu Filipowi cniło się okrutnie i taki żywot brzydnać zaczął. Może hen—daleko: Jezus!

Marya! Józef! — rozgrzmiewa w powietrzu, a on wycia wilczury słuchać musi, z umarłymi przebywać, ograbiać, nie mogących się bronić, i czekać cierpliwie, dopóki zadość sprawiedliwości uczyniono nie będzie. O ucieczce nie myślał, łeb dać trzeba—to trudno!... Ale oczekiwanie tego wypadku satysfakcyi mu nie robiło. Gdyby król miłościwy mistrza z sobą nie zabrał, przywołałby go sam do siebie, głowę na pierwszym lepszym pniaku położył i powiedział spokojnie:

— Tnij, kaciel!...

Chciał nawet do Beresteczka udać się i rozpytać, czy tam jaki kat stary nie mieszka — ale bał się, by podczas jego nieobecności król nie wrócił, a zajrzawszy do pustego karceresu, nie szepnął:

— Uciekł szlachcic!...

Brr!... tegoby nie zniósł pan Filip z Konopi. Siedział więc, żył własnym przemysłem, słuchał lamentów wilczych, dławił się od fetoru ciał rozkładających się, urządził nawet swoją chałupę, która na pustym stepie, jak wdowa opuszczona stała, czekając zmiłowania bożego.

Tymczasem król Jan Kazimierz szedł naprzód, myśląc, że pomiarkuje się tłum szlachecki i do pana przybieży. Ale cicho było dokoła, przekłęcie cicho! Nie od pobojuwiska, lecz ku pobojuwisku leciały kruki i wrony i inne ptactwo żarłoczne, co było znakiem, że nikt stamtąd ich nie wyganiał, że sto tysięcy szabel szlacheckich nie odstraszało pobrzękiem swoim, że się zwróciły ku Wiśle, obalamucone zdradliwemi słowami imćpana podkanclerzego.

Król rękę załamał.

Iść dalej samemu?—na śmierć pewną?...

Prawa nie miał.

Dał hasło do odwrotu—i—dnia pewnego nad wieczorem, stanął przy opuszczonej chałupie pana Filipa.

— Pusta?—zapytał pacholka.

— Drzwi wyważone.

Król przypomniał sobie skazańca, uśmiechnął się i rad był, że szlachcic umknął. Później czas się przewlecze, w zapomnienie pójdzie wszystko i żywot zacnego rycerza ocalony zostanie...

Wtem, rozbudzony gwarem wojennym, pan Filip przez okno wyrżał...

— Król!...—zawrzeszczał.

Wypadł na próg, za próg skoczył i do stopy królewskiej przylgnął...

Jan Kazimierz za uszy się wziął:

— I cóżeś ty mądrego uczynił, człowiecze?...

— Czekałem na kata, miłościwy panie.

— No, szczęście twoje, żeś wpierw łaskawego króla spotkał...

Oczywiście wyrok cofnięto, bo taka była wola króla i panów radnych.

Ręka Boska nie opuszczała pana Filipa i podczas najazdów szwedzkich. Zdrada pod Uściami przypomniała go znów królowi.

— Ej! gdyby to tam, pod Beresteczkiem, udało się było waćpanu z podkanclerzymi!—rzekł raz do Filipa, podczas swojej przeprawy na Śląsk—nie miałbym teraz Carolusa na karku.



— Chciałem, miłościwy panie! serdecznie chciałem Wam i Rzeczypospolitej usłużyć, ale Wasza miłość tak wysoko majestat swój postawiła, żem o mało łba własnego nie utracił. Lecz teraz Radziejowski banit jest, przepieczeństwo więc wszelkie głowy się jego imnąć.

Ale najszczęsze chęci na niczem spelzły. Podkanclerzego nie spotkał, sam zaś z Czarnieckim do Danii zabrał się i Szweda płoszył.

Na skórze wołowej nie możnaby było spisać rycerskich czynów pana Filipa. Bez ślubu żadnego, nie trzy, lecz trzynaście głów ścinał zamachem jednym, a Dunki wszystkie, na widok czarniecczyka onego kolana o kolana tarły, aż imćpan Jan Chryzostom Pasek żalność czuł, że to nie z jego powodu i, zapalawszy raz gniewem na sukces pewien, którego sam się spodziewał, z racyi onej dośmiertnym żalem powodowan, nic a nic w „Pamiętnikach” swoich o panu Filipie z Konopi nie wspomniał...

— Do nieśmiertelności nie przejdzie!...—mruzczał, maczając pióro w inkaucie i wołał Mazepe w pysk ciąć, panu Falbowskiemu ostrogi do kolan przyprawiać, niż o Filipie słóweczko jedno pisać.

Ale pan Filip nie dbał o sławę pośmiertną, łuszczył Szwedów, aż o mało sam przez nich złuszczony nie był.

Razu pewnego, podczas wywiadów nocnych, ułapily go psubraty.

— Czarniecczyk!... Uha! pohulamy z nim teraz!—zakrzyczeli...

— A jaką śmiercią chcesz zginąć?—spytali, urągając.

— Wola wasza—odpowiedział Filip.

— Kat?

— Wcale nieźle!...

— Kula w łeb?

— Śmierć niezgorsza.

— Stryczek?

— Łachotliwy jestem, ale i ten mi się podoba!

— Jemu wszystko się podoba!... — zawołali wątrobiarze Carolusa. Niechże do Sztokholmu popłynie i tam rozpyta, na co skazan ma być.

Rozebrali go do cna, że wyglądał jakby go tylko co macierz urodziła i przywiedli na spadzisty brzeg morza.

— Hulk!...—zawołał komendant tej wyprawy.

Pan Filip bryznął w spienione nurty, ale wykaraskał się zaraz i ruszył naprzód w szczupakach.

— Do Sztokholmu!...—wołano z brzegu.

— Do zobaczyska!—odpowiedział pan Filip, i podbijany przez fale z oczu im wkrótce zniknął...

Szwedzi zaniepokoiли się...

A nuż dopłynie?...

Chcieli już na łodzie siadać i w pogoń ruszać, ale piorun rznął, wicher zadał, zbałwanily się chmury i fale morskie za wesolo tańczyć zaczęły.

— Teraz szlachcic napewno zginął — ozwał się Szwed jeden.

— Nie wiadomo!—tu i tam wąpiące odezwały się głosy.

— Dyablemby był!... — ktoś zawołał.

— Jeno wyznawcą tej Pani... co to... wiecie?... Miller... Kule—nic! haubice—nic!... Nazad i z Polski.

— Częstochowska!...—zabrzmiało ciche, nieśmiało...

I przypomnieli sobie, że pan Filip na szyi medalion tej Pani miał; przypomnieli Millera, pociski wracające, haubice pękające, sromotny odwrót z Polski—i strach ich zdjął.

A pan Filip płynął, walczył z falami, burzą, huraganem, „Kto się w opiekę” szepcząc, to „Koronkę do Przemienienia Pańskiego” mówiąc naprzemian.

I dopłynął do Sztokholmu.

Nie o własnych siłach wprawdzie, bo toby przechodziło możność ludzką, ale rybacką łódź spotkał, kierowaną dłońmi już omdlałymi, za burt się uchwycił, skoczył, do wiosel się wprzągl, a dodawszy otuchy zrozpaczonej załodze, nie tylko upewnił ją w zmiłowanie Boże, lecz całą rodzinę rybacką, która lutrem zapaskudzona była, na świętą wiarę katolicką nawrócił.

I tak przybyli do Sztokholmu, gnani już wiatrem pomyślnym nieszczęśliwi skazańcy na śmierć: jeden przez Szwedów, tamci przez burzę, zdziwieni opowieścią pana Filipa o losach jego własnych i cudach Jasnej Góry...

— Częstochowska! — powtarzali z uwielbieniem rybacy, przypatrując się rysom Jej, wrytym na medalionie Filipowym i dziękowali Świętej za doczesne i wieczne zbawienie.

Między czarniecczykami żal był okrutny,

między Szwedami radość niezmierna po zniknięciu rycerza takiego: jeden tylko imć pan Jan Chryzostom Pasek posepny chodził, jakby, krom żalu, przewinienie jakieś na sumieniu swem miał.

— Uwiecznię!—szepnął, zabierając się do pracy i już słów parę na karteluszu misternemi zgłoskami wypisał, gdy puknięcie w drzwi słyszeć się dało i przerwało bieg zacnych myśli sławnego pamiętnikarza.

— Kto tam?—ozwał się pan Jan Chryzostom.

— Filip z Konopi...

Pan Pasek zerwał się na równe nogi i gdy niespodziany przybysz przestępował próg żołnierskiej kwatery, zawołał:

— Wszelki duch!... Czy to naprawdę waćpan?

— Jako widzisz, we własnem a grzesznem cielsku.

— Skąd bogi niosą?

— Ze Sztokholmu!...

— Nie uwierzę, choćbyś na krzyż przysiągł, nie uwierzę! Waćpana dawnó ryby zjeść już musiały, a to jeno coś na podobieństwo waszmości mrzy się... Stój, maro!—wrzasnął nagle, gdy Filip krok naprzód postawił. — Nie gub chrześcijańskiej duszy, pokuso! bo Oltarzewskiego na wspomnienie sił własnych przywołam...

Ale pan Filip buchnął śmiechem, przeżegnał się raz i drugi i, wydostając z zanadrza medalion, tak rzekł:

— Spójrz waćpan na to, wždy to nasza Pannienka Przenajświętsza. Ona lichej, częściocho-

wskiej forteczki nie pozwoliła wrogowi wziąć; wydobyla mnie, bez szwanku żadnego, z rąk Chmielniczeński, z ciężkich terminów pod Beresteczkiem uratowała, i ot, teraz nietylko pozwoliła do was szczęśliwie powrócić, lecz i pewną rodzinę luterską na pociechę i chwałę świętego naszego Kościoła katolickiego oddać.

— Cudy! cudy!... — zamruczał pan Pasek...  
 Nol siadaj waść! masz garncówkę, której nie tknąłem jeszcze, pij i lżyj!...

Pan Filip opowiadać zaczął, a imć pan Jan Chryzostom słuchał, słuchał, ale powoli, od niechcienia niby, pióro do kałamarza przybliżył, umoczył w inkaust i zaczęte wspomnienie o panu Filipie jął kropkować, cienkimi ryskami, jak nić pajęcza, przekrywać, aż zakropkował wszystko i pokrył nieprzeniknionym, inkaustowym kirem.

— Oto za Dunkę moja! — szeptał w duchu — a jużem się rozczulił był i chciał ciebie nieśmiertelnym żywotem w pamięci ludzkiej obdarzyć nie-do-cze-ka-nie — dokończył, zacierając ślad ostatni nazwiska, nierozumiejącego manipulacyi onej, Filipa z Konopi.

Wieść o powrocie junackiego czarniecczyka wnet gruchnęła po obozie całym. Pan Stefan kazał z dział walić, zapalono beczek smolnych tyle, ile było liter w imieniu Filipowem, aż Szwed się przeraził, a dowiedziawszy się o przyczynie wesela, nocką za morze się wybrał, wyrzekając się raz na zawsze czosnku polskiego. Lecz o tem nic a nic pan Pasek nie wspomniał, czując dośmiertną urazę do pana Filipa z Konopi.

A oto i ogień przygasł i miecz Chmielniczeńki stępił się; potop szwedzki dużo szkód zrobił, lecz Rzeczypospolitej nie zatopił, wracało wszystko do wywczasu pożądanego i pan Filip do swoich Konopi powracał.

Wojując dużo, opatrzył się przystojnie w lupy na nieprzyjacielu wzięte; ze dwa furgony dobytku tego miał i przyciężki trzosik dukatów przy sobie; ale nim dotarł do gniazda rodzinnego, nic prawie z onych skarbów zdobycznych nie pozostało. Po drodze spotykał ruiny i ruiny; tam więc w garść opatowi jakiemś nieco czerwieńców cisnął na pokrycie dachu klasztornego, tu bratu szlachcicowi na odbudowanie spalonego domostwa dał, a nie obeszło się bez tego, by i dziewce przygodnie gdzieś spotkanej altambasem w ślepki nie poświecił, sznurem pereł nie związał, datkiem koralowym wiana nie powiększył — i to za uśmiech tylko, dla rycerskiej fantazyi, dla przyjaźni, pamięci, ot, tak mu się spodobało i — koniec. To też, przed Wisłą furgony opróżniły się doszczętnie, za Wisłą furgonów i zaciężnych koni nie stało, trzos czerwieńców na brzuchu zelżał i dobrze czegoś i okrutnie wesoło było imć panu Filipowi z Konopi. Pozostał wprawdzie dziarski bachmat pod nim i siodło pyszne, złotem dziane, a klejnotami sadzone, miał też i pacholika, którego Iwaśkiem zwał, ten także na wesołym turczynku siedział i na siodełku, z którego nieco złotka kapalo... Z onymi skarbami już się rozstawać pan Filip nie myślał i w całości do osierociałego domu ojców przywieść chciał. Furgony przepadły, niech choć koń zdobyczny zaświadczy o rycerskości jego.

Miało się ku zachodowi, gdy pan i sługa w nad-dniestrzańskie okolice wjechali, tak dobrze znane, tak umiłowane serdecznie przez obu. Równiny i jary, kępki drzew na wzniesieniu lub krzyż przydrożny zdawały się witać weselo powracających rycerzy z ziem dalekich; zdawało się, że z jarów wyzieraające czupryny brzoź i sosen szeptać pomiędzy sobą zaczęły i wieść radosną podawać siostrzycom dalszym, aż brzoza, sosna, dąb i krzew każdy zachwiały się, zaszumiały, jakby mówiły głosem przyciszonym, ale o dźwięku weselnym:

— Jada! jada!

I oto, na zawrocie drogi, wiąz się wysunął i krzyż wyciągnął ramiona. Najwyraźniej wiąz szepnął i krzyż szepnął:

— Witajcie, mili nam!

A panu Filipowi lzy zebrały się w oczach na powitanie takie: stał na pograniczu województwa, za chwilę błysnie Dniestr, za chwilę step się roztoczy, dwie mogiły zamajaczeją, lasek, przylasek— i — Konopie!...

Zeskoczył z bachmata i z krzykiem na ziemię padł i całował pierś jej matczyną i dziękował Jezusowi słodkiemu za powrót szczęśliwy, za to przepelnienie serca radością, jakie dziś czuje.

Zjechali na wzgórze — i rozesała się przed nimi równina, zielonym traw kobiercem, dzierzganim w maki i ślasy, brzęcząca od ćwierkań koników i zgrzytu świerszczów, paląca się od łuny purpurowo zachodzącego słońca, wonna od cząbrów i macierzanek i niezliczonych ziół stepowych.

— Jaki zapach!—szepnął pan Filip, wdychając powietrze w siebie.

— To tak od Konopiów zalutuje — dodał Iwaś.

Pan Filip westchnął i rozmyślać począł.

Hej! hej!... wszak lat siedem bez mała, jak dziedzictwa swojego nie widział. Macierz mu zmarła, w chwili właśnie, gdy pod Żółtymi Wodami Bohdanko pułki polskie znosił, a on, przy starym hetmanie Potockim będąc i słysząc huk dział z daleka, stać musiał, słuchać tych strasznych huków musiał, a krokiem ruszyć nie mógł. Zapłacił hetman bezradność swoją stratą ukochanego syna, stokroć więcej to Rzeczpospolitą kosztowało.

A ojciec?

Ano, wieść o nagłej śmierci rodzica aż w Danii go doszła. Apoplektyczny był, wieczorem wypił stągiew wina, w nocy krew do łba uderzyła i poszedł do ojców swoich.

Kto został teraz w Konopiach?

Stary famulus Radwański Ignacy i — niby krewna jakaś, dziewiąta woda po kisielu — którą po imieniu nazywał, stara panna Magdalena Sojkowska. Ich dwoje zawiadywało teraz dobytkiem Filipowym — ale kto wie, czy i tych dwoje zostanie?

Ba! a Konopie?

Nie zniszczył kozak, to Szwed, nie Szwed, to może jakiś czambulik tatarski zdradziecko się podkradł i z ogniem wszystko puścił. Toć to niedaleko już kresów południowo-wschodnich, gdzie szlak wołoski się wije, tratowany rok rocznie pra-



wie przez konie ordyńców, jakby boląca pręga, bogatej w nieszczęście ziemi. Na kresach onych nie ostanie się człek słabej ręki, a piersi mizernej, drżący przed marą śmierci: żelazny łeb, kamienną dłoń, a kostuchę za towarzyszkę codzienną mieć tam potrzeba. To też, jeżeli dwór jaki szlachecki bokiem ku szlakom trzem stanął, zabił ją w nim siedział lub desperat, co to z Tatarzy za łeb się wodził, a pośmiertny spoczynek jako *lucsus* uważał. Takim ojciec pana Filipa był, a i on sam do żywota swojego wielkiego waloru nie przywiązywał!

Jak okiem zajrzeć — równina, dalej mostek na rzece bez nazwiska, lecz o brzegach skalistych, a dalej las bukowy, stojący w amarancie wieczoru.

Wtem Iwaśko podjechał do pana.

— Jegomość! — rzekł.

— A co tam?

— Jakie to lichy z bukowego lasu tak gna?

Pan Filip spojrział...

Jakiś tuman kurzu pędził z mocą niezwykłą, po lekkim pochyleniu gościńca gnał pędem strzały i cicho, przeraźliwie sunął.

— Co za bies? — zawołał Iwaśko.

— Stul pysk! — zawołał pan Filip.

Przymrużył powieki i uszy nastawił.

Jakieś dygotanie gwałtowne słyszeć się dało i krzyk cichy, jakby gołębia duszonego. Pan Filip się rzucił:

— Ha! — wrzasnął... — Czy widzisz?

— Widzę, ale pisma nosem nie smykam.

Pan Filip w bok go kuksnął.

— Poniaw, pane!... rzekł Iwaśko.

— Karoca!... konie lecą w pędzie!... niosą!...  
Gdy przed mostem nie skręca, w przepaść runą!...  
Ktoś woła o ratunek... Na przelaj, w lot konie  
i leb w leb!...

Spiął bachmata, aż jęknął, chrapy rozszerzył  
i sunął, jak grom.

Przestrzeń pomiędzy karocą a panem Filipem  
zmniejszała się z przerażającą szybkością. Sto  
kroków tylko, dwadzieścia, krok... i nastąpiło star-  
cie okropne. Cztery lby końskie grzmotnęły się  
o siebie, pierś o pierś gruchnęła, coś zakotłowało  
straszliwie, zazgrzytało jak żelaziwo pordezwiąle,  
tuman kurzu, jak wybuch miny, wzniósł się do  
góry, krzyk jakiś zmieszał się z dzikiem chrapaniem  
koni, a pan Filip wyluszczył się z siodła, jak  
drzazga z naciśniętego gwałtownie wrzodu, frunął  
naprzód w powietrze, grzmotnął całym pędem  
o głowy siedzących na kozle fernali, otarł się  
o wierzch karocy, zawadził o pasy, podtrzymujące  
pojazd, dwa kozły dał i rozkrzyżował się na ziemi.

Gdyby nie te zawady, spotkane w podróży  
napowietrznej, jeżeli nie śmierć, to kalectwo pe-  
wneby odniósł, ale one powstrzymały siłę rozpę-  
du i pozwoliły dość spokojnie opaść ku dołowi.  
Stęknął tylko, lecz wnet zerwał się na nogi, pa-  
trząc chwilę rozszerzonymi oczyma, jakby chciał  
rzecz jakąś zbadać do gruntu.

Karoca stała nieruchomie, strzaskany dyszel  
sterczał rozpaczliwie ku górze, dyszlowe konie  
leżały grzbietami ku ziemi, bachmat pana Filipa  
z rozbitym łbem spoczywał na nich, a na tych  
trzech trupach krwawych leżał Turczynek Iwaśka,

ostatnie tchnienie wydając. Orczykowy lewy rwa się i dęba stawał, prawy, przygnieciony kadłubem karocy, bił wściekle kopytami w jej pudło, aż dno pękać zaczęło i drzazgi lecieć. Z karocy wydobywało się kwilenie jakieś i głos przyciszony a drżący:

— Ratuj, kto w Boga wierzy!

Do namysłu czasu nie było... Pan Filip skoczył do pojazdu i drzwi otworzył, z których wyszedł człek stary, w tabaczkowym żupanie, z laską sękatą, a widząc zbawcę swojego przed sobą, rzekł głosem błagalnym:

— Tam... (i wskazał głębi karocy) wynieś, bo ja sił nie mam.

Pan Filip zajrzał do wnętrza.

W głębi, z oczyma wystraszonemi, tuliło się do ścian karocy dziewczę przecudnej urody. Twarzyczkę miało bladą, jak listek kwiatu akacyi, ustka koloru róży omdlewającej, oczy, jak fiołki, które nigdy słońca bożego nie oglądały, włosy pozłociste, jak kłosa dojrzewającej pszenicy. Stulona w kątku, siedziała nieruchomie, znać strach ją obezwładnił i gruntowne rozpoznanierzeczy odebrał.

Pan Filip, nie namyślając się długo, na ręce ją wziął, a ona zwisała w ramionach jego, głowę o głowę, pierś o pierś oparła i dała się nieść, gdzie chciał. Rycerz nie czuł serca dziewczęcia, ale uczył dwa jabłuszka jędrne, twarde, które przyłgnęły do niego. Ogarnęła go lubość dziwna, lecz nie mógł długo zastanawiać się nad tem, bo stary wyciągał ręce i szeptał:

— Daj ją tu, waćpan — daj!...

Ale postawiona na ziemię osunęła się nagle i upadła.

— Jezus, Marya! — wrzasnął staruszek.

— Wody! — huknął pan Filip.

Ale poszwankowani fornale zajęci byli rantkiem nieszczęśliwego konia, który, leżąc pod karocą straszliwy marsz kopytami o jej pudło wygrzmacał; Iwaśko, wysadzony równie, jak pan jego z siodła, mniej szczęśliwie tylko, do opamiętania się jeszcze nie przyszedł, stary zaś pan łamał ręce nieprzytomnie, — zostawała więc jedyna nadzieja w panu Filipie, który przytomności nie stracił, lecz pochylił się nad leżącym dziewczęciem, palcami lewej ręki otworzył usteczka, przyczem dwa rzędy prześlicznych pereł zobaczył, prawą zaś chwycił manierkę z gorzalką, którą miał przy sobie i kropel kilkanaście tego eliksiru, nieznanego wówczas jeszcze niewiastom, do warg w pół rozchylonych wlał.

Skutek był szybki.

Zrazu dziewczę skrzywiło się, później drgnęło lekko, a gdy płyn, mile drażniący podniebienie, do gardziółka się dostał, poruszyła parę razy języczkiem, smakując widocznie, następnie uśmiechnęła się i szepnęła bardzo cichutko:

— Dobrze!

— Gdańska — odparł wnet pan Filip, rad będąc ze znawstwa dziewczyny.

Na dźwięk nieznanego głosu podniosła powieki, spojrzała zdziwionemi oczyma i rzekła:

— Kto taki?...

— Filip z Konopi — odpowiedział Filip.

— Co?... Filip z Konopi?...—ozwał się stary —  
On rycerz sławny, o którym ryby Bałtyku poema  
całe śpiewają? który Radziejowskiemu w łeb dał  
i z rąk strasznemu Chmielniczeńce jak piskorz  
się wysunął?... Rycerz z Konopi, a mój sąsiad?...

— Sąsiad waszmości?...

— Jestem Jan Bylina, podkomorzy i dzie-  
dzic Kaczorówki.

— Toć to staj kilka od Konopi — zawołał pan  
Filip.

— Łan z łanem, ale te ruskie łany nasze to,  
bez mała, księstwa niemieckie...

— Co za *casus* szczęśliwy, zem waszmość pań-  
stwa w takiej opresyi spotkał i wyratował...

— Podzięka tu na nic, boć waszmość, zdaje  
się, żywot swój narażał.

— Marność! — mruknął pan Filip.

— Ale jak waćpan takie bestye rozhukane  
powstrzymał?

— Łeb w łeb — i już!

— A sam?...

— Przeleciałem przez wierzch karocy —  
i nic!...

— Prowidencya nad waszmość panem czu-  
wa!... — Prowidencya—to jasne, jak kawalerskość  
waćpana.

Rozmawiał tak pan Filip z podkomorzym By-  
liną, ale raz w raz ku pannie żórawia słał, która  
z jakąś adoracją na nieznanego rycerza patrzyła...

— To córka waszej mości? — spytał pół  
szepem.

— A tak, najmilsza Tećka moja.

— Tećka—szepnął w duchu pan Filip.

Spojrzał po sobie, a widząc strój w nieładzie i okurzony sromotnie, zczzerwieniał się trochę i, w kawalerskim ukłonie podchodząc do Tećki, tak rzekł:

— Wybacz, waszmość panna, że jej w tak nieforemnej sukni się przedstawiam. Ale kto taki karambol, jak ja, uczynił, nie może, jak Adonis wyglądać. Niech chwała będzie Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej, żem w czas się zjawił i taki klejnot domu Bylinów od ciężkiego szwanku, albo stokroć gorszego ewenementu wybawił.

— Ja nie rozumiem, jak to było?... Łeb w łeb—i panu nic?...

— To bachmat mój w łeb dyszłowemu palnął, nie ja... Ja tylko przetrąciłem fornali (za co niech mi jaśnie wielmożny podkomorzy wybaczy); mozem i karocę nadwerężył nieco, ale to nic, w porównaniu, com ocalił.

— I waćpana nic nie boli?...

— Bolałoby, gdyby rzecz się inaczej skończyła.

— Dokąd waćpan jechałeś?

— Do siebie.— Po siedmiu latach wojaczki, niewygód i trwogi o Matkę Rzeczpospolitą naszą, czas nieco spoczynku zaznać, dobytku przypilnować i...

Tu zaciął się pan Filip, serce mu buchnęło, a gorącość jakaś przez żyły przeszła. Sponsowała i Tećka i oczy spuściła ku ziemi.

— My także do Kaczorówki wracamy— odezwał się podkomorzy.

— Mogę zatem służbę swoją waszej mości ofiarować.

— Dziękuję, kawalerze, ale ci do domu śpieszno, a ja muszę po drodze na kilka dni do Jaworzyna zboczyć i marszałka Zawiszyńskiego odwiedzić. Mam tam lokację małą, ale zawsze w tych ciężkich czasach się przyda.

Pan Filip stłumił westchnienie. Tećka coś podobnego uczyniła, a podkomorzy poszedł do karocy i za łeb się wziął.

— A jak my to pojedziemy? — rzekł do fornali.

łście, że niełatwe było zadanie. Złamany dyszel, cały przód karocy strzaskany, uprząż na strzępy porwana, dwa konie dyszłowe wyciągnęły już kopyta, bachmat pana Filipa z rozbitym łbem leżał, tylko turczynek Iwaśka dyszał jeszcze, rżąc boleśnie, a krew farbowała mu nozdrza, noga zaś przednia złamana zwisała bezwładnie i dodawała męczarni dogorywającemu zwierzęciu. Iwaśko, choć sam poturbowany straszliwie, przypiął się jak pijawka do starego towarzysza wypraw, którego na pewnym murzie tatarskim zdobył, za szyję go objął i płakał. Ale widząc cierpienie konającego, zerwał się szybko, oczy mu przymknął — i palnął mu w ucho z bandoletu \*).

Podkomorzy zwrócił się do Filipa:

---

\*) Kłokocki w „Monarchii Tureckiej“ bandoletem nazywa pewien rodzaj broni ognistej. — W ogólnem znaczeniu jest to pas rzemienny do pałasza. Niem.: *das Bandolet*, franc.: *bandrier*. O bandolecie, jako broni palnej, wspomina też Pasek w „Pamiętnikach“ swoich.

— Ani waść konia, ani my pojazdu nie mamy!...

Pan Filip stanął nad bachmatem, poruszył głową i rzekł:

— Służyłeś ty mi wiernie aż do zgonu — nie ostawię cię na żer krukowi i wronom żarłocznym...

Panna Bylinówna podeszła do rozmawiających.

— Tećka! — szepnął pan Filip i rozpromieniał.

— Radź waszmość — zwrócił się podkomorzy do pana Filipa, nie wiedząc, co począć. — Step dokoluśka, o chutorze żadnym szczekanie psów nawet nie mówi.

Pan Filip zakomenderował:

— Orczykowe wyprządz! Karoca na nic, więc ją opróżnić z pakunków i wiktuałów prawdopodobnie. Wy zaś, pacholki, marsz na poszukiwanie wsi jakiej, gdzieby można wóz pakowny znaleźć. Iwaśko sobie i mnie o podjazdków się wystara, i tak odprowadzę waszmość państwa aż do Jaworzyna dla bezpieczeństwa wszelakiego; na rozstaju pożegnam i do siebie nawrócę.

— Szkoda, że waszmość z nami do Kaczorówki nie pojedziesz—odezwała się Tećka.

— Nie zapomnę o niej, bobym absolucy z grzechów nawet powszednich nie otrzymał..

— Pamiętaj waszmość!...—zaśpiewała Tećka.

— Turkusio ty moja—szepnął pan Filip.

A złote słońce strzeliło z pod chmur promykiem ostatnim—i zaszło.



## II.

O staj kilka od miejsca wypadku był gaik na wzgórzu. Soczysta zieleń okapywała z liści, znać było, że przyrodzenie budziło wszystkie siły żywotne drzew, wypełniało pąki, obrzmiewało gałązki, srebrzyło przedziwną białością dziewiczą korę brzoź, z pod której nadmiar soków wypływał. Wszędzie tętniło życie niepowstrzymaną potęgą swoją. Czuł to dobrze pan Filip i, ilekroć wzrok na Teckę zwrócił, coś mu rozpierało dech, jakaś słodkość soczysta po wszystkich rozlewała się żyłach, zupełnie jak brzozom onym, ku którym dążyli.

Aczkolwiek wszystko jedno było, gdzie noc przepędzić: czy w lasku, czy na polu szczerem, człek tak jest przyzwyczajony do jakiejś okrywy nad sobą, że mimowoli rozziera się dokoła i szuka, bodaj krzewu jakiego, pod którym mógłby członki swoje wyciągnąć. W dzień to jeszcze mógłby się tłómaczyć, że mu zawadzają promienie słoneczne do snu się ułożyć, ale gdy zmrok zapadnie, wieczorny powieje chłód, a baldachim niebieski gwiazdami się osypie, które ani grzeją, ani oświetlają, jeno ku ozdobie nocy dla człowieka, niegodnego może gwiazd onych, służą — to i tłómaczenie ono na bok iść musi.

Gdy więc rzecz stanęła na tem (bo inaczej nie można było uczynić), by noc na stepie spędzić, obejrzał się podkomorzy, obejrzała się Tecka, a i pan Filip powiódł dokoła oczyma. Wszyscy skierowali wzrok ku brzozom onym, a Tecka zawołała:

— Gaik!...

Panu Filipowi się zdało, że gdzieś cytara zabrzękła, takie było to zawołanie śpiewne.

— I ja szukałem schroniska jakiegoś dla waćpanny — odezwał się. — Z poduszek karocy zrobię posłanie dla was i jaśnie wielmożnego podkomorzego, okryć nie zbraknie, bo, jako widzę, zapas niemały ich jest, jeden niemiły szkopuł by był, gdyby wiktuałów zabrakło, ale zda się, że w koszu, który Iwaśko mój dźwiga, coś wedle jedzenia być musi.

— Waćpan widocznie głodny jesteś, ale nie bój się!—odpowiedziała Tecka z uśmiechem.—Są tam kapłony i inne mięsiwa, sera i masła nie zbraknie, a i powideł jest słojów parę, nie mówiąc już o gąsiorku wina i pieczywie.

— Zalim o sobie myślał?... — rzekł z wymówką pan Filip.

Tecka spojrzała mu w oczy.

— Wybacz waćpan — szepnęła i, jak leśna jagódka, zarumieniła się. — Taki ryzykant, jak waćpan, o dobru bliźnich wpierw myśli.

— Przynajmniej o waszem — odszepnęła pan Filip.

— W tej chwili, to tak! Lecz gdyby nagle drugi wypadek wydarzył się, naszemu podobny, waćpan nie zawahałbyś się życia narazić.

— To pewno!

— A mówisz?

Pan Filip czuł zakłopotanie.

— Chciałbym, żebyś waćpanna mnie zrozumiała—rzekł po chwili.

— Słucham.



— Inna rzecz, nie znając, z ratunkiem biedz komuś, a inna rzecz, gdy się zna. Tam prowadzi odwaga zimna, tu gorącość serca; tam się ratuje byle jakie życie, tu już wiadome, które się stawia nad inne.

Tecka znów spojrzała na Filipa, a jemu napłynęła do głowy krew i tak łeb zamroczyła, że o mało nie upadł. Ale przemógł się, tchnął szybko i paru wielkimi krokami dogonił wyprzedzającą go pannę...

Podkomorzy tymczasem szedł naprzód, wspierając się na hebanowej lasce o srebrnej głowicy. Gdy wysiadał z karocy, zdawał się być starcem zgrzybiałym, teraz powróciła mu rzeźkość i fantazyja, szedł krokiem równym, szybkim, głowę, okoloną brodą siwą, trzymał wzniesioną do góry, czapkę sobolową, ubraną pięknem piórem strusiem, pochyloną lekko ku tyłowi mając. Po drodze ścinał laską burzany i o jakie kroków kilkanaście wyprzedził Teckę i pana Filipa. Zgrzybiałość gdzieś znikła, pozostała tylko rzeźka sędziwość; widocznie, że przerażenie i niepokój o jedynaczkę na chwilę go tak zmieniły, teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, wróciły siły i kto wie, czy jeszczeby pan Bylina bachmata nie dosiadł i z dobrym skutkiem w szablę nie trzasnął... To też pan Filip zwrócił się do Tecki i rzekł:

— Ojcu waćpanny sporo lat ubyło.

— Waćpanu to zawdzięcza — odpowiedziała.

Dźwięk głosu Tecki rozmarzył pana Filipa, czuł, że jakaś awantura we wnętrzu jego istoty się robi. Dziewczyna raz wraz zwracała oczy na

niego, to patrząc mu w twarz prosto, to zerkając boczką. Pan Filip nie pozostawał dłużny, pokręcał sumiastego węża i puszczał żórawia, myśląc coraz uparciej o pustce swojego dworu w Konopiach, o starym Radwańskim i ciotce Sojkowskiej, którzy, bądź co bądź, pustki tej nie wypełnią.

— Gdybyś to tak ty, Tećko, do mojej chałupy weszła...—pomyślał.

I znowu poczuł, jak mu krew do głowy palnęła.

— Ty może już masz się trochę do mnie—szeptał dalej do siebie — ale bez zgody samego Byliny nie dostać mnie ciebie. Widno, że to pan i wysoko się nosi, Konopiami mu nie zaimponować, a choć i ród panów Konopi nie wyleciał sroce z pod ogona, zawżdy w paragon z Bylinami mu nie iść.

Zęby zacisnął, brwi zmarszczył, ale tak dalej myśli swoje ukształtował...

— Przeciw fortunie postawię czyny. Może imćpan Bylina niejedną sprawę graniczną sumiennie rozstrzygnął, ale Radziejowskiemu nie kiwnął pod nosem, pod Bełsteczkiem w krwi się nie pluskał, szwedzkich kości nie macał i Bałtyku nie przepłynął. A co do fortuny, to moje wozy zdobyczne przeważąłyby Kaczorówkę; prawda, że *nec locum ubi Troia fuit*, ale nie na wszeteczeństwa różne skarby te poszły, jeno na wspomóżenie braci i świątyń zrujnowanych, opatom i szlachcie, a jeżelim sznurów dwa pereł, lub

łokci kilkanaście altembasu dziewce jakiej rzu-  
cił—no, to co?..

Tu zerknął na Teckę i sponsował.

— Nie znałem ciebie jeszcze, rybeńko—do-  
dał—bobym to wszystko do stópek twoich złożył,  
ale czy nad to wszystko nie zacniejsze miłowanie  
moje?

Westchnął, jak miech kowalski, aż Tecka  
zwróciła się ku niemu.

— Co waćpanu?—spytała.

— Tęskne myśli dech wyparły — odpo-  
wiedział.

Podkomorzy już był w lasku brzozowym  
i siedział na ziemi pod drzewem. Tecka podbie-  
gła do ojca.

— Jaka ona foremna! — mruknął pan Filip,  
patrzając na wdzięczne ruchy dziewczęcia.

Mając głowę i serce przepelnione Tecką,  
pan Filip postanowił pozyskać względy podkomo-  
rzego. Stawiając przeciwko jego rodowi zasługi  
swoje, nie pomyślał wcale o uratowaniu życia By-  
linów; tym długiem wdzięczności wiązać go nie  
chciał, to za niegodne by było rycerza. Będąc  
prawie pewnym, że niezgorsze wrażenie na Tec-  
ce uczynił, chciał łaski ojca jej zaskarbić, sło-  
wem, podobać się mu i do tego zastosować całe  
postępowanie swoje.

Zmierzch zapadł, fornale uratowane konie  
orczykowe przywiązali do drzewa i na rozkazy  
czekali.

— Rozniećcie ogień—rzekł podkomorzy.

Zadanie było trudne, bo gałęzi suchych nie

było, a dokoła bujna, soczysta trawa okrywała ziemię. Na wzgórzu rosło kilkanaście brzoź młodych, świeżych, jak wiosna, długie, zielone gałązki chyląc na dół, na których perliły się duże krople rosy. Panu Filipowi brzozy te wydały się dziewczicami rozplakanemi, patrzyła z nich dusza jakaś, wiały jakieś myśli smutku i tęsknoty pełne, tak, że je nazwał w duchu siostrami Tecki, do których ona przyszła po ratunek i opiekę...

— Ogień rozniećcie — powtórzył pan Bylina — a później na odszukanie wsi jakiej udacie się.

— Suszu niema, jaśnie wielmożny panie — odpowiedziała służba, miejscowość obejrzawszy.

— A topory macie?

— A są.

— Po brzozach!—rzucił krótko podkomorzy.

Już miano wypełnić rozkaz, gdy pan Filip z Konopi stanął w obronie drzew.

— Stójcie! — huknął na służbę, a zwracając się do podkomorzego, spytał:

— Czy waszej miłości nie żal życia?

— Mnie?—spytał przeciągle podkomorzy, nie rozumiejąc pytania.

— No tak!

— A ktoby tam na piwo do Abrahama śpieszył?...

— I tym brzozom na stos nie śpieszno—pan Filip dodał.

— Brzozom?

— Spójrz, wasza miłość, jak to pęcznieje, nabrzmiewa, życiem dycha! Zda mi się, że gdybym do pnia tej brzeziny ucho przyłożył, posły-

szalbym szelest w ich wnętrzu, niby dudnienie krwi w piersi własnej; że gdyby toporzysko w pień palnęło, krzyk bym posłyszał i trysnęłaby krew żywa i skarga za odebrany żywot... Nie ruszać!— zwrócił się groźnie do jednego z fernali pana Byliny, który pomimo słów Filipowych, miał cios zadać brzezince młodej, ale, gdy ten na nieznaczne skinienie podkomorzego znów się do niej zabierał, pan Filip wziął go za kark i, jak drewno, odrzucił.

— *Suppono*, że waszmość nas uważasz za w jasyr wziętych—mruknął podkomorzy.

— Sam chyba mógłbym się jasyru obawiać — odpowiedział pan Filip, wzrok na Teckę zwracając.

— Cóż waćpan tak dalece w obronie tych brzóz stajesz, aż mojego pacholka poturbowałeś?

— Za poturbowanego pacholka przepraszam jaśnie wielmożnego podkomorzego; poturbowanemu zaś krzywdę wynagrodzę... Masz!—tu zwrócił się i cisnął dukata. — Ale te drzewa... Słuchaj, wasza miłość, jak w tej chwili zaszumiały „Ojciec naszym” nad nami.

Rzeczywiście, wiatr wionął z nizin, wonny, wilgotny i poruszył warkoczami drzew. Szmer cichy przez gaj cały przeszedł i rozlał się szelestem przedziwnym; snadź ta muzyka drzew i na Teckę oddziałała, bo obejrzała w krąg siebie i rzekła:

— Brzozy się modlą.

— „Pod Twoją obronę” szepcą—dodał pan Filip.

— Ja zaś *renovo propositum*...

— To nie może być—przerwał podkomorze-  
mu pan Filip.

— Ależ, kawalerze, noc zapada i ognisko  
być musi. Mniejsza, jeżeli na się patrzeć nie bę-  
dziem, ale z jadem nie damy sobie rady, choćby  
i miesiąc zeszedł. One zaś brzozy, zdaje mi się,  
do Konopi nie należą?

— Nie wiem, czyje są—odparł pan Filip.—  
Ale tak czy inaczej, wygody z nich mieć nie bę-  
dziemy, bo mokrość ich tak rzetelna, że palić się  
nie zechcą.

— Cóż na to poradzić, kiedy drzazg niema?

— Jest kareta miłości waszej.

— Moja kareta?

Dziwnemi jakimiś oczyma spojrzął pan pod-  
komorzy na Filipa i, zwracając się do córki, rzekł  
szepem:

— Uważasz, waćpanna?

A Tecka:

— Tatusiu, i mnie tych drzew żal teraz.

— Żal czy nie żal, to rzecz inna!... Ale moja  
kareta?

— Na nic już waszej miłości służyć nie  
może, przecież strzaskana na wióry!—dodał pan  
Filip, zasłyszawszy ostatnie słowa podkomorzego.

— Z Kaczorówki wyślę wóz po nią.

— Po drzazgi chyba, bo chłopci do cna ją  
rozłupią.

— Szkoda aksamitu—rzekł pan Bylina.

— Iwaśko mój go obedrze i waszej miłości  
dostarczy. Brzezynie zrobimy krzywdę, bo to żyć



chce, a sami nie skorzystamy, podczas kiedy mahoniowe deski karocy palić się będą siarczyście.

Podkomorzy namyślał się... A tymczasem noc zapadła i gwiazdy wypryskiwać zaczęły. Brzozy szumiały coraz senliwiej, aż westchnąwszy raz jeszcze umilkły.

Podkomorzy namyślał się... Żał mu było aksamitu i desek mahoniovych, ale przyznawał panu Filipowi słuszność, iż karoca uratowana być nie może. Zresztą głód mu dokuczył, a po ciemku wiktuałów nie namacać. Krzesiwem zaś można było hubkę rozpać, ale trudniej poradzić ze stosem brzoź mokrych. Karoca porąbana da ogień szybki, a tak pożądany w tej chwili. Po namyśle więc rzekł:

— Niema co robić—dawajcie karete!

Po paru minutach dał się slyszec w oddaleniu stuk toporów, Iwaśko obdarty aksamit z wnętrza złożył u stóp podkomorzego, pyszne drzazgi mahoniowe zostały zniesione, zapłonął stos, skry sypnęły się, buchnął ogień i rozweselił wszystkich. A brzozy znów cicho szumieć zaczęły, jakby dziękowały panu Filipowi za ocalenie swoje.

Na poduszkach usiadł podkomorzy, pan Filip na swoim siodle, pogiętem i nadłupanem, a Tecka zaczęła rozpakowywać zapasy. Podsycone ognisko paliło się coraz rzęsiściej, płomień łuną czerwoną oblewał siedzących i migotał w klejnotach siodła Filipowego, na które teraz wzrok zwrócił imć pan Bylina.

— Pyszne siodło masz waćpan!...—rzekł po chwili.

— Zdobyczne—odparł pan Filip.

— Na Tatarach?

— Na Tuhejbeju samym!...

— Ale zdaje się, że atak waćpana i siodelku temu dał się we znaki?...

— Trzasło przez pól i trochę klejnotów uroniło.

Rzeczywiście, okazał się brak kilku pysznych turkusów i rubinów.

Podkomorzy pokręcił głową:

— Niemalą waszmość szkodę poniosłeś.

— Alem sowicie wynagrodzon został.

Pan Bylina rękę wyciągnął.

— Nie miałem czasu jeszcze podziękować waćpanu.. Strach, co to było!... Myślałem, że śmierć, albo gorsze jeszcze od niej kalectwo, nie minie nas. Dusza się darła z rozpachy, gdym na Teckę patrzył. Zrazu kwiliła, jak kocię, później i lez i krzyku jej zabrakło—oniemiło ją przerażenie. Nie wiem, doprawdy, czem waćpana wynagrodzę, ale nie odmówię mu w niczem, w niczem—tak mi Panie Boże dopomóż!...

Filip spojrział na podkomorzego.

— Uroczyście to powiedziales, wasza miłość!...

— I słowa dotrzymam, jakem Bylina!...

Pan Filip w milczeniu rękę wyciągnął, którą podkomorzy uściskał mocno, a później spojrział na Teckę.

Dziewczyna klęczała na ziemi i patrzyła na

pana Filipa. Odtąd ich oczy spotykały się co chwila, zdawały się przenikać i porozumiewać.

Zaczęła się ucztą.

Pan Filip gorzalką, która ocuciła Teckę z omdlenia, poczęstował obecnych: lubował się w niej podkomorzy. Tecka nawet jęczyzek umoczyła i przypomniała chwilę przyjscia swojego do przytomności, zapewnienie pana Filipa, że orzeźwiający ją eliksir był rodem z Gdańska i zaczęła śmiać się serdecznie, aż w lasku gdzieś echa srebrzyste: cha! cha! cha! powtarzały. Podkomorzy upajał się gorzalką, Filip Tecki widokiem, a ona wydobywała coraz nowe z kosza zapasy i zachęcała do pożywienia się.

Noc stawała się coraz głębsza, ale na wschodniej stronie nieba luna zabłysła i podniósł się księżyc czerwony. W tamtej stronie leżały Konopie, do których coraz bardziej tęsknił pan Filip i coraz piękniejszymi marzeniami wypełniał. Ciszą była w gaju i za gajem — step się osrebrzał coraz więcej, ale nic milczenia nocy nie przerywało. Żaden nie ozwał się okrzyk koniuchy, żadne ognisko nie zabłysło na niezmierzonej przestrzeni, nie słyhać było nawet dalekiego psów szczekania, któreby mówiło choćby o chutorze zapadłym gdzieś w jarze. Uwiązane tylko konie pana Byliny parskały czasami, ale i one usnęły, lby pochyliwszy. Pan Filip zaniepokoił się, czy Iwaśko i fornale podkomorzego odnajdą gdzie wóz jaki. Znać było, że wojna wyludniła te okolice i jeszcze pustka wśród nich panuje. Wiedział wprawdzie, że z przybyciem wozu onego będzie

musiał rozłączyć się z Tecką, a tak dobrze mu było w tej ciszy leśnej, pod drzew osłoną, z jej obrazem migającym wciąż przed oczyma. Ale trudno! nie wiekować w tej głuszy, trzeba tylko z chwili skorzystać, pociągnąć ku sobie serce dziewczyny, a panu podkomorzemu przypodobać się. Traktował go więc „Gdańską”, na Teckę zerkał i tak prawił:

— Czy wasza miłość, zabawiwszy dni parę w Jaworzynie, do Kaczorówki powracasz?

— Jużci, że do Kaczorówki... Ale jak długo w Jaworzynie zabawię, tego nie wiem! Zresztą Zawiszyński, to mój druh stary, i daliśmy sobie słowo, że dzieci nasze się pobiorą.

Pan Filip drgnął nagle i na Teckę spojrział, a ona pobladła strasznie, osunęła się na ziemię, w ognisko się wpatrzyła, a łzy zaczęły po policzkach jej płynąć. Pan Filip zwrócił się do podkomorzego i rzekł:

— No tak, waćpaństwo daliście słowo, ale czy za zgodą dzieci?

— Za zgodą dzieci?...—mruknął podkomorzy, walcząc ze snem, który mu na oczy naprowadzała gorzalka gdańska.—Może w krajach zamorskich zwyczaj taki bywa, ale, chwalić Pana Boga, w Polsce nie słyhać o nim jeszcze. Za zgodą dzieci?... Ot, w sam raz wyskoczyłeś waćpan! Przecz myśmy je spółdzili, wychowali i o losie ich myślimy.

— To pierwsze nie sztuka—wyrwał się pan Filip.—Drugie jest obowiązkiem, a w trzecim wypadku zgoda i wspólne porozumienie być powinno.

— A jak niema zgody i porozumienia?

— Jeśliby panna uمیłowała nicponia, to wtedy rodzic ma prawo nie pozwolić na związek małżeński, ale w żadnym razie niema prawa rozkazywać.

Pan Bylina coraz szerzej otwierał powieki.

— Prawa... nie ma... rozkazywać... dzie-cku swo-je-mu?

— Tak mi się widzi...

— A mi się całkiem inaczej widzi, i choć Tećka mało zna pana Zawiszyńskiego Michała, woli mojej przeciwna nie będzie.—Zawiszyńskiego Michała? — spytał pan Filip, nacisk na to imię kładąc.

— Znasz go waćpan?

— Czy nie syn pana Pawła?

— Juźci, że ten, któremu rodzic oddał Grobelnę w dziedzictwo, a Topiele w dzierżawę puścił.

— To ten,—zawołał pan Filip.

— Znasz go waszmość?—powtórzył podkomorzy.

— Jak zły szeląg.

— I co waść o nim powiesz?

— Psu brat, i wszystko!...

Pan Bylina zwrócił się do mówiącego, a brew miał gniewnie ściągniętą.

— Psu brat,—łagodnie mówiąc—dodał pan Filip.

Podkomorzy, któremu sen odleciał z oczu zupełnie, wpatrzył się w pana na Konopiach, na którego też z zapartym oddechem w piersiach i Tećka patrzyła. Dziewczynie się zdawało, że

losy jej wazą się w tej chwili, że od słów pana Filipa zależy serca jej spokój i dola przyszła.

— Co waść do zarzucenia mu masz?...—spytal podkomorzy.—Czy, że więcej rzeczy zdobycznych, niż waćpan do Konopi, on do swojej Grobelnej przywiózł?... Nie przymawiam waćpanu, ale coś koło waćpana—pusto...

— Com miał, tom miał—na to pan Filip.—Z dzisiejszego niedostatku nawet przed jaśnie wielmożnym podkomorzym tłumaczyć się nie będę. Powiem jeno: że i bachmat był i siodło nie odarte z klejnotów—dodał z naciskiem.

— Przepraszam waćpana; urazić nie chciałem!—rzekł podkomorzy, wyciągając dłoń do Filipa.—Ale nie miło mi było słyszeć, gdy brat na brata powstaje.

— Wždy mówiłem, że to nie *mój* brat.

Bylina zżymnął się.

— *Qui facit faveam, incidit in eam* — mruknął...

— Przepraszam podkomorzego, nie na mnie to patrzy.

— Wždy sarkasz na Michała, a *cui bono?* Przecz razem chleb żołnierski jedliście.

— O, nie! jam był przy Janie Kazimierzu, a on do Carolusa przekicnął się, i odstał dopiero od Szweda, gdy go pan Czarniecki za drzwi Rzeczypospolitej wyrzucił. Wart stryczka, psi syn!

— Nie tacy, jak on, odstępowali od króla jegomości—wycedził podkomorzy.—I Radziejowski i Opaliński i innych wielu. Taki był czas zły, czy omen paskudny. Ale Zawiszyński opatrzył się szybko.

— Czem?—wrzasnął pan Filip.

— Szwedów gromiąc.

— O, Jezu!—łapał się za uszy pan na Konopiach.

— Po łupach poznać rycerza—ciągnął z powagą podkomorzy.— Gdybyś waść widział jego furgony ładowne, sambyś rzekł: czasu nie tracił. Rzędy na konie, łamy złote, siodła sadzone, pistolety i szable, a co za błamy futer, barchany, aksamity i altembasy, to powiadam acanu, że szatnię żoniną materyami onemi mógłby na lata długie zaopatrzyć, czerwieńców zaś tyle przywiózł, że mógłby drugą taką Grobelną nabyć; a jakie pasy i ornaty...

— Pasy i ornaty?—zawołał pan Filip.

— Spytaj waść Teckę, a ona ci powie, że w skarbcu wawelskim zacniejszych nie widziała.

— Wierzę! ale czy te pasy czterostronne z cienkich brzuchów szwedzkich, a ornaty z ich gołych kościołów ściągał?—rzuci Filip.

Podkomorzy zmieszał się.

— Odbijał na Szwedach—mruknął.

— I do Grobelnej zwoził, jako wojenny łup, na własność dworów szlacheckich i kościołów.

— *Propter meliorem certitudinem...*

— ...do kredensu w Grobelnej zamykał — dokończył pan Filip.

— *Quis scit?*

— *Scio*, panie podkomorzy, i opowiem, jako one *odbijanie* odbywało się. My Szweda gнали, a on do szaf i skarbczyków, i kieszenie ładował dobrem bratniem. Odbijał zamki, to prawda! ale w dworcach przez wrogów łupionych, jako ich

sojusznik, a zdrajca niegodny. Kiedy do nas był przystał, widząc, że z Carolusem już nic mu, kajał się jak pies przed Czarnieckim, przysięgając na świętości wszystkie, że cierpi niewinnie, i przyrzekając w pierwszej lepszej potrzebie głowę dać, jako potwierdzenie *innocentiae* swojej. I oto zdarzyła się okazyja. Osaczony Szwed zamknął się w Komornem, bronił się, jak zwierz dziki, bo wiedział, że pardonu nie będzie za rzezie i gwałty różne, jakie dniem przedtem wyprawiał. Dom każdy musieliśmy zdobywać, zagrody, chlewy, bo wszędzie walił z muszkietu, do ostatniej desperacyi doprowadzony. Noc zapadła, a my czyścimy miasto, samopałami przyświecając sobie. Dym, huk, a fetor siarki, jakbyś do Sodomy się zbliżał. Ale my nic!... Kichamy, bo w nosie śwędzi, i naprzód przemy. Widząc tedy, że z czarniecczykami nie poradzi, do pakul i pod strop. Trzech pacierzy nie zmówiłeś, jak miasto całe w ogniu stanęło. Powiadam waszmości, że w piekle cieplej nie będzie, jak w on czas było. A tu wiatr powiał i płomienie rozplątał; dzwony wszystkie uderzyły na gwałt, a dymy dusiły mieszkańców, których krzyki przytłumiały nawet huk armat. Szwed, korzystając z zamieszania, umykał, cięliśmy na oślep, ale ich trochę uszło, na zły posiew, co widząc pan Czarniecki, gdy już nie było z kim walczyć: „Ratujcie miasto!”—zawołał.— Do drabin tedy i wiader, bo w ogniu wszystko, jeden tylko dom Boży, jako to gmach z cegły i kamienia wzniesiony, urągał przemocy elementu. Ale oto słyszę, że w nim coś się niezwykłego dzieje. Drzwi główne zamknięte, a wewnątrz sza-



motanie się jakieś i brzęki. Obiegam świątynię i przez drzwi boczne do zakrystyi wpadam. I oto co widzę: pacholek jakiś pakuje do wora świeczniki i kadzielnice złote. Ja go za łeb, aż mu ślepie blachmanem zaszły.—Czyj ty? — pytam. — „Pana Michała Zawiszyńskiego!”—Co tu robisz? „Pan kazał brać!”—Ja go w pysk, on położył się na ziemię, sam zaś wbiegam do kościoła, gdzie ono szamotanie się i jęki słyhać było. — Jezus! Marya! com zoczył... Pan Michał walczył z księdzem o ornat. Ten do siebie, a ten do siebie ciągnął szatę świętą, która kapala od złota i klejnotów różnych, wyprężała się, skrzypiała, lecz się nie darła. „Puszczaj ją; klecho, bo łeb roztrząskam”—wołał Zawiszyński.—„Morduj, zbójcu, ale własności kościelnej nie dam” — odpowiadał ksiądz.—„Nie takim brał” — chrapał Zawiszyński. — „Ale tego nie ugryziesz” — ksiądz na to. Rozwścieczony uporem napastnik, jak szarpnie, aż ksiądz o ziemię łbem palnął. On za ornat i pod pachę, a ja go za kark... „Tuś mi?” Chciał się bronić, alem go tak chwycił za grdykę, że dreptać jak duszeniec począł: „Puść—a wytłomaczę się!” Popuściłem. On tedy szeptem: „Nie bądź głupi, panie Filipie. Kiedy żołnierzom zarobić, jak nie na wojnie? Okazyja się trafia—korzystajmy... do spółki, a jużem tyle nabral, że choć się podzielim, ja—drugą Grobelną, ty drugie Konopie kupisz... Miej rozum—wiedzieć nie będzie nikt; a jeżeli to grzech, to posty i ofiary do zbawienia dusznego nam dopomogą!”—Tak prawił,—a jam po prostu ogłupiał zanim mu w gębę dał. Nie, brachu! chodź do wodza... Wiodę go tedy,

wśród dymu, wrzasku i pożogi. Aż tu na skrawku ulicy, z piętra płonącego domu, słyszę głos: „Chwytaj, dziecko!” Podniosłem oczy, a maleństwo w pieluchach na łeb mi leci. Oczywiście, że chwyciłem to niewiniątko, ale Zawiszyński w bok skoczył i zniknął w ciemnościach nocy. Odtąd nikt go nie widział, ale słuchy chodziły wciąż, że na czele bandy rozbójniczej napadał na dwory, łupił klasztory i zbierał w ten nieczyny sposób fortunę. Rzeczpospolita była w rozbiciu, sprawiedliwość więc spała. Gdy czasy uspokoiły się, łaskawy król wszystkim parszywcom przebaczył. Ale król wie swoje, a Filip z Konopi swoje. Teraz i wy, panie podkomorzy, wiecie, skąd te altembasy i bogate rynsztunki wojenne, ornaty i pasy słuckie...

Pan Filip skończył.

Z przerażeniem w oczach, lecz zarazem i z dziękczynieniem patrzyła Tećka na naratora. Los jej zdawał się być uratowany, uśmiechała się do myśli jakiejś, do jakiegoś szczęścia, które w jej sercu budziło się. I jednocześnie, jakby z wyrazem tryumfu, zwrócili się oboje do pana Byliny.

Ale podkomorzy, po chwili namysłu, odezwał się:

— To waćpan nie tego znałeś Michała Zawiszyńskiego.

Sen go zmorzył, pochylił się, wsparł się plecami o drzewo i usnął.

Tećka szybko pochyliła się nad ojcem, a widząc, że śpi, zerwała się i pobiegła do pana Filipa.

— Ratuj mnie waszmość! — błagalnie wyszeptała.

Pan Filip nie strzymał, ujął obie dłonie dziewczęcia, jak do pacierza złożone, i do ust swoich przytulił.

— Ratuj waszmość—kwiliła Tecka—bo wielkie nieszczęście się stanie. Ja pana Michała nie chcę, nie chcę, jak i nigdy nie chciałam! Rodzicowi sprzeciwić się trudno, ale można się zabić!

— Na rany Chrystusa! a toć grzech mówić tak nawet—zawołał pan Filip. .

— Wstąpię do klasztoru, tak, tak, tak!... Waćpan mnie wykradniesz i do klasztoru zawieziesz.

— Wykraść mogę, ojoj!... ale nie chciałbym śliczności takie do klasztoru zawozić.

A widząc, że Tecka płacze, począł pocieszać ją i sam się rozrzewniać.

— Uspokój się, waćpanna, uspokój!... Pókim żyw, Michał ciebie nie weźmie. Zawiązałem ja supełek na niego i ślubu dokonałem.

— Ale nim co będzie, to on targu dobije.

— Trzymaj się, waćpanna.

— Trudno!... Ojciec... Waćpan nie wiesz, co to znaczy rozkaz, krzyk, pięść może. Uparty jest, ale dobry — pochwyciła szybko. — Ale tu dobroć nic, bo Zawiszyńskich fortuna oćmiła mu rozum. Jeżeli waćpan mnie z terminów onych nie wyratujesz—zginę...

I znów szlochać zaczęła, a szlochając, przytuliła się do ramienia rycerza, bo bez tej podpory ustaćby nie mogła.

W duszy pana Filipa rozpalilo się słońce

ogromne. Dokoła była cisza, milczenie nie zamącone niczem, tylko słyszał stuk własnego serca i przytłumione chlipanie Tecki. Długie gałązki brzoź, osrebrzone księżycem, który do połowy już nieba dobiegał, zwieszały się nad nimi. Krople rosy spadały na dłoń czarniecczyka, ale on dobrze nie wiedział, czy to rosa, czy łzy Tecki. Step oddychał zapachami kwiatów i wiał ku nim; niepodsypane dopalało się ognisko, rozsypywały się popioły białe, z których czasami złota iskra wystrzeli, albo ognek błękitny wyrzy i umrze. Pan Filip uczył ciepło ciała dziewiczego, rozkosz niewymowną, pewność siebie i dumę z niespodziewanego opiekuństwa. Nie uląkł się Chmielniceńki, Szwedom sadła za skórę zalał, Bałtyk zmógł — miałbyż się nastrachać pana Jana Byliny i pozwolić to dobro wydrzeć sobie?... Bajki! mości panie podkomorzy, i króla i Czarnieckiego za sobą będzie miał i Rzeczpospolita cała za nim stanie. A myśląc tak, wypełniał dwór swój w Konopiach światłem różowem, które powoli w blask słoneczny się zmieniało. I tchu mu brakło i mimowoli przybliżał wargi do pochylonego czoła Tecki, ale bał się ją spłoszyć, zasromać, wierzyicielem natrętnym stać się. Przyjdzie chwila, a miłowanie samo przemówi.

Gdy Tecka się uspokoiła, on tedy rzekł:

— Czy rodzic waćpanny umie słowa zdzierżyć?...

— Albo co?

— Pytam.

— O, ták!... Jak na Zawiszy, tak na Jana Byliny liczyć waść możesz.

— Dobrze, że o tem wiem.

— Co waćpan masz na myśli?

— Czy nie rzekł mi: „Nie wiem, czem waćpana wynagrodzę, ale nie odmówię mu w niczem, tak mi Panie Boże dopomóż.”

— I zdierży—szepnęła Tećka.

— Nie stawiaj więc waćpanna wielkiego oporu ojcu, ale i nie poddawaj się mu zbyt cześnie. Niech-no ja do Konopi, a wy do Kaczorówki wróćcie, rzeczy pójdą, jak Pan Bóg przykazał, i pan Michał, jak szatan wody święconej, nie imie się waćpanny.

— Jak ja miłować was będę! — zawołała Tećka.

Pan Filip do kolan jej chciał rymnąć, ale podkomorzy chrząknął i obudził się. Tećka podbiegła do ojca, a on ziewnął szeroko i rzekł:

— Ogień przygaś!.. podsyćcie go!

Znów buchnął słup płomienia, a pan podkomorzy spojrzął na pana Filipa i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Nie śpisz waszmość?—zapytał.

— Sen powiek się nie ima.

— A ty, Tećka?

— Mnie równie nie senliwie.

— Podobaleś mi się waszmość. Pozwolisz odwiedzić siebie w Konopiach?

— Jaśnie wielmożny panie podkomorzy — odparł Filtp. — Ja wpierw do Kaczorówki przybyć winienem.

— Nie w tym wypadku, kawalerze, nie w tym wypadku. Zresztą waść w Konopiach fatdów zasiedzisz, a ja nie wiem kiedy z Jaworzyna

wyruszę. Przypomnę się więc pierwszy waćpanu.  
*Dixi!*

Nagle ze stepu odezwały się głosy jakieś; skowyt, ujadanie i wycie. Wśród cłszy nocnej gwar ten rozchodził się przeraźliwie i biegł z niewielkiej oddali, groźny, dziki... Podkomorzy uniósł się nieco, Tećka spojrziała na pana Filipa, a on zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Wilki!

— Nie przyjdą tutaj?—szepnęła Tećka.

— To z mojego bachmata ucztę chcą sobie zrobić... Niedoczekanie wasze!—zawołał.—Przyrzekłem mu, że go żarłocztwu żadnemu tknąć nie dam i dotrzymam, com rzekł. Rycerski to koń, przyjaciel wierny. Nie na wilcze zęby mięso jego!

Poskończył do siodła, z olstrów pistoletów dobył, szablę przepasał i zanim podkomorzy się opamiętał, a Tećka: „Stój waćpan!... nie opuszczaj nas!” krzyknęła — już o kroków kilkanaście oddalił się od nich.

— Toć go rozszarpią!—zawołał Bylina.

— Panie Filipie!—wrzasnęła Tećka, ze wzgórzka zbiegając.

Ale pan Filip znak jakiś uspokajający w powietrzu zrobił i pomknął cwałem ku gościńcowi, gdzie białaly trupy końskie, i skąd dziki skowyt wilków dochodził.

Nastała cisza niepokoju i trwogi. Oczy podkomorzego i Tećki utkwione w przestrzeń były, ale nie sposób było nic dojrzeć. Białe światło księżycy zalewało step cały, skowytanie się wzmo-

gło i zdawało się, że zajadlejsze, groźniejsze się stało.

— Jezus Marya!—szeptała Tećka!

— Broń Boże od nieszczęścia — powtarzał podkomorzy.

I już nic nie mówili do siebie.

I znów ubiegła długa chwila niepokoju i trwogi.

Nagle dał się słyszeć strzał i jęk i wycie, i jakaś burza głosów rozwścieczonych. W ślad za tem padły dwa strzały—i dwa jęki przeraźliwe rozdarły powietrze, i ujadanie szalone, i szczek krótki, i wycie wzmożone, i jakiś hałas piekielny tłuszczy zajadlej. W tych wrzaskach, wyciach, skowytaniach i jękach bolesnych znać było szamotanie się śmiertelne, napad rozszalałych bestyi i walkę rozpaczłą. Pan Filip pistolety wystrzelił, teraz na szablę wziął rozbójników stepowych, miota się, rąbie, rani i zabija... Ale snadź wilki od ścierw końskich odpędzić się nie dają, skowyt się wzma-ga, jakby szarpały, gryzły, chcąc krwawo pomścić śmierć towarzyszy.

— Jezus Marya!—powtarzały usta Tećki.

— Zginie!—szeptał wybladły podkomorzy.

Nagle wrzaski ustały, jakby kto w ziemię je wbił... i większe przerażenie ogarnęło Bylinów.

Słuchają...

Cisza!

Czekają...

Szmeru żadnego...

Podkomorzy dobył godzinnik i liczył sekundy, minuty, kwadranse całe.

Pana Filipa nie było...

— Zginał, zginał... — odezwał się głosem drżącym pan Bylina.

Tecka zerwała się, jak szalona, i naprzód skoczyła.

— Stój! — wrzasnął podkomorzy, — czyś ty oszalała?

Tecka odbiegła kroków kilkanaście od gaju brzozowego; od blasku księżyca przysłoniła oczy ręką i patrzyła w step. Hen, daleko, widać było plamę białą ciał końskich, ale od nich nikt nie szedł, ani żaden głos nie dobiegał, tylko step szumiał trawami, tylko rozśpiewały się na gwałt koniki polne.

— Hop, hop! — krzyknęła Tecka raz, drugi i trzeci, ale słaby głos nie wywołał echa żadnego...

— Tecka! tu żartów niema! — odezwał się podkomorzy. — Rozłóżmy ognisko naokolo siebie, bo wilki i do nas przyjść gotowe.

— Ojczel! idźmy tam na ratunek... Życie za życie dać trzeba!

Ale stary pociągnął ją za sobą i do milczenia zmusił.

— Głupiaś! my nie zrobim nic... Sam na ząb wilczy polazł.

Tecka wiedziała, że nic nie zrobią, zresztą siły ją opuściły i, płacząc, upadła na ziemię.

I tak noc cała przeszła w przerażeniu i pewnością śmierci pana Filipa z Konopi.

Nad świtem dał się słyszeć turkot drabiniastego wozu. To ze zdobyczą wracali fornale pana Byliny, a przy nich szedł Iwaśko, prowadząc



dwadzieścia osiodłane, z otartymi bokami, widać tylko co od pługa wzięte.

Podkomorzy powstał, a Tečka do wozu podbiegła, i stanęła, jak gromem rażona.

— Co tam?—zawołał pan Bylina.

I podszedł.

Na wozie leżał pan Filip, z okrutnem cięciem od pałasza zadaniem, ale oddychał i raz wraz omdlewające powieki podnosił.

— Waćpan?—zawołał podkomorzy.—A skąd to waćpanu przytrafiło się?

— Michał Zawiszyński—wyszeptał pan Filip. I omdlał.

### III.

Wóz pełen był siana, nieźle więc na nim było panu Filipowi. Po omdleniu przyszedł do siebie, ale nie mówił nic, zęby jeno zaciskał, snadź, by jęk stłumić, bo rana była głęboka i nie mały ból sprawiać musiała. Krew obficie płynęła, a nie było czem jej zatamować, więc Tečka zajęła się opatrunkiem, z wydobytych pakowała bieliznę na strzępie, darła na bandażę i wprawna rączką obwiązywała nieszczęśliwą głowę pana Filipa. Raniony kiedy niekiedy podnosił oczy, a widząc Teckę nad sobą, uśmiechał się. Raz nawet na szeptał się zdobył:

— Teraz Zawiszyński już się nie imie wać-

panny, bo zbój jest!... A choćbym zmarł, krew moja pomiędzy nim a ołtarzem stanie...

W tej chwili nawet o Tećce myślał.

I Tećka wierzyła słowom tym — inaczej nie mogło być. Nawet w tej wycieczce pana Filipa na wilki widziała wyraźnie rękę Opatrzności, która ją uchroniła przed panem Michałem Zawiszyńskim. Zbój nie może być zięciem podkomorzego Byliny—to jasne!...

Po opatrunku pan Filip zasnął, choć gorączkować zaczął. Z rozkazu Tećki wóz wciągnięto pod brzozy, które, jakby naumyślnie, pochylily się ku niemu i szmerem liści cichą kołysankę śpiewać zaczęły. Dzień zapowiadał się ślicznie, słońce wschodziło pogodnie i całowało step bezbrzeżny, osłoniony mgłą jeszcze, która, wsysana przez ziemię, na kwiatkach i trawach osiadała w rosy perliste. Ale, jakkolwiek baldachim z liści był dość gęsty, Tećka nie dowierzała brzozom. Niech jeno słońce podniesie się wyżej nieco, cienkie ich gałązki nie osłonią pewnie pana Filipa od promieni ciekawych. Więc z kobierczyków urządziła zasłonę nad wozem, czyniąc coś w rodzaju namiotu, tak, że nawet skwar południowy nie groził już choremu.

Pan Filip rzucał się trochę i mamrotał, nagle zawołał w głos:

— Iwaśku!... bachmata mi pogrzeb!...

W febrze pamiętał o nim.

Podkomorzy chodził pochmurny, z ukosa patrzył na krzątanie się Tećki, wreszcie, gdy zbudowała namiot, ład koło chorego zrobiła i wyprawiała fornala wraz z Iwaśkiem, by koniowi pana Filipa

dół wykopali, zwrócił się do niej, zatrzymał się i rzekł:

— Tećka! pódź tu!...

Dziewczyna zbliżyła się do ojca.

— Co poczniesz ninie?...— spytał. I, nie czekając odpowiedzi, dodał:

— Mnie do Jaworzyna śpieszno!

— To jedźcie, panie ojczel! — odpowiedziała Tećka.

Pan Bylina wypatrzył się na córkę.

— Jakto — jedźcie, panie ojczel!... Przecie, jeżeli pojedę, to wraz z waćpanną...

— Ja ostanę, panie ojczel!...

— Tutaj?

— Tak, panie ojczel!...

Bylinie wargi się zatrzęśły.

— Czy waćpanna wiesz, co gadasz?

— Wiem, panie ojczel!...

— Słuchaj no ty, smarkata! — rzekł podkomorzy, podchodząc krokiem i za rękę ją biorąc. — Od kiedy to waćpanna nauczyła się rodzicowi przeciwieć i swój rozum mieć?... Mnie do Jaworzyna śpieszno, rozumiesz? Jak tylko te chamy z pogrzebu końskiego powrócą, każę zaprzęgać i w drogę!...

— A ja nie, panie ojczel!...

— Co ty taka języczna zrobiłaś się, sroko?...

A Tećka:

— Ostanę ja i ty ostaniesz, panie ojczel!

Podkomorzy sapnął, chciał jakieś ostre słówko rzec, ale pohamował się i tak zaczął:

— Pogadajmy-no rozsądnie, bo nie chciał-

bym gwałtu czynić i dziecka rodzonego, jak Turczyna, na kawecanie prowadzić. Dlaczego ty mówisz inaczej, a ja inaczej?

— Gdyby nie pan Filip, nie gadalibyśmy zupełnie już może, panie ojczel!

— No, tak!—mruknął Bylina.

— Teraz, gdy ten zbój, pan Michał...

— No, no, nie gadaj ty tak—przerwał podkomorzy—kiedy nie wiesz, jak tam było. Nie jesteś waćpanna natchniona *spirito prophético*, żeby zaraz podejrzenia na zacnego kawalera rzucać. *Suppono*, że to nie żaden pan Michał, jeno jakiś drab leśny dźgnął go.

— Cięcie szabli, panie ojczel!...

— Ano—tak!...

Podkomorzy przegrywał sprawę. Drab leśny kłonicą albo nożem prostym dźgałby, a tu znać było cięcie klingi ostrej. Spuścił więc z tonu i rzekł:

— Niech będzie i Zawiszyński — to co? Ansię ku sobie mieli, spotkali się i — w szablę trzasnęli. Dla waćpanny to może pierwszyczna, ale między szlachtą?...

— Mogło to być, panie ojczel!

— Więc dlaczegoż zbój zaraz?... he?... Kto nastawał na sławę dobrą Zawiszyńskiego — he?... Waćpanna nie wiesz, co znaczy kalumnia, co znaczy honor niewinnie dotknięty. Rzecz taka *non patitur moram*,—to pali, piecze... ot co!

— A czy pan Filip dałby się tak zrąbać?...

— *Allera res*. Lecz o tem potem. Teraz co waćpanna zamyślasz?

— Wdzięcznością zapłacić, panie ojczel!

— Jaśniej!...

— Nieodstępować chorego, dopóki nie wyzdrowieje.

— To znaczy — pod tą brzezina z miesiąc przesiedzieć?

— Choćby!...

— Zastanów się, dziewucho, co gadasz?

— Kiedy inaczej nie może być...

— Jako nie może być?

— A jak, panie ojcze?...

— Odwieziem do chutoru...

— I ostawim samego? A zresztą, jak tu odwieść na tym wozie trzęsącym? A chutor gdzie? Iwaśko mówił mi, że daleko i po kamienistej drodze jechać trzeba.

— Chłop, jak tur, zdzierzy! — mruknął podkomorzy.

— Ale sumienie moje nie zdzierzy, panie ojcze!...

Bylina czuł, że słusność była przy Tećce, rzekł więc:

— No, tak! nie godzi się wybawiciela naszego bez opiekuństwa ostawić. Ale ja myślę: posłać do Jaworzyna i poprosić Zawiszyńskiego o karocę dla nas, a o lektykę dla pana Filipa. Masz co waćpana przeciw temu?

— Mam panie ojcze!...

— Jezus ci nie dogodzi! — zawołał pan podkomorzy. — I co ty masz, sroko! co?... gadaj mi tu zaraz!

— Zawiszyński chciał ubić i Zawiszyński z ratunkiem ma iść...

— Ubić! ubić!... Nikt nie wie, jak tam było!

— I dlatego musimy tu ostać!

— Swoje!...

— Tak, panie ojczel!

— A róbże, jak chcesz! ciebie ciotka rodzo-  
na nie przegada...

Zbliżył się do wozu i spojrział na Filipa.

— Słuchaj, Tećka! głowa puchnie, krew  
płynie...

Dziewczyna załamała rękę.

— Ja tu останę przy nim, a ty skocz — nie  
oddalaj się tylko — w pobliżu musi być źródło,  
okłady trza zimne zrobić.

Tećka skoczyła na poszukiwanie — i zaraz  
za gajem, u stóp wzgórza odkryła źródelko wody  
bieżącej, czytej jak kryształ, a jak lód zimnej.

Teraz oboje zaczęli się krzątać około pana  
Filipa, który, uczuwszy chłód, tchnął głęboko i lżej  
już oddychać począł.

Zajęcie się ranionym niedozwolilo rozpytać  
Iwaśka o wypadku nocy ubiegłej. Teraz dopiero,  
gdy służba pana Byliny i pacholek Filipa powró-  
cili z „pogrzebu końskiego”, podkomorzy wziął  
chłopca na spytkę, lecz rzeczy wyjaśniającej spr-  
wę nie domacał się. W odległym a zapadłym  
chutorze, za dobre pieniądze nabywszy wóz i wy-  
chudzone koniska dla pana z Konopi, którym trzy  
dni do śmierci było, wracali gościńcem koło tru-  
pów końskich. Uderzył ich widok z rozplatanymi  
łbami wilków, straszne pobojowisko walki z dzi-  
kiemi bestyami odbytej. Zdumiona służba pana  
podkomorzego nie wiedziała, co o tem sądzić, ale  
Iwaśko domyślił się wszystkiego i rzekł od razu:

— To pan bachmata od wilków bronił...

Zaczęli się przypatrywać bestyom i liczyć — i naliczyli z pistoletów zabitych trzech, a sześciu szablicą porąbanych. Mieli odjeżdżać, gdy oto o kroków kilka od pola walki, powalonego przez pień zrąbanego drzewa dostrzegli pana Filipa z łbem rozplatanym. Nie mówił nic, krwawił tylko i dyszał ciężko.

Oto wszystko.

— A szabla? — spytał podkomorzy.

— W pochwie była.

Tecka spojrziała na ojca, a jemu do twarzy napłynęła krew. Nie rozpytywał już o nic, jeno po chwili zbliżył się do córki i odezwał się:

— Urządź się waćpanna, zapasów nam starczy i na tygodni dwa.

Tecka w milczeniu pocałowała ojca w rękę.

Trudno wiedzieć co pan podkomorzy, po zebraniu stosownych wiadomości od Iwaśki, w duszy swej miał, ale się już w niczem Tećce nie przeciwiał, i sam nawet tak się urządzał, jakby nieco dłużej nad tygodni dwa w onym lasku brzo-zowym przesiedzieć zamysłał. Skłaniały go ku temu opór Tećki i niepewny stan zdrowia pana Filipa. Zresztą i sumienie kiedy niekiedy wtrącało swoje trzy grosze: pan Filip z narażeniem życia własnego ocalił Bylinów życie, możnaż go obecnie, gdy w tak ciężkie terminy popadł, w głuchym stepie zostawiać na opiece Iwaśka jednego? Sprzeczał się z zrazu z córką i do Jaworzyna wybierał, unosił się gniewem na każde jej: ostanę, panie ojczel!... marmotał coś pod nosem i zrzędził, bo stary był, ale w duchu słuszność Tećce przyznawał i gdy wypadek z panem Filipem, przy któ-

rym szablę w pochwie znaleziono, nabierał prawdopodobieństwa łajdackiego napadu — udobruchał się zupełnie i sam się nawet zajął urządzeniem wygodnego obozowiska w lesie. Doszło nawet do tego, że gdy desek z karety na rozpalamie ogniska zabrakło, brzóz już tykać nie kazał, jeno słał fernali do miejsc odleglejszych nawet dla wyszukania suszu, niejednokrotnie sam się udawał i powracał nieraz z wycieczki, ciągnąc za sobą starą gałąź dębiny albo sośniny żywicznej. Można byłoby rzec nawet, że pan podkomorzy zasmakował w tem cygaństwie. Wylegał się z rozkoszą na słońcu, w dzbanach ze źródła wodę przynosił i czuł, że mu się wcale dobrze dzieje z tem słońcem i powietrzem stepowem i taką jakąś werwę uczył, iż raz, gdy się oddalił od gaju a w poblizki jar się zapuścił, tak jakoś dziwnie mrugnął na przygodnie spotkaną dziewczkę, która jagody zbierała, że ta nogi za pas i drała. Podkomorzy wielce rad był z tego wypadku. Wrócił do gaju z wąsami, postawionymi do góry, z uśmiechem na ustach, ciągnąc za sobą okrutny pień starej wierzby.

— Tatus! czy tu nam źle? — spytała Tećka, zabiegając mu drogę i rada z uśmiechniętej twarzy ojcowskiej...

— Wiesz waćpanna, że wcale nieźle — odpowiedział Bylina.

— Wigor jest? — rzuciła.

A podkomorzy sponsował czegoś...

— Jakże tam... tego... twój chory ma się — zabalamucil.

Tećka posmutniała.

— Nijak do przytomności mu przyjść.



— Ale puchlina zeszła i rana się zabiżnia—  
dorzucił stary. — Będzie zdrow — dodał po chwili—  
bo to nie taki, który choróbsku się poddaje...  
Słońce omdlałość wyciągnie i nie opatrzym się,  
jak z wozu skoczy.

— Bóg daj!... — westchnęła Tecka... — Ale  
to już tydzień, jak leży.

— A niech spoczywa i mocy nabiera.

— Ale tatusiowi pewnikiem do Jaworzyna  
śpieszno?...

— Przedewszystkiem, mościa panno, *cura  
salutis*... Jaworzyn poczekać może.

Po chwili dodał:

— A zapasów stać nam?...

— Na dwie niedziele.

— To i troskać się niema co. A Bóg dał  
takie ciepło kochane, że tylko pełnymi ustami pić  
i wzmacniać się na siłach... Powiem waćpannie, że  
się niezgorzej czuję, niezgorzej!... Na pierzynie  
takem nie spał, jak tu na trawie skoszonej, a i sny...  
tego... nie są trapiące.

Rzeczywiście pan podkomorzy nabierał fan-  
tazyi i wigoru, i codziennie wychodził do raju „na  
jagody”, jak mówił.

Tecka, widząc, że obozowisko ich dłużej  
potrwać może, niż zrazu myślała, zajęła cały gaik  
we władanie i zaczęła się w nowej siedzibie urzą-  
dzać. Z płócien i kobierców, których poddostat-  
kiem miała, wystawiła dwa niewielkie namioty dla  
siebie i dla ojca. Spięła je sznurami, przeciąga-  
jąc, jak się należy, końce owych sznurów do koł-  
ków umocowując. W tej robocie żołnierskiej  
pomagał jej Iwaśko, jako praktyk, przyczem nie-

stworzone historie opowiadał o panu Filipie i jego siekaniu ze Szwedami. Z tych opowiadań dowiedziała się Tečka i o furgonach pana z Konopi i o łupach zdobycznych, które po drodze rozsiały się. Słuchał tych historii i podkomorzy, ale mu nie w smak szło, że takie bogactwo roztrwonil. Mógł i bliźnim coś dać i sobie zostawić. Wykombinował nawet, że los rozsierzony, iż z darów jego korzystać nie umiał, zrzucił tak, że i bachmata się pozbył i siodło sadzone klejnotami zatracił. Fortuna kiedy sypie to sypie, ale kiedy zadem się obróci, to już jej oblicza nie dopatrzysz. Mimo to w duszy podkomorzego obraz pana Filipa rósł i piękniał. Szum brzoź i zapach łąk przypominał panu Bylinie jego własne młode lata i marzenia niepokalanie dziewicze. Kochał bohaterów przeszłości, tych szczególnie, którzy i miecza i krwi nie żalowali dla sprawy dobrej. Później czas odzierał piórko po piórku ze złocistości onych; szarzyzna ziemską zatarła niebieskość, przystosował się do ludzi i czasów, zło i dobro zmieszało się razem i stworzyło — życie codzienne, zwyczajne życie ludzkie. Dziś nieco odmłodził, poczuł w sobie siebie dawnego i dziwnie zasmakował w gawędach Iwaśka.

— Może masz co jeszcze, chamski synu — to gadaj!...—odzywał się, gdy Iwaśko rzecz swoją o panu Filipie kończył.

Tak upływał dzień po dniu przy gawędach o duńskich czasach i zajęciach sielankowych iście.

Tečka wyznaczyła miejsce na ognisko zdala od wozu, by dym nie dolatywał do chorego. Ka-

roca Bylinów, jak arka Noego, mnóstwo wysypała zapasów. Okrom wędlin, serów i innych prowizyi, znalazła się i kasza, z której krupniki i kleiki przyrządzała Tečka dla pana Filipa, wlewając ostrożnie pożywienie do ust goraczką spalonych. Sama nieraz zbiegała do źródła po wodę i powracała, nucąc cichą piosnkę jakąś, trzymając dzban polewany na głowie. Podkomorzy codziennie wymykał się na dalszą wycieczkę, a pytany przez Teckę;

— Dokąd?

— Do jaru — odpowiadał.

Zawsze powracał z gałęzią, a raz nawet w pole żupana sporo dorodnych poziomek przyniósł, które jakoby sam zbierał...

Tečka z okrzykiem radości powitała jagody, ale zasmuciła się wnet, że ich pan Filip jeść nie może. Lecz uspokoił ją Bylina:

— Niech wyzdrowieje, a ja już mu przyniosę. Obfity jagodyniec w jarze znalazłem.

— Gdzie to, tatusiu?

— A — tam!

— Weź mnie z sobą!

— Pilnuj chorego waćpanna... Już na siebie biorę obowiązek dostarczania jagód.

I wcale nieźle z przyjętego obowiązku wywiązywał się pan podkomorzy.

A maj rozkwitał i pachniał i śpiewał, a step, który hen precz ku dalekiemu Dniestrowi biegł, tak w bujne trawy i kwiecie porastał, że można w nim było jak w morzu kąpać się i słodkością zapachów a barwą kwiatów zmysły napawać. Raz w raz wyfruwało z tych fal różnokolorowych pta-

ctwo świegotliwe, tu i tam zajęcze uszy pokazały się, albo lis się przyczaił, strwożony szelestem burzanów, po których czasami wiatr przygrywał, jak bandarzysta na lirze. Raz pan podkomorzy posunął się z flintą ku bodziakom i chwastom stepowym, i — o dziwo! i stamtąd jagody przyniósł, choć raz i zająca ustrzelil, tak mu ręka dopisała, tak oko nie zawiodło.

— Tećka! będzie zajac!

— Na jutro, tatusiu, bo już dzisiaj inny przysmak mamy.

Na rozżarzonych węglach smażyły się kółka kielbasy, woń przepalonej cebuli i czosnku rozchodziła się w powietrzu. Tećka z podwiniętymi rękawami przyrządzała jadło, bacząc, by w sam raz dosmażyło się i nie straciło nic na soczystości ani zapachu. Właśnie zdjęła patelnię z węgla, gdy nagle podkomorzy w bok ją trącił i na wóz wskazał.

Tećka spojrzała i na równe zerwała się nogi. Na wozie siedział pan Filip i węszył..

— Jegomość! — wrzasnął Iwaśko — i przypadł do ręki pana; podbiegła i Tećka; podkomorzy, śmiejąc się, podchodził, a pan Filip patrzył chwilę jak nieprzytomny, a odezwał się:

— Wereszczaka!

— Jeno nie dla waszmości jeszcze, nie! — zaśmiał się Bylina.

A pan Filip, widząc już Tećkę przy sobie, ze łzami radości w oczach, wyciągnął ręce ku niej i zawołał:

— O, Jezul... a tożem waszmość państwu kłopotu swoją osobą narobił.

I chwycił obie dłonie Tecki i całować począł z zapamiętaniem wielkiem.

— Jakże się waszmość czujesz?

— Abo co?

— Głowa waćpana?

— Siedzi, chwalić Pana Boga, na karku.

— Nie boli?

— Nie, ino jakby chrapąszcze po skórze chodziły.

Spojrzał na niebo, po którym promienne słońce szło zwolna, ku zachodowi się zbliżając.

— Panie Jezu święty! — zawołał — a toć, jak mi się widzi, noc całą i dzień cały bez mała paskudnie zmarudzilem.

Tecka zaśmiała się przez lzy.

— Noc i dzień!

— Nie tak?

— Dziesięć dni waszmość przeleżał jak kłoda — odezwał się podkomorzy.

Pan Filip wiary nie dał.

— Dzie-sięć dni?

— A spójrz na step, jak trawy urosły.

— Dziesięć dni!... I waszmość państwo czuwacie nademną dzie-sięć dni!

Spojrzał na step.

— Prawda!... toć to morze zielone się koly-sze, i trawą porasta grób mojego bachmata. A gdzież przez te dziesięć dni pamięć moja była, gdzie ja był? I waszmość państwo czuwaliście nademną?

— Mogłoż inaczej być?

— Ha! splaciliście dług zaciągnięty z procentem! Nic już mi winni nie jesteście — rzekł, jakby ze smutkiem.

— O, nie! kawalerze — przerwał Bylina. — Myśmy nie oddawali ci żywota. Marnego trudu trochę i tyle! A źle nam było? Tecki spytaj! Co dzień szum drzew i słońce, *omnium malorum medicus*, i kwiaty i niebo...

— I jagody — wtrąciła Tecka.

— Milcz, sroko! kiedy ja gadam — mruknął Bylina. — Jedna troska tylko, że waćpan z nami rozkoszy onych nie dzielileś — prawil podkomorzy dalej — ale naprawim to sobie, obyś się waść pokrzepił dostatecznie.

— Nic mi nie jest, jeno żal, że waszmość państwo jutro pewnie do Jaworzyna wyruszyście.

— U, — mruknął w nos podkomorzy. — Jaworzyn nie uciecze, a drugiego takiego gaju nie znaleźć.

— Tatuś codzień do jaru chodzi — wtrąciła Tecka.

— Cicho, sroko! z twoim jarem i jagodami! Co to go może obchodzić?

— Więc waszmość państwo?...

— Ostaniem tu jeszcze na dni kilka. I waćpan i ja wzmogłem się na siłach.

— Tatuś wigoru nabrał.

— Gaduło!... — zawołał podkomorzy i buzię jej zamknął.

Panu Filipowi wciąż się zdawało, że marzy, że jakaś tłoczy go zmora senna, jeno o widzeniach przyjemnych, ale zapach kiełbasy o rzeczywistości go przekonał. Tecka mu podsunęła krupnik jaglany, ale pan Filip zaprotestował przeciw temu i dał dowód, iż jest zdrow, bo „werezczaka” z sosem kwaśnym ulotniła się wnet jak kamfora.

Pan Filip czuł się jakby odrodzony. Dolegliwości żadnej nie czuł, jeno blizna potężna, po której „chrabąszcze chodziły”, świadczyła o wypadku niezwykłym. Rad jednak był z niej, a jedna Tecka wiedziała dlaczego. Na żądanie podkomorzego opowiedział wszystko jak było, a oto tak było:

Po zakończonej zwycięsko walce z wilkami, które oberwały mu połę żupana i nadszarpały potężnie cholewy butów żółtych, schował szablę do pochwy i usiadł na pniu niedalekim, by powietrza zaczerpnąć i członkom znużonym odpoczynek dać. Aż oto doleciał do niego tentent koni. Zrazu myślał, że powracają fornale z wozem, ale wnet się o omyłce przekonał, gdy nadjechało trzech jeźdźców, a jadący przodem, spostrzegłszy siedzącego pana Filipa, zwrócił wierzchowca ku niemu i zapytał:

— Ktoś ty?

Pan Filip poznał Zawiszyńskiego po głosie, do ochryplego puzonu podobnym, choć do poznania onego i jasność księżycowa dopomogła. Walczyć z nim jednak, po odbytej batalii z bestyami, nie czuł się na siłach. Rzekł tedy:

— Ruszaj psie, dopókim dobry!

I ani się spostrzegł, jak Zawiszyński szablę dobył i łeb mu rozplątał.

Pociemniało mu w oczach i twarzą przez pień się przewalił. Zastłyszal tylko śmiech i tentent oddalających się koni, a później noc—cisza—nicość...

Podkomorzy, słuchając opowieści tej, wargi wydał i milczał chwilę.

— Nie szlachecka to rzecz bez wyzwania

w łeb kropić — odezwał się po namyśle. — Aleś waćpan niepotrzebnie z psem wyjechał.

— Zawszem był szczery!—odpowiedział pan Filip.

— Wykaraskałeś się waćpan—rzekł Bylina.— Mieję się na baczości ninie.

— Niech się jaśnie wielmożny podkomorzy nie obawia, już ja mu sadła za skórę zaleję.

— *Nemo sapiens, nisi patiens*, a waść gorączka jesteś...

To rzekłszy podkomorzy powstał i zaczął chodzić po gaju, wieczorne pacierze szepcąc.

Wtedy oczy Filipa i Tecki zwróciły się ku sobie.

Mimo byczego zdrowia, jakim się pan Filip cieszył, chrapaszczce po zablizniającej się ranie, a mrówki osłabienia po cielesnej jego materji chodziły, na nogach się nieco chwiał i nużył się szybko, co widząc Tecka, nie pozwoliła mu długo przysiadawać, tak, że rad nie rad, musiał się wcześniej na wóz wgramolić i wypoczynku a snu zażyć. Wereszczaka nie poszkodziła mu wcale, gorzalka gdańska smaczniejszy sen mu dała. Trochę się wsłuchiwał w szum brzóz, trochę na księżyc patrzył; brzózki do księżyc, to księżyc do nich się zbliżał, wreszcie ten napowietrzny polonez pomieszala Tecka, przykryła księżyc, brzozom milczeć, a powiekom pana Filipa zmrużyć się kazała.

Usnął snem zdrowie dającym.

Nazajutrz obudził się rzeźwy i nie czuł chrapaszczów nawet. Zeskoczył z wozu, obejrzał się,



ale ani podkomorzego, ani Tecki w gaju nie było. Podkomorzy po gałęzie, a Tecka po wodę do źródła poszła. Nieopodal pasły się konie pana Byliny i dwa chmyzy. Jeden był do wielbłąda podobny, tak okrutnie grzbiet miał wygięty; sierć wytartą, na łbie latarnię, ogon wyskubany, a nogi kolankowate o bujnych krostach w pencinie. Drugi karlego był rodu, a obaj klapouchy.

Pan Filip stał i patrzył na te stworzenia, nie będąc pewny, czy mu się w oczach nie ćmi.

— Iwaśko! — zwrócił się do pacholka — co to takiego?...

— A kunie nasze.

— Konie?!... to ja mam na tym dromaderze jeździć?...

— Aha!...

— Czyć ty oszalał?

— Kiedy innych nie było.

— Ale jak ja wyglądać będę na tej kobyle, ja, towarzysz pancerny z pod Czarnieckiego choraągwi?... Czyś ty się zastanowił nad tem?...

— Dumał, panie, i nic nie wydumał.

— Jezusie słodki, nie karz mnie! — zawołał pan Filip.

— Za dzień dojedziem...

— A ludzie, którzy nas na drodze spotkają? a Radwański czy nie przeżegna się? A ciotka Stójkowska: czy wszelki duch! nie krzyknie? a dwornia, a czeladź..., a psy nawet czy nie rozwyją się na widziadło takie?... Święty Filipie, miej mnie w opiece, bo pomieszania zmysłów dostanę.

— Piechotą nie iść!

— Ale jak tu jechać?...

— Zawsze to kuń!...

— Nie! to pół krowy, a drugie pół wieloryba!...

Iwaśko parsknął śmiechem.

— A prawda, co to tak!...

— A ile zapłaciłeś?

— Po trzydzieści czerwieńców. Nie chcieli dać inaczej, bo w plugu chodzili i to ja ledwo uprosiłem...

— *Deus misericordia mea!*... Za grzechy chyba pokuta... Gdyby nie ten psubrat Zawiszyński, piechtą bym szedł, ale niemocem jeszcze jestem i rad nie rad na bestyę oną sięść będę musiał. Panie! zmiłuj się nad duszą moją i wyludnij świat na czas mojej do Konopi podróży...

I któżby się dziwował wielkiemu strapieniu pana Filipa i bólowi wątroby jego? Rycerz zawołany, towarzyszył pancerny z pod chorągwi Czarnieckiego, zabijaka, pod którym koń jak wąż się zwijał, jak ryś się ciskał, rzucał się jak padalec,— a tu zmuszony się widzi dosiąść chłopskiej kobyły, która, klapouchy łeb spuściwszy ku ziemi, dziwować się zdaje, dlaczego od dni już dziesięciu świętuje i pluga nie czuje za sobą. A tak była przyzwyczajona do tego instrumentu, że, puszczone na paszę, dostrzegłszy brózdę jakąś, zaraz wlaźła w nią i, stękając, chodzić w niej poczęła; straciwszy zaś ją z oczu, obejrzała się, zawróciła, znów się do niej wpakowała i chodziła tak, nie-szczęśliwe kolana zginając z wysiłku, jakby ciężar za sobą wlokła, a stękać nie przestawała. Pan

Filip patrzył na przyszłego swojego wierzchowca i postękiwał także, wreszcie ręce rozpaczliwie roztworzył i zawołał:

— Gdybyż choć ogon był!

W takim stanie strapienia wielkiego zastała go Tećka. Szła od źródła z dzbankiem wody na głowie — i wstrzymała się, widząc alterację pana z Konopi. Ale on, dostrzegłszy ją, zapomniał już o wszystkim, taka jasność z niej biła, takie ukojenie jakieś i spokój anielski... Z zachwytem więc patrzył na jej postać wysmukłą, na bezwonne podkaszanie spódniczki, z pod której drobne ukazywały się stopki i nóżki, jedwabną pończoszką lśniące. Nachylając się do źródła, musiała uczynić tak, a później zapomniała łań zaprowadzić w ubraniu dziewiczem. Pan Filip rad był z zapomnienia onego. Wszystko, co go otaczało: step, pagórek zielony, gaj i Tećka z cynowym dzbankiem na głowie, z róż rumieńcami na jagodach, z ramionami, na których się młodość śnieżyła, a które w tej chwili złote całowało słońce, i ta spódniczka do kolan niemal podwinięta, i jedwab pończoszki, i te stopki rzeźbione — wszystko to tchnęło sielanką jakąś, jakimś niewidzianym dotąd czarem, że rycerz języka w gębie zapomniał, stał, patrzył, wierząc i nie wierząc w zjawisko one. Po siedmiu latach mordów, krwi i niepewności żywota—zdawało mu się, że kawał nieba na ziemię upadł i do stóp mu się położył; że pan Jezus nagradza go za wszystkie trudy, cierpienia i straty; że wszystko, co przeżył, snem było trapiącym, a teraz roztaczał się nowy sen, który się skończy wchłonięciem nieba całego...

Stał więc i patrzył, aż nagle — Tecka się spłoniła i raptownie przysiadła do ziemi, odwijając co żywo faldy uniesionej niebacznie spódniczki... Pojął ten ruch i pan Filip i jak dziewica zasromał się...

— Wybacz waćpan...—szepnęła panna.

Gębacz nie omieszkałby z niejednym dusem wystąpić i o dojrzanych pięknościach parę słów rzec, ale pan Filip takim nie był. Udał, że słów nie zasłyszał, a zarazem, że go zajęła wrona, która w tej chwili na jednej z brzoź usiadła. To pozwoliło Tećce opamiętać się i różne nieprawidłowości w ubraniu poprawić. Zanim jednak wrona odleciała, a Tecka rozkwitłej nagle róży rumieńców spalić się pozwoliła, nadszedł pan podkomorzy i przerwał panu Filipowi słodkie sam na sam.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

— Jakże się czujesz waćpan?...

— A no nic!... Choćby dziś w drogę.

— Dlaczego dziś?

— A nie śpieszy się jaśnie wielmożnemu podkomorzemu?

— Powiem waćpanu otwarcie, że nie!... *Inter domesticas parietes* lepiejbym się nie czuł... *Ante omnia* o waćpana mi chodzi, choć i mnie staremu zdrowego powietrza lyknać nie zawadzi. *Tandem*, dopóki waćpan chrałaszczce czujesz, firmament niebieski pogodę wróży, a jagód nie brak — ostatnę... Chyba Tećce śpieszno do Kaczorówki byłoby.

— Mnie — nie, tatusiu... ale wiktuałów nie staje!...

Po zrewidowaniu zapasów sumienne okazały się pustki... Nie było rady, potrzeba było myśleć

o podróży. Pan podkomorzy czuł się niezadowolony nieco, ale kazał fernalom przygotowywać się do drogi.

Westchnął pan Filip, stłumiła westchnienie Tećka — Bylina rzekł do córki:

— Pakuj się waćpanna!...

Wóz był ładowny, zmieściły się więc na nim walizy i tłomoki karocy podkomorzego. Tećce pomagał pan Filip. Przynosił zawiniątka, układał, ale czegoś mu ręce drżały i coś wymowne zawsze knebłowało usta...

— Waćpan smutny jesteś — rzekła Tećka.

— A czego się cieszyć mam?...

— Nikt waćpana nie czeka?

— W tem troska cała!... Puste ściany domostwa puszczemi się teraz staną, przytulić się nigdzie, ni przy czym serca zagrzać... Ale to nic! Oby tylko Pan Jezus waszmość pannę od Zawiszyńskiego obronił!...

— Pewna teraz jestem opieki Bożej nad sobą — odpowiedziała Tećka... — zresztą waćpan zaprzepaścić mi się nie dasz!...

— Na krzyż przysięgam!...—zawołał pan Filip.

— Ale o jedno molestuję waćpana.

— Niemasz rzeczy, którejby nie uczynił dla was!

— Słowo?

— Jako mnie widzicie.

— Owo przecucie mam, że wam pan Michał w drogę jeszcze zajedzie. Unikajcie go — proszę!...

— Zwolnij waćpanna ze słowa...

— Gdybyś go spotkał...

— Nie zdzierzę...

— A ja inaczej chcę... Nie mówię, gdy już przyjdziecie do zdrowia zupełnego i poczujecie się na siłach zmóc go — wtedy zakaz cofam, bo wiem, że gorączka z was i słuszną urazę ku niemu macie, ale dopóki słabość czujecie w kościach — zmóćcie się sami.

— A gdy go nadybam?...

— Nie wszczynajcie swarów.

— A gdy sam pocznie?...

— Ścierpciel!...

— Boże, zmiłuj się nademną! ale waćpanna chcesz, by Wezuwiusz nie prysnął, choć wrzątek we wnętrznościach czuje.

— Waćpan tego nie zrobisz — dla mnie?...

Pan Filip porwał się.

— Boga mi, że na staraniu nie zbraknie. Będę milczał, jak ryba, będę pacierze mówił, gdy mi ozór z wściekłości obracać się zacznie — byleby mi pięścią pod nos nie wlaź, lub szabli nie macał... Wtedy nie zdzierzę, ale dopóki...

— Tak, tak!... — pochwyciła Tecka... — pacierze mów — mów pacierze waćpan! Poganin nie jest, modlącego się uszanuje, a waść „Ojcze nasz”, „Zdrowaś” i „Wierzę” raz w raz.

— Amen!... dla waćpanny mizernem koźłem stanę się.

— Dziękuję waszmości!...

Podala ręce, które pan Filip ujął i całował bez opamiętania się.

— Dosyć... dosyć... — szepnęła Tecka.

— Mało!...

— Tatuś patrzy...

— Co mi tam!...

I raczył się specyałem delikatnych rączek panny...

— Tatusiu! — zwróciła się nagle do podkomorzego.

— Co tam, córuś?...

— Aksamitów niema!...

Pan Bylina zczerwieniał, jak burak...

— Gdzie są? — spytała.

— Nie turbuj się tem waćpanna, nie zubożemy... — odmruknął podkomorzy.

— Ale gdzieżby się podziać miały?

— Niema, to niema!—burknął pan Bylina...—

Nie twojeć zresztą!

#### IV.

Zaledwie świt pobielił niebiosą, ładowny wóz Bylinów i dwa chmyzy osiodlane stały już gotowe do drogi. Odarte z ozdób i nadwerężone siodło pana Filipa siedziało na chudym, a wygiętym grzbiecie nieszczęśliwego konia, nie mogąc się nijak dopasować do jego kształtu. Pan Filip zbiedzoną minę miał, a podkomorzy śmiechem parsknął:

— I to waszmość na tym korabiu pojedziesz?

Rycerz wzruszył boleśnie ramionami.

— Chmiel nie nadział, Szwed nie ubił, ale ten żywota mego dokona!...

Bylina pomyślał chwilę:

— Waćpan na niego teraz przynajmniej nie siądziesz.

— Piechtą nie dojdę.

— To się widzi—słabość jeszcze trzyma się członków waszmościnych. Ale do rozstaju dróg, prowadzących na Jaworzyn i do Konopiów, trzy mile mamy z okładem. Przesiądziesz się waćpan na wóz nasz i razem do onego miejsca dojeździesz. Stamtąd już lekka milka do majątności waszmościnej, truchta albo stępa dokołaczesz się już jakoś waszmość.

— Zda się, że inaczej nie może być—rzekł pan Filip.

— I nie miało być inaczej — wtrąciła się Tecka. — Wždy jabym nie chciała towarzystwa waszmość pana pozbywać się.

Pan Filip okrutnie był rad ze słów onych; wolał oczywiście w towarzystwie Tecki na wozie jechać, niż wątrobić się na wierzchowcu kłapouchym. Użyje go jeszcze do syta i żółć wzburzy; kazał więc Iwaškowi luzem go prowadzić, a sam do Bylinów się przysiadł, twarzą w twarz do Tecki się obróciwszy.

Konie ruszyły i rwać się zaczęły, ale utemperowały się szybko. Za wozem jechał Iwaško na kucu swoim, który tak był mały, że nogi jadącego kiedy niekiedy obcasami ziemię grabały. Kobyła pana Filipa wygięła kolana i stękać poczęła, na co pan Filip patrzeć nie mógł. Obracał głowę w lewo, to w prawo, chciał Tecką zasłonić nieprzyjemne dla siebie widowisko, ale Iwaško wciąż się nastroczał, trzęsąc się sam, jak



galareta cytrynowa. Pan Filip nie zdzierzał, porwał się z siedzenia, jakby go sztydło ukiuło.

— Co waćpanu?—spytala Tećka.

— Abominacya bierze patrzeć na one konie niby... Iwaško! — zawołał — naprzód ruszaj! Niech cię nie widzę, bo padaczki dostanę.

Fornal pana podkomorzego musiał zatrzymać konie, bo jakkolwiek szły stępa, Iwaškoby ich nie wyprzedził. Tu się okazało, że panu Filipowi do zupełnego zdrowia daleko było jeszcze. Na wozie trzęsącym, przy jeździe szybszej, blizna na czole fioletowej nabierała barwy, a lekkie krzywienie ust mówiło o bólu tłumionym. Podkomorzy kazał więc jechać noga za nogą, z czego był rad Iwaško razem ze zwierzętami swojemi.

Zwolna więc posuwali się przez step, kierując się ku niewidzianemu jeszcze Dniestrowi. Słońce roztrącało mgły poranne, złotoróżowe blaski przesiewając przez nie; niebo wysrebrzało się coraz bardziej, orzeźwiający chłód poranku ustępował przed promieniami ciepłymi, a trawy stepowe i kwiaty zaczęły tak pachnąć, jakby aromaty ziemi całej rozlały się na stepie onym, jakby w jakiejś świątyni ogromnej wielką otworzono kadzielnicę i ręką szczodłą raz wraz sypano do niej pachnidła. Pod kopytami parskających wesoło koni rozpryskiwała się rosa srebrzysta, a u góry ozwały się dzwonki loretańskie i były i dzwoniły i śpiewały pacierze poranne. Nie sposób było dojrzeć śpiewaków, jeno głos ich biegł z błękitów. To skowronki modliły się zatopione w jasności niebieskiej.

Podkomorzy przeżegnał się i pan Filip znak krzyża świętego na pierś położył, a Tecka zaczęła:

— Kirye elejson!

— Chryste elejson!—odezwały się dwa głosy naraz.

— Rózo mistyczna...

— Módl się za nami!

— Wieżo z kości słoniowej...

— Módl się za nami!

— Królowo patryarchów, Królowo anielska.

— Módl się za nami! — odpowiadali podkomorzy i pan Filip.

I tak wśród stepów dzwoniła Litania do Panny Przenajświętszej i nikt z modlących się nie wątpił, że ta Przenajświętsza słucha i słowo każde na złotą nić różańca swojego nasuwa.

Powoli, ale posuwali się naprzód. Rozmarzyła modlitwa, rozmarzyła cisza. Każdy zanurzył się w dumaniach: jakichś i myślą biegł naprzód, jeden Bylina może obrócił się w przeszłość pamięcią i wywoływał sny dawne młodości minionej.

Pierwszy przemówił Filip.

— Panno Tečko!—szepnął.

— Co waszmość rozkaże?...

— Już poza nami gaj znika, pożegnajmy choć oczyma te brzoźki...

Tecka odwróciła się szybko, spojrział i podkomorzy...

Już tylko zielone czubki drzew było widać, chyliły się, wiatrem lekkim trącane, jakby mówiły szelestem już niedosłyszalnym:

— Żegnajcie! żegnajcie!...

Tećce w oczach zakręciły się łzy...

— Wiesz waćpan—szepnęła po chwili—że je z takim smętkiem żegnam, jakby były mi siostry rodzone?...

— Nie przepomnicie ich nigdy?

— Nigdy...

— I ja—szepnął pan Filip.

— Wiesz waćpan co? — odezwała się po chwili znów Tećka.

— Słucham was.

— Dobrą wiarę mam, że poznanie się moje z wami przyniesie mi szczęście.

— Boże daj! niczego innego nie chciałbym dla was...

— Ale—wy?...—dodała cicho bardzo...

I utonęła w zadumie jakiejś...

Panu Filipowi serce młotem biło, chciał już rzec: a wždy nie wiesz, że miłuję ciebie? Ale nagle konie stanęły ściągnięte gwałtownie silną ręką woźnicy, przed wozem łomot głuchy słyszeć się dał z kłatwą Iwaśka:

— Szczob tebé na wik skrutyło!...

To potknęła się kobyła pana Filipa i z nóg się zwała.

— Wstawaj, skotyno! — przemawiał do niej Iwaśko, ale kobyłe tak było dobrze na posłaniu traw miękkich, że o podniesieniu się nie myślała wcale... Dopiero, gdy dwóch fernali pana podkomorzego za uszy ją wzięło, a Iwaśko za nieszczęśliwy ogon targać począł, podniosła się, wzdychając, że gwałt swobodzie jej zadano...

Po tym nieosobliwym wypadku ruszono dalej. Powoli brzozy znikły, ale przed jadącymi step postać swą zmieniał, lekkimi wzgórzami falować zaczął, to tu, to tam ukazując ciemne puszcze lasów, żrenice srebrne stawów dalekich, to lśniące wstęgi strumyków, biegnących ku Dniestrowi niewidzianemu. O południu ukazał się krzyż na rozstaju i rozdział dwóch dróg, z których jedna skręcała na prawo, ku Jaworzynowi, a druga lekkim zakrętem ku Konopiom pana Filipa biegła...

— Niezadługo pożegnamy się—rzekł podkomorzy.

Pan Filip drgnął.

— Ciężko mi będzie z waszmość państwem się żegnać—odpowiedział z westchnieniem.

— Konopie nie za górami, a do Kaczorówki pośpieszę, bom dawno nie był u siebie i z racyi niepokojów wojennych gospodarstwam zaniechał..

— A jak tam ono u mnie idzie, nic nie wiem!—szepnął pan Filip.

— Da Bóg, że niezgorzej, a braki to sąsiedzi wypełnią. Wiem jeno napewno, że brać nasza do sadyb swych już powróciła, a rada będzie z towarzysza takiego, jakim wy jesteście.

— Wielu się zastanie, wielu się i nie zastanie. Ciekaw tylko jestem, czy Piwoński do swoich Komyszów powrócił?

— Powrócił, to wiem napewno—rzekł podkomorzy.

Pan Filip uradował się.

— To lżej mi będzie, o—lżej, gdy Kasperka obłupię!

— Druh to waćpana?—spytała Tečka.

— Po sercu brat—pan Filip na to.—A coś-  
my z nim nie nawojowali, tego tchem jednym  
opowiedzieć nie sposób. O lat dziesięć z okła-  
dem starszy jest odemnie, ale jak rodzeni z sobą  
jesteśmy. We wszystkich bataliach ramię przy  
ramieniu staliśmy, dopiero, gdym burki Czarniec-  
kiego ułapił, on przy panu Lubomirskim został,  
regiment sprawując. Piwońskim pocieszyłeś mnie  
wasza miłość, nie tak tęskno będzie mi pożegnać  
się z wami, bo kto a kto, to Kasperek nie za-  
pomni o mnie.

— I ja o waćpanu nie zapomnę—odezwała  
się Tečka.

— Wspomnijcie choć czasem.

— Codziennie...

— A ja? jakże już ja wspominać waćpannę  
będę?

— Wyście nam nic nie dłuźni.

— O, Jezu!... dajcież z długiem onym już  
raz spokój.

— Nie chciej waćpan tego?

— Chcę właśnie!

— Nie chciej—dla mnie—szepnęła Tečka.

— Aha!—mruknął pan Filip—przypomniaw-  
szy sobie Michała Zawiszyńskiego.

Wóz stanął.

— Co to?

— Krzyż.

— Męka Pańska, męka Pańska dla mnie  
w tej chwili...

— Bywaj, kawalerze — odezwał się podko-  
morzy—a o Bylinach nie zapomnij!

— Póki życia!...

Uściskał dłoń podaną i do Tecki się zwrócił...

— Wspomnijcie choć raz przy pacierzu wieczornym, choć wtedy, gdy wam brzoza nad głowę zaszumi, choć wtedy, gdy... A!... ja wasz! pamiętajcie o tem—jako mnie widzicie—cały... Panno Tecko! Panno Tecko! Panno Tecko!...

Porwał obie dłonie dziewczyny i całował i drżał, aż mu dech w piersi zaparło.

— A czy pamiętacie, o co prosiłam?

— Żebym Zawiszyńskiego unikał. „Ojczecz nasz”, „Zdrowaś”, „Wierzę”—raz wraz będę mówił...—Pamiętam—ścierpię. Chybaby się sam tak nasunął, że musiałbym się przejechać po nim...

— Wzmóście się pierwej, bo nie będę spokoju miała...

— Zawierzcie mnie!...

— Wierzę!...

— Z Bogiem, kawalerze!...

— Niech wszyscy Święci Pańscy was prowadzą—zawołał pan Filip, widząc wóz szybko się oddalający.

Dziarski a wypoczęte rumaki pana Byliny rączym pomknęły klusem. Pan Filip skoczył na swoją kobyłę, która ani będąc przyzwyczajona do raptusów podobnych, wierzgać poczęła, czego znów nie spodziewając się pan Filip, z siodła na kark, z karku na łeb jej wleciał i ani opamiętał się, jak na świętej ziemi usiadł, kobyła zaś pozbywszy się w tak prosty sposób ciężaru, jak najspokojniej trawę zaczęła skubać.

— Iwaśko! czyś ty co podobnego widział?—zawołał pan Filip, nie mogąc wyjść z osłupienia.

— Ni, pane! wbrew smerti spodiwawsia!...

— Żrebce dzikie rady mi nie dawały, a ta szelma, jak nic, z karku mnie strąciła!... Tfu!... (plunął). Do życia abominacya mnie wzbiera.

Podniósł się, wziął konia za uzdę i rzekł, patrząc na spokojnie stojącego chmyza:

— Ty, latarnio!... Żeby cię jasne pioruny ubiły...

Wgramolił się po raz drugi, ale już powtórzony eksperyment przez łysą kobylę nie udał się.

Wóz tymczasem okrył się tumanami kurzu i znikł w oddali.

Ten niespodziewany wypadek nie pozwolił Filipowi nasycić wzroku odjeżdżającymi. Tecka raz wraz się odwracała i powiewała chustką białą zdaleka, pan podkomorzy nawet czapkę wywinął dwukrotnie, lecz tego pan Filip nie widział, myśl mając niefortunnym wypadkiem zajętą.

— Przez kark, na łeb i w trawę?... Macierz nieboszczka powstrzymałaby się z urodzeniem mnie, gdyby coś podobnego przewidzieć była mogła.

Srom jakiś palił biednemu rycerzowi policzki, gniew pierś rozsadzał, a żółć zalewała wątrobę. Nigdy mu żywot tak mizernym nie wydał się, jak w tej chwili; pewien był, że wszystkie nieszczęścia rozsypią się teraz przed nim, że słońce zagaśnie, ziemia się zatrząsie, a żadne stworzenie żywego głosu już z siebie nie wyda. Lecz się omylił: step nie znikł, skowronki nie mniej wdzięcznie śpiewały, a „latarnia” stękała, jakby ją zły duch dusił...

Do Konopi niedaleko już było, lekkim truchtem dojechałby do nich za godzinkę niewielką. Chciał już, co chyżej, ujrzeć się w dworzysku swoim, w ramionach Radwańskiego, w uściskach ciotki Sójkowskiej, więc wtoczył ostrogi w bok nieszczęśliwej kobyle, myśląc, że choć odrobinę kroku przyśpieszy. Ale „Latarnia” stęknęła podejrzenie i, zamiast klusem pomknąć, puściła się w półgalop tak rozpaczliwie trzęsący, że pan Filip to z siodła wyskakiwał, to znów na siodło wskakiwał, na kulbacę i przed kulbaką się znalazł, a raz nawet za grzywę się schwycił, nijak pojąć nie mogąc onej rytmiki półgalopu kobylego.

— Dusze wszystkie w czyścucu cierpiące!... — przez łyzy zawołał — jeżeli czujecie męki moim podobne, to zmiłowanie moje macie i żal serdeczny...

W głosby ryknął, gdyby Iwaśka nie czuł przy sobie, na taki mu płacz się zbierało. W przystępie rozpaczy chciał przesiąść się na kuca Iwaśkowego, ale widząc, jak ten nogami pył zamiata, chwilowo powziętego zamiaru pozbyć się musiał. Gdy Iwaśko pedałami ziemię macał, cóżby już pan Filip czynił, który słuszniejszy był o trzy piędzie i miał nogi na pokaz długie? Piechotę chciał iść, ale i to na nic się nie zdało: czuł w członkach wszystkich rozstrojenie okrutne i głowy zawrót. Pożegnanie z Tecką napełniło go smutkiem, wypadek z Latarnią żółć wzburzył, uczuł się tak smutny i nieszczęśliwy, i taką abominację do życia powziął, że ani otaczająca go przyroda, ani świergot ptaszków, ani bohaterskie i romansowe wspomnienia ukoić nie mogły bole-



ści pana Filipa... A tu ani podpędzić, ani popuścić wodze kobyle nie sposób było. Podpędzona, rozpoczynała swój półgalop szatański, zostawiona w spokoju stawała natychmiast i pasła się. Raz wraz więc potrzeba było cmokać, co do takiej irytacji doprowadziło pana Filipa, że za żupan chwycił się, rozdarł go na piersi i, zwracając się do Iwaśka, zawołał:

— Ubij mnie!...

Iwaśko czuł doskonale swojego pana stan rozpaczliwy. Jął go więc pocieszać i w cmokaniu wyręczać, i popędział „Latarnię”, ćwicząc ją prętem po żebrach. W ten sposób wyręczany pan Filip swobodniejszy się czuł, lecz czuł zarazem całą śmieszność tego marszu przez stepy; zaciął więc zęby, policzki wydał, obie ręce zwiesił ku dołowi, oddając się całkiem na wolę Iwaśka i „Latarni.”

Tymczasem słońce ku zachodowi się zniżyło, z nizin naddniestrzańskich miły chłód powiał, a głód zaczął panu Filipowi dokuczać.

Spojrzał przed siebie i zobaczył karczmę przydrożną.

To go obudziło i dobrą jakąś myślą natchnęło. O staj kilka były już kopce graniczne jego Konopi rodzinnych; w tej karczmie, przed laty siedmiu, arendę trzymał Lejzor Kamieniecki. Czy żyje dotąd? czy zawsze w atłasowym chałacie chodzi, w pończochach białych i papuciach powykrzywianych, zapraszając na miód, na wódkę według stanu i zamożności podróżnych?... Ta karczma o dwóch oknach z frontu i wrotach szerokich, z okapem rzeźbionym i dachem spicza-

stym, jak dawna a dobrze znajoma przyjaciółka witała go już z oddali, aż się pan Filip uśmiechnął i do Iwaśka się zwrócił:

— Czy burczy ci w brzuchu? bo mnie zaczyna—rzekł.

— Coś wedle onej pusto, jegomościu — odpowiedział pacholik, na karczmę wskazując.

— Suchej macy kawałek, jaj i soli szczyptę znajdziemy.

— Przyda się i to, bo konie nasze wytrzęsły wszystko w drodze...

— Już ja ci tego sprawunku nie zapomnę, póki życia...

— Konopi już jak nie widać, jegomościu...

— Zdechłbym, gdyby jeszcze dzień jeden przyszło mi na tej kobyle przejeździć...

To mówiąc, zbliżyli się do karczmy.

Nagle, w otwartem jej oknie, ukazały się dwie głowy męskie—i śmiech buchnął...

— Patrz! patrz!...—dały się słyszeć głosy.

— Towarzysz z pod pancernego znaku lewiatana osiodłał...

— Czarniecczyk na kobyle łysej!...

— Aa, aa—to imćpan Filip z Konopi! — zawołał głos nowy, i postać trzecia ukazała się w oknie... Bywaj, niedźwiadku smorgoński, bywaj!...

Na owo zawołanie pan Filip drgnął—poznał głos i poznał Michała Zawiszyńskiego, który, oparłszy się rękoma o dolne futryny okna, do połowy postaci na zewnątrz się wychylił, zęby wyszczerzył i drwił...

— A w jakiej to batalii waćpan tego dro-

madera zdobyłeś? W sam raz dla waćpana, w sam raz!...

— A jak on po ziemi chodzi? wszakżeś waść kawalek mu głowy odłupał?—zawołał jeden z towarzyszy Zawiszyńskiego.

— Czyż ać nie widzisz, że dosztukował ją latarnią lysej kobyły—odparł Zawiszyński.

I znowu śmiech buchnął.

Pan Filip splomieniał, chciał rzucić się na napastników, ale przypomniał słowo Tećce dane i zmógł się. Zawrócił konia od karczmy i w dalszą już podróż miał się udać, gdy Zawiszyński znów go zagabiał:

— A niełaska do nas—na macę?...

— Pomacamy—przyjdź jeno!...—wołał jeden z drapichrustów pana Michała.

— Żali mu życie nie miłe?... Zrejteruje, jak Bóg żywy!...—wołał Zawiszyński—wždy duszę ma na ramieniu!...

Tego już było zanadto!... Nie zaczepi, wszystkie pacierze odmówi, zmilczy, jak ryba—na to słowo dał i zdzierży. Ale przenigdy tchórzem się podszyć nie obowiązał: tego i Przenajświętsza Panna wymagaćby od niego nie mogła. Nawrócił więc kobyłę i wjechał do środka karczmy.

Znać zapach siana i bliskość żłobu miło oddziaływały na powonienie „Latarni.”

Zarżała.

Z komory, na powitanie nowego gościa, wybiegł Lejzor—ten sam Lejzor Kamieniecki. Pana Filipa odrazu poznał, ramiona otworzył, lecz nagle wstrzymał się i rzekł zdziwiony:

— *Wuse dues?*... to pan... Na kobyle takiej?...

— Tak mi się spodobało!—rzekł Filip.

Zsiadł z „Latarni”, drzwi do izby otworzył i wszedł.

Zawiszyński z towarzyszami swoimi od okna się odwrócił i spojrzął na wchodzącego. Pan Filip czapki nie zdjął, nie skłonił się, jeno krokiem równym poszedł do rogu izby karczemnej, na ławie, za stołem, siadł i huknął na Lejzora, by szczyptę soli i jaj z pół kopy ugotowanych na twardo mu przyniósł...

— Czołem!—ozwał się Zawiszyński.

Pan Filip milczał.

— Czerep waćpanu nie ozór nadciąłem, zda się!—ciągnął dalej pan Michał.

Pan Filip ani mru mru...

Zawiszyński krok zrobił i stanął w pół izby, za nim, z oględnością pewną, posunęli się dwaj kompanioni, Bóg wie skąd przybyli, nie szlacheckiego pochodzenia nawet, bo pierwszy: niski a krępy, z podciętymi wąsami, zwał się Kosmyk, a drugi: wysoki a chudy, jak trzaska, z rudym a rzadkim zarostem i wylupiastemi oczyma, Wichroń się wabił.

— Niemowa!—mruknął Kosmyk.

— Z nami jeno, bo do Lejzora przemówił, o jaja się upominając—dodał Wichroń.

— Lejzor szabli nie nosi, jeno pantoflem może gębę pomacać — rzucił Zawiszyński — a od tego niewielki szwank.

— „*Pater noster*”—zaczął pan Filip, które-

mu na wzmiankę o pantoflu żydowskim krew do głowy napłynęła.

— Oho!... Panu Jezusowi się już poleca — zaśmiał się Michał.

— „*Adveniat regnum Tuum; fiat voluntas Tua*” — już głośniej a przez zęby wycodził napa-stowany.

W tej chwili Lejzor jaja przyniósł i pan Filip troszczyć je zaczął.

— Żreć to potrafi... — ozwał się Zawiszyński.

— „*Sicut in coelo et in terra*” — zabrzmiało jeszcze głośniej.

Zawiszyński ryknął śmiechem.

— Waść i w niebiesiech o jadle nie zapominasz?

— „*panem nostrum quotidianum da nobis hodie!*” — już wrzasnął niemal pan Filip.

— Czyś waćpan się wściekł? — zawołał Zawiszyński.

— Lejzor mu chleba nie dał, więc się upomina — rzucił Wichroń.

— A, to mu dam kawałek macy niedoje-dzonej.

To mówiąc, wziął Zawiszyński z okna okru-chy placka i rzucił na stół przed Filipem.

Pan Filip zatrząsł się, aż głuchym łomotem nogi mu pod stołem zadrgały, a z gardła wybie-gło syczące:

— „*ne nos inducas in tentationem...*”

— Słuchaj ać, dopókim dobry — nastęrczał się Zawiszyński. — Tak jestem rad ze spotkania

z waćpanem, zem gotów go na weselisko swoje zaprosić.

— „*Ave Maria gratias plena, Dominus tecum!*...—ledwie już mógł wymówić pan Filip.

Kosmyk i Wichroń w boki się wzięli i śmiali się do rozpuku, a Zawiszyński o krok znów się zbliżył i tak prawil:

— Jak widzę, to aczkolwiek waćpan żyw jesteś, ale ze łba, przezemnie rozłupanego, rozum waćpanu całkiem ewaporował. Nie smęć się jednak, może jeszcze przydasz się na coś. Przyodzieję waćpana w skórę niedźwiedzią, kółko w nos włożę, na kawecan wezmę i będziesz figle na dworcu moim w Grobelnej wyprawował. Dam waści kij w łapę i pokażesz, jak chłop na pańszczyznę idzie; a żona moja, Tećka Bylinówna...

— „*Sancta Maria, mater Dei, ora pro nobis peccatoribus!* — nieludzkim głosem już wrzasnął pan Filip i, odtrąciwszy stół, który do góry nogami wyrócił, jak szalony się porwał i szabli dobył, aż gwizdnęła z pochwy wychodząc.

Zawiszyński odskoczył i równie za broń chwycił, to samo Kosmyk i Wichroń uczynili, gotowi na odsiecz przybyć panu z Grobelnej.

Walka była nierówna, trzech na jednego, tem bardziej, że pan Filip nie czuł się jeszcze zbyt mocny w kościach i „chrabąszcze” po głowie chodzić mu poczęły — ale z takim impetem trzasnął w szablicę Zawiszyńskiego, z taką furią cisnął się na napastnika, że zaledwie Kosmyk i Wichroń opamiętać się mogli, zaledwie na trzask wyróconego stołu wpadający Lejzor wykrzyknąć mógł: „Gewalt! rozbój!”, już Zawiszyń-

ski łbem palnął o ziemię, chwytając powietrze rękoma i krwią brocząc okrutnie. Wpadł i Iwaśko, lecz już po walce było. Zawiszyński rzeżał, Kosmyk i Wichroń łeb mu obwiązywali, a pan Filip stał na środku izby z rozdętymi nozdrzami, policzkami nabrzmiałymi, z pianą na ustach, z szablą opuszczoną ku ziemi, drgającą lekko i dymiącą od krwi, straszny, przerażający, siejący grozę spojrzeniem swoim. Wpił oczy w towarzyszów Zawiszyńskiego i syczał przez zaciśnięte zęby:

— A wy?... hultaje!... Może który z was na spróbunek ze mną pójść zechce? Proszę!... uprzejmie proszę!...

— Nie! nie!...—ozwali się jednocześnie Kosmyk i Wichroń.

— Dusze chamskie!... — wycedził pan Filip.

Wziął pokruszone skorupy z jaj, zmiął w pięści i w oczy im cisnął.

Po chwili siedział na swojej kobyle, która, nie wiedząc nic, jakiego rycerza ma na sobie, kręciła ogonem, bo ją łaskotała szablica, za nisko opuszczona.

## V.

Choroba, jaką przebył, żal za Tecką, wzburzenie doznane z powodu spotkania się z Zawiszyńskim i—aczkolwiek krótki, lecz wściekły bój z nim stoczony, tak osłabiły pana Filipa, że, siedząc na kobyle, nie wiedział, czy siedzi; jadąc,

nie wiedział dokąd jedzie, jeno piersią robił, jakby mu tchu nie stawało, co chwila ściągał łuki brwi gęstych, a przez zaciskające się do zgrzytu zęby wypadały kiedy niekiedy krótkie, urywane słowa:

— Tećki zachcie... Tećki!... Ja ci... Tećki! Moja, nie twoja, z k... synul...

I bezmyślnie popędzał „Latarnię”, która z wysiłkiem szła naprzód, stękając, jęcząc, sapiąc, jakby ładowny wóz ciągnęła za sobą.

Iwaś, widząc bladość twarzy pańskiej i członków drzenie, raz wraz obracał się ku karczmie, jakby się lękał jakiego napadu stamtąd. Czuł dobrze, że gdyby Kosmyk i Wichroń chcieli się pomścić za pobicie Zawiszyńskiego, pan Filip radyby im teraz nie dał: czuł się wyczerpany, więcej wzburzeniem, niż pojedynkiem; zresztą towarzysze pana Michała dzielne a zwrotne konie mieli (Iwaśko widział je w stajni, przy żłobie) — a jego kuc i „Latarnia” pana Filipa zawadą jeno w spotkaniu na ostre byćby mogły. Spozierał więc wciąż za siebie, pistolety opatrzył i rozluźnił rzemienie szablicy.

Ale, jak się okazało, próżny był niepokój Iwaśka. Wichroń i Kosmyk nie myśleli wcale o pościgu, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze — zajęci byli ratowaniem swojego pana, przy którym mieli chleb, próżniacze bez trosk życie i kabzę dobrze nabitą; po drugie — bali się. Pierwsi byli do zaczepki, ale — z za pleców; w bójce woleli, by kto inny poczynał, oni sekundowali jeno, przeciwnikowi nogę czasem podstawiając. Uważali się za szlachtę, lecz nikt ich



o legitymację nie pytał. Zawiszyński nie dbał o to, dość mu było, że wiernych popleczników w nich miał. Kurz więc jeno gonił za bohaterami naszymi, step się wydłużał, karczma malała wciąż, aż stała się tak malutka, jak krostka na cieple olbrzymiem.

Równina stepowa coraz większemi falami rysowała się przed jadącymi. Wzniesienie, po którym jechali, zakryło przed nimi krajobraz dalszy, „Latarnia” kopiała nieszczęśliwemi nogami i bokami robiła, jakby Apeniny przed nią zjawily się nagle. Słońce schylało się niżej, czerwieniało coraz bardziej powiększało się; ziemia westchnęła orzeźwiający chłodem wieczornym i ze skamieniałości wyrwała pana Filipa.

— Iwaśko!—zwrócił się do pacholka.

— Co jegomościu?

— Czy przed zachodem staniemy w Kono-  
piach?

— Zdaje się, co staniemy. Wyjedziemy na górkę i już.

— Prawda! wždy na swoich gruntach jesteśmy.

I pan Filip marzyć zaczął.

Lada chwila drogie obejmą go ściany. Radwański w ramiona się rzuci, a ciotka Sójkowska nie znajdzie słów na wypowiedzenie radości swojej. Jakąż to ciekawością oczy zapłoną, ile pytań popłynie: a jak to było? a gdzie to było, w Danii czy w Polsce jeszcze? na lądzie czy na morzu?... Co tu czasu potrzeba będzie na opowiedzenie wszystkiego; na miesiące całe przedmiotu nie zbraknie, ba! całe życie onemi wspomnieniami.

wypełnić można, a niektórym i życia by nie stało do przeżycia takich lat siedmiu, jakie on przeżył!... Boje, boje i boje — i jakie boje!... W głowie się miesza, gdy pamięć zszereguje wypadki; gdy staną one w ramie oddalenia i spojrzą z płótna wspomnień skupionych. Wszystkie barwy, jakie świat ma, wszystkie krzyki, jakie ziemia posiada, wyłonią się z tego obrazu. A on to słyszał, widział, odczuł i przeżył. Nieprzebrany w dobroci swojej Panie Jezu, po wsze czasy niech się święci Imię Twoje!...

— Hm!...—mruknął po chwili.—Za siebie się modłę, bom cały, żyw i zdrów, a ile krzyżów, mogił, grobów i ciał w ziemi świętej niepogrzebanych, i zgrzytu, i łkań, i rzeżeń śmiertelnych?... Nieprzebrany w dobroci swojej Panie Jezu, daj im spokój wieczysty, lecz niech spokoju tego czucie mają...

— Iwaśko!...

— Co jegomościu?

— Jak myślisz, czy Radwański wyjdzie na spotkanie, czy Sójkowską na przełazie u wrót ujrzę?

— Musi tak być, przecie jegomość mi mówił, co Radwański w liście swoim pisał, że oczy wypatrują. Zdziwuje się tylo on i pani Sójkowska, co na chabetach takich z Danii wracamy i furgonów zdobycznych za sobą nie ciągniemy.

— Starowina altembasów, a pocziwy Radwańsio szuby sobolowej oczekuje. Da Bóg, wynagrodzę im zawód zrobiony, a tymczasem jak bobry się wypłaczymy i nie rozstaniemy się po wiek wieków.

I znowu naprzód myślą poleciał, nawiedzając zczerniałe ściany dworu swojego.

Ojciec w grobie, macierz w grobie, jeno portrety ich wiszą w sali biesiadnej. A no—ukłęknie przed nimi i westchnie z duszy całej:

— Dom swój! wioska rodzinna!...

Słyszysz ruch i gwar — to czeladź biegnie ze stajen, obór, piekarni...

— „Pan jedzie!”—słyszysz wołanie.

Ten do kolan, ten do rąk przypada—ale nikt tak nie powita, jak Radwański; nikt takimi nie okropi się łzami, jak Sójkowska!—Gadu, gadu po dniach całych, wieczorach całych, aż do nocy późnej—do spotkania. Sójkowska pytać będzie, czy gdzie na świecie niewiasty jakiej nie upatrzył na żonę dla siebie? Uśmiechnie się tylko i powie: „Nie wiem!” A ona: „Ej, wiesz ty, ty, Filipieńku, jeno przekomarzasz się ze mną.” Ale on nic, nic nie powie przed czasem.

— Tećka!..

Tu panu Filipowi już marzyć o niej nie sposób było, takie gorąco uczuł w żyłach, a w głowie kręcenie się — tylko dwór Konopiański za jaśniał mu światłem przedziwnem, jakby wszystkie gwiazdy zbiegły, jakby wszystkie słońca zbiegły i jasnością swoją wypełniły izbę każdą, kąt każdy, każdy załom sieni i kurytarza, dach łamany oblały aż do ostatniego krajnika, światłością oną powiązały konary lip po dwóch węglach domu stojących i promieniowały na sad, na łąki, pola i lasy, na step cały, gdzie tumany koni dzikich pasać się

zwykły, i woły rogate i krowy dojne i nieprzeliczone stada owiec o runach śnieżnych.

„Musisz ty moją być, choćby Bylina dłoń twoją królowi Madagaskaru obiecał... Porwaną odbiję, umarłą wskrzeszę, albo się razem położę w grób!... Nie żyć bez ciebie, ani już nigdzie słodkości życia dopatrzeć... Słoneczko ty moje, Tećko moja, maju ty mój!...

I aż na kobyle się zachwiał, takie zapamiętanie przyszło na niego.

Tymczasem wjechali na wzniesienie.

— Stój! — zawołał nagle pan Filip.

W strzemionach się uniósł i patrzył, jakby odurzony obrazem niezwykłym.

Pochyłością lekką dolina w dal zbiegła. Na lewo błysnął Dniestr i zaczerwieniały koralem zachodu szczyby skał, jakby olbrzymie ruiny zamków opuszczonych przed wiekami; dalej siność lasów klóciła się z błękitem nieba, na prawo zbóż lany kołysały się miękko, a o trzy strzały tatarskie—wieś, okryta śniegiem kwiatów wiśniowych, i trójkopulasty dom Boży, i wieżyczka, dygocąca sercem dzwonu, i dymy białe, i kłęby pyłów szare, i jakiś daleki gwar, krów ryki, żałośne beczenie owiec, okrzyk koniuchy, śpiew fujarki, cała gama tonów i półtonów, muzyka wsi, koncert nad koncertami wieczoru majowego...

Pan Filip Iwaśka za ramię chwycił, aż ten syknął.

— Czy widzisz? czy słyszysz?... Wieś—moja wieś!

Łzy, jak grad, potoczyły się mu z oczu.

Drżał lekko i Iwaśko... Siedem lat nie widział strzechy rodzinnej, siedem lat mowy rodzinnej nie słyszał. Wyszedł z panem Filipem i Bóg zrządził, że z panem Filipem powrócił. I oto ze wzgórze patrzy na swoje Konopie, wilgotnemi wodzi oczyma, jakby szukał czegoś, aż dojrzał... dłoń wyciągnął — i wyszeptał:

— Chata moja!

Pan Filip, jakby tknięty czemś, wpatrzył się w Iwaśka...

Po chwili rzekł:

— Tak, twoja!... ale — *na zawsze twoja!*... I grunt twój i kawał lasu ci dodam — na własność wieczystą. Nie pańszczyźniany od dzisiaj ty chłop, lecz jako i ja — wolny!...

Iwaśko nie zrozumiał słów odrazu, rozszerzył powieki, otworzył usta i patrzył na pana swego... Nagle jakiś ryk płaczu z gardła mu wypadł, uchwycił dłoń Filipa i całować począł.

— Grunt mój?... mój las?... moja chata?...

— Tak, tak... — szepnął pan Filip z Konopi.—A powiedz tam swoim, jaki uczynił król ślub, i że ja ślubowanie to do serca swojego wzięłem.

Wpatrzył się w chaty ciche, długą wstęgą rozciągnięte nad stawu zakrętem — i szepnął:

— Nie byłoby Chmielniczeńki... nie byłoby Carolusa... nie byłoby takiego trzęsienia ziemi.

Słońce brzegiem swej tarczy dotknęło widnokregu.

— W lot koniel — krzyknął.

Ścisnął kolanami Latarnię, pól ostrogi w brzuch wpakował i pewny był, że wichrem uleci za roz-

postartemi skrzydłami swych marzeń — ale kobyła wierzgnęła raz i drugi, wydając głos jakiś zbyteczny, i rozpoczęła swój półgalop trzęsący.

Nie było rady — musieli jechać krok za krokiem.

Zmierzch lekki zapadać począł.

— Sta sol! — krzyknął pan Filip.

Ale słońce krwią napłynęło — i zgasło.

Do wrót wiejskich zaczęła się cisnąć gromada ludzi.

— Szo ce?

— Satana!

— Ba — hej!...

— Pan jide! — gromki podniósł się okrzyk.

Z uśmiechem radości witał młody dziedzic poddanych swoich. W boki się wziął, o galopie Latarni zapomniał całkiem, która, poczuwszy wsi zapach cwałować zaczęła, tylnymi nogami dla lepszej podbijając się fantazyi. Pan Filip trząst się, jak wór sieczki, ale nie zważał już na to; od ust pocałunki posyłał, w rozpromienionych oczach mając łzy rozrzewnienia. Płakał i Iwaśko, poznając znajomych dawnych, to uśmiechał się do młodyc i dziewczuch nieznanym sobie jeszcze.

Witano serdecznie powracających, choć dziwowano się potrosze z Latarni pana Filipa i kucy Iwaśkowego. Skręcili na lewo; na grobelkę wjechali; zadudnił mostek pod kopytami końskimi, minęli młyn, po którego kołach leniwie woda się sączyła, wzgórze — topole — krzyż Pański... i dwór.

Przed dworem Radwański siedział, ale, że stary był i wzrok miał osłabiony, nie poznał pana

Filipa, jeno slysząc gwar jakiś i hałas, podniósł się z przyzby, z ręki daszek nad oczyma zrobił i patrzył...

Domyślniejszą była pani Sójkowska... Slysząc tentent i wrzawę, skoczyła z piekarni przez próg i wpadła na dziedziniec.

— Filipek!... Fili... Fi...

Z pantaląku ją zbiła — Latarnia.

— Ciotuchna! — krzyknął Filip.

Skoczył z kobyły i ramiona otworzył.

Radwański podbiegł...

— A tak, to nasz pan... dziedzic — on sam!

— Jestem... nareszcie jestem, pośród was jestem!

Sójkowska i Radwański zaczęli całować i ścisnąć Filipa, ale raz wraz oczy na jego kobyłę zwracali.

— Kochanku! — zaczęła ciotka... — Co to takiego?...

Pan Filip zaśmiał się.

— Spytajcie Iwaśka — jakiegom bachmata a on turczynka miał. O trzy mile od Konopi jedna mogiła ich kryje; by po was dojechać musieliśmy te chmuzy za dobre pieniądze kupić. Ale potem o tem... Przepadły zdobyczne konie, z klejnotnego siodła... patrzcie! co się zrobiło — ale u siebie jestem i was mam!...

— A furgony? furgony? — spytała ciotka — prędko nadejdą?...

Pan Filip westchnął.

— Wzdychasz Filipieńku?...

Radwański zaniepokoił się.

— No co, panie dziedzicu... Są? są?...

— Potem o tem!...

— Pisaliście, panie dziedzicu, że dobra różnego do domu wieziecie; futer lik i zamorskich szat niemało, rzędów na konie i mieczów a tarcz rycerskich na ścian dwie. Miały być straszydła i dyabły morskie, i armatka, którą Lucyper w niebie dziurę wybił a później Szwedowi dał, by Kordeckiego zastraszyć... Pisaliście o tem, panie dziedzicu, pisali!

— Tak, pisałem!...

— Skrypt mam!

— Przepomniałeś, Radwańsiu, o skrzydle Lewiatana.

— Jest, jest!...

— Aj, Filipieńku — takie ciekawości!...

— To nic, panno Magdo, ale czerwieńców torb dwie!...

— Ojej...

— Pisaliście i o tem, panie dziedzicu—skrypt mam!

— Gdzież te furgony, Filipieńku, i to wszystko, co na nich jest? — pytała Sójkowska, podnosząc się na palcach i ku wrotom patrząc.

— Nie widno coś — przymrużając oczy Radwański się odezwał.

— Uspokójcie się! — zaczął Filip... — Od razu wszystkiego wyładować nie można, a siła do opowiadania mam.

— Ale są? — Pytała Sójkowska.

— Jużci są! — odparł Radwański. — Wždy pisał — skrypt mam! a dużo tego być musi, gdy od razu wyładować nie można. Ja masztarnię wyporządzić kazałem...



— A ja alkierz i szatnię i jeszcze jedną izbę, jeżeliby za wiele zdobyć się okazało... Powiem ci, Filipieńku, że szufladę w komodzie piżmowymi chwostami wyłożyłam, ażeby mole do altembasów się nie dobrały.

— Pani ciotko! — rzekł powoli Filip. — Ani jednego furgonu niema.

Sójkowska podskoczyła, a Radwański do ziemi przypadł.

— Jaktó niema? — Filipieńku!...

— Co mam, to przy mnie jest: kobyła łyśa, buty podarte, żupan rozszarpany, no — i ran sporo... Więcej — nic!...

— Nic?

— Słyszeliście!

— A altembasy?

— A moja szuba sobolowa?

— A jubka okładana gronostajami?

— A buty duńskie i flinta dla mnie?

— Koronki, czepiec, chrzan szwedzki i manele?...

— Wielmożny dziedzic o tem wszystklem pisał — mam skrypt.

— Masz skrypt, ale furgonów niema! — odpowiedział pan Filip.

— Tatar zabrał?

— Szwed odbił?

— Może rozbójniki napadali i skrzywdzili nieboraka mojego? — zawołała, płaczu blizka, Sójkowska.

— Gdzie Tatar! gdzie Szwed!... Przecie cicho w Rzeczypospolitej całej — zawołał pan Filip.

— Więc co?

— Co? co?

— Sam rozdałem...

Jak po uderzeniu gromu cisza nastaje, tak nagle po słowach pana Filipa, pytania wszelkie umilkły. Radwańskiemu żyły na skroniach nabrzękły, twarz zsiniała, a pani Sójkowskiej dziwnie jakoś oczy zakolowały, policzki przeciągnęły się, usta zbladły i drzeć zaczęły, złym jakimś wykrzywiając się uśmiechem. Po chwili suchym odezwała się głosem:

— Roz — dałeś?... ot tak?

— Z wiatrem nie poszły.

— A gdzie poszły?...

— Posłuchajcie, a zrozumiecie...

— Posłuchajmy pana dziedzica — zwrócił się Radwański do Sójkowskiej, która znów z jakimś pytaniem wystąpić miała... Posłuchajmy, a może zrozumiemy!

— Praw, panie dziedzicu, praw! — odezwała się panna Magdalena przez zęby.

Pan Filip zaczął:

— Choć Konopie na szlaku tatarskim leżą, pohaniec ich nie tknął. Chmiel oszczędził, Szwed ominął; czy tak?...

— Łaska Boska czuwała nad nami — Radwański rzekł.

— Oj, było strachu, było! — dodała Sójkowska. — Ale panna Przenajświętsza nie odmówiła opieki swojej.

— Widzicie! — rzekł Filip — a kędy spojrzeć ruiny, zgliszcza i popioły!

— O, tak — tak, Filipieńku! — westchnęła Sój-

kowska. — Niejeden zamożny brat szlachcic na żebry poszedł, wielmożni i jaśnie wielmożni mają wiatrem suknie podszyte.

— Co prawda, to prawda! — wtrącił Radwański. — Konopie jedne, za wstawieniem się widać świętego Filipa, podczas moru, głodu, ognia i wojny, wyszły nienaruszone.

— Pisałaś mi o tem.

— Pisałam — jest kopia!

— A teraz powiedzcie, kochani! czy można było, widząc klęski, głód i nędzy tyle, bogactw pełne furgony do domu wieźć? Tam dom Boży w gruzach, tu dwór szlachecki spalony, kmiecie jak wilki zgłodniałe po lasach wyją, a u mnie na brzuchu dukatów trzos, a wozy klejnotami ładowne?

— Krwawo nabyte, panie dziedzicu, krwawo nabyte! Można było zachować sobie.

A ciszej dodał:

— Przynajmniej choć szubę sobolową...

— ...i altembasy — pomyślała Sójkowska.

— A ty? — spytała głośno.

— Pozbyłem się wszystkiego.

— Dla obcych?

— Dla swoich.

— A my, to nie swoi... Prawda! kto do kurników zaziera, piekarnianego pieca pilnuje...

— ...orki dogląda — szepnął Radwański.

— ... ten nie swój — dokończyła Sójkowska i, machnąwszy ręką, dodała: — tak zawsze bywa!

— Pani ciotko! — odezwał się Filip.

— Ja nie mówię nic!... Przecz to waćpana

rzecz ze swoim dobytkiem, co chcieć zrobić. Ale przez te lat siedem, kiedy waćpana nie było, porało się w sadzie i nie w sadzie...

— No i w polu — mruknął Radwański.

— Chodziło się z obory do obory...

— No, i za pługiem.

— O wszystko, jak o własne dobro się dbało...

— Więcej, niż o własne—szepnął Radwański.

— Trudziło się, pracowało, mordowało...

— Od świtu do nocy—mruknął stary zrzęda.

— Czego wy chcecie? — spytał pan Filip.

— Ja nie mówię nic — odpowiedziała Sójkowska. — Ale, pamiętając o obcych, można było i o nas nie zapominać.

— Czy źle wam tu było?

— Ja nic nie mówię... Tylko zawsze lepsze cudze pod lasem, niż swoje pod nosem.

— Pani ciotko?

— Ja nie mówię nic... Wždy, co mamy, to od waćpana mamy... Prawda, że suknia trochę się zdarła.

— I mój żupan nadpłował...

— Ot, myśleliśmy sobie: poratujemy, się niech-no furgony nadejdą...

— Żal wam altembasów i szuby sobolowej? — krzyknął pan Filip.

— Ja nic nie mówię... Choć krzynę i o nas pamiętać można było...

— Myśleliśmy sobie — odezwał się Radwański... — Ot, zwyczajnie, na chlebie pana dziedzica żyjący, że łaska pańska...

— Na pstrym koniu jedzie — prysnęła pani

Magdalena, a widząc poważnie idące krowy, które właśnie z paszy do obór wracały, obróciła się i odchodząc rzekła:

— Obiecanka to cacanka!... tak zawsze bywa...

A Radwański bardzo cicho, lecz szeptem do-  
słyszczanym, dodał:

— Masz, durniu, sobole!

— I zaczął na parobka hukać, który do pójła konia pędził.

— Czego tak gnasz, Turku jeden?... kazaw szahom!

I odszedł...

Pan Filip powiódł oczyma do koła.

Jego dwór, konie, bydło, służba...

Czy to Konopie?

Gdzie ta spodziewana radość? powitanie serdeczne? krzyżujące się pytania o walkach, ranach, zasługach?

Uczuł skurcz serca...

Wtem usłyszał głos pani Sójkowskiej.

— Malowanie, nie krowy!... Każdego cielaka na rękach się nosiło, jakby pod mojem własnem sercem leżał... Pamiętało się o dobru cudzem, pamiętało!... Świeci się, nieprzymierzając, atembas szczery...

— Łoś, łoś, łoś!... — wołał Radwański, wyciągając ręce do źrebiąt. — A spasiono, że ha! Sam pan dziedzic przyznać musi, że Radwański czuwał. Czy sam spał, czy nie spał, ale nie skrzywdził was, nie skrzywdził!... A sierść? sobole prawdziwe!

Sójkowska do obór, pan Ignacy za końmi do pójła poszedł.

Na dziedzińcu było cicho, pusto i mroczno. Pan Filip pozostał sam.

Dlaczego nie wszedł do dworu i nie przytulił się do ścian ukochanych?

Spojrzał na dom.

Ten sam dach łamany, wyloty gołębi pełne i tak mu dobrze znajome szумы lip.

Wpatrzył się.

Otwarte okna wszystkie, chwieją się białe firanki, ale wewnątrz cisza i pustka. Na ganku o słupach murowanych nie widać nikogo; nie wychodzi już nikt, nie wita, nie pyta. W trójkacie daszka szarzeją rogi jelenia, kulę światła dotyka stopa Przenajświętszej, a głowę w obręczy gwiazd ma.

Pan Filip postąpił kroków parę i wszedł do wnętrza domu.

Sień—kamienna podłoga, tafle gdzieniegdzie wybite. Kupa śmieci walała się w kącie, snadź przesądny Radwański wymiatać nie kazał, by wraz z niemi i szczęścia nie wymieść. Szczęście w śmieciu! Dziwna logika prostaków. Tam się go jednak szuka najczęściej.

Pan Filip otworzył drzwi na lewo i do biesiadnej izby wszedł.

Pusto i głucho... Przez okna otwarte dolaływał zapach jaśminów, rozkwitających w ogrodzie, powietrze tchnęło wilgocią, rzeźbiony pułap pajęczyska osnuły. Widać, że wewnątrz domu oddane było na łaskę i niełaskę losu. Kurz, kurz wszędzie: na gdańskiej szafy filigranach, na zielonawych spójnikach kaflowego pieca, na kraczas-

tych dębowych ławach, stołach o bokach wytartych i portretach dawnych panów z Konopi.

Wisi ich szereg długi...

Chorąży — starosta — imćpan stolnik...

Mniejsza!

Pan Filip szukał okrągłej, jowialnej twarzy rodzica i niewieścich rysów macierzy swojej...

I na nich osiadł kurz, nie strącany snadź od lat wielu. Przez grubą warstwę tego pyłu drogie postacie patrzyły na niego jak przez mgły. Pan Filip nie podniósł ręki, by pył ten zdmuchnąć, nie śmiał dotknąć tej tajemniczej zasłony, z poza której, zaledwie widziane, jakby z za świata zarysowywały się lekkimi liniami ukochane twarze rodziców. Nie widział w tej chwili portretów malowanych, lecz cienie widm bezcielesnych, które z szarych ścian wyszły i majaczeją przed nim jak zjawiska nadziemskie. Spłoszy je szmer lekki, rozwieje nieuważny dech piersi. Niech stoją tak, parzą i rozmodloną duszę do marzeń kołyszą.

Ale nagle kolana pana Filipa ugięły się — i runął na klęczki. Zasłonił oczy rękoma i cichy płacz wybiegł z piersi. Dokoła było pusto, cicho i szaro, bo na zachodzie zgasł odbłask ostatni słońca — a on, czarniecczyk, klęczał, ukrywając twarz w dłoniach, rozpierany łkaniem wewnętrznym. Gdy powstał i oczy podniósł — nie widział już przed sobą nic. Mrok gęsty zalewał komnaty, od szarych ścian, zaledwie dostrzeżonemi liniami, odbijały się podłużne kwadraty portretów, lecz rysów żadnych dostrzedz już nie można było.

Pan Filip westchnął — i powróciła mu lekkość dawna. Po chwili oswoił się z mrokiem, tak,

ze mógł odróżnić sprzęt każdy, każdy grat poznać, zauważyć zmianę, jeżeliby jaka zaszła podczas jego nieobecności. Lecz nie zmieniło się nic, wszystko było jak wtedy—przed siedmiu laty. Jeno w izbie ojcowskiej nikt, przed biurkiem, w głębokim fotelu, nie siedział; jeno w alkwie matczynej żadnego nie dosłyszał szmeru. Pod baldachimem z ciężkiego adamaszku dwa łoża stały o poręczach wysokich, poduszkami spiętrzone; przed obrazem Matki Boskiej klęcznik wytłoczony i na nim książka do nabożeństwa. Tylko książka zamknięta, nikt kart nie przewraca, niczyje usta nie powtarzają słów litanii i, licznej czeladzi głosem, nie odzywają się echa: „Zmiłuj się nad nami!” Z izby do izby, z sieni do sieni błądzą wspomnienia tylko. Bez nich okrutne byłoby życie i podobne do powieści, w której każdy rozdział nowy, żadną nicą związanyby nie był z rozdziałami poprzedzającymi.

Pan Filip przechodził z kąta w kąt, z komnaty do komnaty i rad był pyłom, które okrywały wszystkie sprzęty i zakamarki. Zaniedbania tego nie kładł na karb nieporządku pani Sójkowskiej, lecz widział w niem pewną cześć dla pamiątek, których ręka niepoświęcona dotknąć nie śmiała. Któżby mógł poruszyć obrazy rodzicielskie, modlitewnik matki, fotel ojcowski? Nie *zapomnienie*, lecz *pamięć* widział we wszystkim. Pamiętano, że on powróci, że miło mu będzie zobaczyć sprzęt każdy w tem samem, co dawniej, miejscu stojący; dotknąć tych pyłów, które pierwszy raz opadły na stół, na książkę, na poręcz łoża, na fałd firanki po wyniesieniu zwłok mu drogich. Pamiętała o tem



wszystkiem ciotka Sójkowska, pamiętał Radwański i — doprawdy — że on ich skrzywdził, zapomniawszy o altembasach i szubie sobolowej...

Myśląc tak, przechadzał się po dworze swoim, raz w raz natykając się na krzesła, to stoly, bo noc już była rzetelna, a choć na niebie świeciły blade odblaski zorzy, a w przestworzu całem rozlana była ciemno-błękitna jasność, właściwa nocom majowym, w izbach domu panował mrok gęsty, bo okna niewielkie nie przepuszczały tej jasności, firanki zaś i ciężkie zasłon festony, kradły tę resztę przebijającego się światła. Ale, choć pan Filip parę razy o próg utknął, parę razy na wystające kanty stołów się nadział, raz nawet głową zawadził o pajak wiszący — nie przyszło mu na myśl pytanie: dlaczego nie przyniesiono światła, dlaczego w samotności pozostawiono go, dlaczego nikt o kielichu wina dla niego nie pomyślał, nie zapytał, czy czasem po podróży posiłku jakiego nie żąda? Dopiero gdy zbliżył się do apteczki matczynej i doleciał go zapach zwietrzały szafranu, kwiatu muszkatowego i angielskiego ziele—poczuł, że jeść mu się zachciewa. Wtedy się ocknął i zauważył to dziwne opuszczenie swoje. Zbliżył się do drzwi kredensowych, otworzył, w dłoń klasnął i zawołał:

— Służba!

Dał się słyszeć szmer szybki, coś ze stołu na ziemię upadło i — cisza.

To mysz, strwożona wołaniem, skoczyła na podłogę i znikła gdzieś. Głos żaden nie odpowiedział.

Pan Filip uśmiechnął się...

Slużba? a skąd ona wziąćby się mogła? komu usługiwaćby miała? Chciał na Iwaśka zawołać, ale przypomniał sobie, że chłopak musiał do rodziców pośpieszyć, że nie puszczają go pieszczoty matki, uściski siostry, ciągle pytania ojca i brata. Zresztą i on obejrzeć musi wszystkie kąty chaty swojej, o ścianę każdą się otrzeć, do źródła pójść i twarz obmyć wodą rodzinnej ziemi. Już dziś Iwaśko nie wróci, pewnie siedzi w tej chwili nad misą hreczanej kaszy, zajada, aż uszy się trzęsą i dziwy o krajach zamorskich opowiada. Jakie zdumienie w oczach słuchaczy, jakie zasluchanie ogromne! Nie stanie nocy, doczekają się świtu, a jeszcze sen oczu im nie zmruży... Czy tam kto zapyta Iwaśka o podarunek zagraniczny? czy pożądań wszystkich nie zastąpi on sam sobą?

Pan Filip westchnął, a brwi mu się ściągnęły...

W tej chwili pod domem posłyszał kroki Sójkowskiej i Radwańskiego. Szli szybko, rozmawiając o czymś; Radwański ramionami wzruszał, a ciotka Sójkowska gestykulowała, prawiąc coś energicznie...

— Idą wreszcie — pomyślał pan Filip.

Głosy się oddalały.

Przez okno wyjrzał...

Przeszli — Radwański do oficyn, gdzie mieszkał, a ciotka do garderoby się udała.

I znów upłynęło sporo czasu w milczeniu i ciemności. A brzuch pana Filipa zdawał się mówić burczeniem: „Cóż ty myślisz sobie, że ja bez wędzonki, albo choć bez pół garnca miodu obejdę się? i tobie o suchej gębie spać pozwolę?”

I już pan Filip miał do piekarni iść i wielkiego harmideru narobić, bo mu straszliwie w dolku skwirczało, gdy postyszał chód szybki, jakby ktoś biegł — otworzyły się drzwi jedne i drugie i do izby wszedł Iwaśko.

— Jegomość tu jeszcze? — zawołał.

— A gdzież mam być?

— Myślałem, co jegomość śpi.

— Jeść mi się chce.

Iwaśko spojrział na Filipa.

— Nie dali? — zapytał.

— Nie zapalono nawet kaganka żadnego.

— I jegomość nic?

— Jak widzisz... Jakże tam w chacie twojej... Zdrowi wszyscy?

— Zdrowi panoczku!... Baćko tylko kaszle brzydko, a maty o kiju chodzi i kwęka. Ale jak mnie obaczyli, to i wyzdrowieli zaraz... Myślałem, że uduszą, tak całowali. A potem dali jeść, a potem: gadaj, gadaj! i brat i siostra i maty i baćko! Co zipnę, aby tchu nabrać, to oni: gadaj! gadaj!... Chcieliby odrazu wszystko wiedzieć, a i o was pytali raz w raz... Nie ledwiem wyrwał się i do was przybiegl.

— Mogłeś nie przychodzić, ze służby ciebie zwolniłem.

— Dlaczego, panie? — głosem trwożnym zapytał Iwaśko...

— Masz ziemię, chatę, ty już do mnie nie należysz.

A Iwaśko machnął się na podłogę i do kolan przypadł.

— Niech ojce gospodarzą, niech brat gospo-

darzy, a mnie tam co? Nie mówił ja im nic jeszcze o woli przez was danej, ale to dla nich! mnie woła przy was! Nie krzywdźcie mnie, jegomościu! ja zżył się z wami i do Dunii dziś gotów iść i łeb w łeb w konie się machnąć, na rozkaz!... Dobra chata — na starość, dobra woła — ale przy was... Nie zwalnajcie mnie ze służby, która drużbą być może, gdy zechcecie...

Pan Filip podniósł z ziemi Iwaśka i do piersi przytulił.

— Brat ty mój... i druh ty mój najszczerzy!... — zawołał.

— Jegomościu! — szeptał Iwaśko, całując go w rękę.

— Nie jegomościuj mnie teraz — ozwał się pan Filip, dłoń swoją na ramieniu Iwaśka kładąc. — Zbrataliśmy się na polu walki.

— Panoczku...

— Nie panoczkuj.

— A jak? — spytał zdziwiony Iwaśko.

— Filipuj!...

— Co? jegomościu.

— Po imieniu mów do mnie, po imieniu!

— Filipku?... tak?... prosto?...

— Tak, prosto... Otl!... i nie jestem sierota!... — zawołał, przytulając raz jeszcze do serca swojego Iwaśka.

Podczas ostatnich lat siedmiu służby wojskowej pan Filip miał niejednokrotnie sposobność przekonać się o wierności Iwaśka, który jak wół ryczał, gdy dowiedział się o bałtyckiej podróży pana swojego i na potęgę Szwedów rzezał—przez

zemstę. Gdy pan Filip, cudem prawie ocalon, powrócił, nie odstępował go na krok jeden i czuwał nad nim, jak macierz rodzona. Sam nie jadł, jeżeli pan Filip był głodny; nie spał, jeżeli pan Filip z boku na bok się przewracał — ale w chwilach najkrytyczniejszych niepokoju swojego nie pokazywał, bo pan Filip tego nie lubił, mało sobie ważąc ten marny żywot ludzki. Obecnie rozrzewnili się obaj i, stojąc naprzeciw siebie, płakali cicho. Pozwolili sobie na ten *luxus*, bo ciemno było i nikt rozrzewnienia tego nie widział.

— Mam brata — powtarzał pan Filip. — Ale czemu nic o *woli* ojcu swojemu nie wspomniałeś?...

— Zapytał ja tylko ojca, coby zrobił, gdyby wolę miał i ziemię na własność.

— I co ci rzekł? — spytał szybko pan Filip.

— Nie wydarłby mi jej ni Turek, ni Tatar, ni Szwed — powiedział stary. — Piesby tak nie brocił kości rzuconej, jak ja ziemi.

Pan Filip zamyślił się.

— A wiele to dymów mają Konopie całe?... a wiele Rzeczpospolita cała?... — szepnął do siebie.

Przymrużył oczy i zapatrzył się w dal — w ciemność...

— Filipku! — odezwał się nieśmiało nowy druh pana z Konopi.

— Co, przyjacielu? — zapytał Filip.

— Wy pewnie jeść chcecie?...

— Nie „wyj” — rzekł pan na Konopiach.

— Jak to?

— Tykaj — i już!...

Iwaśko podrapał się w głowę.

— Nie — rzekł po chwili; — „ty” nie przelizie odrazu przez gardło.

— Gadaj więc „wy”, jako niby brat młodszy do starszego...

— Mówilem o jedzeniu.

— A tak!... Hm!... — dodał pan Filip. — Nie rozumiem nic, ani światła nie zapalili, ani kromki chleba powszedniego nie dali. Pójdź do Sójkowskiej i powiedz, że na wieczerzę czekam, do której i ją i Radwańskiego zapraszam. Wždy za rodzicieli moich przy jednym zawsze widywaliśmy się stole, tembardziej tego ja nie zmienię.

Po chwili światło zabłyśło w izbie jadalnej, przywołana dziewczka piekarniana zaczęła koło stołu się krzątać, a w oficynie stuk nożów kuchennych odezwał się. Dwór cały był na nogach, bo Iwaśko rozdaniem paru kułaków przypomniał, że pan przyjechał. Sójkowska biegała od lamusa do spiżarni, nawet Radwański do izby wsunął się i przeproszać pana Filipa zaczął za opieszałość w usługach.

— Ale to nie ja winien, panie dziedzicu, nie ja — tłumaczył się — jeno przy gospodarstwie pilność, bo jutro orka i kosowica, a trawa na łąkach, panie dziedzicu, w pas!...

— Więc i ty, stary, wieczerzy jeszcze nie jadłeś?

Radwański zmieszał się nieco.

— Chwytnął tam coś — i garnuszkiem miodu popił.

— Pozwól teraz mnie chwytnąć i miodu garnuszkiem popić, a niech i Sójkowska przyjdzie — powieczerezamy razem.

O północy prawie do stołu zasiedli.

Basem spojrzął na Iwaśka Radwański, gdy ten, aczkolwiek na szarym końcu, miejsce zajął przy stole wspólnym, a Sójkowska odezwała się:

— A cóż to za konfidencya, Filipeńku?..

— Związało nas siedem lat wspólnego życia — odpowiedział pan Filip.

— I zawsze z nami tak siadać będzie?

— I ze mną...

Sójkowska zaczęła usługiwać Iwaśce i niespodziewane honory mu robić, co tak zmieszało chłopca, że siedział jak na węglach rozżarzonych i kiedy niekiedy szeptał tylko:

— Pani Sójkośka — ta nie trza tego, ta po co to... Pamiętajcie o Filipku lepiej.

Pani Sójkowskiej łyżka z ręki wypadła, a Radwański wrota zajezdne z brwi zrobił.

Filip zaśmiał się...

— Przyjaciół to mój, a brat!...—rzekł i, biorąc kielich z winem, zwrócił się do Iwaśka:

— Za zdrowie twoje!

— I wasze, Filipku!...

Stuknęli i gęby sobie dali...

Sójkowska pochylili się do Iwaśka i szepnęła:

— To ty na ty jesteś z panem, a nie mogłeś altembasów moich przypilnować?..

Radwański pochylili się także i mruknął:

— Nie mogłeś to rzec: rozdaj choćby Koponie całe, jeno Radwańskiemu szubę sobolową ostaw?

Nie takiej uczyty pan Filip oczekiwał, pytań i szeptań nie takich, ale na swoich śmieciach był,

uśmiechał się więc do ścian, do kielichów, do talerzy i rozgadać chciał zachmurzonego Radwańskiego i posępną ciotkę Sójkowską.

— Widzi mi się, że nie radzi jesteście ze mnie?...

— To jeno pan dziedzic może być z nas nie rad...

— I jest nie rad—dodała Sójkowska.

— Dlaczego?—spytał Filip.

— Panom zapomnieć nietrudno o sługach swoich...

— A kto waćpannie powiedział, że m zapomniał?...

— To materya jest?—krzyknęła ciotka Sójkowska.

— I szuba?... — zawołał, podnosząc się Radwański.

— Cha, cha, cha!... — buchnął śmiechem Filip.

— Filipeńku, kochaneńku—gadajże, a prawdę.

— Jest, jest!...—śmiał się Filip.

— Pisał, pisał — skrypt mam... Mówiłem acannie—wołał Radwański.

Śmiechem i gwarem zakończyła się wieczerza, po której, gdy pan Filip sam został z Iwaśkiem, zwrócił się do niego i rzekł:

— Zmęczonyś bardzo?

— Nie, panie... Filipku...—podchwycił prędko Iwaś.

— Masz sto dukatów!—przed świtem ruszaj do Lwowa i przywieź mi stamtąd sztukę altembasu i szubę sobolową.



## VI.

— Rada waćpanna jesteś z materyi?

— A z szuby waćpan rad?

Takie rzucali sobie pytania Sójkowska i Radwański, siedząc nocą późną naprzeciw siebie w oddalonej komnacie dworu pana Filipa.

Było to mieszkanie Sójkowskiej, składające się z izby przestronnej i alkowy, z której widać było łoże starej panny, skromnie białą zasłoną okryte. W mieszkaniu porządek był wzorowy, na ścianach porozwieszani Święci Pańscy bronili białogłowę od nagabywań ducha złego, zapach suszonego zieleńca rozchodził się w powietrzu, nad obrazami wisiały pęki wierzby, pamiątki niejednej niedzieli kwietniowej i wianuszki, w dniu Bożego Ciała święcone. Radwański był prawie codziennym gościem starej panny; grał z nią w marysza, słuchał kabały, albo we dwójkę pasyansa ciągnęli sobie. Niedłużej jednak, jak do godziny jedenastej wolno było bawić panu Ignacemu w dziewiczym pokoju panny Magdaleny; najtrudniejsze kombinacje pasyansowe, ani w grze szczęście (grano na ojczyznę) nie pozwoliły tej godziny przekroczyć. Dziś jednak, po spożyciu wieczerzy z panem Filipem, aczkolwiek zegar ścienny wybębnił dwunastą, gdy znaleźli się w sieniach i Radwański miał do oficyny na noc się udać, panna Sójkowska pociągnęła go nieznacznie za łokieć i szepnęła:

— Zajdź, waćpan, do mnie.

Radwański, jakby się spodziewał czegoś podobnego, nieznaczny ruchem głowy na propo-

zycę się zgodził i gdy we dworze uciszyło się wszystko, pomiędzy krzewami bzów, płotu się trzymając, zaczął się uważnie od swojej oficyny, ku mieszkaniu panny Magdaleny posuwać. Ostrożność tę zachowywał ze względu na stróża nocnego, który dookoła dom obchodził i pałką bił w deskę. Wprawdzie, gdyby go stróż dostrzegł, nie zdziwiłby się wcale onej wycieczce Radwańskiego, bo Radwański co noc prawie wychodził na dwór na zwiady—ale dziś wydawało mu się, że gdyby dostrzeżony został, stróż napewnoby się domyślił, że idzie — do panny Sójkowskiej. Wprawdzie łeb siwy pana Ignacego i letniość Magdaleny mogły go ustrzedz od podejrzeń podobnych, lecz Radwański nie zastanawiał się nad tem, słowa zaś Sójkowskiej: „zajdź, waćpan, do mnie”, choć nic w sobie z romantyzmu nie miały i o amorach nie mówiły, brzemienne były tajemniczością jakąś i—wymagały ostrożności. Skradał się więc pod płotem; przyśpieszał kroku, gdy stróż pałką w deskę bił i, niepostrzeżony, wsunął się do izby białogłowskiej, w której okna były szczelnie firankami osłonięte. Spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się, zrozumieli—i pan Ignacy, siadając przy stole na miejscu wskazanem, westchnął i pierwszy rzucił pytanie:

— Rada waćpanna jesteś z materyi?

— A waćpan z szuby rad?...

— Będzie jedno i drugie—odpowiedział Radwański—ale nie z furgonów, jeno, jakom się dowiedział, do Lwowa Iwaśka pchnął, bo zauwa-

żył, że już tak ostatecznie nas krzywdzić nie można.

— Że oszukał, to oszukał—westchnęła Sójkowska.

-- Ale umiarkował się.

— Bardzo!—rzuciła ironicznie.

— Zawsze waćpanna altembasu nie straciłaś.

— Ale czy jeno altembas furgony miały?... Było tam dobra wszelakiego, z któregoby się coś więcej okroiło dla nas.

— Flinta!

-- Jupka!

— Nie akuratnie postąpił, nie akuratnie!

— Ale posłuchajno, waszmość, bo ja waćpana nie na biadanie o tak niezwyklej godzinie wezwałam. Tu mogą zająć takie okoliczności, nad którymi trzeba będzie zastanowić się dobrze.

— Ja też zmiarkował, że coś jest... Po północku ni razu progę waszmość panny nie przestąpiłem.

— Nie wspominaj waść o *północku*, bo ze mnie rumieńce buchają.

— Szanuję modestyę waszmość panny — i milczę, a co masz na myśli, mów waćpanna bez ogródek.

— Wiesz, waćpan, że tu nam może większe niebezpieczeństwo grozi, niż strata furgonów.

— Niebezpieczeństwo?

— Szczególnie dla waćpana.

-- Waćpanna mnie niepokoi.

-- Uważaj waść!

— Uważam.

— Bądź jak bądź, myśmy się przyzwyczaili do gospodarstwa w Konopiach przez lat siedem; nikt nam w drogę nie wchodził, nikt się nie wtrącał, przed własnym sumieniem rachunek zdawaliśmy i ono nic nam do wyrzucenia nie ma; byliśmy, ot, po prostu powiedzieć, jakby na swoich śmieciach...

— Święta prawda!—mruknął Radwański.

— A teraz waćpan bacz, co stać się może. Dziedzic sam zechce rządzić, do wszystkiego się wmieścić, grosz w rękę mieć, rozkazywać i rachunki przeglądać...

— Księgi w porządku—obawy nie mam, nie mam!...—szepnął Radwański.—A jeśli sobie pensję podwyższył i waćpannie większy opatrunek dał—to nam się należało święcie, święcie. Zresztą, tego nie dopatrzy, bom do rubryki nie wpisywał.

— Ale już nam się okroi.

— Być może.

— Zawsze waćpan na podrzędniaka zejdziesz.

— I panna też.

— O mnie nie turbuj się waszmość, wzdym ciotka...

— Dziesiąta woda po kisielu, mościa panno, dziesiąta woda!—mruknął Radwański.—Do takiego pokrewieństwa mógłbym się i ja przypytać...

— Nie całkiem!

— Chyba waćpanna zaprzeczysz wspólnego pochodzenia od Adama i Ewy.

— Ja bliższa!

— Dziad waszmość panny trzymał do chrztu ojca pana Filipa—i już!

— Zawsze coś...

— Marność!...

— Ale dziad waćpana i tym nie był!

— Nic nie znaczy!...

— Zresztą, ja co innego, a waćpan co innego. Mnie ciotką, czasami Magdą, ale waćpana zawsze Radwańskim nazywa. Na podrzędniaka waćpan zejdziesz, gdy sam Filipek zechce się w polu zająć, mnie zaś w gospodarstwie domowym nikt nie zastąpi. Do mleczywa się nie wmiesz, kury nie pomaca, ani na jajach nie posadzi...

— A jeżeli się ożeni?

Sójkowska drgnęła.

— Widzi waćpanna, że gospodyni druga może być!...

— Nie pomyślałam o tem... — szepnęła Sójkowska.

Milczeli chwilę.

— Ot, do czego to może przyjść! — zaczęła Sójkowska.

— Nowa gospodyni może waćpannie we znaki się dać.

— I waćpana wysadzić...

— Nijak do tego dopuścić nie można, nijak dopuścić!...

— My na to nic nie poradzimy... — rzekła Sójkowska.

Radwański zadumał się, po chwili głowę podniósł i wpatrzył się w pannę. Spojrzenia ich spotkały się.

— Ileś waćpan uzbierał? — spytała szeptem panna Magdalena.

— Dwa tysiące czerwieńców... A waćpanna?

— Tysiąc i oko.

Znowu zapanowało milczenie.

— Inaczej nie można było, nie można! — rzekł z pewną rezygnacją Radwański.

— Świętej pamięci starościna Konopacka mówiła zawsze: *Ne woźmesz na duszu, ne bude funduszu!*...

— Święta prawda, smutna prawda, ale prawda!—odpowiedział z westchnieniem Radwański.

— Słuchaj waszność!

— Słucham.

— Czy można się tam... tego... z ksiąg rachunkowych domacać?

Radwański podrapał się w głowę.

— Jeżeli zechce dokumentnie sprawdzać... Ale zasłużyło się, mościa panno!

— Godziwie się zasłużyło!—potwierdziła Sójkowska.

— Czemu nie pilnował sam dobytku swojego?...

— I furgony stracił!

— Widno, że jemu grosz na nic.

— Niech więc swój, nie obcy skorzysta.

— Mądrze, waćpanna gadasz!... Innym rozdał z fantazyi, a nam za pracę należało się.

Umilkli—po chwili Sójkowska odezwała się:

— A dla niego wiele waćpan złożyłeś?...

— Dwa tysiące także, sumiennie mówię—dwa tysiące... Łajdakiem byłbym, gdybym ukrzy-

wdzić go chciał... A zresztą, jak Maciek Bogu, tak Bóg Maćkowi. Rachunki sprawdzać, księgi przepatrywać, cóż to, okpiwosz ze mnie, czy co? Dla kogo się lat tyle pracowało, nocy nie dosypiało, trudziło się i mozoliło, ażeby potem niedowiarstwem zapłacić i o księgi pytać? Tego się na stare lata dożyło?... Patrzcie go! Dobrze mu wojować było i Szweda gnać—niechby tutaj spróbował... A zresztą, sumiennie mówię, że nadużycia nie było. Kto gospodarował? — ja!... Kto pieniądze na różne potrzeby wydawał?...—ja!... Kto ekonomom i podstarościemu pensyę podwyższał? — ja!... Miałem prawo, bom sam rządził i panem był. A że ekonomską i podstarościńską służbę sam pełniłem — to miałem ich skrzywdzić i samego siebie nie wynagrodzić?... Pan Jezus powiedział: Kochaj bliźniego jako siebie samego; a ekonom i podstarości—to nie bliźni?... Ja sam mu jutro księgi dam—niech patrzy, gdy taki ciekawy!... Ale mnie boli, mościa panno, niedowiarstwo takie i brzydkie sprawdzanie rachunków!...

— Albo wścibstwo gospodyni naszej—zawołała Sójkowska.—Żona to żona, ale żeby odemnie klucze odbierać, do lamusu, do spiżarni w ślad za mną chodzić, liczyć sery, ważyć sadło, sprawdzać ilość jaj zniesionych, do tego nie przywykło się za młodu, to i na starość nie przywyknie się!...

— A waćpanna myśli, że młoda pani nie zechce może do obór zejść, przy udoju być, sama masła do kuchni wydawać?

— Jeszcze czego!—zawołała Sójkowska.

— A jak się jej to i owo nie podoba, to i krewieństwo nie pomoże—rzucił Radwański.

— I waść stać się możesz zbyteczny—dodała Magda.

— Na was zezem spojrzę.

— I wam do oczu skoczy.

— I ani opamiętasz, się waćpanna, jak siędziesz na koszu.

— A i wam podziękują za służbę.

— Może być, może być!

— Tobolek na plecy i fora ze dwora, panie Radwański!

— I was nie pociotkują...

— I co my sieroty zrobimy!—zalamentowała Sójkowska...

— Taka sprawiedliwość na świecie, taka wdzięczność ludzka! — zawołał ekonom i podstarość w jednej Radwańskiego osobie.

Sójkowska zaczęła lzy ocierać, a Radwański wzdychał i głową rzucał jak koń znarowiony. Wreszcie, wygniewawszy się oboje—popłakali się.

— Widzisz waćpanna—odezwał się po chwili Radwański—że nieźle, iż pamiętaliśmy o sobie, a tak, na stare lata, może kąty przyszłoby się wycierać.

— Dolo moja, dolo, za tyle lat pracy!

— I służby wiernej—westchnął Radwański.

— Klucze odebrać!

— Do książek brać się!

— Małośmy złożyli, panie Radwański, mało!

— Ha! sumienie nie pozwalało więcej. Cóż robić! Ale przygotujmy się, mościa panno, na



penetrowanie jutrzejsze... Dziedzic, to trudno! my nie mamy prawa mu zaprzeczyć.

— Ale, że nam było dobrze w Konopiach, to dobrze!—westchnęła Sójkowska.

— Przygotujmy się, mościa panno!—mruczał Radwański.

Rozstali się z wielkiem poczuciem krzywdy.

Nazajutrz Sójkowska chciała klucze oddać, ale dobrze nie wiedziała komu, Radwański zaś wziął księgi pod pachę i dowiedziawszy się od Iwaśka, że pan Filip już wstał i pacierze odmawia, poszedł do dworu, zaniepokojony trochę, ale na wszystko przygotowany. Stara panna zabiegła mu drogę.

— Idziesz waćpan?

— Idę.

— Księgi niesiesz?

— Niosę.

— Ojej, jak mnie łydki się trzęsą.

— Pódź waćpanna pode drzwi i słuchaj, bo może sukurs będzie potrzebny.

Z bijącym sercem trochę i z niezbyt pewnem spojrzeniem przestąpił próg. Właśnie pan Filip kończył pacierze i szeptał półgłosem: „*et ne nos inducas in tentationem, sed libera nos a malo. Amen*”, gdy Radwański stanął przed nim.

— A to co za pakunek? — spytał dziedzic, ujrzawszy obarczonego księgami.

— Rachunek sumienia, panie dziedzicu, rachunek sumienia—odpowiedział Radwański.

— Z lat siedmiu twoich rządów—uśmiechnął się Filip.

— Pracy, panie dziedzicu, sumiennej, uczciwej pracy—zadygotał stary.

— Nie wątpię! Od dnia śmierci mojego ojca wszystko było na twojej łasce lub niełasce, dobro moje w swych rękach miałeś. A czasy były takie, że odważniejsi od ciebie zostawiali mienie własne i w lasy się kryli. Tyś wytrwał i z rachunkami dziś przychodzisz.

To mówiąc, rękę na księgach położył.

Radwański przytulił je do siebie, jakby nie chciał ze skarbami się tymi rozstać i, patrząc w oczy Filipa, szeptal:

— Ciężkie czasy, straszne czasy!... Szwed, Tatar, Kozak... Łaska Pańska, że nie ograbili i nie spalili, ale strachu człowiek się najadł do syta.

— Wierzę—odpowiedział pan Filip.—I w czasie spokoju na baczeniu się mieć potrzeba, bo Konopie ku szlakom tatarskim patrzą i o przygodny czambulik nie trudno.

— To też—rzekł Radwański—w dzień jasny, to człowiek się krzepił, alenocką straż stawiał naokoło dworu, a sam w step ruszał i w burzany się zaszywał.

— Z Sójkowską razem?...

— Ja osobno, a ona osobno, proszę dziedzica... Ale raz nieszczęśliwa baba w pokrzywy wlaźła i takiego wrzasku narobiła, że myślałem, że ją Tatar na arkan wziął, lub o jej dziewiczość się pokusił.

— O to drugie obawy nie było—zaśmiał się pan Filip.

— Pohaniec nie wybiera, panie dziedzicu, nie wybiera.

— Wiem, że u nas na kresach na dworach, ani w chałupach nie nocują. Wieś cała na nocleg w pustynię się wybiera, zostawiając na łasce Opatrzności dobytek swój. Mąż o żoninem schronisku nie wie nic, dzieci zdala od rodziców w bruzdach leżą, ażeby na wypadek nie ujścia rąk tatarskich, niczyjej kryjówki zdradzić nie mogły\*). I ze mną tak bywało za pacholeństwa czasów. Ojciec, matka i ja co nocy opuszczaliśmy dwór — i w stepy, gdzie kto mógł, własną przezornością zapadał. Ze wschodem słońca dopiero rodzic szukał nas. „Jaguś! gdzie ty? Lipek! gdzie ty?” głos jego po rosie się rozchodził. Nawoływaliśmy się, jak przepiórki nieraz. „Pit-pilit”, rozchodziło się po stepie, aż oszukane ptactwo „pit-pilit” odpowiadało. Później więcej dworów przybyło i bezpieczeństwa więcej, aż nastaly Chmiela i Carolusa czasy i waść z Sójkowską „pit-pilit” musieliście śpiewać.

— Inaczej nawoływaliśmy się, panie dziedzicu?

— A jak?

— Ona gdakała, a ja piałem jak kur.

— Prawnukowie nasi może nie uwierzą noclegom takim—rzekł Filip.

To mówiąc, wziął księgę.

— *Nulla dies sine linea* — szepnął Ra-

---

\*) Prawdziwe.

dwański.—Niech jaśnie wielmożny dziedzic przejrzy, sprawdzi... Dwa tysiące czerwieńców dla jaśnie wielmożnego dziedzica odłożyłem — więcej nie mogłem...

Uderzył się w pierś.

— Wziąłem księgi z rąk twoich, panie Radwański, jako mający do tych ksiąg prawo — odezwał się Filip. — A teraz wręczam ci je napowrót bez żadnych przepatrywań, ani sprawdzań. Ubliżyłbym tobie. Rachunki z tych lat siedmiu są zamknięte. Przygotuj nowe księgi; od dnia dzisiejszego razem będziemy gospodarowali, bo może na czas dłuższy szablica na kolku spocznie.

Radwańskiemu kamień spadł z piersi.

— Za dwa tysiące czerwieńców dziękuję — ciągnął dalej pan Filip. — Nie wiele to na takie Konopie, lecz czasy były nie po temu. Sójkowska altembasy, a ty szubę sobolową będziesz miał. Krom tego chcę, byście na stare lata mieli kąt własny. Za służbę wierną wynagradzam cię ziemi kawalkiem i sadybą, na której grusza Maćkowa rośnie. Ładny to kąt, znasz go! Sad wiśniowy, łąki szmat spory, włóka ornego gruntu i stawek. Sójkowskiej dam pięćset czerwonych złotych... Zasłużyliście na to... No? cóż tak patrzysz, a księgi pod nos mi tykasz? Nie zajrzę do nich, *dixi!* Wždy wiem, że wszystko uczciwie.

Zacnemu panu Radwańskiemu nikt w papę nie dał w tej chwili, a uczuł żar w policzku; wybelkotal niewyraźnie słów kilka, oczyma lypnął, za łokieć pana Filipa ujął, lecz ten go po ramie-

niu poklepał, rad będąc, że uczciwego wynagrodził sługę. Radwański opuścił pokój, chwiejąc się trochę na nogach, a panu Filipowi świat coraz piękniejszy się wydawał.

Sójkowska przytulona do drzwi, jak ostryga do skały, słyszała wszystko. Zrazu śmiertelny niepokój czuła i parę kropel potu zimnego uрониła, potem coraz lżej oddychać zaczęła; gdy zaś pan Filip wręczył napowrót księgi Radwańskiemu bez przejrzenia ich: „A to głupi!” z jej ust się wyrwało, lecz gdy zasłyszała o pięciuset czerwonych złotych jej przeznaczonych, zmieniła wnet zdanie, i: „Rozum ma!” wyszeptala. W tem drzwi się otworzyły i stanął przed nią Radwański. Sójkowska porwała go za rękę i do dziewiczej swojej komnaty wciągnęła. Tu dopiero piersią szeroką odetchnął pan Ignacy i, rzucając księgi na krzesło, sam runął na fotel...

— Aaa!... Słyszałaś waćpanna? — odezwał się.

— Słyszałam i dziwowałam się.

— I co waćpanna myślisz?

— Myślę, że można było więcej wziąć.

Radwański drgnął.

— Febrę masz asan?... — zapytała Sójkowska.

— Czegoś mi nieswojo — odpowiedział pan Ignacy.

— Ot, gadaniel!..

— Wynagrodził nas — uważasz waćpanna?... Obeszłoby się może bez malwersacyi, gdyby człek spodziewał się był tego!..

— To waćpan coś niehonorowego popełniłeś?...

— No, nie—sumienie czyste mam, rzetelnie mówię.

— Czegóż asan trzęsiesz się?...

— Podziękował, nie zajrzał, i sadybę dał — wiesz aspanna, na której grusza Maćkowa stoi. Gdyby to człek wiedział...

— Nie twojać jeszcze!...

— Oł, gadanie — zawołał Radwański. — Kto a kto, a Filipek słowa zdzierży.

— A kto mu wzbroni jutro, pojutrze do waćpana zajść i, niby niechący, do ksiąg zajrzeć?...

Radwański zaniepokoił się.

— Niby niechący — powtórzyła Sójkowska.

— Tegobym nie chciał, choć rzetelnie mówię, że się niczego nie obawiam.

— Waćpan mu nie wzbronisz.

— Ale to niegodziwie byłoby ze strony dziedzica!

— To inna materya. Ale...

— Ale?

— Co wtedy z sadybą będzie, na której stoi grusza Maćkowa?

Radwański zerwał się na równe nogi.

— Zniszczę... spalę...

— Gruszę Maćkową?

— Nie, nie, nie...

— A co?

— Księ-gi—wybelkotał Radwański.

— Przez okno wskoczy pies i kaganek wywróci—rzekła Sójkowska.

— Wypadek—szepnął Radwański.

— Oczywiście, że wypadek.

— A waćpanna wiedz, że ten kundel podwórzowy nieraz już przez okno do mojej izby wskakiwał. Dwornia cała widziała, jakem go gnał, nie dalej, jak zawczora, i kijem groził. Kto mu wzbroni dziś, jutro wskoczyć i kaganek wywrócić?

— Pies psem zawszel.. — zawołała Sójkowska.—Tylko uważaj waćpan dobrze, ażeby dzisiaj zbytku tego nie uczynił. Ot, tak, za tydzień bez mała, to możesz!

— A ja przed terminem owym już sobaczyć na niego zacznę.

— I ja o tym psie bąknę, że nieszczęście jakieś sprowadzi.

— Szkodnik! ladaco!—zawołał Radwański.

Księgi wziął, pożegnał Sójkowską i wyszedł, a dostrzegłszy kundla przebiegającego dziedzińiec, zaczął tupać nogami i wołać:

— Ja ci tu dam, nicponiu jeden... że oberwiesz ode mnie, to oberwiesz!

Pan Filip rozglądać się zaczął po swoich Konopiach.

Najpierwszą jego czynnością było pójść do stawu i wykąpać się.

Żaden strumień, żadna rzeka, nawet morze Bałtyckie, takiej orzeźwiającej mocy nie miało, jak ony stawek konopiański. Każda fala zdawała się przybiegać do niego i pieścić się; czuł jej pocałunek słodki, niosący siły i zdrowie; zdawało mu się, że rozumiał szept jej każdy, niby słowa powitania po długich latach niewidzenia. A cóż,

gdy pomyślał sobie, że kiedyś ta sama fala do stópek Tecki przybieży i owinie ją całą i srebrzystymi kroplami obryzga... tej już myśli nie pozwolił spokojnie przepłynąć, i takiego szczupaka dał, że aż kaczkę, strwożone hałasem, z oczeretów się zerwały i frunęły nad stawem, spokojniejszego miejsca szukając.

Wykapawszy się uczciwie, na pole poszedł. Ranek był pogodny, wiatr mgły rozpędził, a ludzie rozpoczynali orkę wiosenną. Dwanaście plugów podążało nowinę krajać i miało lemiesz ostre w ziemię zapuszczać, gdy pan Filip ręką znak dał.

Zatrzymano się.

A on wtedy szablę z pochwy wydobyl, zrobił nią nad polem znak krzyża świętego, następnie ostrzem w ziemię wbił, na rękojeści czapkę zawiesił i ujął za trzusło, przy plugu stanawszy.

— Pierwszą skibę sam rozpocznę — rzekł, do oraczy się zwracając. — Niech czuje ziemię rękę moją, niech wie, że do niej powróci i że z krwi i kości jej syn! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Za mną chłopcy!

I tak prowadząc swój plug, szedł pan Filip na czele oraczy, krając ziemię tłustą, która czarną układała się skibą, wydając z siebie woń przedziwną. Wesóło za nim szła czeladź, czując przemożną opiekę pańską nad sobą, zjawił się i Radwański, a widząc, co się dzieje, stanął na uboczu, za nim przyszedł i kundel-szkodnik i na tylnych łapach przed Radwańskim usiadł. Pan Ignacy poczerwieniał i plecyma się obrócił, ale



pies znów się pojawił przed nim i znowu na zadzie usiadł, strzygąc uszami, przekręcając głowę i prosto w oczy mu patrząc.

— A pudziesz! — zawołał zniecierpliwiony Radwański i kroków kilka znów odszedł.

Ale pies podniósł się, drogę mu zabiegł i znowu usiadł przed nim.

— Ten szelma mnie zdradzi — jęknął w duchu Radwański, i zaczął psa gnać, ale to nie na wiele się zdało, bo skoro tylko zatrzymał się, wnet fizyonomię psia miał przed sobą.

— Chodzi jak sumienie — szepnął do siebie Radwański. Ale natręctwu temu sam był winien, a oto dlaczego:

Przyszły szkodnik ani razu nie dowiadywał się do okna mieszkania pana Ignacego, choć upewniał Radwański, że cała dwornia widziała, jak kijem go gnał. Chciał właśnie psa do tych wizyt przyzwyczaić; po wyjściu więc od Sójkowskiej, zaczął go przynęcać, pokazując mu przez okno chleb z masłem i zachęcając do skoku. Zrazu pies na baczości się miał, ale, zachęcony słowami: „Hop, piesku!”, skoczył na stół, inkaust wyrócił, wielkiego nieładu narobił, ale gdy za ten zbytek dostał kromkę z omastą i słowa uznania posłyszał — raz drugi bez „hop piesku!” już skoczył, czem upewnił pana Radwańskiego, że już na niego może w danym wypadku liczyć i że na każde zawołanie ten eksperyment powtórzy. Po tej nauce Radwański udał się w pole, pies za nim. Napróżno w cztery strony świata obraca się, kundel zabiega mu drogę i upomina się o kromkę chleba z masłem. To prześladowanie zaczęło

niepokoić Radwańskiego, tembardziej, że pan Filip uwagę zwrócił i śmiechem parsknął, gdy pies po raz setny siadł przed nim.

— Co on waści drogę wciąż zabiega?...

— Za kije tak przeprasza.

— Za kije?... dziwny pies!

— Nie sposób okna otworzyć, zaraz włazi. Dziś, kiedym u pana dziedzica był, wskoczył i inkaust wywrócił. Całą mi księgę zwałała psia krew, ale popamięta, popamięta...

— Wybacz mu waćpan — rzekł pan Filip, głaszcząc psie kudły. — Chcę, żeby się wszyscy weselili, gdym do dom wrócił...

Po chwili, zwracając się ku wschodowi, wskazał ręką i rzekł:

— Słuchaj waćpan! Kaczorówka, zdaje mi się, w tej stronie leży?...

— A tak, panie dziedzicu, hen, hen wzdłuż Dniestru.

— Siedem lat i człek już zapomniał — rzekł pan Filip.—To tam!

— Wpatrzeć się dobrze, to i wieżę kościółka dopatrzeć można.

— Tak, tak, tak—pochwycił pan Filip... i, nie pytając już o nic, na wzgórze wszedł, z dłoni daszek nad oczyma zrobił i patrzył:

Po chwili szepnął:

— Nie do Kaczorówki, lecz do Jaworzyna mi teraz myślą biedz...

Zaniepokoił się, ale to trwało krótko. Pan marszałek Zawiszyński przy słowie może stać będzie, podkomorzy kunktować pocznie, ale Tećka się strzyma. Zresztą pan Michał nieprędko ją

ujrzy, pan Filip po zamachu szablidy czuł, że ciał dobrze, a zanim łeb się zgoi, Bylinowie do Kaczorówki powrócą i może prędzej, niż myśli, zaświta mu dzień wielkiego szczęścia. O tym dniu marząc, pan Filip chodził z kąta w kąt, a wszędzie Teckę widział przed sobą i głos jej słyszał i wołanie, gdy o łajdactwach Zawiszyńskiego dowiedziała się:

— Ratuj mnie, waćpan!

Ale najmilej mu w uszach brzmiały słowa, wypowiedziane na zapewnienie jego, że pan Michał jej się nie imie:

— „Ach! jak ja waćpana miłować będę!...”

— A ja?...—szepnął.

Tu taka gorącość zalała mu pierś, że krzyczeń chciał w niebogłoty. Spotkaną Sójkowską wpół porwał i wycalował, aż strwożona niewiasta o wielkiem nieszczęściu już myśleć zaczęła. „Daj wody!” huknął na dziewczkę przy studni stojącą i pół wiadra wypił, wreszcie do stajni wpadł i kazał okulbaczyć dzikiego rumaka, który przez step do Jaworzyna go uniósł.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



## CZEŚĆ DRUGA.

### VII.

Nie miał wcale zamiaru pan Filip pana marszałka Zawiszyńskiego odwiedzić. Wczoraj synkowi jego łeb rozwalił, a dzisiaj w gościnę? — Jakże-to? Nie po kawalersku byłoby, a przecie pan Filip na sprawach tak delikatnej materji znał się, i choć z przyjemnością raz jeszcze Michalkowi w gębę-by dał, ale osobą swoją rodzicowi jego nastęrczać się nie mógł. Porwała go jednak za Tecką taka tęsknota, że choć z daleka chciał spojrzeć na ten dom, w którym teraz przebywa, a może Opatrzność sama tak pokieruje sprawami jego, że Teckę ujrzy w drzwiach domostwa, w sardzie, na łączce, wśród zbóż przy kwieciu bławatkowem, przy źródle w zaciszu leśnem, albo nie wie sam zresztą, gdzie — lecz go coś parło naprzód przez Kaczorówkę do Jaworzyna, w którym pan marszałek o dawnem ślubowaniu może coś mówi, pan podkomorzy waha się ze słowem danem, a Jaworzyn, Grobelna, Topiele, pasy i or-

naty wzrok mu zaćmiewają. Tećce tymczasem serduszko drży z niepewności i jedyny ratunek w opresyi onej widzi w panu Filipie z Konopi.

Rozmyślając tak, sam sobie strachał i takiej palpitacyi dostał, że zaledwie mógł na koniu utrzymać się; pocieszał się jednak tem, że pana Michała jak należy oprowił, tak, że nie o godach weselnych myśleć mu teraz, w czem widział dotykalny dowód łaski Boskiej. Parł więc naprzód, aż step dudnił i kurzył, i rad był jeździe onej, która mu pozwoliła o wczorajszym galopie Latarni całkiem zapomnieć.

Zdyszanego rumaka zatrzymał dopiero w Kaczorówce. Niech wytchnie, a i sam potrzebuje spojrzeć na dom Bylinów, który jutro, pojutrze w murach swoich Teckę przytuli.

Drzwi i okna zamknięte, w narożnej jeno wieżyczce, której dół był z kamienia, a reszta z drzewa, otworem stało okienko niewielkie, przez które wybiegła firanka śnieżnej białości i chwiała się, lekkim wiatrem trącana, zupełnie tak, jakby kto nią w stronę pana Filipa powiewał, mówiąc: a pódź tu! Na to okienko zwóciły się oczy kawalera... Tu musiała być komnatka Tećki, tu, a nie indziej! Gdyby sam Bylina domysłowi jego zaprzeczył — nie uwierzyłby. Palpitacya serca mówiła mu, że tu. Na okna wszystkie, na ścianę każdą spokojnie patrzy, a ile razy na tę wieżyczkę spojrzy i wzrok ku okienku onemu zwróci, serce mu tak w piersi palnie, że po prostu mdło się robi, jakby, lada chwila Teckę miał ujrzeć. Patrzył więc w oną kratkę czarną i wzdychał, aż ogier podobnem mu odpowiedział westchnieniem.

— A ty czego?... także!...—odezwał się Filip. Dał ostrogę i przez step, na przelaj ku Jaworzynowi pognął.

Dom Jaworzyński na niewielkiem wzniesieniu stał. Po prawej stronie miał las, po lewej łąk konopi, a z tyłu wirydarz. Oczywiście, że pan Filip ku konopiom się skierował, bo gęste łądygi rośliny onej lepiej go ukryć mogły, niż rzadkie pnie drzew, a zresztą ku konopiom miał predylekcję jakąś. Konia za uzdę przy samym pysku wziął, by zarzęć nie mógł i w konopiany las się wcisnął.

Tećka chodziła po wirydarzu, raz wraz przysuwając się do ściany domostwa, skąd, przez otwarte okno, dochodziły do niej dwa głosy i brzęk szklenic.

To rozmawiał pan podkomorzy z marszałkiem Zawiszyńskim, miód popijając.

Tećka, przyparta do ściany, chwytiała każde słowo z sercem bijącym, rysując na piasku esy, floresy pręcikiem w dłoni trzymanym. Z tych kresek i linii wyłonił się wyraz:

„Jaško!”

— Jakże więc, podkomorzeńku?... — dał się słyszeć głos pana marszałka.

Tećka szybko zatarła, bezmyślnie może, skreślony napis, wstrzymała dech i przytuliła się do ściany.

— Nie wiem, jak tam Michałek waszmości, na nasze postanowienie patrzy... — odparł podkomorzy...

— Michałek?... czy waćpan pytasz swoją dziewczkę, jak ona patrzy?...

— Pytam — rzekł krótko podkomorzy.

— I co?

— Jeszcze inklinacyi nie ma.

— Po ślubie nabierze... — zakonkludował marszałek.

Po chwili dał się słyszeć głos pana Byliny.

— Waćpan szlachcic i ja szlachcic, a stara *amicitia* nasza pozwala otwarcie nam mówić.

— Coś kręcisz, podkomorzeńku — Zawiszyński się ozwał.

— Czy waćpan nic Michałkowi do zarzucenia nie masz?

— Podwikarz, to prawda!... To też chcę, by się ustatkował, i Teckę waćpana za żonę wziął...

— Nie to wcale na myśli mam. Opowiadałem waszmości o naszych podróżnych przygodach i o imci-panu Filipie z Konopi...

— ...któremu zbój jakiś głowę rozplatał, — do końca zakończył Zawiszyński.

— Nie mówiłem waćpanu, że...

Tu podkomorzy utknął.

— Że co?...

— Napad ten na zacnego rycerza *wasz* urządził...

— Michałek?...

— Tak... i z boleścią o tem mówię waćpanu...

— Widocznie coś mieli ku sobie — mruknął Zawiszyński.

— Więc mogli po szlachecku, w szable brzęknąć... Jak waćpan uważasz?...

— Ja uważam, że to ich sprawa, a nasza wiernie przy słowie stać...



— I inne są kondemnaty na synku waszmość pana!...

— Jakie?...

— Z czasów wojny jeszcze —

— Jakie, podkomorzeńku, jakie?...

— Łupił dwory...

— Nie on, to Szwedby złupił... A wiem od Michałka, że imćpan Filip z Konopi psy na niego wiesz. Czasy zresztą były takie, że i święty mógłby się potknąć. Nikt bez grzechu! A Topiele, Grobelna i, po najdłuższem życiu mojem, Jaworzyn — przy kapitałach waćpana i Kaczorówce — to nie lada pozycja w świecie! Jak nic krzeselko senatorskie podsunie się... Rozumiesz, podkomorzeńku?

— To wszystko rozumiem — ale Michałek waćpana oczyścić się musi...

— Powoli, podkomorzeńku, powoli... Nie chcesz, to nie! — Z Michałkiem sprawę mieć będziesz, nie ze mną, bo on tak łatwo dziewczki z przed nosa zdmuchnąć sobie nie pozwoli.

— Nik jej nie bierze jeszcze...

— I nie weźmie nikt, prócz Michałka... Mam słowo twoje, podkomorzeńku, a z tem się liczył Zapanowało milczenie.

Widocznie pan podkomorzy nie chciał struny przeciągnąć, żal mu było Grobelnej i skarbów pana Michała. Milczał, popijał miód, w końcu powstał i rzekł:

— Ostawmy to czasowi — niech się utrze!...

— Nie chcę tak!... — krzyknął Zawiszyński. — Ślub albo za tydzień, albo — nigdy!

Tečka przytuliła się do ściany, drżała jak ptaszę, które widzi śmiertelny cios w serce swoje wymierzone, a unikać go nie może... Z zapartym oddechem, z rozwartymi szeroko oczyma czekała odpowiedzi ojcowskiej. Nagle zabrzmiał głos podkomorzego:

— Więc — nigdy!...

Słychać było jak powstawali obadwaj, jak piersi ich dyszały, by dwa miechy kowalskie, jak Zawiszyński sarknął:

— *Amicita!*... — i pięścią w stół palnął.

Wyraz ten przed samem oknem wymówił.

Tečka pierzchnęła — przesunęła się pod ścianami domu, a nie chcąc być widzianą, obiegła dwór i w konopie wpadła, natykając się wprost na pana Filipa.

— Jezus Marya! Waćpan tutaj? — krzyknęła.

— Panno Tećko! — zawołał Filip. — Panno Tećko!...

I nic więcej wymówić nie mógł, tak mu dech coś zaparło; pochwycił tylko obie rączki dziewczyny i do ust przytulił, całując bez umiarkowania.

— Nigdy! nigdy!... Wiesz, waćpan, nigdy!... — wołała dziewczyna.

— Co, panno Tećko... co?... pytał, nie rozumiejąc nic a nic pan Filip.

— Ociec powiedział, że pana Michała nie będę nigdy!...

— Jam to przedtem powiedział!...

— Ale Zawiszyński groził...

— Komu?

— Mówił, że Michał nikomu sobie z przed nosa mnie zdmuchnąć nie pozwoli!...

— Niech się wylize pierwej, bom go skrobnął uczciwie...

— Jakto? co? kiedy?... — zawołała Tećka, w dłoń uderzając.

— Wybacz, waćpanna, zem danego nie dotrzymał jej słowa... ale sam mnie nagabał. Cały „*Pater noster*” zmówiłem, przy „*Zdrowaśce*” musiałem lupnąć.

— To dobrze, że waćpanu się nic nie stało... Ale... panie Filipie...

— Co? panno Tećko!

— Minęło jedno nieszczęście — czeka drugie!...

— Jakie, panno Tećko?

Tećka opuściła oczy do ziemi, a lzy sznurkiem pobiegły.

— Waćpan nie opuścisz mnie?

— Jużem raz rzekł, iż życie za waćpannę oddam.

Dziewczyna podniosła oczy, spojrzała w twarz pana Filipa i rzekła jak dawniej:

— Ach! jak ja waćpana miłować będę!

Nagle rozległ się głos podkomorzego.

— Tećka!...

Dziewczyna skoczyła, lecz znów podbiegła do pana Filipa.

— Rozumiem, że waćpan chciał tylko ze mną widzieć się, niepokój cię trapił, niepewna dola moja, sieroctwo i opuszczenie... Ale ojciec mój po stronie waćpana teraz stoi, waćpanu nic nie odmówi, choćby i o mnie samą chodziło. Żegnaj waćpan, a czekaj nas u siebie — tak ociec chce!...

Zrobiła dyg i znikła.

Pan Filip stał i śledził oczyma ruszające się zielone kity konopi; raz jeszcze mignęła błękitna spódniczka Tecki, raz jeszcze złociste włosy jej dojrzał — i znikło wszystko.

Wtem koń zarżał.

— Cicho!... — szepnął pan Filip.

— Kto tam? — odezwał się nagle głos gruby i postać Zawiszyńskiego wysunęła się z zarośli.

Wzrostu był potężnego, łeb miał siwy, twarz ściągłą i suchą, wąs sumiasty, a brodę strzyżoną przy skórze samej. Podszedł, zatrzymał się, brwi ściągnął i spytał:

— Kto ać?

— Zda się marszałka Zawiszyńskiego widzę! — rycerz na to.

— No, tak — a waćpan?

— Filip z Konopi.

— W konopiach chyba... Ale co asan tu robisz?...

— Ba! — odpowiedział pan Filip. — Łatwiej uczynić pytanie, niż dać odpowiedź na nie...

Zawiszyński zmierzył go od stóp do głów.

— Zapłacisz mi ać za szkodę—rzekł powoli a dobitnie.

Odwrócił się i odszedł — a w duchu szepnął:

— Ty to Michałkowi mojemu stołek podsta-wiłeś... Spróbujemy się, Filipku!...

Wtem w dziedzińcu, na koniu rozpartym wpadł Wichroń... Jakiś zamęt zrobił się okropny, nawoływanie, gwar, rwetes, ale pan Filip nic z zamieszania tego zrozumieć nie mógł, zasłyszawszy tylko głos Wichronia, szepnął do siebie:

— Czy to czasami pana Michała dyabli nie wzięli?

Serdecznie jednak życzenie pana Filipa nie sprawdziło się. Wichroń donosił jeno Zawiszyńskiemu o wypadku, jaki jego Michałka spotkał. Oczywiście, że łgał jak najęty, winę całą zająścia na Filipa składając. Podkomorzy już wiedział, co o tem sądzić, ale pan marszałek raz wraz podbiegał ku niemu i pryskał:

— A co, podkomorzeńku — a co? kto zbój? kto napastnik?... Gadaj Wichroń! Cięty bardzo? żyw będzie?...

Stali na dziedzińcu, przed dworem, plecami obróceniu do bramy wjazdowej. Tećka siedziała opodal na ławie pod lipą, na ojca to na marszałka z niepokojem patrząc.

— Żyw, bo żyw — odparł Wichroń — choć ma całe lico okrutnie rozprute. Cierpi strasznie i w mać laje, że go na świat wydała.

— A o mnie wspomina?

— Wspomina, ale szpetnie.

— *Significat*, że mentem stracił. Ale gdzieście wy byli, nicponie? ty i Kosmyk, że tak porzezać synaczka mego dali? Nie mieliście szabli przy boku, a choćby i pięści dwie?

— Gdyby wezwał... Ho-ho! — zawołał Wichroń — toby Michałek sam radę mu dał, ale Michałek, Kosmyk i ja, przy stole siedzieliśmy i obierali jaja z łupin, gdy drzwi się otworzyły i smok ten wszedł! Zły na nas był, żeśmy go przed dwiema niedzielami sumiennie opatrzyli, i zanim Mi-

chałek zorientował się i za kord chwycił, zdrajca przejechał go po fizynomii.

— A wy? — wrzasnął marszałek.

— Do niego — na sztych, ale umknął, zaciekłość naszą widząc...

— Łżesz! — dał się słyszeć głos jakiś tuż nad Wichroniem.

Był to pan Filip, który, posłyszawszy narrację Wichronia, niedostrzeżony na dziedzińiec wszedł, prowadząc konia za uzdę.

— *Dominus mecum!* — wrzasnął Wichroń, i, ułapiwszy Zawiszyńskiego za połę żupana, do ziemi przypadł, pod zad marszałkowski chroniąc się. Tecka zerwała się z ławy, zdziwiony podkomorzy oczy szeroko rozszerzył, a Zawiszyńskiemu krew uderzyła do głowy, lecz, widząc przed sobą nieustraszoną postać pana Filipa, którego ni Tatar zmógł, ni Szwed pokonał, ni Bałtyk utopił — zmiarkował się i, osłaniając prawicą przykucniętego do ziemi Wichronia, lewicę przeciwko panu Filipowi wystawił i mówił stłumionym głosem:

— Usuń się, acan — usuń!...

— Daj mi go waszmość — sapał pan Filip — raz go tylko obłapię!...

— *Deus misericordia mea* — seplenił Wichroń, bodząc łbem w tył marszałkowski.

— Usuń się asan, usuń — prawil Zawiszyński.

— Daj mi go waszmość! — zachrapał pan Filip.

Z postawy i głosu pana Filipa śnać było, że w chwili tej i godności marszałkowskiej nie uszanowałby, co widząc, Tecka, podbiegła i, zasłaniając sobą Wichronia:

— Nie rób mu waćpan nic złego! — zawołała.

— Jedno mu zadam tylko pytanie, panno Tećko! jedno pytanie...

— A nie tkniesz go waćpan?

— Nie tknę...

Wtedy Zawiszyński za łeb wziął Wichronia i postawił przed panem Filipem.

— Łżesz?—spytał go krótko pan Filip.

— Łżę!—odpowiedział Wichroń, dygocąc.

— *Vale!*—rzekł pan Filip, kłaniając się obecnym. Siadł na koń, do Tećki się uśmiechnął i stępa za bramę wyjechał.

Wtedy cała pasya, tłumiona w piersi marszałka, na zewnątrz wyszła. Trzymając Wichronia za czuprynę, szarpnął nim raz i drugi, a potok słów najobelżywszych z gardła mu wypadł.

— Draniu, obwiesiu, za...! To po to Michałek cię trzyma, byś łgał?

— Prawdę-m rzekł.

— Jaką prawdę?

— Powiedziałem: łżę — a to święta prawda była!...

— A jak *tam* było?

— Sumiennie brzęknęli w szable, jeno Michałek nie zdzierzał.

— A wy? w sukurs nie przyszli?

— Balim się!....

Zawiszyński w pięść plunął i w gębę chciał mu dać, ale pomiędzy nim a Wichroniem stanęła Tećka.

Marszałek ochłonął.

— Wybacz, podkomorzeńku—rzekł—ale do

synaczka mi śpieszno, a konie i karoca do usług!...

Za chwilę jedna landara unosiła pana marszałka do Grobelnej, a druga Bylinów do Kaczorówki.

Gdyby spodziewał się pan Filip tak szybkiego wyjazdu podkomorzego z Jaworzyna, nie powalowałby tak stepem, jaknajkrótszą drogę przez Kaczorówkę do Konopiów obierając: na przydrożnej mogileby usiadł, na rozstaju zaczekał, w poprzek mostkaby stanął, ale przy Tećce byłby i tajałby jak воск przy niej. A i tak łaska Boska przy nim była, gdy mógł się z Tecką zobaczyć. Myślał wprawdzie, że na łączce, w lesie, albo przy bławatkach wśród pola spotka swoje ukochanie, tymczasem zobaczyli się w konopiach—ale to rzeczy nie zmienia: widział Teckę, wycałował dłonie obie, a to, czego od niej się dowiedział, przepelniło go taką słodkością, iż zdawało się Filipowi, że był rostruchanem, małmazją po brzezi wypełnionym.

„Ociec po stronie waćpana teraz stoi, waćpanu nic nie odmówi, choćby o mnie samą chodziło”.

Te słowa dzwoniły mu w uszach, a szczególnie zdanie ostatnie:

„Chodźby o mnie samą chodziło!”

Ile razy wspomni o tem, to: „Hop!” na koniu krzyknie i odsadzi się o staj kilka od karocy pana podkomorzego, która sunęła za nim, ku Kaczorówce śpiesząc.

Od Jaworzyna do samej majątności pana Byliny, gładki rozlewał się step, że wzrok dobry



na mil dwie bez przerwy mógł sięgnąć. Zaledwie więc landara podkomorzego za wrotami dworu znalazła się, Tećka wnet wychyliła się przez okno, z pod dłoni spojrziała na równinę i zakrzyknęła w głos:

— Pan Filip!

Kazała fernalowi popędzać, ale i wyciągnięty galop na nic się nie zdał, bo pan Filip, aczkolwiek jechał stępa, czasami przystawał nawet, lubując się myślami własnymi, lecz wnet „Hop!” wołał i na kilka strzał tatarskich oddalał się. Niedomyśliwała się Tećka, że ona to była powodem tych skoków nienormalnych, że ilekroć pan Filip wspomniał na słowa jej: „ojciec mój przy waćpanu stoi” tylekroć taka fala gorąca krwi do serca jego napływała, że usiedzieć spokojnie nie mógł, hop! hop! wykrzykiwał i naprzód sadił. Karoca musiała bieg zwolnić, a pan Filip roztopił się w mgle stepowej.

Dzień miał się ku zachodowi, gdy Bylinowie zajechali przed dworzec swój. W domostwie ruch się zrobił, służba wybiegła, witając pana i pannę, która, rozdawszy pocałunki pomiędzy dziewczki dworskie, nie pozwoliła żadnej za sobą iść, lecz sama ku onej wieżyczce pobiegła, ku oknu one-mu, ku któremu tak palpitowało serce pana Filipa.

Był to pokój Tećki, biały, cichy, pelen kwiatów i woni i marzeń dziewiczych pokój. Pod osłoną z muślinu łóżeczko stało, obrazek Matki Boskiej ze ściany patrzył, zwierciadło, szafa gdańska, kwiaty w doniczkach, krzesel kilka, stolik i Psalterz Dawidowy w przekładzie Kochanowskiego.

Tečka wbiegła i zatrzymała się w połowie pokoju.

— Ach! — zawołała uradowana — mój stolik, moje kwiaty, mój Jan Ko...

Ręka po Psalterz wyciągnięta, do kolan osunęła się nagle, twarzyczka zbladła, z piersi wydobył się głos do cichego łkania podobny, z oczu trysnęły łzy... Zbliżyła się do okna, usiadła, w dłoniach ukryła twarz—i bardzo płakać zaczęła.

Słońce zaszło, zmierzch zapadł, a ona jeszcze płakała. Wreszcie zmogła się, wstała, przemyśla oczy, by ojciec czerwonoci ich dopatrzeć nie mógł, wzięła do rąk Psalterz Dawidowy, przytuliła do ust, które drżały, jak dwa listki róży i ucałowała dwukrotnie.

Za drzwiami dały się słyszeć kroki — ktoś szedł po schodach...

— Ociec! — szepnęła Tečka.

Położyła trzymaną książkę i, usuwając się w cień, na krzeselku w kącie usiadła.

Drzwi się otworzyły, wszedł podkomorzy, a widząc szary cień Tečki zaledwie rysujący się wśród mroku na tle ścian szarych, przeszedł się parę razy wzdłuż izby, wreszcie taboret wziął i naprzeciw córki usiadł.

— *Homo proponit, Deus disponit* — stało się! — po chwili się ozwał...

Tečka milczała.

— Czy wiesz, acanna, do czego to mówię?

— Domyślam się, tatuś!

— Domyślam się!.. — sarknął podkomorzy. —

Gdyby nie abominacya waćpanny, jaką do Mi-

chalka czujesz, nie rozstałbym się z nim tak łatwo. Dziś nawet, gdyby waćpanna przekonać się dała...

Tecka zerwała się z siedzenia.

— No nie, widzę, że nie — ciągnął podkomorzy.—Gdybym waćpannę miłował mniej, gdyby zresztą nie ten Filip z Konopi, który wyrwał się...

— Bóg go zesłał na uratowanie nas—szepnęła Tecka.

— To też powiedziałem: *Deus disponit...* Ale gdybyś waćpanna rozum miała, tobyś nie odrzucała tak z lekkim sercem Grobelnej, Topieli i Jaworzyna. Wychowałem waćpannę, niby paniątko jakie, nie po to, ażeby marniała na kresach, ale na wielkim świecie lustr miała. Kaczorówka jest, uzbierało się kapitału trochę, ale to nie fortuna. *In recompensam* trudów moich i czułości ojcowskiej chciałem od waćpanny posłuszeństwa, jakie od dziecka rodzicom się należy. A źłem waćpannie nie życzył o Michalku zamysławiając. Teraz co? Zawiszyński w oczy mi ćwika, żem parol złamał, *amicitii* nie dochował, a to jedno, coby w pysk mi dał i szlachectwu mojemu zaprzeczył. Waćpanna nie myśl jednakże, żem słowo cofnął z powodu onych pasów i ornatów; (czasu wojny różne nieprawidłowości bywają, do których człek w dniach zwyczajnych ma *abominationem naturalem*) ani z powodu też usiekania pana Filipa, bo i to gorącością krwi tłómaczyć można: jenom słowa waćpanny zasłyszał, gdym zdrzemnął, po onym wypadku z końmi, a waćpanna myślała, że śpię i w lament do

pana Filipa: „Ratuj waszmość, ja pana Michała nie chcę, nie chcę, jak i nigdy nie chciała. Rodzicowi sprzeciwić się trudno, ale można się—zabić...”

Tečka zerwała się i podbiegła do ojca.

— Siadaj, waćpanna, a słuchaj, bom jeszcze wszystkiego nie wypowiedział.

— Tatuś!—jęknęła dziewczyna.

— Co? przekonasz się do Michałka?

— Nigdy!

— I jam Zawiszyńskiemu powiedział: nigdy! A teraz co? Czy rutkę waćpanna siać będziesz?

Tečka złożyła ręce jak do modlitwy i zbliżyła się do ojca, ale podkomorzy zerwał się i krzyknął:

— Cicho!... Nie dałem się waćpannie zabić, nie dozwól i mnie... struć się...

Tečka wróciła na swoje krzeselko w kącie pokoju ukryte, podkomorzy siadł także, chwilę ciężko oddychał, wreszcie ponurym ozwał się głosem:

— *Suppono*, że o klasztorze waćpanna nie myślisz także?

Tečka znów podniosła się z siedzenia, milczała chwilę, polykała lzy, otrząsając się z myśli jakichś, które, jak fale o brzeg morza, o mózg jej uderzały, aż uśmierzone siłą przemożną, ukłóły się i ucichły... Odetchnęła głęboko i rzekła cicho, ale głosem spokojnym:

— Nie, ojczel!

— Dziękuję, waćpannie choć za to słowo pociechy, choć za słabą nadzieję, że jeszcze na kolanach swych wnuka pokolyszę. Ale kto o wać-

pannę pokusi się? kto na kresy zabieży, by godny Bylinów był? Ni Gliński, ni Ossoliński, bo tamci pamiętają, że do nich należało pół Litwy, a ci rosną w splendor i zaszczyty, i wyżej a wyżej patrzą. A w czepcu waćpannę muszę zobaczyć, nim do trumnicy pójde.

— Pan Filip z Konopi weźmie mnie—szepnęła Tećka.

— Wiem, że przed waćpanną drobi, a i waćpanna nie krzywo na niego patrzysz. Lecz z kim a z kim, to teraz z nim właśnie Michałek zadrze, sprawy onej luzem nie puści, konfuzyi nie zniesie. Strzeż się, waćpanna!

— Pan Filip mnie obroni.

Zapanowało milczenie.

— Tećka!—ozwał się po chwili podkomorzy.

— Co, tatuś!

— A gdyby do Krakowa wyjechać, do Warszawy, na dwór królewski... Może tam...

— Nie, tatuś!—odpowiedziała Tećka.

— Więc nikt, nikt inny, jeno już pan Filip—szepnął podkomorzy.

— Tak, tatuś!

— Chudopacholski to ród... ale, prawdę rzec, to go pan Filip czynami swoimi uświetnił. Rycerz to praw, lecz czego innego chciał, Tećko, dla ciebie. Co on ma? Konopie bez kapitałów, Kaczorówce nawet w czwartej części nie dorównyujące; godności żadnych, o które nie kwapił się może i nie dbał, jak o furgony, które z wielmożnego jaśnie wielmożnym uczynić go mogły. Ale to trudno! przeciw niemu nie mam nic. Zresztąm rzekł, że nie odmówię mu w niczem i zabożyłem

się. Słowa dotrzymam, a wiem, że on o waćpan-  
 nęby się upomniał. Stało się, zresztą waćpanna  
 sama tak chcesz. Nie zawadziłby mu jednak  
 urzędzik jaki... cześnikostwo... starostwo... Wart  
 tego!... Zapomniał o nim król, Bylina przypomni,  
 a i do Czarnieckiego trafi i szepnie: mości wo-  
 jewodo, Filip z Konopi na słówko przychylnie  
 waszmość pana czeka. Wiem, że starostwo szczy-  
 żewskie *vacat*. Ba!... Jutro ślę listy do imćpana  
 Zabielly, który przy królu jest... Przypomnę mu  
 Filipa, Chmiela, Bałtyk... Jeżeli nie chcesz być  
 Zawiszyńską, to bądź starościną szczyrzewską...  
*Dixi!*

Umilkł—i lekkie chrapanie dało się słyszeć  
 w pokoju.

Pan podkomorzy spał.

Tecka podeszła na palcach, położyła mu  
 małą poduszeczkę pod głowę i — oparłszy się  
 o okno, rzuciła myśl i spojrzenie w przestrzeń.  
 Nad stepy księżyc się podniósł i srebrny blask  
 rzucił. Promienie jego odbiły się w oczach Tecki,  
 w których dwie duże lzy błysnęły.

Spadły.

Tecka drgnęła.

— Ostatnie! to już ostatnie — wyszeptala  
 cicho.

Hen—daleko, wśród traw stepowych zaryso-  
 wała się na tle nieba sylwetka jeźdźca.

Był to pan Filip.

Podczas gdy Bylinowie jechali gościńcem,  
 on przez step sadił. Ale, że głodny był, skrzył  
 do pierwszego lepszego chutoru, gdzie stary Pa-  
 nasiuk z rodziną mieszkał; dwie gładsze zsia-

długo mleka ze stosowną porcją chleba czarnego zjadł, poczem, gdy sen go zmorzył, zaszył się w konopie i odurzony ich zapachem, do samego niemal wieczoru przespał. Obudził go insekt jakiś, który w sam nos go uciął. Pan Filip zerwał się zamachnął prawicą uczciwie, chcąc napastnika ukarać, ale szkodnik bzyknął mu nad uchem i uleciał w świat boży.

Księżyc wschodził, miły chłód wiał dokoła, obfita rosa perlila się na stepie, gdy pan Filip do Kaczorówki dojeżdżał. Nie wiedział nic o powrocie Bylinów, ale nie mógł sadyby pana podkomorzego ominąć, by na dom nie spojrzeć, na wieżycze oka nie zatrzymać, w czarną kratkę okienka nie zapatrzyć się i nie szepnąć do siebie w duchu:

— Pies ze mnie, jeżeli to nie mojej Tećki komórka.

Ale zaledwie wśród traw stepowych zatrzymał się, jak tuż za nim jakiś szmer dał się słyszeć i coś, jakby do ziemi przypadło.

Pan Filip obejrzał się.

Noc była jasna, bo księżyc, rozkochany w stepie naddniestrzańskim, coraz srebrzystszym światłem go zdobił; dokoła równina, trawa w pas, ale, że wiatr gdzieś się ukrył, najmniejsze źdźbło trawy nie poruszało się. A jednak pan Filip czuł wyraźnie, jak coś za nim przypadło, zresztą i rumak chrapy rozdał i zarżał lekko.

— Sumak, czy jaki łotrzyk stepowy?—szepnął rycerz.

I podejrzone miejsce zaczął w kółko objeżdżać, coraz bardziej krąg ścieśniając.

Po baczmem rozpatrzeniu się, pan Filip zauważył o kroków kilka od siebie lekki ruch zieliska. Podjechał—i dojrzał postać jakąś, nieszczęśliwą, skuloną, która, widząc nadjeżdżającego, złożyła błagalnie ręce, modlitewnie jakoś patrząc w twarz pana z Konopi.

— Kto tam?—odezwał się pan Filip.

— Ja—dał się słyszeć głos cichy, ale dźwięczny, lecz męski i młodzieńczy.

— Wyjdź wasze z tych burzanów—mruknął pan Filip.

Łagodny głos mówiącego dodał odwagi nieszczęśliwej figurce, która wysunęła się z zarośli i stanęła przed panem Filipem w postaci urodzivego młodzieńca.

Rycerz ze zdziwieniem spojrział na nieznanego. Młody był, więcej nad dwadzieścia trzy lata na ziemi nie przeżył; górne wargi zaledwie dziewiczy, jasno-płowy wąsik osiewał, oczy patrzyły błękitem, ale tak śmiertelnie smutne były, jakby nic, nic, jeno nieszczęście wciąż widziały przed sobą. Rogatywkę, okrytą białym barankiem na głowie miał, żupanik z drelichu, wytarty trochę, opasany pasem skórzanym, wraz z kalamarzem i piórnikiem, jaki nosili palestranci. Z postaci całej zmęczenie patrzyło i niedola jakaś, ale twarz była tak śliczna, że pan Filip zrozumieć nie mógł, skąd to misterne licho na pustym naddniestrzańskim stepie znaleźć się mogło.

— Kto waćpan jesteś i skąd się tu wzięłeś—zapytał.

Młodzieniec milczał chwilę, jeno oczy smutne na dom Bylinów obrócił i patrzył.



— Kto jestem, kto jestem... — wyszeptał.

— Tak!

— A nie zdradzisz mnie waćpan? — zapytał szybko młodzieniec, zwracając na Filipa spojrzenie, w którym dziwne ognie zabłyśły.

— Przecie nie zbój z waćpana i nie banit?... —

— Nie, nie — pochwycił szybko nieznajomy.

— *Tandem?*

— Nie chcę, by o mnie świat wiedział, nie chcę, by wiedział ten kamień przydrożny, że tu jest.

— Czy wasze nie jesteś na umyśle trącony? — zapytał pan Filip.

— Jeżeli tak sądzisz o mnie, źle waćpan sądzisz — odpowiedział młodzian.

— Nie pytam więc kogoś, ale może powiesz, skąd jesteś i co tu robisz?

— Wszystko powiem — pochwycił nieznajomy — jeno słowo daj mi waćpan, że nie zdradzisz.

— Jakiem Filip z Konopi.

— Co? co? Filip z Konopi? — zawołał młodzianaszek. — Waszmość jesteś Filip z Konopi, którego imieniem Rzeczpospolita cała rozbrzmiewa, a Bałtyk dotąd ze zdumienia wyjść nie może? Waćpan ten jesteś, którego ani Chmiel, ani Szwed nie urzezał, o którym ja *epitaphium* napisałem, zanim dowiedziałem się o szczęśliwym waszmości powrocie przez morze? A komuż wierzyć, jeśli nie tak sławnemu rycerzowi z pod chorągwi Czarnieckiego? Pozwólże waść strzemię ucałować, a hold należny takiemu rycerzowi oddać.

To mówiąc, skoczył do kolan pana Filipa

i zanim ten się opamiętał, srebrne strzemię za-  
brzękło od pocałunku.

— Dajże waść pokój, a nie kompromituj  
mnie! — zawołał pan Filip, ale rad był w duchu,  
że Rzeczpospolita cała wiedziała o nim, i że ten  
smyk palestrancki *epitaphium* nawet napisał.  
Uśmiechnął się, położył dłoń na ramieniu młodzie-  
niaszka i tak mówił:

— A cóż teraz będzie z nagrobkiem waści-  
nym, gdym żyw jest?

— Przyda się, kiedy po najdłuższym żywo-  
cie *ad patres* waćpan pójdiesz, abo nie — zmia-  
ny poczynię, bo tam Nimfy popłakiwały nad śmier-  
cią waćpana, na koralowem łożu układając trupa  
waćcinego, a teraz w gloryi staniesz a pean wszyst-  
kie ryby morskie zawiodą ze szlachetnymi delfi-  
nami na czele.

— To waćpan należysz do *generis poeta-  
rum*? — zapytał pan Filip.

— Niby tak — odparł młodzieniec.

— Nazwisko waćpana?

— Cichocki Jaśko.

— Ród znany.

— Niech on waćpana w błąd nie wprowa-  
dza — podchwycił młodzieniec. — Ród znany, ale  
zubożały. Ojciec mój fortunę miał, ale nie szukał  
jej ninie: utonęła w potopie Rzeczpospolitej i te-  
raz żyję na łasce — u stryjca... — szeptem do-  
kończył.

— A stryj gdzie?

— W Krakowskim, Balice w dzierzawie  
trzyma.

— Nie dba o waćpana?

Młodzieniec zmilczał.

— Rozumiem — mruknął pan Filip. — Waćpan potrzebujesz wsparcia.

— Oj! nie, nie! — zawołał szybko Jaśko; — waćpan mnie źle rozumiał. U stryjka dach mam a i o żołnierski chleb bym się pokusił, jeno...

Bladość okryła twarz Jaśka, a duże łzy w oczach stanęły.

— Jeno co?...

— Nie mogę! wybacz waćpan, ale powiedzieć nie mogę...

— Łamie ciębie nieszczęście jakieś?

— Tak! — szepnął młodzieniec. — Tylko nie myśl waćpan nic złego — podchwycił znowu — bo to byłoby gorsze, niż śmierć!

— Cóż ciębie aż tu przygnało? — zapytał po chwili pan Filip.

— Tęsknota, ból, rozpacz... To, czego wypowiedzieć nie mogę.

— A skąd ciębie to lichy gna teraz?

— Z Balic.

Pan Filip skoczył.

— Bóże się Boga taki świata kawał, piechotą?

— Ahaswerus — szepnął poeta.

— Jeść mi się chce — odezwał się pan Filip. — Podobno i waszmość nie byłby od tego, bo oprócz palestranckiego kałamarza i madrygału w zanadrzu może, nie wiem, czy masz kordyał inny przy sobie. Pójdź wasze ze mną, a rozgadamy się lepiej przy szklance miodu i wędzonki kawale.

— Dokąd waszmość zamierzasz iść? — Jaśko zapytał.

— A jużcić do księdza.

— W Kaczorówce?

— A gdzie?...

— Ostaw mnie waćpan lepiej — ja nikomu z tych ludzi pokazywać się nie mogę...

Pan Filip nie wychodził ze zdumienia.

— Gdzież waćpan noc myślisz przepędzić?

— Na stepie... dzień — dwa... i nazad do stryjka.

— Zamrzesz!...

— Bógby dał, by tak było!...

— Wstydź się, młokosie, o rzeczach takich prawić. A toż obraza boska i grzech!...

— Ostaw mnie waszmość, a o nazwisku mojem, o tem, żeś spotkał mnie tu, przed nikim nie wspominaj!...

— Związałeś mnie słowem—trudno!... a rad-bym ci, młodzieńcze, choć nie wiem z jaką pomocą przyjść...

Jaśko pomyślał chwilę, potem spojrział na pana Filipa, delikatną dłonią swoją dotknął szorstkiej dłoni rycerza i rzekł jakimś głosem dławiącym się:

— Jednej łaski od waćpana żądam.

— Mów, wasze!...

— Pozwól mi do siebie przyjść i dzień, dwa przebyć w Konopiach. Nazwę się... Jak się nazwę?... Niech będzie Stach z Konar... Zapamiętać łatwo mnie i waszmości. Na strychu zamieszkać, czy gdzie waćpan rozkażesz... Spokoju ci nie zamączę—wzmogę się, podzdrowieję—i pójdę...

Ze słów tych wiał jakiś smutek bolesny, jakaś tajemnicza rozpacz, której przeniknąć nie

sposób było. O występku jakimś, któryby kazał Jaškowi się ukrywać, mowy być nie mogło: szlachetne czoło miał, oczy smutne, lecz jasne, a i w całej postawie coś rycerskiego było. Nie odpychał, lecz przyciągał ku sobie tym smutkiem, tą boleścią, tą młodością swoją. Zresztą pan Filip pewny był, że gdy przylgną do siebie, niejedno wyznanie z tej chorej duszy wydobędzie. Ostawić tak nie mógł tego Ahaswerusa, gdy ten chwili spoczynku zażądał; jedno mu pewnem zdało się, że nazwisko Jaška było tu nie obce, kiedy ukryć je pragnął. Mógłby łatwo wypowiedzieć przed księdzem w Kaczorówce, podkomorzym, przed Tecką nawet, i kto wie, czyby się nie wyjaśniła rzecz cała. Ale słowo dał, dotrzymać musi; kamień przy drodze o niem wiedzieć nie powinien. Zwrócił się więc do Cichockiego i rzekł:

— Ale rad będę, gdy waść do mnie w gościnę zawitasz. W Kaczorówce wóz najmę, by waćpana do Konopi dostawił.

— Nie, nie!—zawołał Jaško.—Z Balic aż tu piechotą przyjsć mogłem, to i do Konopi zdążę.

— Nad ranem chyba waść staniesz u mnie...

— Nocką najlepiej iść, bo ludzi się nie widzi.

— A wilki?!

— Gromniczna minęła. A zresztą, co mi tam!... Bronić się nie będę, gdy zechcą kości moje schrupać.

— Prawdać, że niewiele pożytku by miały, bo ścierwem nie grzeszysz!...

— Więc i obawy niemal!...

— A jednak piechotą iść nie pozwolę.

— A jak?

— *Locum* dam waćpanu za plecyma mojem—i jazda!... jeno trzymaj się wasze mnie w pół, bo koń, nie przyzwyczajony do dwóch sedesów, figlować może.

— Za pas was chwycę.

— Chodź wasze!

To mówiąc, pan Filip ujął młodzieniaszka za kołnierz i jednym rzutem ręki za plecy sobie zarzucił. Koń zwinął się, dał szczupaka, ale Jaśko za pólki żupana Filipowego się chwycił i ekwilibrium nie stracił.

— Siedzisz?

— Siedzę, wasza miłość.

Pan Filip dał ostrogę koniowi i klusem ruszył.

— Wy — od Bylinów jedziecie? — zapytał po chwili Jaśko.

— Niema ich w Kaczorówce.

— Niema?... A gdzie są?...

— W Jaworzynie.

— Tam... tam... — wyszeptał młodzieniec — i zdało się panu Filipowi, że zachwiał się.

— Znasz, wasze, Bylinów? — zapytał.

Pan Filip posłyszał zgrzyt zębów Jasia.

— Znam — odszepnął po chwili — ale nie chciałbym widzieć pana Jana Byliny, nie chciałbym... Ot, powiem waćpanu szczerze... skrzywdził mnie, okropnie skrzywdził, a ja pomsty nie mogłem nawet wziąć na nim!

Pan Filip obrócił głowę i przez ramię spojrział na Jaśka.

— I teraz wasze nie weźmiesz — rzekł dobitnie.

— Ni teraz, ni nigdy, chyba... ale tego nie daj Bóg!...

Wstrząsł się, jakby złą myśl jakąś odganiał i dłonią po czole powiódł.

Chwilę jechali w milczeniu.

— Wasze musiałeś czas jakiś tu przebywać? — zaczął Filip.

— Przebywałem.

— Pannę Bylinównę znasz?...

— Znam.

— I co?...

Panu Filipowi się zdało, że Jaśko znów się zachwiał; zwrócił się więc półtwarzą do niego i spytał:

— Siedzisz?

— Siedzę, wasza miłość...

— Pytałem waćpana o pannę Bylinównę.

— Znam.

— I co?

— Jeno modlić się do niej — odpowiedział Jaśko.

Pan Filip uśmiechnął się i w dwójnasób za te słowa Jaśka polubił. Scisnął koniowi brzuch i pełnym galopem pomknął. Księżyc świecił z boku, na białem tle traw odbijał spotworniały kształt rumaka i jeźdźca o głowach dwóch. Pan Filip spojrział na cień ten sunący się po trawach, podobny do jakiejś bestyi apokaliptycznej, głową ruszył i pomyślał sobie:

— Dobrze, że ludzie śpią!...

Koń rwał z kopyta, Jaśko obłapiwszy w pół rycerza nie rymował z galopem, bo mu wygięty

łęk siodła nie w akuratne miejsce godził, więc, gdy pan Filip jechał, jak Bóg przykazał, Jaśko całkiem inaczej czynił, aż rumak dziwować się począł, myśląc zapewne, że jakaś rzecz nieforemna na jego się grzbiecie dokonywa.

Pan Filip co chwila zwracał się do Jaśka i pytał:

— A siedzisz tam?

— Siedzę, wasza miłość!

Tak dojechali do wsi.

W chatach chłopskich światła były już pogaszone, pustka i cisza zalewała wieś całą, jeno stróżliwe psy, zobaczywszy dziwoląg jadący, szczekać, skowyczeć i wyc zaczęły. Nadaremno pan Filip: „Cichoj, psisyny!” wołał, „ajajaj!” wzdłuż całej wsi brzmiało. Stróż, zasłyszawszy tentent, bramę otworzył, nagle wrzasnął:

— Czort!...

I, jakby mu kto nogi podciął, siadł na zadzie.

— Durniu, to ja! — prysnął pan Filip.

W drzwiach domu stanął Iwaśko.

---

## VIII.

Biedny Jaśko okrutnie czuł się zbity. Nie tak może we znaki mu się dała ogromna przestrzeń, jaką z Balic aż nad Dniestr pieszo przebył, niż podróż odbyta poza plecyma pana z Konopi. Śledziona go bolała, w dołku piekło, w krzyże łamańce czuł, a kolana wciąż się zginały, jak u starego trzęsinogi, pusty zaś żywot upominał się



o przynależną sobie daninę. Iwaśko więc, wyręczając śpiącą Sójkowską, stół nakrył, gorzałkę podał, a że w kredensie zawsze coś do przetrącenia się znajdowało, nie narzekał więc Jaśko na gościnność domu Filipowego.

Gdy sobie podjadł, zmógł go kamienny sen. Pan Filip, chcąc, żeby gość jego uczciwie się wyspał, swoje odstąpił mu łoże, sam zaś na sofie wyciągnął się.

— Cóż, panie bracie, załatwiłeś sprawunki?— spytał Iwaśka, do snu się zabierając.

— Wedle rozkazu — odpowiedział zapytany.

— I oddałeś interesowanym?

— Jak tyłkom z kałamaszki zsiadł.

— Radzi byli?

— Sójkowska takiego wrzasku narobiła, co ja aż się przestraszył, a Radwański trząśł się, jakby go *ciotka* \*) nawiedziła.

— A niech się cieszą... Dobranoc ci, Iwaśku,

W istocie obdarowani nie posiadali się z radości.

— Patrz asan, co za lustr, aż oczy w siebie wbiera! — krzyczała Sójkowska, altembasowi przypatrując się.

— Puch — puch — puch!... — powtarzał Radwański, gładząc sobole, do których dodatkiem i czapka puszysta była.

— Weź-no, asan, na siebie, a pokaż mi się, jakto tam wyglądasz. Czy poznam, że to asan?

Radwański zaraz się ubrał, czapkę nałożył, a szubę pętlicami ściągnął.

---

\*) Titka (ciotka) febra.

— A jak? — spytał.

— Hetman z waćpana! prosto hetman! — zawołała Sójkowska.

— A buława gdzie?

— Zaraz waćpanu dam tłuczek od moździerza.

Po chwili Radwański lewicą wsparł się o stół, jak to widział na starych hetmańskich obrazach, prawicę zaś, uzbrojoną tłuczkiem, wyciągnął przed się i gromko zawołał:

— Naprzód wiara!

Brew ściągnął, a tłuczkiem, jak buzdyganem potrząsał pod nosem Sójkowskiej.

— Waćpan wyglądasz, jak Jerzy Lubomirski! — zawołała stara panna.

— Kupą w kupę! — wrzasnął Radwański.

— Ojej! — zakrzyczyła Sójkowska. — W ziemiębym się zapadła, Turkiem będąc.

Pan Ignacy przez sekund kilka miał hetmańskie złudzenia. W sobie Lubomirskiego, w Sójkowskiej widział przerażone wojsko tureckie, a w tłuczku złotą buławę, brylantami sadzoną. Ale, machnąwszy kilkakroć gospodarskim narzędziem, zasapał się i rzekł:

— Astma dusi! Rumiankowego naparu aspanna mi dasz.

Zdjął szubę, pożegnał Sójkowską i na spoczynek do... oficyn udał się hetman wielkiej buławy.

Pan Filip obudził się przed świtem i już spać nie mógł. Napróżno przewracał się z boku na bok, sen nie przychodził, a nie wiedział sam dlaczego? Czy dlatego, że Tećka mu się kręciła

wciąż przed nosem, czy iż przedtem, zatrza-mywszy się w chutorze Panasiuka, po gospodarsku w konopiach się wyspał? czy może dlatego, że słowik pod samem oknem na krzewie bzu usiad i zaczął swoje tęsknoty wywodzić? Pan Filip najwyraźniej slyszal, jak ów minstrel wiosenny wolal:

— Teć—kaa! Teć—kaa!

— A czego? a czego?

— Pódź—pódź—pódź—pódź—pódź!

— Po co? po co?

— Bużkiii! bużkiii!

— Ciom—ciom—ciom—ciom—ciom!

— Cm—a! c—ma!

Miłosna ta rulada nie pozwoliła panu Filipowi oka zmrużyć.

Zerwał się...

Był już świt.

Podszedł na palcach do Jaśka, który z ręką, założoną pod głowę, na wznak leżał i spał smacznie. Lisiura, jaką był okryty, do połowy zsunęła się z łoża, ale młodzieniaszek nie czuł tego, oddychał swobodnie pierśią obnażoną, a takim głębokim snem spał, że można byłoby z moździerza wypalić, a pewnieby się nie obudził.

Pan Filip stanął nad nim i patrzył.

Płowe włosy Jaśka rozsypały się w kędziory bujne, usta barwy jagody kalinowej, małe a wilgotne były, że niejedna dziewczka udatna pozazdrościłaby ich Jaškowi; nad wargą złociły się, jakby z jedwabiu ukręcone wąsiki, a rzęsy przy-mkniętych powiek długim cieniem na policzki się

kładły. Adonis piękniej nie wyglądał, gdy dał się przez Afrodytę umiłować.

— Ładne chłopię!—szepnął pan Filip.

Wpół usuniętą lisiurę do rąk wziął i okrył go pieczolowicie.

Jaśko się poruszył, wyciągnął, otworzył oczy, spojrzął na pana Filipa... uśmiechnął się, a że dzień biały w źrenice mu łaskotał, naciągnął okrycie na głowę, skulił się, jak bobak, obrócił się bokiem i spał dalej. Znać było, że to spojrzenie wraz z uśmiechem do pana Filipa skierowanym, pozostawało daleko za granicami świadomości, że ów sen w tej chwili był potrzebą nad potrzeby, któremu się też oddał z całą rozkoszą znużonego a młodego ciała.

Pan Filip, z istic matczyną troskliwością, powtykał brzegi lisiury za krawędź łoża—i, przynecony wołaniem słowiczem: „pódź—pódź—pódź!” wyszedł do ogrodu.

Sójkowska wiedziała o powrocie Filipa, bo mówił, że powróci — ale o jego gościu przygodnym nikt jej jeszcze szepnąć nie mógł. Codziennie, o godzinie szóstej zrana, przynosiła panu Filipowi do łoża garniec zsiadłego mleka w hładyszce, które on sumiennie zjadał, jako ranny posiłek. I dzisiaj też o właściwym czasie weszła z zsiadłym mlekiem do sypialni dziedzica, a widząc okrytego lisiurką Jaśka, którego oczywiście za Filipa wzięła, stanęła nad nim z hładyszą swoją i odezwała się półszepem:

— Filipku!

Jaśko nie poruszył się.

— Filipeńku!

Jaśko ani mruknął.

— Mleko zsiadłe i śmietana! Spróbuj, a podziękujesz Sójkowskiej, takie smaczne.

Ale Jaśko nie dawał znaku życia.

Wtedy pani Sójkowska trąciła go w łokieć.

— Wstawaj że już, Filipku! A to ci się sen uda!

Do półrozbudzonej świadomości Jaśka doszły wyrazy: Filipku, Filipeńku, śmietana, wstawaj... Ziewnął więc szeroko, wyciągnął się, aż łoże zatrzeszczało i ruchem szybkim odrzucił z głowy lisiurę.

Sójkowska wrzasnęła na widok nieznajomej sobie figury młodzieńca; hładysz wypadła z rąk i roztrzaskała się o drewniany brzeg łoża, a zsiadłe mleko wraz ze śmietaną podlało Jaśka. Teraz Jaśko wrzasnął i zerwał się na równe nogi, stając na łóżku, czem znów dotknięta została panny Sójkowskiej skromność. Skoczyła w drzwi i ruszyła przez wszystkie pokoje, a spotkawszy Iwaśka, krzyknęła w głos:

— Pan dziedzic się przemienił!

Iwaśko buchnął śmiechem, domyślając się wszystkiego, zanim jednak zdołał z błędu starą pannę wyprrowadzić, już kuchta i Radwański o przemienieniu się dziedzica dowiedzieli. Oczywiście, rzecz się prędko wyjaśniła, ale pan Filip do rozpuku się śmiał i przy spotkaniu się z Jaśkiem wnet go zapytał:

— Słyszałem, że moja gospodyni w mleku kwaśnem wykąpała waćpana.

Znać było po Jaśku, że tak pokrzepiającego snu od dawna nie zaznał. Zmęczone oczy jaśniej

dzisiaj patrzyły, lekki rumieniec policzki zabarwił, uśmiech nawet na ustach się pojawił.

— Kąpiel kąpielą, alem jak król się wy-  
spal!...— odpowiedział.

Zaczął ubierać się szybko, a słysząc śpiewającego słowika, podszedł do okna i gwizdnął raz i drugi, raz jeden i drugi wziął trel i przedziwnie tak śpiewać zaczął, że pan Filip się zdumiał, a w ogrodzie słowiki wszystkie uderżyły w chór jeden. Szczególnie nuta jedna była w śpiewie Jaśka, która jakąś prośbą błagalną, jakimś wołaniem namiętnem, krzykiem duszy rozdartej brzmiała. Tego dźwięku słowiki uchwycić nie mogły, ucichły wszystkie naraz, jakby oniemiały ze zdziwienia wielkiego, czy zgnębione zwycięstwem nieznanego śpiewaka. Nagle i Jaśko umilkł—przymrużył oczy, dech wciągnął, a lekka bledź okryła mu twarz.

— Ależ z waćpana majster! — zawolał pan Filip. — Gdzie-żeś się tak wywodzić nauczył?...

— Gdzie? — powtórzył Jaśko, jak senny. — A! waćpan mnie pytasz?— odezwał się po chwili, jakby zbudzony. — O! zazdrościłem śpiewu słowikom, a zresztą mówią, że potrzeba tworzy wynalazki.

Wyszli do ogrodu, dokąd pan Filip kazał śniadanie przynieść, rozpytując, czy czego mu nie brak, prosząc, by o wszystkim otwarcie mówił.

— Ja myślą się biedzę, czem waćpanu i tak za gościnność zapłacę — rzekł Jaśko, ściskając dłoń pana Filipa.

Pan Filip uśmiechnął się.

— Gdyby każdy chciał nam płacić za to — rzekł — to w całej Polsce jeno samych krezusów byś widział. Lękam się tylko, żebyś nie zanudził się ze mną.

— Nie długo tu u was będę — szepnął Jaśko.—A wasbym chyba zanudzić bał się.

Pan Filip dłoń swoją na jego ramieniu położył.

— Powiedz mi, wasze, co ciebie boli?

— Nie poradzicie nic—szepnął Jaśko.

— Kto wie!

— Nie pytajcie!

— No, to przeczytaj mi waszmość *epitaphium* swoje.

Młodzieniaszkowi oczy zabłyśły.

— To mogę—odpowiedział szybko.

Poszli w cień lip, gdzie Jaśko z zanadru wyjął zwój papieru.

— To takie długie?

— Nie, tam są i inne rymy.

— Raz pierwszy widzę poetę — rzekł pan Filip.

Usiedli na ławie, młodzieniec wy dostał *epitaphium* swoje, wstał i czytać zaczął:

Rozplakał się pan Filip, jak bóbr, gdy Jaśko do miejsca doszedł, gdzie rycerz w morzu Bałtyckiem utonął, a Nimfy zwłoki jego na grązlach i rdestach wodnych ułożyły:

...Śpij snem wieczystym, rycerzu wspaniały,

Którego szwedzkie, ni tatarskie strzały

Przemódz nie mogły, aż wzburzone morze

Dało ci łoże.

Lecz gdy wieść srogim lamentem uderza,  
 Jakiego fale połknęły rycerza:  
 Zbiegły się Nimfy, z nimi insze wodne  
 Panny przygodne.

Jedna mu szyszak, druga pas odpięła,  
 Ta kontusz, owa żółte buty zdjęła —  
 Gdy bez szat ostał, wspólnej rady zgodą  
 Klangor zawiodą:

„Kto tu przybywa? — Groźny syn Bellony!...  
 Witaj, rycerzu, wojnami wslawiony,  
 Którego imię od Polszczy do Szwecyi,  
 Niby strach leci.

„Nie tobie leżeć na dnie okieanu —  
 Któryś był godzien zacniejszego stanu —  
 By insekt padły, jak i w innym grobie,  
 Siadał na tobie.

„Nie tobie żółwie, ni czarne skorpiony,  
 Co jadem mają warowne ogony —  
 Ni cię pochwycą dla niecnej zabawki  
 Chwytne pijawki!

„Nie tobie rekin, co w morskiej topieli,  
 Smaczną prowizją z nikim się nie dzieli —  
 Nie tobie monstra groźne i szczupaki,  
 Ni insze raki!

„Łoże z koralu pościelemy tobie,  
 Byś miał bogactwo przynależne sobie,  
 A każdy wodny nurt, co szybko rwie się,  
 Pereł naniecie.

„Na łonie naszym, gdy już martwy legniesz,  
 Ku Polszcze chutną myślą nie pobiegiesz,  
 Ni w słuch ci szepnie ostawiona zdala  
 Dniestrzańska fala.



„Nie ryngraf złoty zawieszisz na szyi,  
Ale porosty wodne i lelije —  
Nie krzesną szablę, z którąś szedł na boje,  
Weźmiesz w dłoń swoją.

„Gdy więc tak spocznieś z Konopi Filipie,  
Każda z nas piasku w oczy ci nasypie,  
Abyś nie patrzył na świat, cieniu nikły,  
Jak truposz zwykły.

„Żwir i muł lepki i przeróżne ziele  
Okryją twoje, rycerzu, piszczele,  
A słoność wody, co się wartko leje,  
Fetor rozwieje.

„Tam cię Gradywa trąby już nie zbudzą,  
Ani powszednie rzeczy próżno złudzą —  
Między delfiny będziesz sen zabawny,  
Miał mężu sławny!

„Tam ci porosty, kołysane wodą,  
Codziennie *requiem* żalosne zawiodą,  
A wały morskie zagrzmia, jak oboje,  
Ó chwale twojej!

„Tam tołpie barwne...”

— Przestań ać, bo ryknę... — zawołał pan Filip, z ławy się zrywając.

— Ja tam waćpana jeszcze grzebię — odezwał się Jaśko.

— A niech cię pioruny!... stypę mi taką wyprawić!... Na samo wspomnienie człek martwieje, a cóżby to było, gdyby taki *casus* mnie spotkał?... Ale prawda, że waćpan nie wiedziałeś nic, iżem Bałtyk szczęśliwie przepłynął, luterską rodzinę na świętą wiarę naszą nawrócił i Szwedowi nie je-

dną jeszcze pamiątkę ostawił. Nie biorę waćpanu za złe tego *epitaphium*, tylko odgrzeb mnie, proszę, bo to zawsze markotno, choćby w rymach być pogrzebanym... Ale, jako widzę, sporo i innych rymów masz jeszcze waćpan?... Jezul jam prozą tyle nie napisał w ciągu żywota całego, co waćpan tu rymami nabazgrał... Może mądrygał znajdziesz tam jaki?... co? — pytał pan Filip, któremu *epitaphium* niezupelnie w smak poszło.

Jaśko pomyślał chwilę i rzekł bardzo cicho:

— Mam.

— Przeczytaj, waszeć!...

Czolo Jaśkowe pokryła mgła smutna, ale z pliki papierów wy dostał kartelusz jeden i tak zaczął:

— Do ..

Dech mu coś zapało, ale się przemógł i choć cichym, ale spokojnym głosem czytał:

W samoś serce ugodziła  
Dziewko moja ukochana!...  
Patrzaj!... jak się krwawi rana,  
Jaka bólu straszna siła!...  
W samoś serce ugodziła,  
Dziewko moja ukochana.

Gdziem cię poznał—nie wiem o tem...  
A jeśli wiem—to nie powiem!...  
Tchem mym byłaś, byłaś zdrowiem,  
Tęczę, perłą, różą, złotem...  
Gdziem cię poznał—nie wiem o tem...  
A jeśli wiem—to nie powiem!

Dyszę tobą, widzę ciebie,  
Czy na jawie, czy to we śnie...—

Jeno smutku już nie prześnięę.  
 Ni go w piersi swej pogrzebię — —  
 Dyszę tobą, widzę ciebie,  
 Czy na jawie, czy to we śnie!

Miłowanie... To nie srebrny  
 Sen, jak mówią—to katusza!...  
 Ku niebiosom rwie się dusza,  
 A jej ziemski raj potrzebny...  
 Miłowanie!... To nie srebrny  
 Sen, jak mówią, to—katusza!

W nieznajome sobie jeństwo  
 Człowiek idzie mimo woli — —  
 Och—miłować!... jak to boli!  
 Jakie targa pierś--szaleństwo!...  
 W nieznajome sobie jeństwo  
 Człowiek idzie mimo woli.

Miłowałem... i — po ziemi  
 Teraz chodzić już nie umiem,  
 I sam siebie nie rozumiem,  
 Jedno tylko wiem: że źle mi!...  
 Miłowałem... i — po ziemi  
 Teraz chodzić już nie umiem — — —

Głos Jaśka złamał się—i pękł..

— Co ci?—zapytał pan Filip, wstając szybko z ławy.

— Nic... nic... — chwytając powietrze, odpowiedział Jaśko. — Rzekłem jeno... Rzekłem, że chodzić nie umiem... Cha — cha — cha! — w głos nagle zaśmiał się—a z Balic aż tu piechotą przydybałem...

Pan Filip wpatrzył się w Jaśka.

— Aż—tu!...—powtórzył.

Po chwili zapytał:

— Milujesz?

— Tak — —

Pan Filip położył dłoń na jego ramieniu:

— Kogo?

— Pannę Bylinównę...—szepnął Jaśko.

Rycerz drgnął — i nagle silnem ramieniem precz go odrzucił.

— Co? ty? ją? Ty — pannę Bylinównę milujesz, smyku palestrancki? Opamiętaj się, bo mentem do reszty stracisz... Teckę—ty?

— Ja—panie!

— A wiesz, że do niej nie takie łyki w konkury szły?

— Wiem—panie!

— Wiesz, że ona Zawiszyńskiego nawet nie chciała?

— Wiem—panie!

— Że bliżej kozie do nieba, niż tobie do niej?...

— Wiem—panie!

— Że... ja ją miluję!...

— Będziecie szczęśliwi z nią—panie!

Odpowiedzi Jaśka rozbroiły pana Filipa. Zmitygował się, złagodniał — podszedł do młodzieniaszka i, biorąc dłoń jego, odezwał się łagodnie:

— Wybacz mi, żem ciebie ofuknął, żem cię do kozy porównał, smykiem nazwał, żem cię... potracił...

— To nic, panie... dla mnie, który policzek zniósłem nawet—wyszeptał Jaśko.

— Policzek? ty?

— Tak, panie!

— Od kogo?

— Od podkomorzego Byliny.

— Jezus Maryja!—zakrzyknął pan Filip. Brwi ściągnął, powieki rozszerzył, pochylił się i w Jaśka twarz się wpatrzył.

— I ty... nic?—zapytał.

— Nic!

Pan Filip o krok odstąpił.

— Teraz mi waćpan ręki nie podasz—rzekł Jaśko.

— Stój!... rozumiem!... Mówiłeś, żeś pomsty chciał, ale nie mogłeś... Nad kim pomsta? Nad rodzicielem tej, którąś miłował? której serce i duszę w jeństwo oddałeś? Czy tak?...

— Tak—panie!

— Dobrześ uczynił...

— Jeno, że ludziom w twarz odtąd nijak mi spojrzeć; jeno, że odtąd miejsca nigdzie zagrzzać nie mogę, że niejedna dłoń już się cofnęła przedemną, że ten policzek mnie pali... pali!...

— Krwawa krzywdal—zawołał pan Filip.

— Krwawa!—powtórzył Jaśko.

— Lecz za co cię skrzywdził tak?

— Panu wolno—a ja u niego służyłem.

— Służyłeś?

— Sierotę oddał stryjek na podkomorzański dwór. Byłem w kancelaryi pisarzem...

— Dalej, chłopcze—mów dalej.

— Panie, o policzku mówić nie miło...

— Coś nie spodobało się—tak?

— Tak!...

— Jakaś kreska źle postawiona, źle napisana litera, pióro bryzgnęło lub kroplą inkaust

spłynął?... No, gadaj! wszak nic innego, choć... pannę Bylinównę miłowałeś?...

— Nic innego, panie.

Jaśko oczy spuszczone miał, gdy mówił: nic innego!...

Pan Filip wyciągnął prawicę.

— Dłoń ci podaję... Ale... Ale za wysokość coś spojrział chłopcze!

— I dlatego tak nisko upadł...

— Więc Bylina dostrzegł, że...

— I wskazał granicę, której po wieki już mi nie przestąpić.

— A panna Bylinówna wiedziała?

— Czy o policzku, czy o miłości?

— I o tem—i o tem?

Jaśko zdawał się namyślać—po chwili, głową poruszył i rzekł:

— Nie!... nie wiedziała!...

— Hm!... hm!...—mruknął pan Filip.—Krzywda wielka—i—zapłacona być powinna. Podkomorzy przeprosić ciebie musi!...

— Nie, nie!—pochwycił szybko Jaśko—nie! Żywa dusza nie powinna wiedzieć, żem tu był. Daliście mi słowo — a słowo wasze, to żelazo, mur, kamień!...

Teraz pan Filip zamyślił się.

— Jak chcesz!—rzekł po chwili i dodał:

— A czegożeś ty aż tu przydybał?

— Tylko spojrzeć w okno jej mieszkania!—szepnął Jaśko—i oczy mu powilgotniały.

Pan Filip nie dziwił się temu pragnieniu: przecz i on wczora nie co innego czynił. Tylko miłowanie dla niego było snem srebrnym, a dla

Jaśka katuszą; dla niego dostępnym rajem ziemskim, a dla Jaśka marą nieuchwytną. Myśląc tak, postawił siebie na miejscu Jaśkowem — i drgnął cały... I oto w sercu pana Filipa urodziła się litość, jakiej nie znał jeszcze. Ujął pieściwie dłoń młodzieniaszka i ozwał się głosem miękkim:

— Przyjaciela masz we mnie!

Jaśko drżał lekko, a oczy, jak przez mgły, patrzyły w przestrzeń złotem światłem wschodzącego słońca zalaną...

— Słuchaj, wasze—mówił pan Filip—potrzeba pomiarkowanie mieć. Źle czy dobrze, to Bóg-Stworzyciel wie tylko, lecz między ludźmi są granice, których przestąpić nie sposób. Mogłeś się w pannie Bylinównie rozmiłować, bo ona już taki urok ma, że kto na nią raz spojrzy, wnet koło serca swędzić mu zaczyna. Ale, chociaż szlachcic i z rodu zacnego pochodzisz, pod nosem mleko masz i łaty na żupanie; trudno więc, by dziewczynka gładka i rodu senatorskiego ślepki swoje na takiego smyka, jakim wasze jesteś, zwróciła. Winne jagody, których zerwać nie można, oskomeń jeno sprowadzą i zdrowiu zaszkodzą. „Nie mojej!” rzec musisz i słodczy w skromniejszych poziomkach poszukać. I oneć dobre, spróbuj, a smak poczujesz! To ci radzi druh szczery, a brat po sercu. Wczoraj, kiedyś spoczął był w Panasiuka chutorze, parę poziomek na ząb wziąłem... Powiadam acanu, że nie mniejsze delicje od jagód winnych.

Ucałował Jaśka i do domu skierował się.

Jaśko szepnął:

— Panasiuka chutor: Gdzie on?—zapytał.

— Podle Kaczorówki.

— Aha! na stepie, w bok od drogi do Jaworzyna prowadzącej, zda mi się, że tak!...

— Znasz go wasze?

— Rok jak nie byłem tu, ale przypominam go sobie... Ten Panasiuk, to stary dziad, pasiecznik... Żyje jeszcze?

— Żyje.

Podchodzili do dworu.

— Panasiuk, chutor — raz jeszcze szepnął Jaśko do siebie.

Pewnego dnia pan Filip od podkomorzego list otrzymał. Bylina pisał, że Jaworzyn opuścił i zjechał już do majątności swojej, ale nie długo faldów w Kaczorówce przysiedzie, bo jutro zrana do Lwowa się udaje, gdzie król Jegomość ma zjechać za dni kilkanaście i okolicznej szlachcie łaskawe posłuchanie dać. Przez ten więc czas zobaczyć się z sobą nie będą mogli, choć Tećka radaby obrońcę swojego powitać, ale w nieobecności ojca, nawet tak milego, jak on kawalera, przyjąć nie może. Zresztą i pan Filip na powitanie Jego królewskiej mości do stolicy ruskiej pośpieszy, gdzie i pan Czarniecki przy boku Pańskim się znajdzie, jeno Lubomirskiego nie będzie, bo czegoś się na Majestat rozsierdził. Nawiasem pan Bylina wspominał, że wieść chwycił, iż król Jegomość, za zasługi różne i krwi przelanie w ziemach odległych, ma pana na Konopiach wakującem starostwem szczyrzeckiem obdarzyć. Sprawę tę, on, Bylina poprze, a i pan wojewoda ruski w sukurs mu przyjdzie. Nie wadziłoby więc, by i pan Filip przed króla się nawinął i choć pół-



gębkiem o onej godności wspomniał. „Starostwo nie wadzi” kończył podkomorzy—„a różnych delicji może waćpanu przysporzyć”.

Przeczytawszy pisanie ono, pan Filip uśmiechnął się z radości.

„Tećka—gość miły—starostwo!...”

Szlachcic, nie w ciemię bity, w czem rzecz zmiarkował odrazu. Ród panów z Konopi przez ową godność dorównać Bylinom ma...

„Tećka, gość miły!...”

O hetmaństwo postarałby się, gdyby ono Tećkę dać miało...

Uczuł w swem sercu takie ciepło, a w głowie zamieszanie, że ledwo na nogach mógł ustać.

„Starostwo—Tećka!...”

A no, nie wadzi pierwsze, gdy drugie za niem idzie... Jeno, jak przeżyje tych dni kilkanaście, Tećki nie widząc?... Już i tak mu marokotno, że od dni kilku żadnej awantury nie zrobił, ni w szable trzasnął. Przeczytał Jaškowi list Byliny, później w palcaty z nim grzmotnął, i zdziwił się, że chłopiec parował mu wcale nieźle. Idąc do snu, Iwaśka zawezwał i rozkaz wydał, by równo ze świtem konie były posiadłane, bo do Komyszów się uda, w odwiedziny do pana Kaspra Piwońskiego, którego od serca przyjacielem był, a którego, bez mała rok prawie jak nie widział.

— Może i waść pojedziesz ze mną?—zwrócił się do Jaśka.

Ale ten głową poruszył.

— Ja... do stryjca muszę.

— Piechotą?

— A jak?

— To nie może być — zawołał pan Filip—  
konia ci dam, gdy już mnie opuścić chcesz ko-  
niecnie.

Ale Jaśko się uparł. Ni konia, ni supelka  
z pieniędzmi wziąć nie chciał — i nocką zniknął  
z Konopi.

---

## IX.

Zaledwie kur zapiał, zwiastując towarzys-  
kom swoim pojawienie się dnia, pan Filip wraz  
z Iwaśkiem opuszczał Konopie, do Komyszów się  
kierując.

O staj kilkanaście za wsią gościniec się roz-  
chodził w dwie strony: do Kaczorówki i do ma-  
jątności pana Kaspra Piwońskiego. Na rozstaju  
stał krzyż z rozpiętym Panem Jezusem, pod któ-  
rego świętymi stopami czerniała tablica podłużna  
z trzydziestu białymi, okrągłymi znakami, przypo-  
minającymi światu srebrników trzydzieści, za któ-  
rą to mizerną sumę zdrajca Judasz Pana swojego  
żydom zaprzedał. Nad głową Zbawiciela przybita  
była blacha z napisem: *Jesus Nazarenus Rex  
Judeorum*, który to żydowie na pośmiewisko po-  
łożyli, nie spodziewając się, że On królem świata  
zostanie, a królestwo żydowskie zczeźnie z po-  
wierzchni ziemi, krainę zaś oną, gdzie się odby-  
wały te wielkie misterye, sromocić będzie pogań-  
ska stopa Turka niechrzczeńca. Na wierzchu zaś

samym onego krzyża siedział kur, jako pamiątka zaprzaństwa Piotrowego i dowód mizeryi ludzkiej.

Pan Filip zdjął czapkę, przeżegnał się, westchnął, co i Iwaśko uczynił, i zamiast na prawo do Komyszów, konie do Kaczorówki skierował. Zauważywszy to Iwaśko odezwał się:

— Filipku, wždy nam nie tędy droga...

— I przez Krym do Rzymu trafisz, choćbyś nie ominął i karczem Babińskich — odpowiedział pan Filip.

— Ale z Kaczorówki do Kamyszów trzeba będzie przez Grobelną jechać.

— To pojedziem—abo co?

— Gotów nas Michałek z kompanią swoją napaść.

— Gdybym wiedział, że to zrobi, tobym przez dwie Grobelne ruszył. Ale, niestety, panie bracie, ten zbój musi jeszcze oliwą się mazać, olejki i hyacenty popijać, a kompania jego to nie strach żaden, tembardziej, że Latarnia do pługa poszła, a twój kuc wczasu na łąkach zażywa.

— Ale dokąd my to jedziemy? — zapyta Iwaśko.

— Do nikąd, panie bracie; ale może jaka przygoda się zdarzy.

— Zdaje się, co w Kaczorówce pana Byliny niema?

— Do Lwowa pojechał.

— A panna jest?

— Jest.

— Aha!...

Pan Filip zezem spojrział na Iwaśka.

— Kombinujesz?—zapytał.

— To my do Komyszów *niby to* jedziemy?

— Pojedziemy i do nich.

— Jeno przez Kaczorówkę—dodał Iwaśko.

— Nie mówiłem ci, że otrzymałem wczora list od pana Byliny, który pisał, że do Lwowa na powitanie króla jegomości wyjechał, i pisał, że panna Tećka radaby mnie widzieć, ale bez ojca uczynić tego nie może. Niepolitycznie więc byłoby jechać teraz do niej.

— Wždy jedziecie.

— Nic nie kombinujesz!

— Jakże to?

— Jedziemy i nie jedziemy — a to tak: Jedziemy przez Kaczorówkę, boć tego ani pan Bylina zabronić, ani panna Bylinówna za zle nam wziąć nie może. Droga nam tak wypadła—i już! Inna rzecz, jeżeli coś takiego się trafi i pannę przydybię. Przecie dwór Kaczorowiecki nie zakon żaden, za kratą tam białogłowy nie siedzą, ostrości reguły klasztornej niema i używają powietrza w domu i za domem. Kto wie, czy panny Tećki u przelazu albo za furtą nie zobaczą. A takbym chciał ją widzieć!...

— Czy to trudno?—zapytał Iwaśko.

— Ty myślisz wałnąć odrazu przed dwór—  
i basta!

— A jużci!

— Wždy ona wie o liście pisanym do mnie.

— A ja wam mówię, że będzie kontenta.

— Ale Bylina uraziłby się i mógłby rzec: nie akuratny z waści kawaler!

— A jak panny ni u przelazu, ni za furta nie będzie?

— To ty mi pomożesz!—zawołał nagle pan Filip.

— Jak?—spytał zdziwiony Iwaśko.

— Sam nie wiem jak, ale pomożesz! Na folwarku, koło dworu się pokręcisz, kogo bądź z czeladzi spotkasz i, nic nie mówiąc, żem jest, ot tak, dla własnej ciekawości niby, zapytasz czy trafunkiem panna nie wyszła na przewietrzenie się za dwór, abo gdzie bądź, byleby we dworze nie siedziała. Jeżeli tak, jako chce mi się, będzie—to już mi Pan Bóg łaski swej nie odmówi, że ją choć zdaleka zobaczę, a jak zobaczę zdaleka, to i z bliska może—bo nie strzymam! Zawsze to będzie polityczniej, niż po liście Byliny, który pisze: „Bezemnie aśc widzieć Tećki nie możesz” do dworu się pakować. Kombinujesz?

— Nie trudno!

— A pomożesz?

— Utrafię.

— Nieszczęśliwy człek byłby ze mnie, gdyby dzień cały u siebie w izbie siedziała.

— Wyjdzie.

— Przeczucie masz?

— Mam.

— Bylebyś ją dopatrzyl.

— Tatar lepiej między konopie i trawy się chowa, a jak trzeba języka dostać, to człek tak go zmani, że choćby nie chciał, pysk swój pokaze, wtedy go za łeb i jest. Abo ze Szwedem jak bywało? Przykucnie jucha w rowie i nic; du-

chu się swego boi, gdy czarniecczycy idą, a tu pan wojewoda wiadomości potrzebuje, w brodę się drapie i prawi: „Muszą gdzieś być, jeno trusia siedzą, a mi potrzeba szwedzkich butów na gwałt”. To wy tyło do mnie: „Iwaśko!”—Rozumiem!—Idę nad rowem i w luterską mać łaję. Nie strzyma... szczeknie pies, a ja za łeb i jest.

— Prawdać to, żeś zawsze tych drapichrustów wygmerał, ale insza Tatar i Szwed, a insza dziewczka gładka. Przecie nie weźmiesz panny Bylinówny za łeb i jest—zaśmiał się pan Filip.

— To się widzi! — na to Iwaśko. — Ale na każde zwierze jest nabój inny.

— Liczę na ciebie, jak na Zawiszę, że dopatrzysz.

— Mnie to już ostawcie.

— A wtedy duchem do mnie i znać dasz, gdzie jest.

— Bądźcie spokojni, trudniejsze trafiły się okazyje, a człek rozumu nie tracił. Pamiętacie pod Konstantynopolem, kiedy wam kobyła w błocie ugrzęzła, a tu chmara rezuniów jak burza gna? Ja was obuchem w kark, a w ucho: „udaj śmierć!” Co prawda, za mocnom potracił, ale nie poddaliście się inaczej. Lecą rezunie, a sam Krzywonos na czele, a ja do niego: „Ot tak Laszka, ptaszka!” A on zęby wyszczyrzył z ukontentowania i prawi: „Nasz?” — „Wasz... taki synu!” ja do niego. Rzucił mi lulkę i kapszuk z ciuciuem, a ja do rezuniów, żeby pomogli mi kobyłę wyciągnąć, bo szkoda dobyczy tracić. Pomogli, a ja do nich: „Z Bogiem! dam już sam radę”. Pojechali, a my na koń taj za nimi. Prawda, co mnie przykro

było obuchem pana swego rznąć, choć nie mocno, tylo żeby rezunie widzieli, co ja ich, ale odtąd zawiązała się družba między nami i ja już nie odstał od was. Pamiętacie Filipku?

Na przypomnienie onych chwil dawnych, przygód straszliwych, dni w niepokoju i trudzie przeżytych, pan Filip rozrzewnił się i myślą do onych czasów poleciał, błakając się w zamęcie wypadków, z których raz wraz wykwiwały krwawe róże wspomnień z zabójczą wonią śmierci; lecz czas i oddalenie przymglily ową barwę krwawą, rozwiały woń śmiertelną, pozostał jeno sam kwiat róży w tryumfalnej koronie sławy nierozwianej, męstwa niezatartego, z bohaterstwa nimbem, nie dającym się zdmuchnąć po wiek wieków. I tak utonął w tych wspomnieniach, tak potężnie zaczęło mu serce bić w piersi, takie olbrzymie czuł buchanie krwi w żyłach swoich, że aż na głos zawołał:

— Dobreć to były czasy!

— Hej, ha! — huknął nagle i spartł ostrogami rumaka, który, nie pojmując, po kiego licha tak go bodą, jak piorun się zerwał i jak grom ruszył, otaczając się chmurą pyłu. W tej chwili pan Filip nie wiedział sam dlaczego tak gonil i dokąd gonil? Gnały go upiory lat umarłych, z którymi człek najmądrzejszy nijak zerwać wiążącego go z niemi łańcucha wspomnień nie może. „Hop!” wołał na dobywającego ostatnich sił rumaka i pędził, niby stepów wichura, niby moc ślepa rozpętanych sił żywiołowych, w tym pędzie, wicherze, czując rozkosz dziką, nie dającą się ani marnym inkaustem opisać, ani słabem słowem człowieczem wypowiedzieć. Iwaśko nie rozumiał

nic z tego, ale za swoim panem parł, czując, że tak, a nie inaczej być musi. Szalony pęd powietrza tamował im dech, konie chrapały, tętniącemi kopyty słupy pyłu rzucając za siebie; z pod nóg ich zdawała się ziemia uciekać z szybkością niesłychaną, aż wysunie się, umknie i oni rzucają się w jakąś przepaść powietrza, w nieskończoną otchłań błękitów... Nagle do uszu pana Filipa doleciały krzyki jakieś i nawoływania, trzask okrutny rozległ się tuż przed nim, koń tak straszliwie pochylił się przodem, jakby się pod nim nagle ziemia załamała, stęknął, zwinął się i runął, wysadzając z siodła rycerza, który, nie czując pod sobą nic, zaczął obiema rękami powietrze łapać, aż coś złapał miękkiego bardzo i szerokiego, które wydało głos do koziego meku podobny, i wraz z panem Filipem zwałiło się na ziemię.

Nie prędko przyszedł do opamiętania się, lecz gdy przyszedł, rzecz wcale niebywałą obaczył: leżał na babie tłustej, która wytrzeszczonemi z przerażenia oczyma patrzyła na pana Filipa, jęcząc, jak nieboże stworzenie; opodał wywrócony spoczywał kosz, z którego, w uderzeniu gwałtownem, wystrzeliły ogórki, ziemniaki i marchew i dużym rozsypały się promieniem, nad sprawcą zaś owego nieszczęścia stał ksiądz Opoćko, probosz Kaczorówki, za uszy się łapiąc. Iwaśko niemniej ciekawe *spectaculum* przedstawiał.

Jednocześnie prawie z panem Filipem na leb, na szyję zleciał, runął jeno na karmną świnię księdza proboszcza, która w bruździe warzywnego ogrodu, w słońcu się grzejąc, słodkiego wczasu zażywała. Przerażona upadkiem *czegoś*, kwiknęła



straszliwie i do ucieczki się zerwała, ale Iwaśko osiodłał ją wnet, za uszy chwycił i dalej w objazd po podwórku księżowskim. Tak tedy: gdy pan na Konopiach, Bogu ducha winną, księżowską gospodynię dławił, ksiądz za łeb się chwycił, wołając: „*Dominus mecum!*... babę mi uśmiercil...”, Iwaśko wyciągniętym galopem pędził na losze, objeżdżając półkolem dziedziniec, dopóki jakimś świńskim manewrem z grzbietu jej zrzucony nie został. Oswobodzona od niemilego ciężaru mać licznego pokolenia wnet się w konopie zaszyła, parszając gniewnie, a Iwaśko na równe nogi się zerwał: „No-no!” zdziwionym głosem powtarzając:

— *Dominus mecum!*... to waćpan?! — zawołał ksiądz probosz, poznając dawno niewidzianego pana Filipa.

— Dzień dobry księdku proboszczowi! — odpowiedział pan Filip, nie puszczając baby z pod siebie, która z jakąś chrześcijańską rezygnacją znosiła ciężar, z woli Bożej spadły, oddychając jeno męczeńsko.

— Puszczajcie panoczku—wreszcie odezwwała się — bo duch wyjdzie!

Panu Filipowi nogi zakłękły, że ani rusz wstać nie mógł. Poruszył się i znowu przysiadł: „Oj!” baba stęknęła, a panu Filipowi na myśl Latarnia przyszła, gdy po raz pierwszy do biegu ją przynaglił...

— Iwaśku, pomóż! — zawołał, niezadowolony z przypomnienia onego.

Ksiądz z jednej, pacholek z drugiej strony pod ramię go wzięli i tak dźwignął się jakoś pan Filip z Konopi.

Pierwsza jego troska była o konie dowiedzieć się i sprawę sobie zdać z niespodziewanego wypadku.

Rzecz okazała się jasna. Wcwał pędząc, wpakował się w ogród księżowski, skopał uczciwie grzędy kapusty i pieczolowicie przez księdza strzeżonej salaty, roztrzaskał plot, wpadł w zeszłoroczny dół kartoflany, a nieszczęście już chciało, że znalazł się w objęciu grubej Kaśki. Konie jednak nie poniosły żadnego szwanku, stały już naprzeciwko siebie i kiwały głowami, jakby mówiły:

— Ciężka służba u panów z Konopi!...

Wszystko było w porządku, tylko Kaśka jęczała.

— Co tobie, niewiasto? — zwrócił się do nie pan Filip.

— Oj, oj, oj!... — powtarzała nieszczęśliwa ofiara rycerskich wspomnień pana Filipa.

— *Dominus mecum!*... Żywot jej popsuć musiał — zawołał ksiądz proboszcz.

— Co tobie niewiasto jest?... — zapytał po raz wtóry pan z Konopi.

— Żebra połamane i krzyż od pleców odstał — jęknęła Kaśka, zabierając się do uporządkowania rozrzuconych ogórków marchwi.

— Mam takie smarowidło, że ci pomoże zaraz — odezwał się pan Filip i, wyjąwszy bitego talara, za pazuchę jej włożył.

— A jak teraz? — spytał.

— Boli, ale mniej, panoczku!

— A teraz?

Przytknął drugiego.

— Na jednego talara jeszcze boli, panoczku!

— Masz i pamiętaj o mnie!...

Trzecia dawka mikstury skleila zupełnie zebra i krzyż odstający od pleców.

— *Dominus mecum!* — ozwał się ksiądz — waść z niezłym skutkiem i eskulapa sztuki się imasz. Przywiodłeś do zdrowia moją babę, a teraz do waćpana... *Dominus mecum!*... wziąć się trzeba. Grzane piwo nie zawadzi, co?... Kaśka!... piwa grzanego!... A i miodu łyków parę na złe nie pójdzie, he?... Kaśka miodu nam przynieś!... Pod dach nie zapraszam, bo niema dachu nad cień lipowy. Łaska Boża, że tylko mój plot, nie kark waćpiny trzasnął, a żeś baby mojej żywota nie pozbawił, lecz jeszcze jej cudotwórczo członki wszystkie polepił, to i *morsum conscientiae* waćpana trafić nie będą. A teraz, *Dominus mecum*, praw! skąd tak walisz?

— Prosto z Konopiów, księżę proboszczu!...

— Z ferworem, nie ma co... a dokąd?... bo nie do Bylinów; wždy, jak wiem, podkomorzy do Lwowa ruszył, o czym waćpana, jak wiem, zawiadomił. Podkomorzanka sama została, ale jej, jak wiem, bez rodzica kawalerów nie przyjmować.

— Jużci! — mruknął pan Filip.

— Dokąd-że gnasz?...

— Księdzu proboszczowi przypomnieć się chciałem.

— *Dominus mecum!* — zawołał ksiądz. — Dziwny waszmość marszrut obrałeś. Nie we wrota, jak Bóg przykazał, jeno przez grzędy sałaty i pacierz baby. Sałata odrośnie, plot się naprawi, baba

zdrowa, jeno świni mojej jazda pacholka waszmościnego we znaki może się dać, bo się spodziewa.

Na wspomnienie Iwaśka, pan Filip rzucił do koła oczyma, ale go nigdzie nie było. Konie stały uwiązane u płotu, trawę skubiąc, na wzgórzu w oddaleniu bielił się dwór Bylinów, jakaś postać przemknęła pod wysokiem oparkaniem jego i znikła u przelazu. Pan Filip nie mógł przyjrzeć się jej dostatecznie, ale pewny był, że to Iwaśko na zwiady ruszył. Serce zaczęło mu niespokojnie w piersi gadać, a krew fizyonomię koloryzować. Z roztargnieniem trochę opowiadał księdzu proboszczowi wypadki swojego żywota, awanturę z Radziejowskiem, za Szwedem uganianie się, kąpiel w Bałtyku, aż do ostatnich chwil, kiedy z Bylinami się zapoznał i Zawiszyńskiemu łeb rozczepił. Ksiądz Opoćko co chwila: „*Dominus mecum!*” wykrzykiwał — albo: „jak wiem” — powtarzał, dolewając przytem dębniaku do szklenicy pana Filipa i częstując go piernikami Kaśki wyrobu. A oto i piwo grzane pojawiło się z twarożkiem i grzankami. Pili tedy i jedli i gawędzili o takich czasach, które snem zdaćby się mogły, gdyby inkaust czarny świadectwa o nich na karteluszach białych nie zostawił, a tłocznie drukarskie do powszechnej wiadomości nie podały.

Słońce tymczasem otrząsało się z porannej mgły i uśmiechnięte, jak gdyby z kąpeli onej rade, na czysty błękit wypłynęło, przypatrując się rosom, trawom, liściom, drzewom i każdemu stworzeniu Bożemu. Nie było zakątka, gdzieby się nie wkradło i nie ozłociło go, jak się należy. Roz-

światliło białe ściany domu Bylinów, w okno wieżowe mieszkanca Tecki zajrzało i jarząco od małych odbiło się szybek, otarło się o krzyż dzwonnicy kościelnej, złoty promień na jego ramionach zostawiając, przesączyło się nawet przez liście lipowe i zajrzało ciekawie do napelnionej miodem szklenicy pana Filipa. Wczesny poranek jeszcze chłodem wiał, ale znać było, że dzień będzie upalny: kur raz po raz na płot wyskakiwał i, zmrzywszy oczy kukurykał, z czego ksiądz Opoćko wnosił, że to na odmianę tak pieje.

Gawędząc i popijając miód, pan Filip nie zauważył, że Iwaśko wysunął się z krzów berberysowych, w niewielkiem oddaleniu naprzeciw stanął i znaki jakieś dawać począł. Wreszcie spostrzegł i z uśmiechniętej twarzy Iwaśka zmiarkował, iż dobrą mu jakąś nowinę przynosi. Nie wypadło jednak, do dna niewypięszy *de noviter* nalanego napoju, od stołu wstawać i gościnnego gospodarza żegnać, ale Iwaśko tak zawzięcie kiwał głową i znacząco przyzywał, iż pan Filip zmiarkował, iż rzecz zwłoki nie znosi, a każda zmarudzona chwila dotkliwą jeno stratę przynieść może, zresztą tak okrutnej palpitycy serca dostał, że przy najwybredniejszym smakolyku dłużejby usiedzieć już nie mógł. Tchem więc jednym szklenicę wychylił, wstał z ławy szybko i księdza proboszcza oblapil.

— *Dominus mecum!* już waść uciekasz? — zawołał proboszcz.

— Czas, czas.

— Przecz, jak wiem, do mnie tylko w gościnę przyjechałeś?...

— Ale już czas, księżu proboszczu!

— Do Konopi?...

— W tej chwili do Grobelnej jadę.

— *Dominus mecum!* po co?... Jak wiem, postanowienia takiego nie miałeś.

— Miałem, rzetelnie mówię—pan Filip na to.

— Michałka znów łupnąć?...

— Jeżeli się zdarzy.

— *Dominus mecum!* Co waćpan tak zawzięleś się na niego?...

— Nie zrobię mu krzywdy, jeżeli sam mi w drogę nie wlezie.

— Siadaj aść, dzień duży masz przed sobą, do Grobelnej wczas zajedziesz — prawil ksiądz, zmuszając gwałtem pana Filipa, by usiadł na ławie. I możeby usiadł, ale Iwaśko znów głową kiwnął.

— Księżu proboszczu nie zatrzymujcie mnie.

— Wina dam!

— I tak już humory biją mi w łeb...

— Osiądzie, jak zieleniaku hetmańskiego dam waści.

I znów za łokieć pana Filipa ułapił i ciągnął do ławy, ale Iwaśko głową pokręcił, jakby znak dawał, by żadnej folgi nie czynił.

— Nie mogę, księżu proboszczu, na Pana Jezusa przysięgam, że nie mogę, do stu dyabłów mówię, że nie mogę! — wrzasnął nagle pan Filip, aż ksiądz odskoczył, ręce rozczepierzył: „*Deus mecum!*” niewyraźnie jeno belkocąc.

Gdy już byli za probostwem, rycerz obrócił się do Iwaśka i odezwał się gorączkowo:

— No i co? Jest?

— Jest!

— Gdzie?

— W konopiach.

— To ci los! — zawołał pan Filip. Nie mogłeś-że, obwiesiu, w innym miejscu panny zobaczyć, jeno w konopiach?

— Trudno, bo wszędzie ludzie chodzą — odpowiedział Iwaśko.

— Czy pannę widziałeś, czy widziałeś się z panną? — zapytał porywczy pan Filip, nie rozumiejąc dobrze słów Iwaśka.

— Już ja wszystko obmyślił, jak należy, a wam nic, czy ja pannę czy z panną się widział; byleby wy ją zobaczyli.

— A jak pójdzie, nim dojedziemy?

— Nie bójcie się!

— Pewnyś?

— To moja rzecz!

Tak mówiąc, dojechali do miejsca upatrzonego.

Pan Filip, zdawszy się na wolę Iwaśka, musiał we wszystkim go słuchać i wedle jego wskazówek robić. Wjechali więc naprzód w zagajnik jakiś, później w pokrzywę, później w dół, porośnięty łośnianem, wreszcie zatrzymali się przy gruszy starej, od której zaczynał się łąn konopi do ogrodu dworskiego przytykający. Tu Iwaśko konie do drzewa przywiązał i wraz z panem Filipem zanurzył się w las konopiany. Gdy w ten sposób zbliżył się do dworu na kroków kilkadziesiąt, Iwaśko kazał panu Filipowi zatrzymać się i czekać, sam zaś przeskoczył rów, oddzielający owe konopie od sadu i znikł w zaroślach. Pan Filip stał,

patrzył, nie rozumiejąc nic a nic z tego. Wedle zapewnień Iwaśka miał Teckę w konopiach ujrzeć, a tu do koła żywego nie było ducha, najmniejszy szelest niczyjej obecności nie zdradzał, jeno konie uwiązane u gruszy parsknęły niekiedy, ale na głos pana Filipa: „Cicho!” podnosiły łby, strzygły uszami i w sad patrzyły.

Po paru chwilach oczekiwania zaczął pan Filipa niepokój ogarniać. Na myśl mu przyszło, że Iwaśko rzeczywiście Teckę tu zajrzał, ale nim *Dominus mecum* z objęć swoich go puścił, nim się tu wreszcie dostali, Tecka do dworu wróciła i wszelka nadzieja zobaczenia się z dziewczką ukochaną przepadła. Wprawdzie przypomniał sobie pan Filip Tatar, Szweda i rzezuniów Iwaśki, ale tu inna sprawa. Zaczął więc wątpić o dowcipie nieodstępного towarzysza wypraw swych i przygód, i począł tak wzdychać z żalości wielkiej i zawodu spodziewanego, że zielone kitki konopi dokoła chwiać się zaczęły i szumieć, jakby i one podzielały żalość oną.

Ale Iwaśko lepszej myśli był. Panny nie widział, do dworu nie zajrzał, od służby zaś folwarcznej dowiedział się to tylko, że Tecka jest w swojej wieżyczce, z której na krok nie wychodzi prawie, siedzi jeno przy krosnach, i ornat szyje. Pan Filip zbilby się może z pantałyku, ale Iwaśko rezonu nie stracił. Tatar w oczerecie, Szwed w rowie, kobyła w błocie ugrzęzła — i co? Tatar za łeb, Szweda za kark, a kobyłę sami rzezunie wyciągnęli. A teraz z dziewczką rady sobieby nie dal? Ou—wa!



Sprowadziwszy więc pana Filipa do wiadomego miejsca, sam skoczył pod wieżyczkę Tećkową, a widząc okno otwarte, głowę podniósł i przyciszonym głosem zawołał:

— Pan-noo!...

Ale w okienku nikt się nie pokazał.

— Panno!—zawołał po raz drugi już głośniej.

Wołanie doszło do uszu Tećki, podeszła więc do okna, a widząc u dołu, pod wieżą, stojącego przyjaciela pana Filipa, pochyliła się i głosem zdziwionym zapytała:

— A co ty tu robisz, Iwaśko?

Iwaśko z dłoni trąbkę zrobił i szepnął:

— Chodźcie-no tutaj!

— Abo co?

— Prędzej!

W umyśle Tećki zrodziła się niewyraźna myśl jakiegoś wypadku.

— Nieszczęście jakie? — spytała.

— Aha!

— Jezu Marya!

— Pst! schodźcie jeno prędzej, a sami.

Tećka tchem jednym zbiegła ze schodów i znalazła się przy Iwaśku...

— Mów, co tam?

— E, nic! — odpowiedział, śmiejąc się.

— Jako nic?

Z wesolej, uśmiechniętej twarzy Iwaśka, Tećka wyrozumiała łatwo, iż rzeczywiście *nic*, ale gdy począł jakieś znaki dawać i pokazywać w głąb ogrodu, płomienie gorące oblały twarz panienci,

i robiąc krok, jakby umknąć miała, rzuciła półgłosem:

— Co ty tam bałamucisz?

— Niech panna długo nie gada, a ze mną idzie.

— Dokąd?

— W konopie.

— Czy ty, Iwaśku, przy swoich zmysłach jesteś?

— Tam na pannę pan czeka.

Tecka lekko zmarszczyła brwi.

— Jaki pan? — zapytała.

— Niby to panna nie wie? — zaśmiał się chłopak.

Płomienie, jak róże, wykwitły na twarzy dziewczyny.

— Słuchaj, Iwaśko—rzekła po chwili, a głos jej drżał lekko — powiedz temu panu, że... że ja go widzieć nie mogę...

— A bo to trudno pójść i zobaczyć?

— Że... ja go widzieć nie chcę.

— Abo to prawda?

— Powiedz, że ojca niema w domu.

— Abo to źle?

— On zrozumie, że źle, i że inaczej nie może być.

Urażona trochę odwróciła się do wyjścia.

Iwaśko, widząc, że sprawę przegrywa i że Tecka naprawdę o odwrocie zamyśla, skoczył, chwycił ją niżej kolan, uniósł w górę, jak wiotką brzeziny gałązkę, rzucił się w sad, dopadł rowu, który przesadził skokiem jednym i znalazł się w konopiach.

— Iwaśko, puść, bo krzyczeć będę—groziła Tecka.

— Czy panna chce, żeby się ludzie zbiegli?

— Puść, bo to jest nie wiedzieć co!

— Zobaczy panna, co będzie dobrze!

— Czyj to koncept taki gwałt robić?

— A mój! pan tegoby nie chciał!

— Jakto twój?

— Czy panna nie rozumie co znaczy: mój?

Pan wiedział, co do dworu jechać mu teraz niepolitycznie, a pannę chciał zobaczyć. No i zobaczy.

— Iwasieńku, puść!

— Pohańca jak złapał, to nie puścił, a pannęby puścił!

Tecka starała się wydobyć siłą.

— Niech się panna nie wrywa, bo nic z tego nie będzie... — mówił Iwaśko, trzymając ją żelaznemi ramiony.

Dziewczyna łatwo przyszła do przekonania, że nic z tego nie będzie; dała się więc już nieść Iwaśkowi, trochę się wstydząc, dąsając się trochę, wreszcie i śmiejąc się w duszy z niespodziewanej przygody onej, która ją nie na zatracenie żadne niosła, lecz przed grzecznego rycerza oblicze.

Tymczasem panu Filipowi czas się dłużył. Niepokój go ogarniał coraz większy, a serce jak młot się rozbiło. Nagle usłyszał szmer, przyspieszone tupanie stóp czyichś — zieloną falą zakowały się konopie i Iwaśko stanął przed nim z Tecką na ręku.

— Jest panna! — zawołał tryumfująco, stawiając dziewczynę na ziemię.

— Iwaśko! coś ty uczciwego zrobił? — zawołał pan Filip, ręce załamując.

Tećka stała z rumieńcami wstydu na licach, ale pan Filip na kolana przed nią buchnął i jął przepraszać, skomlić, zaprzysięgać niewinność swoją, tak, że Tećka udobruchała się prędko, jeno pogroziła Iwaśkowi: „No—no—no!” mówiąc.

— Ja powiedział, co pan pannę zobaczy, zelźce nie mógł, to trudno! Teraz do koni pójde, a pan niech jak umie przeprosza panienkę.

Zostali sami, pan Filip klęczał jeszcze i molestował, aż Tećka odezwała się:

— Wstań waćpan!... to trudno! widocznie, że już tak sądzono.

— Nie gniewacie się na mnie? mówcie, czy nie gniewacie się, bo zemrę? — szeptał pan Filip, obie dłonie dziewczyny do piersi tuląc. — Ale panno Tećko, bez was mi, to jak bez rosy... bez słońca, bez nieba, ni jeść, ni spać... zemrzeć tylko z tęsknoty nieprzemóżonej...

— I ta tęsknota aż tu was przywiodła? — spytała.

— A ona, jeno ona! panno Tećko!

— I wy miłujecie mnie... bardzo?—szepnęła.

— Na śmierć! — zawołał pan Filip.

W zapamiętaniu wielkiem ujął wiotką kibić dziewczyny i do piersi przycisnął... Czuł jak biło serduszko Tećki, jak oddychała szybko, jak ustkami powietrza zachwycić nie mogła, niby rybka z jeziora wyjęta. Przygarnął ją, przytulił i szepnął

— A ty miłujesz mnie?

Chwilę nie odpowiadała nic.

— Tećka!

— Miłuję!

Pan Filip żarem tchnął, zaczął całować czoło i oczy, ale przy dotknięciu ust, Teśka bronić się zaczęła.

— Panie Filipie, tak nie można, nie można!— szeptała, odsuwając korale warg.

Ale pan Filip żadnej niemożności już nie rozumiał.

— Gęby! gęby!... — chrapał i darł się do ust Tecki, jak niedźwiedź do barci z miodem.

Widząc jednak stanowczy opór dziewczyny, przemógł się, tylko wessał się w jej dłońki drobne, szepcząc urywanym głosem:

— Panie Jezu Nazareński, nie daj mi mentem stracić, bo to łatwo przyjść może przy delicyach takich. Nie odbierze teraz mi ciebie nikt, ni Zawiszyński, ni zbój inny, ni śmierć nawet, bo i tę na sztych wezmę i w grób wkopię, żeby wiedziała kogo można brać, a od kogo za lasy i góry umykać. Tecka moja! kochanie moje! ty, ty, ty, kat wie, jak już mam zwać ciebie!

I w szale tym miłosnym pan Filip pewny był, że śmierćby zmógł.

Po chwili uniesienia Tecka odezwała się.

— Mówmy spokojniej.

— Mówmy spokojniej...—powtórzył pan Filip, ale ręk Tecki nie puszczał, wykrzykując co chwila:

— Moje ty!

— Waćpan wie, że ociec do Lwowa pojechał.

-- Wiem.

— Przed wyjazdem mówiliśmy długo o was.

— I co? — podchwycił pan Filip.

— Ociec za wami.

— Bóg mu daj królowanie, ale ważniejsza, że wy za mną.

— Tak, ja waszą będę.

Odetchnęła głęboko i mówiła tak dalej.

— Miłuję, bo z was jest rycerz praw; miłuję, bo na tej ziemi nieszczęśliwej wy mi szczęście dacie; miłuję, bo na was, jako na mieczu oprzeć się mogę, jako na tarczy, która się nie podda, nie złamie. Będę dobrą dla was, a i wy mnie nie urazicie nigdy niczem.

Pan Filip przyłożył dłoń do piersi.

— Życie moje jest waszem życiem, szczęście wasze jest mojem szczęściem, tak mi dopomóż Bóg i Matka Jego Przenajświętsza.

Tecka pochyliła się do dłoni pana Filipa, ale on ją z przed ust wyrwał.

— A to co? — zawołał — a to co? Panno Tecko, tak mnie sromać!

— Jesteście panem moim.

— Sługą waszym, rabem dziś jestem!

— Więc panem moim będziecie!

Podniosła głowę i spojrzała w oczy pana Filipa.

— A teraz i mnie czas i wam już czas... Za biały już dzień. Żegnajcie!

Na blizkiej łące odezwały się kos pobrząki, ludzie wychodzili w pole, świat się ruszał. Musieli się rozstać... Pan Filip nie chciał tak szybko porzucić ukochania swego, tulił, pieścił, mimo to nie zauważył, jak i kiedy Tecka wypłynęła z ramion jego i pierzchła. Nie mógł gonić, bo zdało mu się, że kolana nie posłuchają ordynansu, i nie

mógł wołać, bo przepelnienie takie w całym sobie czuł, że zdało mu się, iż zamiast wydobyć dźwięków wdzięcznej cytary, kogutaby zaśpiewał. Stał więc i patrzył za znikającą w cieniu drzew Tecką. Jeszcze ją widzi, jeszcze, jeszcze... Gdy już dojrzeć nie mógł, westchnął jak miech przy organach i zwrócił się do Iwaśka, podprowadzającego konie.

— Nie złujecie na mnie? — spytał Iwaśko.

— Miodembym ciebie pomazał!

— A panna gniewna bardzo?

— Niekoniecznie.

— No, to i dobrze!

— Aleś ty, chłopie, po tatarsku trochę postąpił.

— A wy myślicie, że takie postąpienie nie podoba się pannom? Opiera się niby, a mówi: „weź!” i bierz, bo inaczej: „gamajda” powie i satysfakcya!

Pan Filip zaśmiał się i konia dosiadł, a w złym humorze był.

Nieraz już w życiu swoim, gdy z różnych śmiertelnych terminów wychodził, uczuwał piękności świata, ale nigdy tak piękny, jak teraz, świat ten nie był. Wszystko się do niego śmiało, i niebo, i step, i konopie, i starostwo strzyżeckie, o którym teraz dopiero pomyślał. Niejeden pokwapi się o nie, ale on go już dziś rodzonemu bratu nie puści. Brata nie miał, tem lepiej! Ale gdyby miał? „Przepluń Bałtyk, miej Teckę, aha, brachu, widzisz! a tak, moje starostwo!” Podkomorzego Bylinę za sobą ma, pan Stefan Czarniecki da

słowo za nim, gdy sam przytem przypomni się królowi Miłościwemu, bez fatygi żadnej godność otrzyma.

— Starostwo!

— Ba!

— A kasztelan, a wojewoda?

— Kto wie?

Uśmiechnął się do myśli własnych.

Lecz więcęj Teckę w one szaty senatorskie ubierał, choć wiedział, że one zbliżają go do niej, że prędzej „*Veni Creator*” posłyszcy.

W boki się wziął i daleką drogą na Grobelnę, do Komyszów ruszył.

Tecka dzień cały przepędziła w wieżyczce swojej, nie opuszczając na krok jeden jej progu. Była, jak lutnia, na której pieśń jakąś silną zagrano, a choć dźwięki umilkły, znikły, rozplynęły się w powietrzu, drży jeszcze wewnątrz lutni onej, drży jakimś niepokojem cichym, tęsknotą niezmierną, smutkiem niepojętym. Tećce tak jakoś dziwnie było, jakby ją spotkała rzecz wcale niezwykła, o której słyszała jeno z opowiadań, z podchwyconych szeptań przy drzwiach zamkniętych, z przeczuć własnych, z niewołanych a zdradzieckich drzeń serca — a jednak... na ustach jej uśmiech się nie błąka, któryby o uśmiechu duszy mówił; nie zapalają się na nich płomyki przez miłowanie zażegniete, nie drżą tajonych żądź pragnieniem, które rumieńcem oblewają jagody, choć się jest samą między czterema ścianami tylko; częściej jeno zasłona rzęs opada, opuszczone powieki nie podnoszą się przez chwile długie, na



czole zadumanie większeć znać, jakby dusza sama nad sobą rozmyślała i tuliła się w mgły i ciszę, i z ogromnym spokojem poddawała się sile przeznaczeń. Tećka czuje, że inną jest dzisiaj, niż wczora była, że inną jutro będzie, niż jest dzisiaj. Jakaś zmiana odbywa się we wnętrzu jej istoty, z ogromną, niebywałą szybkością się odbywa, tak, że myśli zebrać, ni powstrzymać tego, co ulatuje, pierzcha, znika — nie może. Dla tej szybkości zmian nie czuje strachu, ani przygnębienia, tylko omrok pewien, jakiś lekki zawrót głowy i serca... Dziwny to stan—do znieczulenia podobny. Do służby odzywa się cicho, cicho ochmistrzyni wydaje rozkazy, jakby się bała rozbudzić ech gdzieś śpiących. Trwożył ją stuk sprzętu potraconego lub szmer niespodziany, chodziła na palcach niemal, uważnie omijając przedmiot każdy, jakby z obawy, by się oń nie urazić. Siadała przy krosnach, ale nie mogła szyć. Zamyślała się często i długo. Znać było, że nic jej nie obchodził świat, który ją otaczał, że myśl błąkała się na dalekich może krańcach wspomnień. Ale budziła się wnet, gdy te wspomnienia rozwiane zaczęły się łączyć, wiązać, coraz wyraźniejsze się stawać i biedz do niej, wtedy tylko westchnienie z piersi, a z ust słowa wypadały:

— Musi tak być!...

Dzień był skwarny, słońce paliło, na zachodzie zbierały się chmury. A był to zaledwie maj i ludzie dziwowali się parności owej, ale był to zarazem rok, o którym imcipan Chryzostom Pasek mówi, że „zboża w styczniu siane, wyrosły

tak przed Wielkanocą, że aż na nich było pasano.” Pocił się tedy pan Filip z Konopi i wraz z innymi powtarzał:

— To ci maj!... niech go paralusz chwycił..

Niedaleko chutoru Panasiuka Jaśka nadybał. Chłopak szedł szybko, jakby go jakie złe gnało, piersiami robił, by kobuz postrzelony, który powietrze łapie, a chwycić nie może; rogatywkę w lewicy niósł i wymachiwał nią, jakby tym ruchem przyzywał kogo, albo groził, albo w oratorskim zapale trawom stepowym i chwastom *epitaphium* swoje mówił. Pot kroplisty opływał mu z czoła, ale nie zważał na to; nic go zdawało się nie obchodzić, ani skwar słoneczny, ani chmury szare, rozmazane, które z zachodu szły i nawałnicą groziły...

Pan Filip dał ostrogę koniowi i drogę Jaśkowi zabiegł, chłopak wstrzymał się.

— To waćpan?...—rzekł.

— Bój się Boga, chłopcze, pedały tak wyciągać?... — zawołał pan Filip. — Tchu ci brak, wyglądasz, jak mysz wyjęta z dzieży wodą przepełnionej — pulsa ci w skroniach biją, jakgdyby żyły rozsadzić miały... Hamuj się, bo krew ci w łeb palnie i rozciągniesz się, jak drewno na stepie.

— Nikogo nie zasmucę, a pogrzeb wrony i kruki wyprawia—odpowiedział Jaśko.

— Desperat z waści!

— Wždy żyję.

— Do czasu!

— A waćpan o wieczności zamyślasz?...

Pan Filip pokręcił głową.

— Mądryś, chłopie, ale na stronę żart!... Czy to taki kawał drogi na własnych chodakach ukropiłeś?...

— Chciałem ostać dzień, dwa w chutorze Panasiuka; chciałem... Ale trudno!... Lepiej tak, jako zrobiłem... A żem szedł śpieszno, to temu nie dziw się waszmość; nie wolniej i Adam z Ewą dybał, gdy z rajy ich gnał anioł z mieczem ognistym.

— Żal mi cię, chłopcze! — odezwał się pan Filip.

— Ostawcie żal, szczerze wam mówię, ostawcie żal! bo gdybyście folgę mu dali, nad każdą mizeryą ludzką stając, *circumferencya* wasza pozazdrościłaby wyglądu słomce pszenicznej.

— Posłuchaj rady mojej — rzekł pan Filip, kładąc dłoń na ramieniu Jaśka.

— Słuchać można, a inna rzecz posłuchać — odparł Jaśko.

— Ostań na dwa dni w chutorze Panasiuka — ciągnął rycerz — wrócę niebawem i sam wać pana do stryjca odwiozę.

— Wy w swoją stronę, a ja w swoją, tak być musi — odpowiedział Jaśko.

— Sto mil masz przed sobą!

— Żywot dłuższy, a kończy się...

— Burza nad głową wisi, pioruny, deszcz!

— Oto strach dla mnie — pioruny! — zaśmiał się Jaśko.

Pan Filip zniecierpliwiał się.

— Nie sprzeciwiaj się acan, bo siłą wezmę! — krzyknął.

— *Absolutum dominium? Veto!* — zawołał Cichocki.

— A idź na zatracenie! — prysnął pan Filip. Zatoczył koniem, ale wnet zawrócił, bo pożałował słów tych.

— Jaśku! — rzekł łagodnie.

Chłopak wpatrzył się w pana Filipa, uśmiechnął się i rzekł:

— Jaka z wami szczęśliwa będzie panna Tecka Bylinówna...

I dodał:

— Na to patrzcie—a mnie ostawcie Opatrzności Boskiej.

W głosie Jaśkowym lzy drżały... Ujął dłoń pana Filipa, pocałował i zawrócił w step, w traw zieleni zanurzając się po pas niemal.

— A miej go w opiece Panno Najświętsza! — szepnął Filip, robiąc znak krzyża świętego za szybko oddalającym się poetą.

— Bywają takie ludzie nawiedzone... — zauważył Iwaśko.

Nie upłynęło pół godziny, jak rozszalała burza na stepie, jedna z tych, która grzmi, huczy, szaleje i przechodzi. Zerwał się wiatr nagły, tułmanami pyłu zakręcił i westchnął na step cały. Ogromna błyskawica niebo rozdarła.

— Piorun!

Ogłuszający szum... i deszcz, aż ziemia rozbryzganemi zakurzyła kroplami.

W masie wód roztopiły się błyskawice, pioruny utonęły, tylko rwące się głuchem, nieustannem warczeniem gromów drgały chmur gardła, bijąc w grzmoty przeciągłe. Jęk wiatru, szum

ulewy, charkot piorunów zwały się w akord jeden. Jakaś potworna pierś dyszała nad ziemią, jakiegoś wielkoluda nozdrza sapały w złości zaciętej. Nagle zamknęły się upusty chmur, zerwały się struny deszczu, wiatr się zwalił, błękity się odsłonił, błysnął step rozsypanemi perlami brylantów, a na niebios sklepieniu rozpalila się złota głownia słońca. Nawałnica minęła... W szafir, szmaragd i złoto ubrał się świat. Pan Filip ledwie dopadł do karczmy Lejzora Kamienieckiego — w kwadrans potem do Grobelnej dojeżdżał.

O jakie kroków pięćdziesiąt od domu pana Michała Zawiszyńskiego biegł gościniec, którym przejeżdżać musiał pan Filip. Dom stał na wzgórzu z dachem łamanym i murowanymi odkosami u węglów. Na dziedzińcu gziły się psy i dziewczki dworskie, wyszczerzając zęby do parobków folwarcznych. Słowa nieforemne krzyżowały się, jak race, pomiędzy stronami obiema, leciały dowcipy, przed którymi beczki oleju na suchośćby się skarżyły, a skromność niewieścia pod ziemięby się schowała. Lecz tu całkiem inaczej się działo. Dziewki rozmamane biegały po dziedzińcu, młodyce rehotwały za żywoty się trzymając, a na języku każdej: „nasz pan” — to jest Michałek Zawiszyński siedział. Nie dziwo! jaki pan, kram taki!...

We dworze wszystkie prawie okna pootwierane były, przez które wskakiwały to wyskakiwały psy, a nikt im żadnego wstrętu nie czynił.

W izbie narożnej, z której jak na dłoni widać było szeroki pas gościńca, na łożu obłożo-

nem pierzynami, z łbem obwiązanym, leżał pan Michał Zawiszyński i stękał. Marszałek dozorował „synaczka” swojego i na krok go nie odstępował. Po zawiadomieniu przez Wichronia o wypadku, natychmiast do Grobelnej zjechał, gdzie znalazł Michalka swojego z rozszczepionym okrutnie łbem, klnącego mać rodzoną, że go na świat wydała. Stary za głowę się wziął, widząc synalka w febrze takiej; chciał żał synowski do rodzicielki poważnemi umitygować słowami, ale za ledwie zdanie pierwsze wygłosił, Michałek się poruszył, jedno oko otworzył i rzekł:

— Stul, ociec, pysk!... bo i ciebie nie uszanuję!...

To nastraszyło pana marszałka; z miasta zawezwał medyka, ale Michałek kazał go psami wyszczuć, który to rozkaz, z wielkiem zadowoleniem i odwagą, Kosmyk i Wichroń spełnili.

— Bój się Boga, synaczku! — lamentował stary.

— Baby mi ojciec daj!...—wołał Michałek.— Baba w każdej okazyi się przygodzi. Medyk uśmierca, baba ratuje... Baby dawaj!...

— Synaczku!—błagał Zawiszyński.

— Nie sprzeciwiaj się ociec, bo zacznę w mać lajać!...

Dla uratowania świętej pamięci nieboszczki, medyk (Niemiec na szczęście) pludry pogubił, a baba nad panem Michałem szeptać zaczęła.

Pierwsze dni choroby Michalka nie mówiły nic o skuteczności leków, szeptań i naparów znachorki. Synalek bredził, iż go rodzona matka wyrozumiećby nie mogła, gorącość taka buchala

od niego, że mleko się warzyło, jak Kosmyk upewniał, gdy zaś chwilami powracała przytomność, to gadał tak szpetnie, że staremu uszy wiodły, a baba ejakcyi dostawała. Marszałek rozpaczał i tyle życzeń słał panu Filipowi, że gdyby choć cząstkę ich sprawiedliwe nieba spełniły, pan Filip miałby paraliż w krzyżu, reumatyzm w stawach, kolkę w boku, żebra połamane, pokręcone wnętrzności wszystkie, cholereę, podagrę, tyfus, własnej nawet na karku szukaćby głowy musiał, ale i tejby nie znalazł, bo ona w prezencie Lucyperowi się dostała.

Z trwogą więc patrzył na znachorkę i pytał:

— A co, żyw będzie? praw, babo, czy będzie żyw?...

A baba na to:

— Aby tylko moje leczenie wytrzymał — a będzie!

— Widzisz ociec!—odzywał się pan Michał.

Ale przytomność wracała, łeb, spuchnięty jak dzban, stęzał, rozpruty policzek zrósł się, słowem cała fizyonomia Michałka przybrała kształt naturalny, choć wyglądała jeszcze jak dynia, przypieczona na słońcu. W mać już nie klął, szpetnych wyrazów używał mniej, aż poranku pewnego Wichronia zawołał i zaczął go o mołodyce pytać:

— *Significat*, że zdrowie wróciło — pocieszał się pan marszałek i synaczka serdecznie ucałował..

Michalek zaczął się z łoża podnosić, ale zbyt długo na pedałach ustać nie mógł. Zdawało się mu też, że nie wszystkie klepki akuratnie w gło-

wie siedzą, a po fizyonomii jakby chrabąszcze chodziły. Kładł się więc na łoże i wołał psy, które z wyciem, szczekaniem i skomleniem do izby wpadały.

Dnia tego, w którym burza przewaliła przez stopy, czuł się tak dobrze, że w żupan płócienny się ubrał i pół kopy jaj, gotowanych na twardo, zjadł niepodzielnie. Marszałek z zachwytem patrzył na to zniszczenie przez pana Michała rodu kurzego, i chciał rozmowę z nim zacząć o zerwaniu z Byliną, i z zamiarami dotyczącemi Tećki, o czem dotychczas jeszcze pan Michał nie wiedział... Wichronia i Kosmyka nie było — karmili psy na dworze; Michałek po spożyciu podwieczorku w pierzyny buchnął, czkał i mlaskał językiem. Zawiszyński przechadzał się wzdłuż pokoju, co chwila na synaczka patrzył i uśmiechał się. Przez otwarte okno widać było gościńnic, który, jak wstęga o barwie stalowej, przez step płynął; słońce się śmiało, na trawach poly skiwały rosy, a orzeźwione powietrze wiało miodowym zapachem czeremchy. Pan marszałek zatrzymał się przed łożem, westchnął, głową kiwnął i rzekł:

— Oj, synaczku—synaczku!...

Uśmiechnął się.

— Czego się ociec śmieje? — zapytał Michałek.

— Sam nie wiesz, coś narobił...

— To gadaj, ociec, co?...

— A w mać nie połajesz?...

— Ociec bliżej...



— Za nieposzanowanie rodzicieli Bóg karze, synaczku!...

Pan Michał podniósł się z siedzenia.

— Czy ociec kazanie ma mieć?...

— Gadają tam o tobie, synaczku, żeś trochę za wiele nabrał podczas szwedzkiej wojaczki...

— Kto gada?...

— Już i Bylina wie.

— Skąd wie?

— Niepotrzebnieś także, synaczku, zaczepił Filipa z Konopi i posiekał go bez wyzwania. — A nie wiesz nic, że o stajań kilka podkomorzy w lesie obozował, bo konie spłoszone rozbiły mu karoce; a że żyw wyszedł wraz z Tecką, to ocalenie swoje Filipowi zawdzięcza... Nie wiesz nic o tem, synaczku—a resztę zgadnij...

— Nie kręć, ociec, a jasno gadaj!

— Bylina mi dróżbę wymówił...

Michałek porwał się.

— Tecki nie da?...

— Nie da—odpowiedział Zawiszyński.

Pan Michał czoło zmarszczył, jakby coś przypominał sobie.

— O czem myślisz, synaczku?—zapytał marszałek.

— Poczkaj ociec—poczkaj!... Aha!... Tecki nie da?

— Co takiego, synaczku?

— W karczmie u Lejzora, gdzie mnie zajechał... Aha!... Przymawiałem mu, a on *Pater noster* i „Zdrowaśki” mówił, nie chcąc widocznie zaczepić się ze mną, bo nie w siłach się czuł

pole mi dać. Ale gdym go na swoje wesele z Tecką zaprosił, nie strzymał i ciął z taką zapamiętałością, że od drzenia szabli aż skrzypnęły mi stawy w palcach!... Czy to on, wypadkiem, do Tecki się nie ima?

— Widzisz, synaczku, jakiegoś piwa nawarzył!...

— Niedoczekanie jego—wrzasnął Michalek.

— I cóż ty zrobisz, synaczku!... Choćbyś go zmógł, Bylina ci dziewczki już nie da.

Pan Michał milczał chwilę, a potem przez zęby wycedził:

— A siłą—wziąć nie można?...

— *Raptus puellae*—kryminal!

— A ksiądz za dziengi ślubu nie da?...

— Może dać, lecz pannę trza mieć pierwej, synaczku!...

— Niewielka to fatyga—rzekł Michalek.

— Większa, niż się wydaje, synaczku! Z chłopstwem nie wyruszysz na dwór Bylinów, a Wichroń i Kosmyk, to nie herosy! Przy tobie zaś szabel szlacheckich nie wiele stanie...

Twarz Michałka popielata się stała.

— Nie weźmie jej ten smok!—zawarczał.

— Ani ty, synaczku!—dodał Zawiszyński.

— Ho, ho! — zawołał pan Michał, — abo to nie na kresach Grobelna leży!... Porwę, jak miły mi Bóg—porwę!...

— Któż ci dopomoże, synaczku?

Michalek milczał chwilę, jakby się namyślał, rozważał...

— Kto?—pytał Zawiszyński.

— Tatory!—zgrzytnął Michałek.

Zawiszyński drgnął.

W tej chwili do izby Wichroń i Kosmyk wpadli. Porwali pana Michała pod rękę i do okna przyprowadzili.

— Patrz, Michalku — rzekł Wichroń — i Kosmyk powtórzył: „Patrz!”

Obaj Zawiszyńscy spojrzeli.

Drogą, prowadzącą pod dwór, jechał pan Filip w towarzystwie Iwaśka. Patrzył przed siebie w step i uśmiechał się. Koń szedł stępą, kształtną głową rzucając kiedy niekiedy i rażno parskając. Znać było, że pan i sługa wesołą rozmowę wiodą, na dom Zawiszyńskich nie patrzyli, jakby on nic ich nie obchodził, zbliżali się do wrót szeroko otwartych, które za chwilę minąć mieli i przejechać szczęśliwie.

— Aaa!... — wściekle, charkoczące wypadło z ust Michalka. — Pod nosem mi jeszcze przejeżdżać będziesz urągający? Nie doczekanie twoje! — wrzasnął i jednym skokiem do ściany przypadł, na której wisiały obuchy, szable, krucice i garłacze.

— Opamiętaj się, synaczku — zawołał marszałek, zabiegając mu drogę.

— Puść ociec!...

— Na gładkiej drodze—rozbó!... błagał Zawiszyński.

— Odstąp, ociec, bo łupnę! — syknął Michałek.

— A co weźmiesz, synaczku?

— Krucicę!...

— Mierz-że już dobrze, a może Bóg da, ze trafisz...

Michałek do okna podbiegł, właśnie w chwili, gdy w wylocie wrót pan Filip się pokazał.

Huknął strzał, aż psy wszystkie zaskowityły, koń pana Filipa zwinął się i skoczył, a z tym skokiem i strzałem, który gwizdnął mu tuż nad uchem, krew zakipiała w piersi rycerza, biała zaś mgła dymu, którą wiatr jeszcze z przed oczu Michałka nie rozwiał, a przez którą widać było wyszczerzone zęby napastnika — pozbawiła go resztę rozwagi.

— A, zbój! — krzyknął i, dobywając szabli, wparł konia we wrota, lecz Iwaśko za cugle go chwycił.

— Filipku, wymińmy ich!—zawołał.

— Jak barana zarzezę! — sapnął pan Filip, spinając konia ostrogą.

— Nie zmożesz!

— Ostaw! — krzyknął rycerz do szarpiącego się z nim Iwaśka.

— Z za ścian szelmy strzelą — tłómaczył chłopak—a wždy nie czas pannie Tećce żałobę po was nosić...

To umitygowało pana Filipa.

— Awantury nie zrobię, ale w ślepie temu Tatarowi spojrzeć muszę!—i lekkim kłusem skierował konia ku oknu.

Na widok zbliżającego się pana Filipa, Michałek za pistolety, Zawiszyński za obuszek porwał i z obu stron okna do ścian się przywarli. Kosmyk i Wichroń zniknęli pod stołem.

Chwila oczekiwania wydała im się nieznośnie długa. Michałek sapał, do ściany przyparty, w prawicy pistolet trzymając. Zawiszyński dech stłumił, powieki rozszerzył i uszy nastawił. Nagle stuk kopyt końskich zadudniał tuż pod oknem i głos pana Filipa dał się słyszeć:

— Chronić cię Bóg, byś kiedy stanął przedemną!... Pamiętaj to sobie!

Michałkowi zdawało się, że pan Filip do izby będzie się darł, a wtedy kulę puścić mu w łeb zamierzył—ale stuk kopyt końskich oddalił się. Pan Michał wyrzwał przez okno i dostrzegł już gościńcem odjeżdżających jeźdźców.

— Odklej się, ociec, od ściany — rzekł do Zawiszyńskiego.—Pojechali!

— Dobrze zrobili! — odetchnął Zawiszyński.

Michałek obejrzał się w koło, nagle wzrok jego pod stół padł:

— A wy tutaj, herosy?... — krzyknął, dojrawszy Wichronia i Kosmyka. — Tak to bronicie pana swojego?...

Lewą ręką Kosmyka, drugą Wichronia za czub chwycił i wywlókł z pod stołu.

— Michałku! Michałeczku!—zajęczeli Kosmyk i Wichron.

Pan Michał trzymał ich za łby, aż tatarskie fizyonomie z nich porobił—i wołał:

— Pod stół? nie w sukurs mi?...

— Podpierałiśmy ściany, myśląc, że ten smok dom szturmować będzie!...

— Ściany?!—przerwał pan Michał.

Prawicą Wichronia, lewicą Kosmyka w pysk

trzasnął, aż echo w izbie zaklekotało i dwukrotnem a potężnem uderzeniem w tył za drzwi ich wyrzucił.

Znaleźli się na dziedzińcu. Po chwili frontem zwrócili się do siebie.

Wichroń lewy, Kosmyk prawy policzek miał zdeformowany. Nieznającemu rzeczy zdawałoby się, że drwią z siebie i przekrzywiają się nawzajem. Trudno było śmiechem nie parsknąć, ale sposponowanym tak szlachcom na śmiech się wcale nie zbierało... Bądź, co bądź, takiej konfitury nie jedli dotąd. Krzywda zbyt widoczna była i narażała na pośmiewisko dworni całej. To też dziewczki i mołodyce zbiegły się zaraz i za żywoty od śmiechu się pobrały. Jedna pytała: w jakiej to pasiece tak pszczoły kęsają? inna dla foremności fizynomii radziła wypyskować się z drugiej strony; posypały się śmiechy i dowcipy, że nawet Wichronia i Kosmyka honor dotknięty się uczuł.

— Dosyć takiej družby!—płakał Kosmyk,—mnie rodzony ociec tak nie pocałował jeszcze!...

— Mnie mać nie upieściła tak nigdy! — jęczał Wichroń.

— Ale jak on się do wiechy takiej, jak waćpan, dostał?...—skomlil Kosmyk.

— Skoczył — i plask!... — odpowiedział Wichroń.

— Bo mnie, to nietrudno!—płakał Kosmyk.—Aby żaba nogę podniosła, to i pod nosem już kiwa.

— Odplacimy ci przyjacielstwo twoje.

— Odplacimy przy okazji pierwszej

— Popamiętasz nas!

— Popamiętasz!...

Tak odgrazali się towarzysze pana Michała.

Ale po kilku dniach gęby stęchły, Wichroń i Kosmyk do łaski pańskiej przywróceniu zostali tylko chęć zemsty cichej rosła w ich duszach.

Po tygodniu stary Zawiszyński do Jaworzyna wyruszył, a Michałek z Wichroniem, Kosmykiem i jeszcze kilku hajdukami ku tatarskim szlakom się skierował.

---

## X.

Pan Filip Kaspra Piwońskiego w Komyszach nie zastał. Wyruszył i on do Lwowa, dokąd zbierała się cała szlachta województwa ruskiego i innych ziem, nie setkami mil oddalonych od stolicy Rusi halickiej. Wiedzano, że król Jegomość miał zjechać z dworem licznym, w otoczeniu wiernych i niewiernych sług swoich, którym w monarszej laskowości, zbyt ciężkie nawet winy przebaczył. Ale Rzeczpospolita sierzdzi się, gdy jej gorącego sadła za skórę zaleją, lecz niech gorącość ona ostygnie, blizny się zagoją, najwystępniejszym synom swoim wnet przebacza, zapomina doznanych krzywd, do serca przytula, iście, jako macierz rodzona. Tak było z Radziejowskim i innymi psubratami, tak było i z lennikiem pruskim, któremu nie tylko darowane pludry ściągnać należało, ale i własną skórę jego na rzemienie

wykręcić, jako stateczny przykład czasom potomnym. Ale u nas nie było tak: warcholiło się i korzyło, aż doszło się do takich terminów, że ani warcholić nie sposób, ani korzyć się—bez zamazania sumienia—nie można.

Na wszystkich drogach i drożynach pan Filip spotykał brać szlachecką, juczno i buńczuczno na spotkanie Miłościwego Pana śpieszącą. Jedni z pokłonem, inni z suplikacją jechali; ci rankor jakiś na sercu mieli, owi, którym na zaszczytach ani na godnościach nie zbywało, śpieszyli, by lustru majestatowi przydać i poszumieć trochę w tem rojowisku ludzkim.

Im bliżej ku Lwowu, tem ruch był większy, a że Komysze na głównym trakcie leżały, znaczniejsza część pocztów pańskich i kałamażek szlacheckich walila przez pana Kaspra majętność, dwór nawet jego gościłą nawiedzając, bo choć samego gospodarza nie było, gospodarzem drugim był imć pan Maciej Piwoński, rodzony ojciec Kasperka, dziad, siwy jak gołąb, niegdyś podczaszy kamieniecki, zawadyaka, uwodziciel płci niewinnej, postrach rodu niewieściego, lecz miłe po sobie, wśród onych białogłów przerażonych, wspomnienie zostawiający.

Pan Maciej imiona i brzemiona wszystkie na barki syna zdał, sam się do niczego nie mieszał, zażywając, jako się godziło, wczasu na starość. Piwnica jeno należała do niego, w której uczciwie pracował, w dni zimowe się grzejąc, a letnie chłodząc. Grzania się jednak i chłodzenia one-go skutek był jednaki: pan Maciej wychodził



z piwnicy pijany zawsze. Wpierw jednak przypominał się znajomym dawnym: Brał więc pękata, omszoną butelczynę węgrzyna—i mówił:

— Znam cię, stara przyjaciółko, znam!...  
Przypomnijmy sobie czasy dawne.

I przypominał.

Zoczywszy dereniak, śmiał się, głową kręcił i tak prawił:

— Zberezniku ty jeden!... pamiętasz do czegoś mnie namówił? lecz *misericordia mea* granic niema.

I przebaczał.

Przed wysmukłą flaszką małmazyi zdejmował czapkę:

— *Pulchra sed periculosa!*—mówił uroczyście.—Ale Maciej Piwoński nie zna strachu.

I dawał tego dowody.

Wreszcie zwracał się do beczki zieleniaczku z taką oracyą:

— *Serenissima* becho! nieodstępna towarzyszko Macijasa! *Narrant* rzecz słabo znający, że jesteś wszelkiej mizeryi ludzkiej przyczyną, lecz mało cię obchodzi nieochędożnych krzyk Pygmejów. *Ars arti* godłem jest twojem! Wsławiłaś się przez nagość Noego i króla Bellę padaczkę. A pytam: *Hectorem quis noscet, felix si Troja fuisset?* *Serenissima* becho! Zostawiłaś i mnie pamiątkę w palcu wielkim u nogi — ratuj teraz!

I ratował się.

Po przypomnieniu i przebaczeniu, daniu dowodów odwagi i użyciu ratunku, pan Maciej śpiewał:

„Kasiuleńko, rybko —  
 Oj—ty!  
 Zajrzyjmy se w żytko —  
 Ót—tam!”  
 Poszła—a krzyczała:  
 — „Aj—aj!”  
 W końcu się rozśmiała —  
 A co?

Ochryply głos staruszka rozchodził się z piwnicy, brzmiał czasami grobowo, czasami zachichotał. Służba śmiała się w kulak, szepcząc:

— Stary pan łyka.

Lecz nikt się nie ważył drwić głośno bez narażenia się na gniew pana Kaspra.

Stary okrutnie towarzystwo lubił i często w dom zapraszał byle kogo. Kasper nie sprzeciwiał się w niczem ojcu, rad był mu nieba przychylić, osłodzić i ozłocić ostatnie dni jego żywota. Co miał, a miał dużo, rodzicowi swojemu zawdzięczał. Teraz wdzięczności spłacał dług, a na wszystko starczyło.

Lata i pamiątka po zieleniaczku zostawiona, nie pozwoliły panu Maciejowi do Lwowa się udać. Kasperka posłał, a sam, powtykawszy poly żupana za pas, na gościńcu przed bramą stanął i kogo mógł to zapraszał. Pana Filipa znał od dawna, lecz nic o jego powrocie do Konopi nie wiedział.

Widząc takie walenie szlachty, pan Filip zamarkocił się, że, jadąc do Komyszów, zarazem do Lwowa się nie wybrał. Rycerska fantazyja spotkanej braci i gwar jadących nieprzemożenie nęciły rycerza, by wmieszać się w tłum ów i ra-

zem z nim ruszyć, tembardziej, że choć który z panków i z góry na niego spojrział, a niektóry szlachcic bez czołowania ominął: dość było jeno drogę zabiedz i powiedzieć:

— Czołem, panowie bracia! Filip z Konopi jestem!...—jak jedno wielkie, gromkie: „aaa!” odezwalo się i wyciągały się ramiona do głośnego po wszej rzeczypospolitej rycerza. Tłoczono się wtedy, rozpierano, wrywano go z rąk niemal; jedni mówili, że jeszcze nieodsiarczał od zapachu szmigownic szwedzkich, inni twierdzili, że morskim mułem go czuć, a pytaniom końca nie było, a od całowań tak się sfatygowała gęba pana Filipa, że olejkami musiał ją mazać, w pierwszej lepszej mieścinnie kupionymi. A tu szlachta dziwi się pyta:

— Jakto? waszmość nie do Lwowa?...

— Wpierw do Komyszów chciałem, starego druha, Kaspra Piwońskiego odwiedzić...

— Wątpię, czy go waćpan zastaniesz, bo gdzieby teraz doma siedział!...

Ale Komysze nie za górami... Widać dwór, wrota i pana Macieja z kielichem w ręku, pośrodku gościńca na beczce siedzącego.

— Stary Piwoński drogę nam zagradza — zaśmiała się szlachta.

Niektórzy na figla przemknąć się chcieli, ale Piwoński wrzasnął:

— Halt!... a to co? Bez myta chcecie mospanowie komorę przejeżdżać?... Złodziejska to szlachta, jako widzę, choć i karmazyny wśród niej są. Zali mało łożyłem kosztów, by taki gościniec wam ubić, rowiskiem okopać, oklepać a wygodzić

z nadwreżeniem mizernej substancji mojej? Nikogoż nie znajdę *pro parte mea militantes*? Każdyż z was jest: *oppressor nobilitatis et raptor substantiarum*? Dobrem cudzem wzbogacać się chcecie? z należności się nie uiszczają? żyć krzywdą brata swojego? Zali niema już sprawiedliwości w tej Rzeczypospolitej naszej? — darł się pan Maciej, rozkrzyżowując ręce, jak słup graniczny.

Oczywiście, że szlachta się kupiła i wołać zaczęła:

— A wiele się należy, panie Macieju?

— Tynfami czy talarami płacić mamy?

Na to stary:

— Od kopyta po szklenicy, od głowy po antalku, chyba, że głupia—to taką na darmochę puszczam!...

— Nie opłać się teraz, kto mądry!—tu i tam zawołano ze śmiechem.

Głupiej głowy nikt nie chciał mieć, płacono więc myto zieleniakiem pana podczaszego, aż beczka dzwonić poczęła.

Wtem nadjechał pan Filip.

— Święci Pańscy! kogóż to widzę? — zawołał pan Maciej i porwał go w objęcia, a wyściskawszy uczciwie, potem mu pod nosem pogroził i rzekł:—Rybeńko! że tamci boczyli to darowane jeszcze być może, lecz że waćpan chciałeś Komysze ominąć, to i na Sądzie Ostatecznym absolucyi nie będzie.

— Odkupienie zupełne mam! — zaśmiał się pan Filip—bom tylko do Komyszów jechał...

— Dajże pyska, rybeńko!... A!... żal, żeś Kasperka nie zastał, a ten ciągle wspominał wać

pana... Panowie bracia!—zwrócił się do szlachty.— Sumiennie uiściliście się z opłaty. Będę miał za co bankiet wam sprawić.—Na bigos do mnie!...

Jeźdźców czternastu, kilka kałamażek szlacheckich i jedna karoca pańska wtoczyła się na dziedziniec domu Piwońskich.

Izba jadalna ledwie mogła ich pomieścić. W powietrzu unosiła się miła woń bigosu, stękały ławy, stół się uginał od mis, gąsiorów, szklanic i puharów, a gdy *kulawka* w obieg poszła, języki się rozpętały i z czupryn kurzyć zaczęło. Jeno pan Filip w humorze nie był, po pierwsze: że Kaspra nie zastał, a po drugie: że musiał do Konopi wracać, by móżdż godnie wystąpić w obliczności króla, dostojników korony i całej rzeszy szlacheckiej.

Przed nikim jednak nie kręcono się tak, jak przed nim. Pytano—musiał opowiadać, a opowiadać ze wszystkimi szczegółami. Był więc i Chmielniczenko, i Bałtyk, i Bylinowie, i Zawiszyński.

Na wspomnienie o Michałku ten i ów zauważył rzecz wcale dziwną. Kto teraz jechał, jechał ku Lwowu; od kresów samych waliła szlachta do grodu ziemi ruskiej, jeno Michałek przeciwną drogę obrał—ku dzikim polom sunął, omijając spotkane kupy szlacheckie, jakby przez nie zagabany być nie chciał... Wiadomość ta nie poruszyła jednak zbytnio nikogo, nawet pan Filip uwagi na nią nie zwrócił, tylko szepnął:

— Pohaniec ku pohańcom pociągnął!

Po onej uczcie przygodnej tłum opuścił gościnne progi domu pana Macieja, pozostał jenó pan Filip, ale i ten do swoich Konopi rwał się.

— Więc o Lwowie nie myślisz acan? — zagadał Piwoński.

— Właśnie, że myślę i dlatego śpieszno mi do siebie, by się ochędożyć jak należy i wczas przybyć. Dla samego zobaczenia się z Kasperkiem, którego rad co chyżej obłapić, do domu wracać potrzeba.

— Hektorowego męstwa nie odmówię acanu, lecz na przezornego Nestora nie zdalbyś się; peregrynowałbyś jak Odyszej, nie bacząc, że *via recta brevissima est*. Powiadam: pokiego ci licha Konopie teraz, gdy mocno nosem pociągnij, a zapach przedmieść lwowskich poczujesz?

— Tak, to tak, — odpowiedział pan Filip— jeno że na sobie mam strój podróżny, a wždy paradniej na dworze królewskim pokazać się godzi.

— Czego ci brak? Szaty odświętnej, karabeli klejnotowej, trzęsienia u czapy i puzdra z olejkami a hyacyntami od wypadku?... Gdzież to acan jesteś? czy nie w Komyszach wypadkiem, u Kaspra Piwońskiego, z którym od dzieciństwa za łeb się wodzileś, a żadnemu z was zupa nie smakowała, jeżeli z jednej nie jedliście miski, a kłopot był, gdy kuce wam podprowadzono, bo chcieliście na jednym razem jeździć, bez wyrozumienia nijakiego! Jako dwie pchły w kupie byliście zawsze. Dzieciakami — pomnę — słowoście sobie nawet dali, iż żonę jedną do użytku wspólnego mieć będziecie. A teraz nam termedye jakieś wyprawiasz, jakby to u Kasperka szatni nie było, szabel za brakło, a i jaką setką dukatów wygodzić nie mógł? Postawy jednakiej jesteście, a furgonu pod rzeczy nie wynajmiesz... Nie krzywdź-że acan mnie i Ka-

sperka, który radziejszy byłby rząd turecki utracić, niż o dni parę acana później zobaczyć. Wyjeżdżając do Lwowa powiedział: „Jaka to szkoda, że tam Filipa nie będzie, wygodziłby mnie w sprawie pewnej”. Coś on tam do waćpana ma, bo na wóz siadając jeszcze mamrotał: „Jaka to szkoda, że tam Filipa nie będzie!...”

Pan Filip powstał z siedzenia.

— Kiedy tak, to i mnie jest poręczniej do Konopi nie wracać, lecz prosto do Lwowa dążyć. Obrabuję szatnię Kasperka, za to mu wygodzę, w czem zechce tylko.

I tak pan Filip nazajutrz do Lwowa ruszył.

Nielatwo jednak było dopytać się o kwaterę pana Kaspra. Każdy się mieścił, gdzie mógł i jak mógł, nie obeszło się przy tem bez gwałtów i trzaskań w szable, bo to ten, to ów pierwszeństwo sobie w zajeździe przyznawał, a nieraz w gniazdo cudze kukulczane zniósł jajko, wyrzucając na ulicę znalezione w gnieździe onem pierze makolągwie. Nieznającemu praw tych mogłoby się zdawać, że za chwilę w grodzie rebelia wybuchnie, ale to sobie taka była fantazyja szlachecka, potrzebująca koniecznie upustu krwi, jak chmury wyładowania się piorunowej materyi. Kto mógł, to szablą uśmie rzał humory, a komu żadna okazyja nie przygodziła się, ten wołał cyrulika i kwart parę krwi sobie upuszczał. Lecz oto z grodu ozwały się armaty, trąby zagrały: — to na Wysoki Zamek król zjechał; klótnie i swary umilkły, bo wszelki gwałt popełniony w obecności majestatu, groził więzą a nieraz i głowy utraceniem.

Od dni kilku już we Lwowie król bawił, od

dni kilku pan Bylina pracował nad starostwem szczyrzeckiem, to do pana Zabielly, który świadom był spraw dworskich, jako dworzanin Jej królewskiej mości Maryi Ludwiki, zabiegając, to przed ślepym na jedno oko kanclerzem Prażmowskim drobiąc, który mu najpierwsze posłuchanie u króla wyprosił i sprawę pana Filipa poparł. Dowiedziawszy się w czem rzecz, Jan Kazimierz aż w obie dłonie klasnął.

— A dawajcież mi tego rycerza, wżdy mu nic odmówić nie mogę... Jeno niech stanie sam w osobie własnej, bom go jest rad widzieć i Ludwisi, której siła rzeczy prawilem o nim, przedstawić.

Ale o Filipie żadnej dotąd wieści nie było; podkomorzy powątpiewać nawet zaczął czy ze swoich Konopi się wybierze, Kaczorówkę pod bokiem mając, a w niej Teckę. Dlatego to, a nie dlaczego innego napisał list ów, że w nieobecności rodzica z dziewczką się widzieć nie może — jeno zbereźnik Amor różne figle płatać lubi i nieraz statecznych mężów na drygantów przerabia. Na wszelki wypadek pan Bylina, jak mógł, tłómaczył nieobecność Filipa, ale król Jegomość i dwaby mu takie starostwa dał, jeno uparcie powtarzał:

— Sam tu niech stanie, nie inaczej; bo chcę go Ludwisi pokazać, jako się tego naparła, do Lwowa jadąc. A ty, mości podkomorzy, wiedz, że aby doma było cicho, musisz niewieściej fantazyi dogodzić.

Nie było rady — król prawil: „Filipa dawaj!...” Zabiello mówił: „Królowa chce Filipa” — do Pra-



żmowskiego się udał, a i ten gada: „Filipa chce najjaśniejsza Pani”.

Ruszył tedy pan podkomorzy w obieg po mieście; do zajazdów, do szynków zazierał; pospolitował się dla przyszłego małżonka swej Tecki, ale nigdzie języka o nim chwycić nie mógł. A tu już szlachta wszystka zjechała, bo ona na Pana czekać nie Pan na nią powinien; musiał więc być i pan Filip, tem bardziej, że wiedział, iż jego obecność potrzebna była i że starostwo szczyrzeckie ostatecznie szalę zwycięstwa ku jego stronie przychyli. Ale wszelkie zabiegi podkomorzego na nic się nie zdały. Gdzie mógł, jeździł karocą; gdzie nie mógł, na własnych pedałach chodził; ze wszystkimi kamieniczkami się zapoznał, kompromitował godność swoją w izbach karczemnych, o szaraków się ocierając; gońców rozsyłał, płacił, przepłacał, podeszwę od lewego buta zgubił, rozdarł połę żupana, dwa wiadra potu utracił, ale na najmniejszy ślad pana Filipa nie utrafił. Dwukrotnie jeno spotkał Zabiellę i jął go molestować, by wpływu swojego u królowej użył, ale znów otrzymał odpowiedź:

— „Nic nie poradzisz, waszmość, najjaśniejsza Pani Filipa chce!”

Podkomorzemu ręce opadły.

— Sam sobie będzie winien — szeptał, złość czując we wnętrzu — ale bez starostwa Tecki mu nie dam!... Latam po mieście całem, jak żak z proformy, a ten może w Kaczorówce siedzi i dziewczkę podbałamuca. Hola, mopanku! dobryś ty, ale ja nie gorszy!...

Mimo to, gdzie jeno wiechę jaką zajrzał, zabiegał zaraz.

Niesłusznie jednak pan podkomorzy posądził Filipa, bo i on, na równi z współbratymcami swoimi uprzedził przyjazd króla, jeno fortuna chciała tak, że właśnie dnia tego, w którym pan podkomorzy go łowił, on szukał Kaspra Piwońskiego i z wiechy pod wiechę, z szynku do szynku, z zajazdu do zajazdu biegał, w tym samym, co pan Bylina, skutkiem. Gdziebądź, niechby choć z godzinę, jeden czy drugi statecznie posiedział, możeby się natknęli na siebie i Kaspra nadybali, którego podkomorzy parokrotnie w przedpokoju królewskim zajrzał, zauważywszy przy tem, że rzadką minę miał, jakby go jaka konfuzya strapiła. Gdyby nie to spotkanie, rzecz cała możeby poszła inaczej, bo szlachta schodziła się na wypitkę pod tak zwany „Dom stryja Jana” na ulicy Halickiej, dokądby i pan Kasper się udał i faldów nieco przysiedział — ale Bylina o Filipie mu napomknął, co tak uradowało Piwońskiego, że ten równie, jako i dwaj jego porzednicy, niejsca już nigdzie nie zagrzał, jeno po zajazdach, szynkach i specjalnych winiarniach Filipa szukał. Byli więc wszyscy trzej, lecz w gonionego się zabawiali: tu wskoczył Filip, ale Kasperek już umknął, tam pan Bylina wpadł, lecz już Filipa nie zastał. Tak samo i z Kasprem było; kręcili się więc, pocili, ale nic nie wykręcili, choć napocili się do syta.

Pan podkomorzy szaty rozdzierał. Naocznie się przekonał, jak panu Filipowi król chętny był, ale bez pokazania znamienitego rycerza Ludwisi,

łaska pańska w inną stronę obrócićby się mogła, a apetytu na łakomy starościński kąsek nie brakło.

Dzień zmierzchał, pan Bylina po całodziennym trudzie nóg już nie czuł, tembardziej, że obcas u prawego odleciał mu buta i z racyi onej utykać począł. Zziajany i zdyszany powracał już do swojej kwatery, gdy na rogu ulicy Garncarskiej na pana Filipa się natknął.

— Jesteś nakoniec waszmość — krzyknął uradowany. — *Personaliter* dziury wszystkie zwiedziłem, szukając waćpana. *Verbo dicum*: Żydowie tak na pustyni wody nie łaknęli, jako ja ujrzenia fizyonomii waszmościnej. Myślałam, że acan przestrogą moją pogardził i w amory do dziewczki się mojej zabrał, stosując się do sentencyi: kota niema, myszom raj! a tu bez waćpana na nic molestacye wszelkie, bo król jegomość rzekł: „Dwa takie dam mu starostwa, lecz niech przedemną sam stanie, bo Ludwisi pokazać go muszę”. A trzeba waćpanu wiedzieć, żem najpierwszy u króla się stawil, uprzedzając innych aspiracye. Lecz choć Zabiellę i jednookiego za sobą mam, na nic wszystko bez obecności waćpana i pokazania się królowej. Ułapanej zaś raz nici nie można puszczać, o starostwo nie jeden się pokusi, ten i ten godny, *personaliter* stanie, różne zasługi przypomni, i sobie wyciągnie, dla kogo innego pieczone kasztany. Niema co — myślę — trzeba waćpana ułapić, choćbym zdechl. Patrz jeno, jegomość, jako wyglądam? lewej podeszwy nie ma, prawego obcasa brak, nawet poły zupana nie szukaj! Latam, pytam, żyda nie żyda, chłopa nie chłopa, szlachcica nie

szlachcica, czy nie wiedzą czasami gdzie się zatrzymał pan na Konopiach? bom nie wątpił, żeś aś przyjechał, i, choć Tečka dla waćpana przeznaczona, wołę jej rodzica uszanowałeś. Obiegiem tedy zajazdy wszystkie, szynki, winiarnie i gar-kuchnie, ni słychu!... Rozpacz mnie ogarnęła, bo jutro ogólna audyencya u króla i rozdawanie łask. Jużem kląć zaczął waćpana, jak miły mi Bóg! jużem nawet raz rzekł: nie dam Tečki, kiedy tak lekceważy trudy i starania moje!

— A teraz waszmość dasz? — podchwycił pan Filip, a oczy mu się zaśmiały, że podkomorzy sam się zdeklarował, zapominając w narracyjnym zapale, iż ze strony pana Filipa mowy jeszcze o Tećce nie było.

— Wzdym waćpana ułapił, to już dam! — odparł podkomorzy.

— Ojczy mój! — wrzasnął pan Filip i nuż do rąk się brać, za kolana ścisnąć, obłapiać, a całować.

Teraz dopiero pan Bylina spotrzegł, że się przedwcześnie wygadał, ale, że nie czas wozu nawracać, gdy się już we wrota wjechało: ryknął płaczem i przytulając do piersi głowę pana Filipa, tak mówił:

— Widzisz, acan, jak pewnym byłem twego sentymentu dla Tečki, kiedy, nie czekając na kawalerską deklarację waćpana, zacząłem mówić tak, jakbyśmy od dawna o materyi tej przegadali już z sobą. Ale to Tečka tak mnie z tą myślą oswoiła, żem zapomniał, iż to z nią, nie z waćpanem, była o tem mowa. Zawiszyńskiego nie chciała, na wspomnienie innych kawalerów krzywiła się,

jakby kto jej kwasu do buzi wstrzyknął, a gdym jej rutką groził na żart, jako to wasze rozumiesz, powtarzała jedno tylko: Pan Filip weźmie mnie!...

— Dziewka najmiłsza! — zawołał rycerz i rad był z takiego obrotu sprawy, bo się nie upominał o dług zaciągnięty przez Bylinów podczas onej srogiej przygody z końmi, a spełniło się to, co chciał, i spełniło się bez jego udziału. Na myśli więc u Tecki był on, mówiono więc tylko o nim, o nim marzono!... Teraz pan Filip beknął, co widząc podkomorzy beknął także. I tak płakali na rogu ulicy Garncarskiej stojąc, aż wielki tłum zebrał się około nich i wydziwiać począł.

— Ale, ojcze dobrodzieju, natrudziliście się niemało — począł pan Filip.

— Ale z dobrym skutkiem, jako teraz miarkujesz waćpan, bo gdy jutro *in persona* przed królem staniesz, starościńska godność nie minie już acana, a powiadam ci szczerze, że bez onej podrożyłbym się z Tecką.

— Będę ją miał i dziewczkę waszą.

— Chętniejsza ona, niż ja, ale starostwo wygląda nierówności.

— Spojrzę teraz i wyżej, panie ojcze!

— Przez posła zawiadomię Teckę. A waść się przygotuj na udatną a dziękczynną narracyę, żeby król jegomość powiedział: rycerz praw i elokwent niezgorszy.

— Będzie tak! — zawołał pan Filip.

— Domieszasz waść i łaciny, bo to przednia omasta.

Szli ku miastu, gadając tak, na rynku pan Bylina kroku zatrzymał i spytał:

— A co, panie starosto, teraz z sobą zrobić zamierzasz?

— Czy nie wiesz, waszmość, gdzie się Kasperek zatrzymał?

— „Pod wiechą” u Kulawego Dybka.

— Patrz, waszmość! — zawołał pan Filip.—

— Wszędziem był, a o Kulasie zapomniałem...

Jakże się miewa?

— Kulas?

— Co mnie ten kuternoga obchodzi!... Kasper!

— Spotkałem go w przedsiionku królewskiego zamku, dwukrotnie nawet. Rzadką ma minę, jakby mu się nie udała impreza jakaś. Ale gdym o waćpanu wspomniał, rozradował się jak dziewczka, gdy jej raz pierwszy kornet na głowę włożą.

— Druh to mój, a brat! Śpieszno mi się z nim zobaczyć, bom kawał czasu go nie widział, a tak przyrośliśmy do siebie, jako to bywa z orzechami, co to na kupie siedzą. Nie ma rzeczy, któraby nas rozdzielała, wszystko jednoczy! Wybacz zatem, panie ojcze, że cię pożegnam, ale tam dawniejsza znajomość mnie ciągnie i wspomnienie spólnie przeżytych lat, a długich.

— Nie zatrzymuję, bo słuszna, byś go waćpan odwiedził, a w umartwieniu pocieszył. Wiem, żeście na szkolnej ławie siedzieli razem i do karceru we dwójkę chadzali i w skórę nawet brali jednocześnie, bo jak się jeden kładł, drugi zaraz panewkę nadstawiał; a potem łączyło was braterstwo broni i krwi wspólne przelanie. Śpiesz, wasze, spóźniony czas! Pewnikiem doma będzie, a jeżeli nie, to u „Stryja Jana” przy antalku piwa go zastaniesz... Dobranoc panie starosto!

Nie u „Stryja Jana” ale „Pod wiechą” u Dybka Kulasa zastał pan Filip Kaspra Piwońskiego. Krokiem szybkim chodził po izbie, wąsy targał, jakby to one nieudanych jakichś zamiarów były przyczyną, gdy drzwi się otworzyły i pan Filip w nich stanął.

— Kasper!

— Filip!

I rozrzewnienie takie było, jak to kiedy dwie niewiasty, mające srogą urazę do siebie, w objęcia się rzucają, jeno przez politykę szlochają, bo w duchu szepczą: „Oczybym ci wydrapała, babo przewrotna!

— Bodaj cię! a cały dzień szukałem!—wołał Filip.

— A ja ciebie.

— Jużem zwątpił, że znajdę.

— Dla ciebie to byłoby nic — przerwał Kasper — a dla mnie śmierć!

— Co zaś!

— Potem o tem, a teraz napatrzeć się, a nagadać się za lata wszystkie niewidzenia się nam potrzeba.

— Wždy wiedzieć musisz, jakim Bałtyk przepłynął?

— Ba!... któżby nie wiedział o tem, gdy nawet dziady już pieśni o tobie ułożyły.

— Co tam bredzisz! — zawołał Filip.

— Jakem szlachcic, prawdę mówię... Sam w Krakowie słyszałem oną pieśń dziadowską o Filipie z Konopi i na pamięć się ją nauczyłem. Chcesz? zaśpiewam.

— A no? — zaśmiał się pan Filip.

— Jeno widzisz, liry mi brak, co to po wierszu każdym jak mucha bzyka. Ale spróbuję głosem to nadrobić. Słuchaj!

Usiadł na zydlu, pan Filip naprzeciw. Kasper uniósł nieco prawą nogę do góry i koło zadu, niby korbą kręcąc, tak śpiewać począł:

Płynie morze po głębinie...  
 aaaa —  
 Imć pan Filip po niem płynie...  
 uuuu —  
 Żadne ryby go nie tknęły...  
 aaaa —  
 Choć się morskie wały wzdęły  
 uuuu —  
 Moc mu dały Panny Święte...  
 aaaa —  
 A tu morze gra przekłęte...  
 uuuu —  
 I przypłynął w obce światy...  
 aaaa —  
 Sprawił Szwedom srogie baty...  
 uuuu —  
 Król zamyśla o godności...  
 aaaa —  
 Ale większa myśl w nim rości...  
 uuuu —  
 Bo gdy przyszło do parady...  
 aaaa —  
 Zapisał się Filip w dziady...  
 uuuu —

— A widzisz... co to za kunsztyk! — zawołał, śmiejąc się, Kasper. Pod Maryackim kościołem pieśń już tę dziadowską śpiewają, a ty mnie pytasz, czy wiem, żeś Bałtyk przepłynął?

— O czymże ci mam mówić?



— Na dziś, nie o rycerskich czynach, bo je znam choćby z opowiadania pana Czarneckiego. Zda się, że dość!

— Zapewne, świadectwo takie!... Więc o figlach amora. Masz chęć?

— I to jest? — pochwycił Kasper.

— Postrzał na wylot.

— No, kto? prędszej mi gadaj!

— Tećka Bylinówna.

— A miłuje równie?

— Czy, gdyby przeciwnie było, patrzyłbym tak jasnymi oczyma.

— Prawda! prawda! — odezwał się półszepetem Kasper. — Ty patrzysz jasnymi oczyma, nie tak, jak ja!

— Kasperku! — rzekł pan Filip, za dłoń go biorąc. — Widzi mi się, że i waćpan rozmiłowany?

— Tak!

— Bez wzajemności?

— Nie.

— Więc?...

— Pomóż mnie, Filipie! — zawołał nagle Piwoński... — Ty jeden możność masz z opresyi srogich mnie wyratować...

— Toć uratowany już jesteś!...

— Liczyłem na ciebie i dlatego uradowałem się tak, gdy podkomorzy o twoim przyjeździe do Lwowa mi powiedział, i dlatego gnał tak, po mieście całym ciebie szukając. Za tobą stanie wojewoda ruski, a i ciebie samego król wysłucha, bo wiem od Zabielly, żeś miły mu!...

— Gadaj — a wiedz, że niema rzeczy, którejbym dla ciebie nie uczynił!...

— Wiem — i dlatego powiem krótko... Wyproś mi u króla starostwo szczyrzeckie...

Pan Filip zbladł.

— Co tobie?—spytał Piwoński, zauważywszy zmianę na twarzy przyjaciela.

— Odzywa mi się kiedy niekiedy postrzał szwedzki... A!... jak boli!... ale to minie zaraz... Już... Dobrze!... Tandem: do czego ci to starostwo potrzebne?

— Ojciec panny, wojewoda Jan Bytomski, po długich mitręgach zgodził się wreszcie na związek nasz, ale warunek powstał jak mur: mąż jego Zośki godność mieć musi, starostwo przynajmniej.

— To coś tak, jak Bylina...—szepnął do siebie pan Filip.

— Uczynisz to? — spytał Kasper.

— Czyś prosił już przez kogo o tę godność?

— Prosiłem.

— I co?

— Powiedziano mi, że król już ją przeznaczył jakiemuś znamienitemu rycerzowi...

— Taak?—odezwał się przeciągle pan Filip. A w duchu dodał: „Bez godności onej podrożyłbym się z Tecką...” Po chwili zapytał: Czy nie ma innych urzędów?

— Niema!...

— Trudno to będzie, jeżeli już król — przeznaczył!...

— Nie masz więc nadziei?

— Nie mam! — odpowiedział pan Filip pośpnie, a brwi mu się ściągnęły.

— Rozstać mi się więc z Zośką przyjdzie! —  
zalamantował Kasper.

— Jak mnie z Tecką! — szepnął do siebie  
pan Filip.

— Nie gadajmy więc o tem! — zakończył Pi-  
woński.

Zaczął po izbie się przechadzać — a panu  
Filipowi w sens taki myśli się ukształtowały:

— Nie! starostwa ustąpić nie mogę!... Kto  
zresztą wie, czy gdy je stracę, król da Kasprowi?...  
Czy mało zasłużeńszych ma i bliższych tronu?...  
Ni mnie, ni jemu!... Nie! tak nie może być!...  
Wszystko oddam, jeno nie starostwa i Tecki!...  
To płacze się razem, jako powoje z jednego ko-  
rzenia wyrosłe. Nie może inaczej być — tak!...

Wstał i równie zaczął się po izbie przechadzać.

Pod oknem odezwały się uderzenia stróżów  
nocnych o deski drewniane:

Już dziesiąta na zegarze,  
Goście światła gospodarze...

wołał nosowy głos.

— Niema co, trza na spoczynek iść — rzekł  
Filip.

Tu zaśmiał się.

— Ale nie wiesz nic, Kasperku, żem w twoich  
szatach do Lwowa przybył.

— Prawda — mój żupan!... A to jak?

Pan Filip opowiedział.

— Dobrześ zrobił, żeś mego rodzica posłu-  
chał... No — *vale!* — przyjacielu.

— *Vale!*...

Rozstali się...

— Nie może być!... — powtórzył raz jeszcze pan Filip, przestępując próg swojej komnaty.

---

## XI.

Od samego rana gwarno a ruchliwie było w mieście: roił się stutysięczny tłum, niby owady one w mrowisku leśnem, wśród którego ręka jakaś psotna palicę wbije. Palicą tu był król, owadami tłum szlachecki, do którego przyłączyła się i brać mieszczańska, wraz z narodem kmiecym. Wszyscy chcieli miłościwego pana zobaczyć i najdostojniejszą małżonkę jego, o której mówiono, że króla jegomościę pod pantoflem trzymała, drugi zaś pantofel marszałkowi Lubomirskiemu ofiarowała, ale to mu nie w smak poszło i dlatego na majestat rozsierdził się nieco. Jako francuskiego rodu była, otaczała się przeważnie dworakami nacyi swojej, jeden tylko imć pan Zabiello łaski nie tracił, bo stronę Kondeusza trzymał, a na pana marszałka sobaczył. Z dworem jejmość pani i *theatrum* przybyło, aktorzy i aktorki, o których gładkości dziwy opowiadano, że człek pospolity gębę rozdziawiał, a obeznany z lustrem światowym — ślinił; — ale jakkolwiek te damy od fraucymeru królowej trzymały się zdala, mimo to baczne na nie oko miała Jejmość Pani, a to z racyi, by czasami król jegomościę zbytnio się nie przypatrzył do której, bo na niewiasty łasy był, jako o tem szeroco na świecie wiedziano. Z kome-dyantami i małpy przyjechały, a to u nas w Pol-

szcze osobliwość nie mała, bo choć duszy ludzkiej nie mają, tak foremnie potrafią ludzi imitować, że człeku nijako się robi, patrząc na stworzenia one: rad nie rad musi podobieństwo do siebie dojrzeć i krewieństwo przyznać, co zawsze konfuzyą pewną sprowadza. Kromia komedian-tów i małp, w klatkach złoconych i papugi być miały, bez których królowa nijak się obejść nie mogła, tak jako szlachcic rzetelny bez wina szklenicy. Siła rzeczy mówiono, jakie to uczone i kłó-tliwe były, a za Kondeuszem wraz z dworem całym trzymające. Gadano nawet, iż przez pewną zieloną papugę pan marszałek Lubomirski z dworem się powadził. A było to tak:

W komnacie królowej znajdowało się ich czworo: król, królowa, marszałek i papuga. Najjaśniejszy pan zaczął o ciężkich terminach mówić, w jakich Rzeczpospolita się znajdowała; o konieczności aliansów i zmianach różnych, jakie nastąpić powinny, by podkopane u fundamentów państwo wzmocnić. Pan marszałek dorozumiewał się, że z rozmów onych i do przedwczesnej elekcji przyjdzie, a jakkolwiek zrazu Kondeusz mu śmierdział, później jednak z aromatem jego pogodził się, jeno chciał pierwszy rzec słowo o nim, bez niczyjego z zewnątrz nacisku, co słuszną rzecz była tam, gdzie króla sobie wybierano i pozwalano mu panować. Gadają tedy i powoli do materji właściwej przychodzą. Już zgodzono się, że dla uniknienia nieporządków bezkrólewia, za życia króla następcę obrać się godzi, a król niby nic nie wiedzący pyta:

— Ale kogo, panie marszałku?...

Gdy nagle zielona papuga się ozwie:

— *Condé!*

Król w śmiech, a Marya Ludwika:

— Mamy i kandydata! — zawołała.

Pan marszałek wargi przygryzł, a papuga poczęła raz wraz powtarzać imię swojego wybrańca.

— *Tais toi!*... — odezwie się królowa. — Przecz marszałek na wybór się twój zgodzi.

W tej chwili pan Lubomirski powstał, a krew mu napłynęła do twarzy.

— Wybaczy mi najjaśniejsza pani — rzekł z powagą... — Ale kandydatem szlacheckim nie będzie kandydat papugi zielonej.

To powiedziawszy, opuścił dwór.

Prawda-li to, nieprawda była — niech odpowiada raptularz imci pana Filipa z Konopi, lecz taka anegdota o papudze zielonej pomiędzy szlachtą chodziła, która chwaliła marszałka, że na szwank godności szlacheckiej narazić nie dał i papugi do elektorstwa nie dopuścił. Jeno pan Filip był zdania, iż godność z zieloną papugą związku żadnego nie ma, ale to do przekonania panów braci nie trafiło.

Przyjazd króla, królowej, świetnego dworu, aktorów, małp i papugi, zaciekał wszystkich. Karoce pańskie z pajukami na przedzie, rycerstwo na dziarskich rumakach i rojny a gwarny tłum szlachecki, wszystko to do Świątyni Pańskiej waliło, gdzie miał król jegomość pokłonić się Panu nad Pany i ciężar panowania i żywota swojego przed Boże ołtarze złożyć. Nie brakło i mieszczan i ludu pospolitego, który z ulic w ulice się tłoczył, a choć z onego rojowiska niewielka garstka

tylko mogła się w murach katedry i zamkowych komnatach pomieścić, choć nie każdemu danem było do majestatu dziś się zbliżyć, szli jednak wszyscy, by bliżej ścian tych być, wśród których król przebywał; by nic ze wspaniałego widowiska nie stracić, by: „Niech żyje!” — na cały głos huknąć, gdy król miłościwy na zamkowym krążanku się ukaże.

Po wojnach okrutnych, po wielkiem krwi przelaniu; po Radziejowskich i Opalińskich czynach haniebnych, król objeżdżał istic zmartwychpowstałe państwo swoje, chcąc dać możność wszystkim do majestatu swojego się zbliżyć, pogodzić się z ludem całym, złym przebaczyć, dobrych nagrodzić, zapomnieć uraz i krzywd, a z powróconego chwilowo spokoju cieszyć się.

Przez otwarte drzwi wszystkie kościoła katedralnego różnobarwna płynęła fala i szum był taki, jakby morze dalekie wylało się, a po drodze wzięwszy wszystkie tęcze, blaski i światła, wypełniło i rozjaśniło niemi świątynię całą. Smukłe filary wspaniałej, jagiellońskiej budowy, zdawało się, że się jeszcze więcej wysmukliły, ku niebu się uniosły, trzymając nad sobą gotycki strop sklepienia. Dymy kadzidel od wszystkich płynęły ołtarzów, jarzyło się tysiąc świec, aureolą się otaczając, jeno organ milczał, jakby chciał zachować grom swych piersi na chwilę stanowczą. Już wszystkie miejsca w kościele, galerye i ławy zajęte były; kościół jarzył się od światel, pachniał od kadzidel, dyszał kilku tysiącami piersi, barwił się od zieleni, kwiecica, niewiast i pysznych strojów szlacheckich — jeno od drzwi wielkich do Wielkiego

Ołtarza przechód był wolny i raził oczy patrzących czerwienią rozesłanego sukna, po którym miał król przechodzić z dostojną małżonką swoją, w otoczeniu senatorów i dworu, pomiędzy dwoma rzędami straży, stojącej z błyszczącymi halabardami w rękach. Po prawej stronie ołtarza, na wzniesieniu, stał tron; nad nim śnieżył się herb państwa i złocił się snop Wazów. Lecz oczy wszystkich nie ku tronowi temu, lecz ku drzwiom były zwrócone; oczekiwanie na twarzach znać było i jakiś niepokój radosny. I oto dał się słyszeć silumiony łoskot bębnow i daleki grzmot dział; z każdą chwilą łoskot się wzmaczał i rósł, a ze wszystkich świątyń pańskich ozwało się dzwonów wołanie. Nagle powiała jakaś burza głosów dalekich, i słyszeć się dał tentent kopyt i szabel szcęk. Burza dopadła do samych drzwi świątyni— i u jej progów się zwała. A kilkutysięczny tłum dech wstrzymał i wpatrzył się...

W ościeży podwojów katedralnego kościoła król stanął— a organ zagrział. Wielkie, uroczyste: „Te Deum...” od głównego wzniosło się ołtarza, a głowy wszystkie pochyliły się przed ludu wybrańcem, który w blasku znów rozświetlonej chwały, w majestacie królewskości swojej przez kościół do tronu szedł. Ciemne pukle okalały bladą twarz Jana Kazimierza, na piersi zwieszał się łańcuch z orderem „Złotego Runa” — strój czarny i czarny kapelusz na głowie dodawały dziwnej powagi blademu króla obliczu. Zbliżył się do ołtarza z dostojną małżonką swoją i, zdejmując nakrycie głowy, na oba uklęknął kolana. W świątyni zrobił się szmer: to cały tłum runął



na klęczki z królem swoim. Król wzdychał i lud wzdychał, król się modlił i lud się modlił... Po chwili oboje królestwo powstałi i zajęli tron; rozpoczęła się Msza wielka, którą arcybiskup odprawiał. A na chórach grzmiał organ, pieśń brzmiała i rozbijała się o filary świątyni, i jakby z za świata do świata płynęła.

O jedną z kolumn oparty stał pan Filip, brwi ściągnął, oczy przymknął, jak ten, który przysłuchuje się rzeczy nieznannej, albo przypomina coś dawno przebrzmiałego. Dokoła oddychał kilkutysięczny tłum, od wielkiego ołtarza dobiegał drżący głos arcykapłana, dźwięki organów i zgodny chór śpiewaków brzmiał pieśnią wspaniałą, a w duszy pana Filipa rozbrzmiewała pieśń inna, dzwoniły słowa ślubu królewskiego, wraz z senatory i pany radnymi, przed laty kilku, tu, złożonego. Groza w on czas panowała w Rzeczypospolitej, strach i pomieszanie umysłów. I wtedy to, wśród tych wyniosłych filarów świątyni, ozwały się uroczyste słowa królewskie, powtórzone przez tłum cały. Odbiły się o te słupy kamienne i serca ludzkie. Do serc nie weszły, ale zatrzymały się gdzieś pomiędzy gżemsami kolumn. I oto pan Filip nie słyszy nic, jeno ową przysięgę dawną; każda kolumna odzywa się głosem króla i szepce:

„Gdy zaś z wielką boleścią ducha postrzegam z płaczu i ucisku ludu, że na Państwo Syn Twój, Sędzia Sprawiedliwy, zesłał plagi, zarazy, wojny i innych nieszczęść przez to siedmioletnie: przyrzekam i ślubuję, że po otrzymaniu pokoju, wraz ze wszystkimi stany wszelkich miar użyję,

by lud mój polski od uciążliwości niesłusznych i ucisku wyzwolić. Spraw, Najmiłosierniejsza Pani, jakoś mi pomysł do tego ślubu natchnęła, byś równie łaskę u Syna Twego na wypełnienie jego uprosiła...”

I zabrzmiało wielkie: „*Amen!*” w świątyni całej, *amen* pacierza, który o wszystkie krańce Rzeczypospolitej obić się był powinien. Minęły trwogi lata, uspokoiło się w sercu Rzeczypospolitej — i oto w tej świątyni znowu jest król, stany i cała rzesza szlachecka, a on słyszy głos pomiedzy filarami płaczący:

— Dokonaj ślubu!

— Amen! — wypadło z ust pana Filipa, ale tak potężnem echem po całej świątyni zabrzmiało, iż tłum cały, i kapłan z przed ołtarza, i król, i królowa z tronu swojego spojrzeli na opartego o filar kościoła rycerza.

Nagle pan Filip poczuł, że coś go za poję żupana łapie.

Obejrzał się.

Był to pan podkomorzy Bylina—i:

— Co waści? — pyta.

Dopiero pan Filip zmiarkował się, ale rzekł:

— Każdy z waszmość panów powinien takie: *amen!* jak moje powtórzyć.

— Zgoda! — odszepnął podkomorzy. — Jeno nie koniecznie jak z puzonu je wydmuchnąć, że aż pasterz drgnął, a jejmość królowa uśmiechnęła się i spojrziała na waćpana, i, pewnym jest, iż pomyślała, że to tak Filip z Konopi westchnął. Waćpan wszystko inaczej robisz, niż człek po-

spolity: i ludzi ratujesz, i w szablę trzaskasz, i wzdychasz modą inną. Bacz waćpan, że Msza się kończy; udamy się na gród, a waść personą swoją tak się nastęrczaj, iżby cię król zoczył. Mówilem Zabielle, że waćpan jesteś i głowę dam, że wśród tłumu królowa jejmość szukała oczyma waćpana.

— *Ite missa est!...*—zabrzmiało u wielkiego ołtarza.

Król powstał, za nim królowa i dwór, i senatory, i pany — i poruszył się tłum cały, idąc za królem, opuszczającym świątynię. A dzwon katedralnego kościoła dał dzwonom innym hasło do śpiewu, a z murów grodu ozwały się armaty. Huk dział połączył się z biciem potężnem serc śpiżowych, i popłynęła gędzba dziwna, złożona z grzмотu armat i pieśni dzwonów, a towarzyszył jej stu-tysięczny okrzyk ludu; kilkanaście tysięcy szabel szlacheckich w górę się wzniosło, czapek tyleż frunęło w powietrze i rozległ się grzmot piersi ludzkich:

— *Vivat rex!*

Na pozłocistym ogierze jechał król, a przy nim małżonka jego dostojna w powłóczystej sukni z blado-zielonego jedwabiu, szytej w herby Polski i Francyi. Lansował się koń pod nią, krwi czystej syn pustyni, dar Padyszacha, przez Chana krymskiego w upominku przesłany. O staj kilka przed orszakiem królewskim muzykanci jechali, długie trąb gardła darły się na cztery strony świata, a piękny rumak królowej raz wraz małą głową podrzucał, jakby wadziły mu trzęsida zło-

te, które gęstymi sznurami po łbie splywały, płątały się w sieć błyskotliwą, osłaniającą szyję i pierś. A oto z wszystkich zaułków miasta wypłynął biały strumień dziewczątek z koszami pełnymi kwieciami... I pod stopy królewskie posypał się deszcz róż, ścieląc się po drodze tęczą barw pełną i woni. I tak król jechał na gród swój przy huku armat, pieśni dzwonów, okrzyku ludu, wrzasku trąb, poprzedzon dziewczątkami białymi, które, same do kwiatów podobne, rzuciły do stóp mu kwiaty. Z wysokiego zamku raz jeszcze ukazał się majestat, raz jeszcze okrzyk pod chmury się wzbił—i król zszedł do komnat, gdzie go witały senatory i pany i szlachta z dalekich ziem przybyła.

Znać, że radzi byli przyjęciu onemu królestwo oboje. Uśmiechał się król do wszystkich, uśmiech zadowolenia błędził i na dumnych ustach Maryi Ludwiki, do której Zabiello podszedł i coś szeptać a wskazywać jej począł.

— Więc to ten jest ów rycerz sławny? — mówiła królowa, zwracając twarz ku panu Filipowi, który postawą nad tłum się wyniósł i w gronie szlachty stał, witającej monarchę swojego.

— Tak, miłościwa pani! — odpowiedział Zabiello. — On to jest, na którego wspomnienie Szwed jeszcze drzączki dostaje, a morze radością dysze, iż go nosiło na sobie.

— Nie byle kto mu wzrostem dorówna, a siłą patrzy—szepnęła królowa.

— Mocen, jako tur, a na nitce go białogłowa, kędy chce, poprowadzi—dodał Zabiello.

— Kochliwy?

— Jak Polak każdy...

— Przyrowadź go waść! radabym poznać go bliżej.

— Najjaśniejszy Pan go zoczył — odpowiedział Zabiello. — Spójrz, Wasza Dostojność, jak się rozjaśniło oblicze królewskie na widok tego Czarniecczyka!...

— Nie dziwo, że pan wojewoda aż do Daniej dotarł, gdy wszystkich miał takich!... — zauważyła królowa. — Siła tam niewiast oplakiwać go musi, a niejedna po dziewictwie swem płakać!...

— *Casus* podobny zdarza się wszędzie, miłościwa pani!...

— I w Polsce?

— Modestia tu większa, ale Amor zbytki czasami czyni...

— Kto jest przy nim? widzisz aść?...

— Podkomorzy Bylina i Kasper Piwoński...

Król, przechodząc pomiędzy rzędami panów i szlachty, zoczył Filipa. Uśmiechnął się, głową poruszył, aż zatrzepotały ciemne kędziory włosów, i, zbliżając się do rycerza, rzekł w głos:

— Witaj, panie starosto szczyrzecki!...

Tu dłoń mu podał.

Pan Filip przypadł do ręki pańskiej, ale w tej chwili wzrok jego padł na Bylinę i Kaspra. Podkomorzy uśmiechał się i wąs gładził, ale bladeść okryła twarz Piwońskiego. A król dostojnymi usty dotknął czoła Filipowego i tak prawił:

— Rad witam waszmość pana, w zdrowiu a fortunie rad witam!... Bez niczyjej urazy, lecz najwierniejszyś mi z najwierniejszych. Nie myśl jeno, mości panie, żem przepomniiał o tobie i dopiero wstawiennictwa przyjaciół twoich potrzeba mi było, by cię marnem starostwem obdarzyć. Zasłużyłeś się waszmość i Nam i też Rzeczypospolitej w dniach jej utrapienia. Miłuję waćpana tak, że w niczembym mu odmówić dziś nie mógł. Gadaj waść, a co chcesz — uczynię!... Za mała nagroda?... Proś ino — a wszystkoć zrobię!...

Pan Filip się poruszył...

— Wasza królewska mość mówisz — wszystko?

— Co jeno w możności jest naszej... Masz co?

— Mam!—rzekł krótko pan Filip.

— Śmiały! — zwróciła się ku Zabielle królowa.

— Po kasztelaństwo sięgnie—uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem podkomorzy.

A pan Filip tak mówić począł:

— Wierzę słowu Pana Mojego miłościwego, jakom zawždy wierzył, a możność w ręku waszej królewskiej mości spoczywa. Za starostwo dziękuję i radbym je zatrzymał, lecz dziś potrzebniejsze ono komu innemu, niż mnie. Starał się o nie druż mój a brat, niemniej zasłużeńszy ode mnie i niemniej waszej miłości wierniejszy. Obdarz niem Panie mój, a królu, Kaspra Piwońskiego, a ono dziewczkę mu da, do której sercem przylnął. Bez tego nie mieć mu jej!...

Po sali przebiegł szmer... Kasper wzrok pełen radości na pana Filipa rzucił, a podkomorzy zbladł. Z ust zaciśniętych zgrzyt mu wypadł:

— A tobie mieć?...

Król pomyślał chwilę, potem wpatrzył się w pana Filipa i rzekł:

— Chcesz waść spłacić jakiś wdzięczności dług?...

— Tak, miłościwy panie!

— Ludwiko!—zwrócił się monarcha do królowej. — Zali dziwne jest, że go złe moce nie imają się?...

Podprowadził Filipa do dostojnej małżonki swojej, która białą dłoń ku rycerzowi wyciągnęła, a on przyklęknął i pocałunek kawalerski na rękę królowej złożył.

— Nietylko waćpan Nam wiarą płacisz — odezwała się Marya Ludwika.

— Wszystkim, miłościwa pani, którzy jeno zawierzą sercu Filipa z Konopi, a amicitia w paragon z braterstwem iść może.

Król zwrócił się do Piwońskiego i rzekł:

— Panie starosto!... Zazdroszczę przyjaciela waćpanu!...

— Ale ja nie zazdroszczę zięcia — odezwał się podkomorzy.

Wmieszal się w tłum i wyszedł.

— Druhu! bracie! — szeptał Kasper, ściskając dłoń pana Filipa, ale nie wiedział nic, że w sercu jego jakoś czarno zrobiło się, że obraz Tecki się omglił, a pod nogami ziemia się zatrzęsała.

Podkomorzy, opuściwszy dwór królewski, do zajazdu swojego się udał, ale ani gospodarza, ani służby nie zastał. Nie dziwo! któżby siedział, gdy taka okazyja, jak przyjazd króla, nadarzyła się. Lecz w tej chwili pan Bylina nie rozumiał nic z tego, unosił go gniew na pana Filipa z Konopi i złość za zmarnowane zabiegi swoje. Kopnął stółek, który pośrodku izby stał, cynowym dzbanem o piec trzasnął, czuprynę własną naderwać chciał, lecz bolesna operacyja ona do opamiętania go przywiodła. Szerokimi krokami zaczął izbę mierzyć, brwi marszczył i węża targał.

— Amicitia!... -- wykrztusił po chwili. — Dobrze!... będzie amicitia!... Niech ci teraz Piwoński, albo król jegomość Teckę dadzą!... Rebelię podniosę, gdyby nastawać chciano a zmuszać. Z amicitją się wyrwał, gdy ja buty podarłem, obcas zgubiłem, z żupana zrobiłem chałat żydowski, a jęzor, jak ogar, wywiesiłem, bo *res non patiebatur moram*. Nie dziwno mi teraz, że furgony utracił i siodło klejnotne zaprze...

Tu pan podkomorzy urwał.

— No, siodło!...—mruknął.—Te w uczciwej okazyi zaprzepaścił... Nie miałby zresztą Tecki, gdyby nie zaskryfikował... Wprawdzie, że to on swój żywot sakryfikował, a Tecki jeszcze nie widział, bo w karocy, niepamiętająca o niczem, siedziała—szepnęła ciszej.—Oł, racya!...—odpowiedział sam sobie. — Przecz mu wolno było z żywotem swoim zrobić, co chciał! a gdyby nie chciał? to co?... Oglądalibyśmy teraz Chwałę Niebieską, a to nie marna rzecz!... ażem krzy-



czał: ratuj! to każdyby krzyczał, w takich terminach będąc. Jedno tu jest tylko złe, iżem zaprzysiągł, że w niczem mu nie odmówię. Teraz on *visibilter* o Teckę się upomni...

— Niedoczekanie! — wrzasnął i tupnął nogą o podłogę, aż ściany się zatrzęsły a tynk z pułapu na głowę mu się osypał. — Trudów moich, ni benewolencyi nie uszanował, nad Teckę Kasperka swojego przeniósł, amicitję wyżej, niż inklinację serca postawił, uraził mnie, na śmierć uraził, a tego Bylina nie przebaczył!... Do Zawiszyńskiego sam pojedę i rzekę mu: „Zwij Michałka, niech dziewczkę moją bierze!”—Skurczybyki!— huknął nagle, widząc dwóch swoich pacholków do izby wchodzących. — Gdzieście się to zabrali, psubraty! ha?... Właśnie król jegomość dla was *spectaculum* wyprawil, plemię chamskie!... Może i wam zapachniało starostwo szczyrzeckie, he?... Do pana Filipa z Konopi, do pana Filipa! Czego, jak gawrony, rozdziawiliście dzióby i patrzyście, jakbym to nie do rzeczy gadał?... Konie zapręgać, do Kaczorówki wracamy!...

W jednej chwili landara wyciągnięta została i rzeczy spakowane.

Podkomorzy do pojazdu miał już siadać, gdy wtem uczuł, że ktoś go za łokieć wziął. Obrócił się i ujrzał pana Filipa, który do jego ramienia się pochylał. Błady był, usta mu się trzęsły, a postawa cała jakimś zgnębieniem pa-trzyła.

— Gniewacie się na mnie, panie podkomorzy—wyszeptał.

Bylina podniósł głowę, brwi ściągnął i odezwał się z przekąsem:

— Panie starosto! nie mamy już nic do siebie.

— Nic?... waszmość mówisz—nic?... — rzekł rycerz.

— Aaa!... chcesz mi waćpan przypomnieć o zaciągniętym długu wdzięczności?... — sarknęła Bylina.—Chciałem go spłacić, waćpan sam sprzeciwiłeś się temu.

— Czym prosił o to?... — spytał dumnie pan Filip.—Nie prosiłem nawet o rękę córki waszmościnej, sam mi ją waszmość dałeś!

Podkomorzy sponsował, lecz rzekł:

— Jeszcze waść jej nie uchwycił.

— Teraz...—zaczął pan Filip.

— Teraz — przerwał Bylina — chcesz waćpan skorzystać z danego ci przeze mnie słowa, że, nie odmówię mu w niczem, w niczem... i—dzisiaj—o dziewczkę się moją upomnieć... co?

— Miałbym prawo, wiedząc, że mnie miłuje... A jednak tego nie uczynię...

— Więc zwalniasz mnie ze słowa waćpan?—zawołał podkomorzy.

Pan Filip pokręcił głową.

— Nie!

— Zachowujesz je na później!... — rzekł z przekąsem podkomorzy.

— Tak — odrzekł spokojnie pan Filip. — A wierzę, że coś waszmość obiecał, to dotrzymasz.

— Com rzekł, tom rzekł... *Non erubescam*, pewny bądź!... Ale po co *ad calendas graecas*

odkładaniem masz mnie waszmość męczyć?... Zakląłem, i zdzierzę! a tak łatwo z nieogłędności mojej skorzystać!... Czekam, mów waćpan: „Uratowałem ci życie, panie Bylino! teraz mi płąć, płąć, dziewczką swoją płąć!” Czy myślisz acan, że z gęby cholewę uczynię, wypierać się, łąać będę?... Nie! oddam waćpanu dziewczkę moją, jak miły mi Bóg, oddam, a co zaś o kawalerskości acana pomyślę, to już *sub sigillo confessionis* powiem na ucho księdzu proboszczowi w Kaczorówce.

— Nie dręcz się, waszmość, nie dręcz!... — rzekł dumnie pan Filip — a pod pieczęcią spowiedzi o grzechach własnych mów, nie o występstwach bliźnich swoich. O dziewczkę się twoją nie upomnę, choć ją miłuję więcej, niż duszy własnej zbawienie; nie upomnę się, bo kupczyć nie chcę poświęceniem życia wam oddanego. Jednak ze słowa waszmość pana nie zwolnię; przygodzi się ono może kiedyś, jeżeli nie dla mnie, to—dla niej!...

Pochylił głowę, skłonił się i krokiem powolnym oddalać się począł.

Podkomorzy już jedną nogą na stopniu pojazdu stał, ale uderzyły go ostatnie słowa pana Filipa. Spojrzał, i dostrzegł, jak pobladł, głowę uchylił, zachwiał się, zatoczył i odszedł.

— Jeżeli nie dla mnie, to — dla niej!... Co to znaczy? — pomyślał pan Bylina. I na myśl mu przyszła Tećka, wypadek z końmi, krzyk jej trwożny, uratowanie, noc pod brzezina spędzona, bój z wilkami, Zawiszyński, nienawiść ku niemu Tećki...

— Aha!...

To słowo podkomorskie pan Filip zachowywał, jako miecz ostry przeciw Zawiszyńskiemu, jako zbawczą ratunku deskę dla dziewczki swej ukochanej. O niej tylko myślał i o jej szczęście jeno dbał!

I z szybkością błyskawiczną zarysowały się w umyśle pana Byliny te dwie postaci: Filipa i Michałka... Ten zbój a tamten bohater! A ono zrzeczenie się starostwa dla przyjaźni?... Nie znał powodów ostatniego czynu pana Filipa, ale czuł, że w nim, prócz uczciwości, nic innego nie było. Już miał nogę ze stopnia karocy zdjąć i na pana Filipa zawołać, lecz przypomniał sobie fatygę dnia wczorajszego, buty zdarte, żupan rozpruty, zabieganie u Zabielly i jejmość królowej, zwiedzanie wszystkich szynków i kwater... i taka złość go porwała, że rzucił się do wnętrza kolasy, wprzód krótko odezwawszy się do woźnicy:

— Ruszaj!...

Zaturkotała landara po bruku miejskim, zastukał tentent kopyt kutyh, a panu Filipowi się zdało, że ziemia mu pod stopami zadrgała, że każde uderzenie kopyt onych w sercu swem czuje, że ono obrzmiewa, napływa krwią i lada chwila z okrutnym bólem pęknie. Zatrzymał się, za łeb się chwycił i z jakimś jękiem wyszeptał:

— Jezu Nazareński, com Ci uczynił złego, że tak mnie bijesz!...

W takim stanie Iwaśko go spotkał, i aż przeląkł się, widząc zzieleniałą twarz pana swego.

— Co wam jest, Filipku? — zawołał, ręce łamiąc.

— Podkomorzy odjechał—szepnął desperat. Iwaśko nie zrozumiał słów tych.

— Ty nie wiesz nic — ciągnął pan Filip— a to śmierć dla mnie!...

— Mówcie, mówcie—odezwał się Iwaśko— bo strach mnie chwytą!

— Zły, żem starostwa się zrzekł. Tecki mi odmówił.

Przygryzł wargi, ażeby nie dać łzom spłynąć i za mur narożnej kamienicy się chwycił.

Iwaśko chwilę stał, jakby medytował nad czemś; nagle trzepnął się w łeb pięścią i pana za rękę ułapił...

— Nie desperujcie — rzekł szybko — a ja i z Byliną poradzę.

Pan Filip się nie opamiętał, jak Iwaśko zniknął mu z oczu.

— Co on zamierza!—rzucił rycerz do siebie.

Iwaśko tymczasem do zajazdu skoczył, do stajni jak kula działowa wpadł, okulbaczył dereszę swojego, dosiadł go i wichrem poleciał za śladami kół karocy pana Byliny. Przebiegł ulicę jedną i drugą, za miasto się wysunął i gnał drogą, którą pan podkomorzy ruszył. Nie upłynęło ćwierć godziny, jak dojrzał daleko przed sobą punkt czarny w kurzawie pyłu sunący szybko.

Była to podkomorska landara...

— Jest!—zawołał do siebie Iwaśko.—A teraz abo ja trup, abo pocieszenie Filipek mieć bandzie.

Ostrogi obie wbił dereszowi w brzuch i ruszył na przelaj.

Karoca podkomorzego sunęła szybko, ale

nie mogła umknąć przed pościgiem Iwaśka. Gdy przestrzeń pomiędzy jeźdźcem a karocą nie wynosiła więcej nad dwie strzały tatarskie, druh pana Filipa w niebogłoso drzeć się począł, aż woźnica obejrzał się i do podkomorzego się zwrócił:

— Honiat', pane!—rzekł.

— Kto taki?

— Zda się, co kozak pana Filipa.

— Stój! stój—grzmiał głos Iwaśka.

— Zatrzymaj się!—ozwał się podkomorzy.

Wychylił się przez okno, a w tej chwili Iwaśko do karocy przypadł.

— Co tam takiego?—spytał Bylina.

— Nieszczęście!—zawołał Iwaśko...

— Jakie? co?...—zapytał przerażony podkomorzy.

— Filipek padaczki dostał i klnie was!

— Klnie?...

— Słuchać hadko!...

— Co mówi?

— Powtórzyć nie można!

— Fiksum dostał?

— Zdaje się, co tak!...

— O Jezu!—jęknął podkomorzy.

— Wracajcie, panie, taj ratunek mu dajcie!

— Czy ja medyk?...

— Medyk nie medyk, to mnie do tego nic!...

ale kto źle zrobił, naprawić musi, ot co!

— Do kogo ty to mówisz, chamski synu?

— A do was, prosto w oczy!

— Czego ty chcesz ode mnie? — zawołał niecierpliwie już pan podkomorzy.

— Do Lwowa was nawrócić i to bez oporu żadnego...

— Patrzcie go, jaki imperator! — mruknął Bylina— a zwracając się do woźnicy rzekł:

— Ruszaj!...

— Stój! bo w uchu swoim kuli poszukasz!— huknął Iwaśko na fornała pana podkomorzego.

— Czy ty tutaj pan?— wrzasnął Bylina.

— To kułak powie— odpowiedział Iwaśko.

I zanim fornał na konie cmoknął, on już z deresza swego zeskoczył, buchnął w łeb pięścią woźnicę, który na ziemię się zwałił, sam zaś na kozioł się wdrapał i lejce do rąk wziął.

— Hajdamako! do sądu cię pozwę!...— krzyczał Bylina.

Ale Iwaśko trzasnął z bata, aż powietrze zakleotało, dużem kołem szóstką podkomorzego nawrócił i, trzepnąwszy lejcami, gwiznął przeraźliwie. Konie porwały się jak dyabły i w lot pognały.

— Dokąd gnasz? sobako?

— Do Lwowa!

— Ze skóry cię każę obedrzeć, draniu ty jeden!— darł się podkomorzy, ale Iwaśko:— „Wio, siwkil!”— wołał i walił na oślep przed siebie.

Pasya głucha zaczęła dławić pana Bylinę. Przez drugie wychylił się okno i szepnął do siedzącego przy Iwaśce hajduka:

— W bok go i z kozła!...

Hajduk chciał rozkaz pański wykonać, ale Iwaśko dostrzegł ruch podejrzany i oczyma groźnemi zmierzył zdrajcę.

— Do kogo ty się bierzesz — ty?... Czy nie wiesz, że pan mój Bałtyk przepłynął i nie takim, jak ty, synom, karki pokręcił?... Łapy między kolana!... Tak!... a nie—to w gębę lupnę!...

Hajduk pana podkomorzego nic a nic o Bałtyku nie wiedział, mimo to zaimponował mu nim Iwaśko, jako też niemniej na utemperowanie się duszy kozaczej wpłynęła i troska o całość gęby. Łapy niedźwiedzie pomiędzy kolana wsunął i siedział jak dziewczka skromnie, gdy jej w dniach zaślubin na dzieźce lokum dadzą. Tymczasem Iwaśko rznął z bata i zachęcał konie do biegu, które z kopyta rwaly, jakby ich stado wilków opadło, a landara podkomorzego, na pasach osadzona, bujała tak wściekle, że panu Bylinie wątroba trząść się zaczęła i już mu na morską chorobę się zbierało. Sobaczyć chciał, ale od trzęsienia owego słowa wymówić nie mógł; z przedniego siedzenia na tylne wskakiwał, z tylnego na przednie; głową zawadzał o wierzch budy, to na boki się rzucał, słowem — tańczył w landarze swojej, niby Wit święty, co go do ostatniej pasyi doprowadzało, aż gdy raz pięty obie wyżej swej głowy ujrzał, a wzrok mimowoli w zwierciadło, umieszczone na przodzie karety, rzucił: parsknął śmiechem głuchym, tak mu własna jego figura nieformną się zdała. W tem konie jakby się w ziemię wryły... Podkomorzy niebywałego kozła wyrócił i wrzasnął na całe gardło:

— Zarazo morowa!... niech cię paralusz tkniel!...

Ale „zaraza” stała już przed drzwiami karecy pana Byliny i mówiła:



— Lwów!...

— Słoniu ty afrykański! czy ty, czy ty, czy...

— Widzi pan...—odezwał się Iwaśko i wskazał ręką.

— Co takiego? hipopotamiel—jęknął podkomorzy, wychylając się przez okno.

— Mój pan nad Peltew idzie, pewnikiem utopić się chce!...

— Niech się topi!—wrzasnął podkomorzy.

— A jaśnie pan wie, co wtedy ze mną będzie robota?... Duszę zgubię, ale i pan podkomorzy swojej nie znajdzie. To już u nas taki zakon kozacki.

O kroków kilkanaście od karocy przechodził pan Filip. Nie widzący nic i nie słyszący, nad Peltew się zbliżał, jako to czynią ci, którym luna poznanie rzeczy odbierze, a oni chodzą śpiący i niebywale rzeczy wyprawiają. Podkomorzy przez okno się wychylił, wpatrzył się w desperacką postać pana Filipa i jakąś markotność koło serca swojego uczuł.

— Nie daj Bóg jakiego nieszczęścia, a już ja z jaśnie panem pogadam!...—odezwał się znów Iwaśko.

— Co ty mi tam grozisz, cholero!...—pisnął podkomorzy.

— Cholera, czy frybra, to mnie nic, ale co jaśnie pan mnie popamięta, to popamięta!...—oderzekł Iwaśko.

W tej chwili pan Filip nad brzeg się zbliżył, który pod stopą jego usunął się. Podkomorzy był pewny, że nadeszła chwila krytyczna i rycerz z desperacyi do rzeki się rzuci. Zbladł,

silnym ruchem ręki otworzył drzwi karety, na ziemię skoczył i zaczął biedz, wołając:

— Stój, a duszy swej nie gub!...

Iwaśko przed karocą stał, obie pięście do gęby wpakował i śmiał się.

— Stój acan!—wołał pan Bylina, któremu się zdało, że pan Filip nad ostatecznym skokiem rozmyśla, jeno dogodniejszego miejsca do utopienia się szuka, bo Peltew, podczas deszczów wiosennych desperatom dogodzić czasami może, lecz podczas upałów, jako to teraz panowały, żabie po kostkę była, a śmierdziała, że bez abominacyi stać nad nią nie sposób było. Biegł więc i krzyczał, przerażon grzechem, jaki na duszę swoją mógł ściągnąć. Ale pan Filip nie słyszał zadyszanego krzyku pana Byliny, szedł naprzód krokiem nierównym, opierając się o chwiejne baryery ogrodzenia, to o ściany domostw, jakby pijany był. Na skręcie rzeczki zatrzymał się, za łeb się znowu wziął i szepnął półgłosem:

— Com ci uczynił, Panie Jezu Nazareński, że tak mnie bijesz?...

— Stój, acan!—wrzasnął mu tuż nad uchem podkomorzy.

Pan Filip nie opamiętał się jeszcze, jak Bylina obłapiać go począł.

— Czyś ty chrześcijanin? czy Boga w sercu nie masz? czyś ty naprawdę myślał, że cię skrzywdzić miał zamiar i za dobrodziejstwo, desperacyą twoją odplacić? A wždy to próba była jeno stateczności waćpana i więcej nic, niech mnie zaraza morowa udusi! A waćpan mnie kłął

już, jak poganin, i padaczki dostał i o grzesznej śmierci zamyślał? A wždy waćpanu sam Teckę dałem i nie odbiorę, skarz mnie Bóg!... A waćpan słowo moje *in reprobum sensum* wzięłeś i zaraz do rzekł!... Choć mi starostwa żal, ale król jegomości nie zapomni o takim rycerzu i zawsze coś z łaski swej dać może, bo kogóżby dobrodziejstwy *cumulabat*, jeżeliby waszmość pana ominął?... Wybacz waść, jeżeli gniew masz ku mnie, jako i ja trud mój i fatygę wczorajszą z serca waćpanu wybaczam! Jeno każ temu hajdamace, który mnie po tatarsku porwał, w skórę dać, o to suplikuję, bo ze mnie żółć wytrząsł, wątrobę przewrócił i sedes nadwerężył... Ostanę we Lwowie dopóki sam zechcesz, a dziś wieczorem bankiet u króla jegomości i *theatrum*. Grać będą dramę *sub titulo*: „*Cnota nagrodzona abo pudełko z brylantami*”. Będę i ja, i waść będziesz! Wychożąc z dworca, zagniewany trochę na waście, zoczyłem w kancelaryi królewskiej odręczny list Miłościwego Pana, zapraszający ciebie na *spectaculum* ono. *Sine fuco adulationis*, godzien jesteś onego uważania króla. No, nie sierdź się nie sierdź, a pachółkowi swojemu w skórę każ dać za takie z maltretowanie mojej osoby, o to suplikuję i od tego nie odstanę, bo na honorze szwank mam!

Zasypany gradem słów podkomorzego, pan Filip nieprędko zrozumiał o co chodzi. Przypomnienie jednak padaczki, klątwy, chęci utopienia się, do czego ochoty wcale nie miał, jako też powtarzana prośba, by Iwaškowi w skórę dał,

naprowadziły pana Filipa na myśl nowej awantury jakiejś, do której Iwaśko dłoń swoją przyłożył. Obejrzał się i dostrzegł opodal stojącą karetę pana Byliny, zdyszane i zziajane konie i Iwaśka, który w boki się trzymał, a śmiał się cicho... i mrugał. A podkomórzy tak dalej prawili:

— Nie utopisz się?... Daj mi słowo waćpan, że tego nie uczynisz, i to w takim paskudztwie, jak Pełtew; przez miłość dla Tecki nie uczynisz waść tego!... Ansy nie masz do mnie? No, gadaj, nie masz?

— Ależ skąd, skąd? — zawołał pan Filip, oblapiając nawzajem podkomorzego. — Żeś mnie waszmość zasmucił srodze, to zasmucił, że myślałem, iż *mentem* stracę, to prawda! Ale to wszystko waszmość serdecznemi słowy swojemi precz rozgonił, i takim rad jest, że dziesięć lepszych starostw zarazbym oddał.

— No, no!—zawołał podkomórzy, jakby pan Filip w czyn już myśli swoje zamieniał.

Ujęli się pod ręce, i z przedmieścia, gdzie się znajdowali, zawrócili się ku miastu, pieszo idąc, bo podkomórzy do karocy swej sięść już nie chciał. Mijając Iwaśka, zwrócił się ku niemu i pięścią pogroził: „Turku ty jeden!” mówiąc.

Aczkolwiek przyjęcie na dworcu królewskim trwało jeszcze, nie poszli już na zamek, lecz „Pod Raka” do starego Skowrona udali się — i pili na umor. Zmierzch zapadł, a oni jeszcze raczyli się, zapraszając do stołu przygodnych, których nigdy w winiarni onej nie brakło, a cóż w dniu tak niepospolicym. Pan Bylina ululał się,

jak nie boże stworzenie, i zaczął tak sprośne piosenki śpiewać, że szlachta na całe gardło ryczała, ale wyprowadzić się nie dawał; wziął więc go pan Filip pod pachę, dwie konwie wody na łeb wylał i do swojej kwatery zaułkami powiódł, by godność podkomorską od ulicznego dziwowskiego ochronić.

W progu spotkali Zabiellę, który z uśmiechem się skłonił i podał panu Filipowi kartelusz jakiś.

— Co to takiego, panie Zabiello? — zapytał Filip.

— Na waszmość pana urażon srodze król, *monitum* mu przesyła.

— Masz, babo, flaki! — wybełkotał podkomorzy. — Zdaje się, że my nie przypasujemy się do siebie.

Pan Filip rozerwał pieczęć listu i czytać zaczął w głos:

„Miły Nam zawsze, a dziś całem sercem ukochany panie kasztelanie zakroczymski...

— Co, co, co? — zawołał Bylina, z zydła zrywając się, a oczom swoim nie wierząc. — Waćpan... za...krroczymski kasztelan? Zali pan Tomasz na Chędowie zmarł? Prawda, że mu głowa popsowała się nieco, ale zdrów był i na owsiane piwo do Abrahama się nie wybierał. Gadaj nam, Zabielluniu! zali dziś właśnie taką nam satysfakcję wyprawil?

— Dwie niedziele już temu, jak zmarł.

— Rzetelnie zmarł?

— List własnoręczny kasztelanowej Olendzkiej...

— Wykopyrtnął się, patrzcie.

— Dziś od małżonki nieboszczyka poseł z zawiadomieniem onem do króla przybył.

— A niech mu światłość wiekuista świeci, że tak w porę kasztelaństwa się swego pozbył—zawołał Bylina.

— Mógł pożyć jeszcze, zdrów był—odezwał się pan Filip.

— Waćpan gotowyś go jeszcze wskrzesić!—zalamantował podkomorzy.

— Gdybym mógł!

— A co! Ja powiadam, że waćpan kiedyś podarunek z Tećki komuś zrobisz.

Pan Filip się zaśmiał.

— O to waść obawy już nie miej! Dziewki tej za królestwo całe nie oddam!—rzekł.

— Czytaj waćpan, co król jegomość pisze.

Pan Filip zaczął:

„Zniknąłeś nam...

— Z początku... od kasztelana—zamamrotał podkomorzy.

„Miły nam zawsze, a dziś sercem całem ukochany, panie kasztelanie zakroczymski.

— O!—ozwał się Bylina.

Na nogach się chwiał, głowa mu raz wraz opadała, słuwał, ale mocował się jak mógł.

— Czytaj ać!—prawił.

„Zniknąłeś nam tak z przed oczu, że widokiem persony waszmościnej ukontentować nie mogliśmy się. Radzi będziemy ujrzeć waszmość pana dziś na bankiecie u nas, gdzie, ku ucieszeniu gości miłych, a wiernych poddanych nam, dowcipne *spectaculum* dane będzie.

— „Cnota nagrodzona, albo pudełko z brylantami”—szepnął Bylina.

— „Wiemy, — czytał dalej pan Filip — że waszmość woli naszej powolny będziesz, i wraz z dostojnikami królestwa naszego właściwe sobie miejsce zajmiesz.”

— Filipie, tyś senator! — wrzasnął pan Bylina, i z nóg się zwałił.

Po przebudzeniu się, a było to nazajutrz, zastał Filipa siedzącego przy łożu.

— Cóż, wasze? pojedziemy na bankiet do króla?—zapytał.

— Po bankiecie już, panie podkomorzy!

— Jakto po bankiecie? O, Jezu! prawda, żeć to dzień biały! — zawołał zdziwiony Bylina.— A tom się urznął! — rzekł po chwili, głową kręcąc.—A waćpan byleś, czy jako i ja...

— O nie! a być musiałem, choćby dlatego, by Panu Miłościwemu za kasztelaństwo podziękować.

— Prawda, że senator z waćpana! A Tećka? Zważ aspan tylko... senatorowa także! Nie możesz sobie waćpan wyimaginować, jak miły mi jesteś! Niech wie Michałek, jakimi to drogami do godności w Rzeczypospolitej naszej przychodzi się. A stary ćwikał mi ornatami i pasami w oczy, jakby nie wiedział, że u mnie jeno zasługa walor ma, i wolę chama uczciwego, niż zbója szlachcica... A dałeś tam Iwaśkowi w skórę?—zapytał nagle.

— Nie sposób mi go tknąć, panie podkomorzy!

— Dlaczego nie sposób?

— Bom mu ziemię dał i z poddaństwa uwolnił.  
Bylina głową pokręcił.

— Niedaleko ty zajdziesz z tą misericordyą swoją, panie Filipie. Ale waść wczora dziesięć starostw oddałbyś, a ja dziś hajdamace onemu przebaczam za wiolencyą, jaką się względem mojej osoby dopuścił... Cóż tam nasz Pan Miłościwy? nie krzywił się, że podkomorzego Byliny na bankiecie nie było?

— Mocno żałował, bo przygoda waszmość pana do dworu doszła i rozweseliła wszystkich. Król was widzieć chciał i razem z wami się pośmiać. Iwaśka kazał sobie przedstawić i setkę dukatów dał mu, a w takim złotym humorze był, że pił i tańczył noc całą, parokrotnie zdrowie moje wznosząc.

— Paskudniem zaspiał — narzekał podkomorzy — a tam honorowano waćpana i dusery prawiono, że musiałeś, jak dziewczka w noc poślubną, skomlić. Prawże waść... to jest panie kasztelanie zakroczymski, jakże spectaculum się udało?

— Niezgorzej!

— A król?...

— Rad był i w dłonie klaskał.

— A waść?

— Puściłem się drabanta z królową.

Podkomorzy zerwał się z łoża.

— Bój się Boga!... królowa z drabantem, to jest nie, drabant z królową... nie! waćpan z drabantem... Tfu!... Toć to niesłychana rzecz, by Marya Ludwika w tany szła takie!

— Z senatorem! — zaśmiał się pan Filip.



— Jak ja asindzieja miłuję, to wyimagino-  
wać sobie nie jesteś w stanie. A Bóg mnie  
skarż, ale tak szybkiego awansu nie spodziewa-  
łem się.

— A gdybyś waszmość Kasperka widział,  
jak był rad ze starostwa swojego!

Tu pan Filip opowiedział podkomorzemu  
recz całą, jak wojewoda Bytomski dziewczki swej  
Piwońskiemu dać nie chciał i dlaczego on, Filip,  
starostwo szczyrzeckie ustąpić mu musiał.

— Chwali się to, waszmość panu, panie  
kasztelanie zakroczymski, chwali się! — rzekł By-  
lina. — Lecz prawdę mi rzeknij: czyś Tecki pe-  
wny był?

— Tecki, pewny, ale waszmości pana, nie!

— I mimo to?

— Zrzekałem się szczęścia własnego dla  
przyjaciela.

— *Rara avis, rara avis* dziś *amicitia* ta-  
ka!... Nie zastanowiłeś się jeno waszmość, że  
i Tecka ucierpiećby mogła. Swoim spokojem  
rozporządzać prawoś miał, ale cudzym? Co  
mi na to odpowiesz, panie kasztelanie zakro-  
czymski?

— Nie wiesz-że waszmość, iż w takiej chwili  
rozważa idzie na nice? Nie uważałeś-że wasz-  
mość, iż gdy mnie król starostą powitał, jak Kas-  
perek zbladł?

— Perswaduję teraz postępek waćpana,  
i on to serce moje do waćpana nakłonił. Ale  
ten wojewoda Bytomski, to głupi człek, jako  
widzę!

— Bywają tacy—szepnął pan Filip.

— Głupi człek!—powtórzył podkomorzy.

Dwie całe niedziele w stolicy król bawił i przez te dwie niedziele pan Filip i Bylina nie opuszczali Lwowa, a podkomorzy przekonać się mógł, jak król, dwór cały, dygnitarze i szlachta kupili się około pana z Konopi. Z Wysokiego Zamku codziennie armaty grzmiały, a wewnątrz dworca królewskiego szedł bankiet po bankiecie; król lubił płąsy i rad im się oddawał, szczególnie gdy Jejmość Pani, jakimś nieforemnym konceptem urażona, do komnat swoich z niewiastami odeszła, a tem samem swobodę większą dostojnemu małżonkowi swojemu dawała. Uczta i tany przerywane były widowiskiem „Cnoty nagrodzonej”, po czem znów odzywały się trąby i puzony i inne narzędzia gędziebne; i widział pan podkomorzy, jak przez Zabiellę, w imieniu królowej, pan Filip do tańca proszony był... i szedł z najjaśniejszą panią drabanta z podziwem dworu całego.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

## CZEŚĆ TRZECIA.

### XII.

Odjazd najjaśniejszego pana niemniej tryumfalny był jak i przyjazd. Okrom zwykłego otoczenia świty i karoc dworskich, straży przybocznej i oddziału wojsk królewskich, kilkutysięczny tłum szlachecki, z praskiem i trzaskiem, aż do Przemysła króla swojego odprowadzał, przy czem palono z rusznic, a sztorty i pomorty, fujary i szałamaje przy bębnów grzmieniu, tyle robiły harmideru, że powietrze klaskało jak opętane, a echa w lasach siedzące, wrzasku i grania onego nijak wład porządny zbić nie mogły. Nieznającym rzeczy zdawałoby się, iż naród jakąś wielką wiktoryę obchodzi, a to sobie jechał tylko król polski, a szlachta mu z własnej fantazyi towarzyszyła. Oczywiście, że pan Filip z Konopi od tej kompanii nie odstał, a choć podkomorzy Bylina chciał go do swojej karocy wziąć i co najprędzej do Tećki powieźć: pan kasztelan, mimo najszczerzej chęci zobaczenia się co najrychlej z dziewczką ukochaną, nie

mógł dobroczyńcy swego ostawić i z odprowadzającą go bracią nie połączyć się, a zresztą, ony gwar wojenny, stuk kopyt, szablic brzęk i ta rozweselona kupa szlacheckiego narodu, niemniej od dziewczki najmilejszej nęciły go, że — pomijając nawet obowiązek wdzięczności, jaki dla króla swego miał — samby nie wiedział: czy z podkomorzym do Kaczorówki, czy z kompanią oną do Przemyśla wolałby jechać. Tak zaś, jak było, nie wahał się przez jedno mgnienie powiek, i gdy pan podkomorzy zwrócił się ku niemu i rzekł:

— Waćpana z sobą zabieram.

Odpowiedział bez namysłu:

— Pokłoń się waszmość odemnie najmilszej Tećce mojej, ale gdy szlachta cała za królem wali, mnie pana miłościwego ostawić się nie godzi, bom mu pierwej, niż dziewczce gładkiej, wierność zaprzysiągł.

Tak tedy podkomorzy do Kaczorówki wyruszył sam, a pan kasztelan do powiększonego orszaku króla jegomości wmieszał się i drobił przy landarze królewskiej, po stronie, gdzie siedziała Marya Ludwika, raz wraz łaskawemi pytaniami zarzucająca pana Filipa. Niejeden z panów podsunął się do kolasy, ale, widząc, że królowa nie przerywa z panem kasztelanem rozmowy, odjechał na bok, niepotrzebnym się czując.

— Nie zawiodłam się, poznawszy waćpana; mój mąż, a król, wierny mi konterfekt osoby waszmościnej przedstawił. Zda mi się, że we wszystkich terminach na wierność waszą, panie kasztelanie, liczyć możemy — mówiła królowa.

— Dlaczego miłościwa pani mówi: zda mi

się? gdy tu żadnego wątpienia być nie może — odpowiedział pan Filip.

— W niczem?

— I nigdy! — rzekł pan kasztelan.

Królowa uśmiechnęła się; znać, że rada była z tej odpowiedzi. Nagle spytała:

— Czy waćpan za Kondeuszem trzymasz?

— A co on mi wadzi? — odpowiedział pan Filip.

— Wždy wiecie, że król za żywota swojego o elekcyi zamyśla. Cóż wy na to!

— Pozwolenie dam. Jeno po najdłuższem życiu miłościwego pana dopiero o tronie pomyśleć może pan Kondeusz.

— To się widzi—odparła Marya Ludwika.— Lecz dla zabezpieczenia królestwa od swarów i niezgód różnych, jakie, w razie bezkrólewia pokój mącą, za swojego życia Pan chce elekta mieć, by módz umrzeć spokojnie. Przecz jedynie na wzglądzie ma szczęście macierzy wspólnej.

— Któż o tem wątpi, miłościwa pani!

— Lecz niedość wasz głos, nam chodzi o inne też głosy, a szczególnie o wyrozumienie, jaki w onej materyi jest sąd imć pana wojewody ruskiego.

— Zda się, że wierność pana wojewody dla tronu nieposzlakowana jest!

— Był takim i Lubomirski marszałek — westchnęła królowa.

— Lecz nie Czarniecki — rzekł pan Filip.

— Waćpan ulubieńcem jesteś wojewody, wasze słowo dziś walor ma. Gdy się nadarzy okażya, a o tę, waszmość, dla miłości naszej posta-

rasz się, szepnij, że król na głos pana wojewody liczy. Krom tego i innych ku myśli naszej nakładniaj waszmość.

Pan Filip, aczkolwiek nie polityk, nie pochylał się ku stronie rakuskiej, Niemców nie lubił, i wiedział, że przez nich to Zygmunt III serca w narodzie nie miał. Pochylił się więc ku Konduszowi, czem zjednał sobie względy Maryi Ludwiki. Jechał więc przy kolasie, rozmawiając wesoło a swobodnie, a gdy go wreszcie jakiś dygnitarz koronny zlużował, wtedy przystanął i do innych karoc się zbliżył, gdzie wojewodziny i wojewodzianki, kasztelanowe i kasztelanki chętnem okiem witały rycerza, szepcząc pomiędzy sobą, zawiadomione będąc o czynach jego w Danii popełnionych:

— On ci to jest!

Podczas podróży onej, która z takim niebywałym odbywała się rumorem, bo do szcżęku i brzęku, hałasu i gwaru, domieszywały się jeszcze i papug gđakania i małp ucieszne facecye — pan Filip niejednokrotnie do pojazdów się zbliżał, w których siedziały komedyantki z francuskiego teatru, jak papugi gadające, a wierzące się, niby frygi bez mała. Głośne czyny pana Filipa nieobce i tym paniom były; wychylały się więc z karoc, śmiały się, a mizdrzyły, pokazując przy tem białe a ostre ząbki, jakby ugryźć nimi chciały. Zauważywszy te figle, pan kasztelan raz wraz im się nastęrczał, a choć Tećki wspomnienie i wrodzona modestya do bliższej nie przypuszczały go konfidencyi z damami onemi (na co sobie niejednen kawaler pozwolenstwo dawał), mimo to wdzięczną

przybierał pozę, to wąż pokręcił, to w boki się wziął, to się zdębić rumakowi pozwolił, myśląc sobie:

— A niech się tam białogłowy polubują!...

Na zamku w Przemyślu król jegomość ucztę świetną wyprawił. Grały działa, dym w róże białe rozwijał się, a trębaczom pyski popuchły od dęcia nieustannego. Tu miłościwy pan pożegnał się z ludem swoim, a pożegnaniu końca nie było.

— Żegnajcie, mili mi! — król wołał.

— Żyj, a panuj nam! — grzmiał tłum szlachecki.

— *Au revoir!* — śpiewała królowa.

— *Ur var!* — wrzeszczały papugi.

I ogromne serc podniesienie było, dopóki cały orszak królewski, ku Krakowowi dążąc, nie omgłił się, nie rozplynął, nie rozwiał..

Wraz z onym odjazdem królewskim zmaląła niepomierne i rzesza szlachecka. Jedni ostali w Przemyślu, inni do siedzib swoich udali się drogami różnemi, ale znaczna część nawróciła ku Lwowu; do nich, oczywiście, należał pan Filip i Kasper Piwoński.

Zaledwie opuścili Przemyśl, jak pan Filip zauważył naprzeciw idącego młodzieniaszka. Włosy płowe wiatr mu rozwiewał, bo młodzieniec czapkę rogatą w rękę trzymał; pierś miał obnażoną; śnać dlatego żupanik rozpiął, by tchu jej dać więcej; szedł szybko, nie zważając, czy kto za nim, czy przed nim jedzie. Dostrzegłszy go, pan kasztelan ostrogę koniowi dał, na czoło towarzystwa się wysunął i naprzód pomknął.

— Jaśku! — zawołał, zatrzymując się przed chłopcem.

— Spotykamy się zawsze — odpowiedziało pacholę głosem zmęczonym.

— Dni tyle — i waćpan wciąż w drodze!

— Do Balic daleko — odpowiedział Jaśko.

— I kiedy ty tam zajdziesz, chłopcze? — zawołał pan Filip.

— Waćpan morze przepłynął, a ja po ziemi idę — odparł Cichocki.

— Zawszy z takim argumentem wyjedziesz, że miel ozorem, jak chcesz, a kolkiem w gębie ci stanie—ozwał się pan Filip.—Ale słuchaj, wždy ja tobie nie wróg... W żołądku ci burczeć musi, a bulki chleba nie masz pewnikiem kupić za co... Wziąć nie chcesz, to pożycz u mnie choć czerwienica jednego.

— Nie oddam wam.

— To nic!

— Aa!... waćpan dać chcesz!...

Ominął pana Filipa — i przeszedł.

Nadjechał Piwoński i inni, i rozpytywać poczęli o młodzieńcu spotkanym. Pan Filip, co wiedział, to powiedział o Jaśku, jeno nic o Balicach nie mówił, nie wspomniał także o imieniu i nazwisku Jaśkowem, bo słowa danego Cichockiemu pamiętny był. Gdyby nie sekret ony, rzeczby się nie mogła tak gładko ukryć, bo dużo szlachty i z ziemi krakowskiej przydybało, a niejedem może miedzą z Balicami graniczył, tak zaś, spojrzeli jeno na Ahaswerusa, a że lik nie mały, po wojnach i klęskach srogich, błędników podobnych był, pomieszanie nawet wałęsali się po lasach i polach, nie zastanawiał się nikt nad Jaśkiem



Cichockim, choć najobojętniejszego nawet uderzyć musiały młodzieńczy jego wiek i uroda.

We Lwowie pan kasztelan zabawił dni kilka, choć pan starosta szczyrzecki przynaglał go, by do Komyszów śpieszył, gdzie stary Macijas z utęsknieniem i niepokojem pewnym na syna czekał, bo wiedział, że Kasperek o starostwo starać się miał, lecz wiedział także, że wielu niemniej godnych, a wiekiem starszych, ubiegać się o nie będzie. Pan Mateusz nie wierzył w dobry skutek starań Kasperka, ale wątpieniem swoim zasmucać go nie chciał i, prawdę rzec, stałoby się, jako przewidywał, gdyby nie pan Filip. Pan Kasper do Komyszów więc śpieszył, aby rozproszyć niepewności wszelkie z umysłu rodzica, choć wyręczała go w troskliwości onej *serenissima becha* z dereniakiem i zieleniakiem do spółki. Ale pan Filip miał sprawy ważne, które go zatrzymywały we Lwowie.

Co czynił, nikt nie mógł wiedzieć, choć cała palestra nieraz do niego się schodziła; poszeptywano jednak, że jakiś akt dobrej woli spisywał, oblatowywał w grodzie, do ksiąg wieczystych wciągał, ale żaden z palestrantów tajemnicy onej nie zdradził, z czego widno było, że łapę miodem pomazaną miał i przyrzeczenie na przyszłość. Kasper, który wiedział, że Tecka Bylinówna była przyrzeczona Filipowi, dorozumiewał się, że to on tak z przywiankiem chodzi, czemu, zapytany, nie zaprzeczył—i tak, swędząca ciekawość ludzka uśmierzona została, a pan Filip bez nagabywań już niczyich zamysł swój do skutku doprowa-

dzał. Prawdę całą znał jeden Iwaśko tylko, to też sam na sam z panem Filipem zostawszy, mówił z rozrzewnieniem:

— A toż to radość będzie, a dozgonne umiowanie was!

— Nie z pustem słowem na sejmiku przed bracią szlachtą stanę — odpowiadał pan Filip — i może przypomną sobie ślub, jaki Panu Bogu złożyli.

Zanim z „przywiankiem” uporał się, minął tydzień z ogonem. Kasprowi śpieszno było do Komyszów, lecz i z przyjacielem rozłączyć się był nierad. Po całych dniach nie widzieli się prawie, dopiero nad wieczorem schodzili się pod „Wiechę” do Kulawego Dybka i przy miodu szklenicy dopowiadali to, czego dopowiedzieć dotąd nie mogli. Aż pewnego poranku pan Filip rzekł:

— Gotowym!...

I ruszyli do Komyszów.

Z rozradowanej fizynomii Kasperka pan Maciej poznał, że wedle myśli ułożyły się sprawy lwowskie i że nie komu innemu, jeno panu Filipowi pomyslnie ułożenie się spraw tych zawdzięcza. Oczywiście, że pana Macieja spotkali we wrotach na beczce siedzącego. Dostrzegł ich, wstał, a gdy pan Kasper wprost do nóg mu buchnął i jął stopy całować a śmiać się — staremu w oczach powilgotniało, oblał syna i rzekł:

— Rybeńko! aspan starostą pachniesz!...

— Podziękuj, ociec, Filipowi za ony aromat. Jak było, stary dowiedział się wnet; wycalo-

wał serdecznie druha pana Kaspra i do izb prosił, lecz gdy o kasztelaństwie jego zasłyszał, odezwał się zaraz:

— A-a-a!... to do piwnicy proszę!...

Dwa dni zabawił pan Filip w Komyszach, ale na trzeci już rwał się do Tecki. Kasperek go nie puścił.

— Dla miłości waścinej siedziałem we Lwowie dwie niedziele bez mała, musisz mi się teraz wzajemnością odpłacić. Wiem, że do dziewczki skomlisz, lecz gdy mnie tak nagle opuścisz—wyć będę. A zresztą, powiem ci Filipku, iż zamach na swobodę waćpana czynię i nie prędjiej wolność dam, aż z Dzikich Pól powrócim.

— Co zaś!—zawołał pan Filip.—Do Tatarów się wybierasz?...

— Nie do Tatarów, lecz do stancy naszej na kresach.

— Masz swój tam interes, to jedź; lecz ja po co?

— Mój interes, z wojewodą Bytomskim się zobaczyć, który tam będzie wraz z panem Stefanem Czarnieckim.

— Z Czarnieckim?—krzyknął pan Filip.

— A widzisz?...

— Bodaj ciebie!... Towarzyszyć waćpanu i pana Czarnieckiego zobaczyć!... Toć pokusa, której oprzeć się nie sposób.

— Pan Stefan objeżdża stanice, kędy Wołodyjowski strażuje...

— To i Michałka ujrzę?

— A widzisz!...

— Trudny wybór!—zawołał pan Filip.—Tam dziewczka wabi, a tu Michałek i pan Stefan. Nie zrobię sam nic... Niech los powie!

Nastawił już dwa palce wskazujące do wróżby, lecz je opuścił wnet. Przypomniwał sobie rozmowę z jejmością królową i okazyę zobaczenia się z panem wojewodą. Rzekł więc krótko:

— Jadę!

— Ale ze mną?

— Jużci, że z tobą...

Jakkolwiek wycieczka ona do dwóch niedziel przeciągnąćby się mogła, jakkolwiek tęsknota za dziewczką ukochaną rozpierała pierś pana Filipa, zobaczenie się z wodzem dawnym i sławnym po wszej Rzeczypospolitej Michalkiem Wołodyjowskim, jakoteż wywiązanie się z polecenia danego mu przez jejmość panią—wzięły górę nad sentymentem, a zaledwie na niebie świt błysnął, opuścił Komysze, udając się wraz z Kasprem i nieodstępny Iwaśkiem ku ostatnim kresom Rzeczypospolitej.

Dzień był piękny, niebo, jak namiot lazurowy z płonąca głowicą słońca rozciągało się nad koliskiem ziemi. Za nimi i przed nimi step—a trawy tak były bujne, że pyski rosłych nawet koni w nich się nurzały, a piersi rumaków rozbijać musiały te fale zielonego morza. Gdzieś rzucił okiem, za siebie czy przed siebie, jeno zieleń, błękit a słońce. Gdzieniegdzie mak wykwitnął, albo wyrzała żółta kolumna dziewanny; błysnęło pod słońce rozpostarte skrzydło jastrzębia, stado kuropatw się zerwało — i więcej nic, nic, tylko cisza i błękit, i ono morze zielone.

Konie parskaly rażno i co chwila zrywały zielska laskocące ich nozdrza; chłodna rosa rozbrzygiwała się pod kopytami, szable czasami szcękneły lub zadzwoniło strzemię o strzemię. Nie sposób było myśli w słowa zamienić, tak jakoś uroczyście było na tych równinach wzrokiem nieobjętych. Kasper z Filipem jechali naprzód, a Iwaśko z luzakiem Piwońskiego za nimi tuż. Nie mówili do siebie nic, jeno marzyli. Pan Filip uśmiechał się do ziemi, do nieba, do słońca, takie przepelnienie czuł w sercu, taką wdzięczność Bogu laskawemu za to wszystko, co otrzymał i co otrzyma jeszcze w darze od Niego. Bo dziwnie dobrze żywot mu się splótl, a w tak siarczystych był opalach, że niejeden zdechlby na jego miejscu, albo wszystkie klepki na dróg rozstajach pogubił.

— A jemu co?...

— Nic!...

Jeno złocistych wspomnień więcej przybyło, jeno niegdyś wnukowie dziwować się będą, że żyw a zdrów z terminów takich wychodził zawsze i ani fantazyi, ani ochoty kawalerskiej nie stracił. Przeszło już wszystko, co najgorsze było, a teraz idzie to, co ma być najlepsze: kochanie, kochanie i kochanie!...

Marzył tak owionięty czarodziejstwem owych myśli, a step szumiał, wiał zapachami traw i w ciachym wiatru szmerze niósł oddech morza Czarnego.

Na nocleg rozłożyli się wśród stepu, lecz nie palili ognisk, bo trawy były suche i z onej racyi płomienia chwytnie. Po co zresztą ognisko,

gdy księżyc świecił, a gwiazdy jak oczy dziewczęce mrugały, a snu takiego, jak na posłaniu traw i w puchach nie znajdziesz. Konie wolno puścili, które nie oddalały się od nich, jako do obozowisk przywykłe, sami zaś usiedli w kucki, napawając się chłodem nocy majowej.

— Vivenda jest? — zaczął Filip.

— Nie zjedliśmy wszystkiego... — odparł Kasper.

Kusztyczek wypili z manierki, gdańską wódką wypełnionej, wędzonej gęsiny o tyle zjedli, by im nie cniło, i ani spostrzegli się, jak ziemiamacierz do swojego ich łona przytuliła, a srebrzysty sen stanął nad nimi.

Kamieniem spali, choć parokrotnie zdało się im, że konie zarżały, że szmer jakiś rozszedł się daleko—i znikł..

— No i cóż?

Dla fantazyi rzą konie czasami, a wiatr, Bóg wie skąd, przybieży i zaszumi. Zresztą stacja niedaleko: straż może objeżdża pogranicze.

Myśli podobne, niewyraźne, przesunęły się przez mózg senny, ciszą nocy i ziół zapachem spojony.

Obudził ich świt, wykąpała rosa. Zaśpiewali pieśń poranną i w dalszą ruszyli drogę.

O stająn kilka od miejsca noclegu zauważyli szeroki pas zbitej trawy. Gościniec ten szedł od Pól Dzikich, nagle się urwał i rozpromienił się w dróg tysiąc, które zaledwie poznać można było po trawach lekko pochylonych. Pan

Kasper zatrzymał się, wspiął się w strzemionach i patrzeć zaczął dokoła—a Filip rzekł:

— Tabun koni przechodził.

Piwoński głową pokręcił:

— Nie, bracie! konie nie mylą tak śladu drogi—znam się na tem!...

I znów się obejrzał...

Lecz nic dostrzedz nie można było: dokoła, porannym wiatrem kołysany, chwiał się step, a dalej—mgła.

Piwoński spiął konia — pomknął zbitym gościńcem traw, na prawo, na lewo się zwrócił, wstrzymał się, zeskoczył, pochylił się, jakby na ziemi coś znalazł — i po chwili stanął przed panem Filipem.

— Cóżes wykalkulował?...—ten spytał.

— Tatarzy!—rzekł krótko Kasper.

I pokazał panu Filipowi strzałę znalezioną...

Pan Filip wziął ją do rąk, popatrzał i rzekł:

— Może dawnaj!

— Leżała na wierzchu traw — odpowiedział Piwoński—a na ostrzu rdzy niema.

— Zali mógłby, choć najmniejszy czambulik, przeoczyć taki stepowiec, jakim jest Michałek?—spytał pan Filip.

— Setka nawet koni tatarskich łatwo może wśród traw onych przemknąć się niepostrzeżenie — odpowiedział Kasper. — A tu wywiadowczy oddziałik jakiś z kilkudziesięciu ludzi zaledwie złożony. Kat wie zresztą, co to takiego, ale tylko Tatarzy tak brodzą; zrazu kupą idą, a pó-

źniej pierzchają, by nie zostawić po sobie śladu zbitej drogi, i pogoń, w danym wypadku, zmylić. O mile lub dwie połączą się znów i znów pierzchną; trawa przez jednego konia zbita, podniesie się łatwo, a szukaj wtedy wilka w lesie.

— Wždy z Krymem zgoda? — odezwał się pan Filip.

— To też we łbie mam ćwiek! — rzucił Kasper... — Ale to jakaś garstka! — Po chwili dodał: — może to wyprawa zbójecka po tabuny koni dzikich?

— A gdyby tak pognać za nimi?

— Próżny trud! — rzucił Piwoński. — Obeznany z zaskokami pohańców oddział lekkiej jazdy niełatwo da sobie rady, a cóż my?

— Trzeba będzie zawsze Michałka uprzędzić...

— To się wie!... Po południu będziemy w stancy.

Ruszyli.

— Czy slyszales — odezwał się po chwili pan Filip, — że konie nasze rżały?

— Słyszałem, i to musiało tych psich synów spłoszyć.

— I żaden z nas łba nawet nie podniósł!

— Dużo-byś wskórał! — zaśmiał się Piwoński.

— To prawda!

Miało się ku zachodowi, gdy do stancy wjechali. Pośpiesznej jeździe przeszkadzała bujność traw i dnia upał. Zastali pana Michała stojącego na brzegu rzeki, gdzie konie pławili.



— Ziemię rozstąp się!... A to gości mam!—  
zawołał mały rycerz.

Porwał w ramiona Kaspra i Filipa i uściskał serdecznie.

— Mam honor waćpanu przedstawić starostę szczyrzeckiego—odezwał się Filip.

— A ja kasztelana zakroczymskiego—dodał Piwoński.

— Bagatela!—śmiał się pan Michał.—A gdzież ja takie persony ulokuję w pustce swojej?... — dodał. — Widno, żeście nie próżnowali we Lwowie, ale żeście o mnie nie zapomnieli, to Bóg wam stokrotnie zapłaci!... No, chodźcie do izby, a siła rzeczy do opowiedzenia sobie będziemy mieli...

— Patrzcie ich, Kasper i Filip! — dodał po chwili. — No, tego to mógłbym się spodziewać, bo wiedział, że wojewoda Bytomski nadjedzie, ale ten, jeno dla mnie mógł przydybać. Dajże ci Bóg i hetmańską bulawę, a zółcią nie prysnę!...

Gawędząc tak, szli do izby małego rycerza, a po drodze to ten, to ów drogę im zabiegał, zapoznawał się lub przypominał, a szczególnie panu Filipowi przypatrywał się, jako bałtyckiemu człowiekowi.

— Zastąłem więc wojewody? — zapytał Piwoński.

— Ani twojego, ani Filipowego niema. Jutro lub pojutrze nadciągną... A teraz mnie się oddajcie, bom na tej pustce za wieściami różnemi zajętknił.

— Będzie o wszystkim, ino pierwej..

— Wina chcesz?

— Masz go!—zaśmiał się Piwoński.—Przygodzi się i ono, alem nie to chciał rzec.

— A co?

— O znajomych dawnych popytać.

— Kogo na myśli masz?

— Choćby pana Zagłobę.

— Niema go tu, w krakowskiem siedzi i w swaty się bawi.

Zasiedli przy stole, a oto i dzban polewany z trójniakiem się znalazł i różne wiktuały do żarcia.

Serdecznie a przyjacielsko zrobiło się, a było czem strzępić języka, boć to o szwedzkich i nieszwedzkich sprawach gawędzono, a i bytność króla we Lwowie niemało materyi do gawęd onych dawała. Zmierzch zapadł, pochodnie zapalono, a szklenice dzwoniły jeszcze, jak Pan Bóg przykazał. Wreszcie pan Kasper przypomniał o śladach tatarskich i zwrócił się z wieścią oną do pana Michała.

— Wiem, że gałgaństwo jakieś gdzieś się przedarło — odrzekł mały rycerz. — Wczoraj jeszcze na trop wpadłem, ale wysłany komunik z niczem wrócił. Trwogi jednak żadnej niemasz, nic złego od pól nie załata, złodziejska to jakaś wyprawa, może po konie dzikie, które po stepie tu brodzą. Dziś, jutro z powrotem będą, i w zatrzask wpadną, jak amen w pacierzu.

— Ale Tatary?—spytał pan Kasper.

— Ślady pohańców — odparł Wołodyjow-

ski — choć znaleziona czapka szlachecką mi się widzi.

Tu powstał i z kolka zdjął czapkę, gościom swym pokazując...

Nagle pan Filip zbladł i z miejsca się porwał...

— Co waćpanu?—spytano.

— Czy mi się w oczach ćmi?... Ja... tę... czapkę.. znam...

Towarzysze spojrzeli na mówiącego.

— Rozprucie być musi od cięcia szabli...

Obrócił czapkę w rękę.

— Jest!... I krew!—dodał po chwili.

Piwoński i Wołodyjowski na wskazane miejsce spojrzeli.

Tak! czapka była nad czołem ostrzem szabli przecięta, zaszyta jeno, i znać było wyschłe plamy krwi.

— Wiesz więc czyja?—zapytał mały rycerz.

— Michała Zawiszyńskiego — odpowiedział Filip.

Obecnych ogarnęło zdziwienie, a pan Filip przypomniał sobie spotkanie się z Zawiszyńskim w karczmie Lejzora. Napastnik czapkę na głowie miał, a jak się teraz pokazało, skórą podszytą i wełną wypchaną i to go uratowało od śmiertelnego ciosu pana Filipa. Wezwany Iwaśko poznał równie, do kogo należało owo nakrycie głowy, lecz rzecz sama zagadkową zostawała, choć jakimś zbójectwem patrzyła. Czapka—Zawiszyńskiego, a znaleziona przez Kaspra strzała tatarską była...

Ale co dalej?...

Pan Filip nawet nie umiał powiedzieć nic, choć we wnętrzu mu jakiś niepokój zagadał. Bił się w myślach, ale prawdy rzetelnej domagać się nie mógł.

Zawiszyński z lotrostw swoich całemu rycerstwu był znany. Ograbiał dwory, gwałcił dziewczęta, ale sprawy one w czasach burzliwych mimochodem szły, na kresach zaś, wśród pustek stepowych i podczas pokoju nieprawości różne wydarzały się; zabijaka zaś taki, jak on, może supełek na kogo zawiązał i zemstą katowską grozi...

Zemsta!

Pan Filip niezupełnie znaczenie wyrazu tego rozumiał. Miał gniew ku niemu — wždy on pola mu nie odmawiał; od ołtarza-by odszedł, a stanął.

Była już późna noc, gdy udali się na spoczynek. Z Filipem razem Piwoński spał i słyszał, jak pan Filip na łożu się przewracał, jakby go jakie insekta opadły i spać nie dawały. Nagle się zerwał i siadł.

— Kasperku! — zawołał.

— Co tam?

— Nijak nie mogę spać...

— Czemu to?

— Niepokój mnie dławi!...

— Przeżegnaj się, a śpij! — odpowiedział

Kasper.

Pan Filip przeżegnał się, ale zmora niepokoju dusiła go wciąż, że potem zimnym oblewał się...

— Słuchaj-no!—odezwał się, siadając znowu na łożu—ja świtu nie doczekam!

— Boga się bój!—zaśmiał się Kasper.

— Boga się boję i On mnie przeczuciem ostrzega... Zawiszyński... Tatary!... To coś jest!—zawołał, zrywając się z łoża—coś, co mnie zmusza zaraz na koń siadać i gnać!

— Dokąd?...

— Tatarskimi śladami, kierując się ku...

— Kaczorówce?... — uśmiechnął się pan Kasper.

— O Konopiach myślałem, a ty mi Kaczorówkę podsunąłeś... Teraz już mnie nie strzymasz!...

Próżne były tłumaczenia i nalegania. Pan Filip zbudził Iwaśka i kazał konie kulbaczyć. W stancy rejwach się zrobił, przybiegł i pan Wołodyjowski, ale pan Filip umitygować się nie dawał. Spodziewany nawet przyjazd Czarnieckiego zatrzymać go nie mógł, bo strach jakiś go pędził i molestowania wszelkie próżnemi czynił.

— Chcesz, to jedź! — odezwał się w końcu pan Michał — bo (chroń Bóg) nieszczęścia jakiego, nie chciałbym na sumieniu nic mieć.

— Pojechałbym z tobą, Filipku... — mówił Piwoński — ale muszę się zobaczyć z panem wojewodą.

— Daj Bóg, ażebym próżny strach gonił — odpowiedział pan Filip. — Ale ta strzała tatarska, czapka... Kto wie, co ten psu brat zamyśla, a anseę ma do mnie... Ostańcie z Bogiem!...

— A bacz! — wołał pan Michał za odjeżdżającym — że, gdy ślady prysną, nie szukać ich, jedno jechać prosto, choćby mil dwie, a na trop główny znowu natrafisz... Choć pewny jestem, że ich wpierw, niż ty, ułapię.

Słońce jeszcze wahało się, czy zejść ma, czy w leniucha się zabawić. Pan Filip na step wyjechał, dążąc ku miejscu ostatniego noclegu wśród pola.

Natrafwszy na ślad tatarskiego gościńca, pośpieszał nim, trzymając się wskazówek małego rycerza, a wielkiego znawcy zaskoków pohaństwa. Ubity szlak wciąż znikał, a rozproszenia już nawet znać nie było, bo pulsujące życiem trawy podnosiły się prędko i wszelaki ślad rozsypki zacierały. Pan Filip więc pilnował się drogi prostej, Iwaśka jeno wysyłając na zwiady, który powracał, po godzinnem zniknięciu nieraz, i znajdował pana Filipa na odnalezionym gościńcu głównym. Posuwali się śpiesznie wciąż naprzód, nie żalując koni, które zmęczonemi piersiskami pracowały okrutnie, bo upał straszliwy był, a pan Filip coraz większym niepokojem pędzony, spoczynku im nie dawał. Aż Iwaśko odezwał się:

— Przystańmy, Filipku... bo padną!...

— A Tatarzy umkną! — odpowiadał pan Filip.

— Nie pędzą tak szybko, jak my, a odpoczywać też muszą. Gdy zaś koniska rozepną się, to i gonić sposobu nie będzie.

Pan Filip nie mógł nie przyznać Iwaśkowi słuszności; a zresztą, dognaliby czy nie dognali, konie tak były wybite z sił, że lada chwila odmówiłyby posłuszeństwa. Wytchnąć muszą, a nawet

lepiej, gdy upał przestoją, a chłodną nocą w po-  
goń dalej ruszą. Zwolnili więc biegu i jechali  
stępa, bacząc pilnie na ślady, a oczyma szukając  
brodu jakiego, by biedne zwierzęta mogły pyski  
umoczyć i zaspokoić pragnienie.

Szlak, którym dążyli, silnem półkolem w bok  
skręcił—to zdziwiło jadących... Nagle znikł, zosta-  
wiając pytanie: którądy jechać?... Zakrętem wska-  
zany—to znaczyłoby w stronę całkiem przeciw-  
ną od Kaczorówki i Konopi. Kto wie, czy to nie  
były figle tatarskie: skręcili, rozbiegli się, a hen,  
hen, daleko może wyrównali szlak. Prosto więc  
ruszył Iwaśko, a pan Filip zakrętem wskazanym.  
Ujehawszy jednak kroków kilkadziesiąt pan Filip  
napotkał bród, którego brzeg kopytami końskimi  
był zbity. Widocznie, że tu pojono konie i po-  
pasano. Mówiły o tem resztki jedzenia zostawio-  
nego na ziemi i przygasłe ognisko. Za brodem  
znów był widoczny ślad przeprawy i zbity pas  
traw. Zwrócili się więc jeno ku wodzie, bród  
przeszli i dalej poszli, wyrównywając drogę. Pan  
Filip dał znak Iwaśkowi, by nawrócił, a konie,  
czując bliskość źródła, rzeć zaczęły.

Nad zamiar, dłuższego spoczynku zażyć mu-  
sieli. Konie położyły się w trawach, co mówiło  
o wielkiem ich zmęczeniu. Mimo głodu nie  
chciały jeść nawet, jeno z rozkoszą nurzały okry-  
te pianą brzuchy w wodzie, pijąc łapczywie. Pó-  
źniej pokładły się. Zmierzch zapadł, gdy par-  
sknęły i podniosły się na nogi. Iwaśko nasypał  
obroku, za co krótkiem rzeniem mu dziękowały.  
Na wety do traw się wzięły i gzić się poczęły.

— Dałbym wam jeszcze chwilę spoczynku,

ale czas nagli — mówił pan Filip. — Noc rosista, swobodniej wam będzie dychać.

Zaledwie skoczyli na kulbaki, jak konie, czując powinność swoją, pędem ruszyły. Pan Filip, przeczuwając, że może go cięższa przeprawa czekać, nie nadużywał sił pocziwych zwierząt, hamował bieg i odpoczywał często.

Tak przeszła noc i cały dzień następny. Gu-bione ślady odnajdywano wciąż, a były coraz widoczniejsze i świeższe w rozproszeniu nawet, znać, że się zbliżali do najezdniczej zgrai. Niepokój pana Filipa granic nie miał: szlak tatarski przerzynał step pomiędzy Konopiami a Kaczorówką, pochylał się jednak ku tej ostatniej. Tu znów rozproszył się w dróg setkę; ale pan Filip jechał prosto przed siebie, mając po prawicy wieś swoją, a po lewicy majątność pana Byliny. Nagle przestrzeń stepowa, porośła bujnemi trawami—urwała się. Wyjechali na niwy dwóch wsi, graniczące z sobą. Księżyc stał w pełni i łany oświetlał, widno było na milę całą w promieniu, lecz podejrzanego nic dostrzedz nie można było. Daleko, daleko, na tle lip i jaworów bielił się dwór Bylinów; od wzgórza, na którym stał, lekka pochyłość biegła ku łąkom, na których srebrzyły się kopce świeżo zebranego siana—i ku łanom pszenicznym. Pan Filip wyjechał na gościniec z Konopi idący, zatrzymał się i patrzył.

Cisza—w zbożach nawoływały się przepiórki, w niedalekich bagniskach rehotwały żaby, z odleglejszych stawów smętny jęk ich dochodził, jakby skarga na losy. Księżyc osrebrzał step i bawił



się z białym obłokiem, który przez jego tarczę się przesuwiał.

Nagle pan Filip dojrzał, jak łąn pszeniczny, który dotykał do sadyby podkomorzego, zaroił się jakimiś punktami ruchomymi. Przestrzeń była zbyt duża, ażeby można było dokładnie rozeznaczyć znaczenie tych punktów. Chwiały się ponad wierzchołkami zbóż, ku łąkom się zbliżając. Po chwili zaczęły się wysuwać, niby szare stado wilków, i szybko pomykać ku dworowi pana Byliny. Nim pan Filip zorientował się, huk dał się słyszeć, jakby trzaśnięcie z rusznic. W odpowiedź padły strzały i znów pytanie strzelb.

— Napad!—krzyknął pan Filip, i spał konia.

Wtem, gdzie były zabudowania gospodarskie podkomorzego, błysnął płomyk jeden i drugi—i wąż ognisty objął dachy słomiane. Łuna pożaru rozwijała się z szybkością niezmierną, ale przestrzeń ogromna, jaka dzieliła pana Filipa od Kaczorówki, nie dozwalała gwaru żadnego i trzasku płomieni słyszeć. Huk rusznic tylko, przez oddalenie stłumiony, grzmiał w krótkich odstępach, zwiększając grozę milczenia.

Nagle odezwał się dzwon... i bił głucho, okropnie wśród onej ciszy nocnej.

Pan Filip pędził, jak widmo jakieś upiorne, a serca nie czuł w sobie. Grzmot rusznic ustał, tylko głucho bił ten dzwon, a płaszcz ognisty rozwiewał się coraz szerzej.

— Boże ratuj!—szeptał pan Filip—i naprzód gnał z utkwionemi oczyma w dom Bylinów.

Blżej — bliżej — i bliżej... Już słyszy gwar,

zmieszane głosy, nawoływania, krzyki i przekleństwa. Ognista luna przemieniła się w morze sycającego ognia, dzwon z wieżycy kościelnej uderzał coraz straszliwiej, a zbita masa tłoczącego się ludu zalegała przestrzeń przed obejściem domu pana podkomorzego, krzycząc, lamentując i wyrzekając głośno.

— Z drogi!—huknął pan Filip.

Poznano pana z Konopi i rozstąpiono się z pośpiechem.

Pan Filip parł ku dworowi Bylinów.

Paliły się spichrze i stajnie, lecz dwór był nietknięty. Wjazdowa brama tylko objęta była łukiem płomieni a bale płonące tamowały dostęp do niej. Okrutny bił żar, ale przerażonego pana Filipa nic powstrzymać nie mogło. Ostrogi w brzuch wsadził spienionemu koniowi, przez płomienie przeskoczył i wpadł na dziedziniec. Za nim podążał Iwaśko.

Przed dworem był zamęt ogromny, służba latała w popłochu, a z objętych pożarem obór i stajen dolatywały rozpaczne ryki płonących zwierząt. Pan Bylina, jak opętany, biegał i szaty rwał. Nagle ujrzał wpadającego Filipa i skoczył ku niemu.

— Ratuji! dziewczkę mi porwano!—zakrzyknął.

Rumak wstrzymany gwałtownie wkopał się w ziemię.

— Porwano?... Kto—kto—kto?—głosem urywanym zapytał pan Filip.

— Zawiszyński z Tatarami!—wyjęczał podkomorzy.

Rycerz stał chwilę, jakby namyślał się nad

czemś, a może mu zbrakło tchu, a może okamienił go strach... Nagle porwał się, i do Iwaśka się zwracając, nie swoim głosem zawołał:

— Do Grobelnej!

I znikł, jak duch, tylko skry się sypnęły z pod kopyt końskich, gdy wrota przelatywał.

Na jedną chwilę na myśl panu Filipowi nie przyszło, że na nierówny bój się rwał. W myśli mu tylko Tecka stała i ten zbój, który nikczemnego gwałtu się dopuścił... Nie wiedział więc nic i o nic nie dbał.

Minąwszy Kaczorówkę, ruszył drogą, do Grobelnej prowadzącą. Gościniec po lekkiej pochyłości biegł, zrazu czerwony od łun pożaru, a później od księżyca biały srebrzyście. Nagle o kilka stajañ zamigotała przed nim jakaś kupa szara, ruchoma, niby stado wilków. Pan Filip dobył szabli i z ręką opuszczoną, lecz gotową do śmiertelnego starcia się, parł naprzód. Podniesione ostrze szabli połyskiwało od blasku miesięcznego i groźbą patrzyło. Z pędem okrutnym zbliżał się, lecz zgraja naprzód pędząca nie słyszała łoskotu kopyt i sapań nozdrzy spienionych rumaków. Tentent kilkudziesięciu koni i dzikie piski Tatarów tłumili głos wszelki zewnątrz pochodzący. Na czele kupy onej pędził pan Michał Zawiszyński, a obok, pomiędzy dwoma końmi, na których siedzieli pohańce, uwieszona kolebka była, w której na pół omdlona, nie wiedząc nic o świecie bożym, leżała Tecka Bylinówna. Z racyi onej nie mogli tak szybko umykać, jak pan Filip gnał.

— Prędzej, rezunie!—wołał Zawiszyński na Tatarów.

Nagle jakaś burza uderzyła w kupę puhańców.

Tu runął pan Filip.

Odrazu tułubów kilka plunęło krwią i kilka jęków krótkich ozwało się. Wszczął się zamęt do nieopisania, krzyk trwogi i chęć pópłochu. Zawiszyński dostrzegł niebezpieczeństwo, osadził konia na miejscu, a dojrawszy tylko Filipa z Iwaśkiem, huknął na pierzchających Tatarów:

— Do kupy, zbóje! bo leb każdemu roztrzaskam.

I z podniesioną szablą w tłum skoczył.

Pohaństwo, opatrzwszy się, że przeciwko sobie jeno dwóch mają, z wrzaskiem i piskiem oskoczyło pana Filipa i Iwaśka. Teraz dopiero grozę położenia poznał pan z Konopi, lecz rozpacz dodała mu sił. Na ostrzu szabli rycerza usiadła śmierć i straszny plon zbierała. Oganiał się, jak dzik przed zębami zajadłych ogarów, i płatał okrutnie. Każdemu opuszczeniu szabli towarzyszył jęk krótki lub charkot krwią zalewanej piersi. Tatarom się zdało, że nie człowiek, lecz szatan wśród nich wpadł i dusze ich do piekła zabiera. Widząc klęskę, rozbiegli się nagle i w tejże chwili arkanów kilkanaście załurczało w powietrzu. Sznury, jak węże, owinęły walczącego, a jedna pętlica na szyję mu spadła i zaciągnęła się. Pan Filip zacharczał, w tył się poadał—i runął.

Wtedy z wrzaskiem tryumfu zgraja cała rzuciła się na niego. Iwaśko skoczył na ratunek panu, lecz koń jego ośliznął się i padł. Powtór-

ny wrzask się podniósł, a cały tłum tatarstwa skołował się.

— Żywcem brać!...—grzmiał Zawiszyński do wiążących pana z Konopi.—Ja mu sam żebra polamię!

Rozkaz wypełniono niezwłocznie. Sznury, jak węże, wpiły się w ciało i żelaznymi opasały skrętami.

Zgiełk i wrzask i jęki i słowa Michalka rozbudziły Teckę z omdlenia. Poznała ślapiącego się rumaka pana Filipa, bez jeźdźca jeno, i krzyknęła straszliwie. Ten krzyk ukochanej dziewczki, krzyk trwogi, przerażenia i rozpaczony doszedł do ucha rycerza. Szarpnął się z mocą ogromną—i więzy pękły. Widząc powstającego, hałastra znów się rzuciła i rozpoczął się bój na pięści. Pierwszych dwóch Tatarów, którzy przyskoczyli z nożami w zębach, pan Filip za gardło chwycił, a rozkrzyżowawszy się, leb o leb grzmotnął... Czerepy trzasnęły i dwa ohydne cielska osunęły się do stóp straszliwego rycerza. Znów się zakłębiło, jak w wężowisku i znów jęki i charkotania dały się słyszeć: pan Filip tłukł łby, rozbijał nosy, gruchotał piersi i łamał piszczele. Zawiszyński, jak osłupiał, chwilę stał—wreszcie w pasy ostatniej zwrócił się do Wichronia i Kosmyka, którzy z przerażeniem patrzyli na bój niewidziany jeszcze w swem życiu.

— A wy, psu braty?—krzyknął.

— Boim się!—odpowiedzieli.

Zawiszyński nosy im rozbił, aż się jucha obryzgały, skoczył w tłum, rozparł i podbiegając

do pana Filipa w pierś jego obuchem grzmotnął... Pan Filip krwią plunął, zamroczył mu się świat i zwałił się na ziemię.

— Żywcem brać!—znów zagrzmiął głos pana Michała.

---

### XIII.

Pan Paweł Zawiszyński, od dnia, w którym Michałek dom opuścił a ku polom dzikim się udał, nie wyjeżdżał z Grobelnej. Z niepokojem oczekiwał powrotu synaczka, a wiedział, że nie sam wróci, jeno z porwaną dziewczką podkomorzego Byliny i paskudnymi Tatary. Ostatnia okoliczność ona trapiła nieco pana marszałka. Gdyby raptus z bracią szlachtą dokonany był, nie markocilby się tak bardzo, boć to rzecz zwyczajna dogodzenie kiedy niekiedy fantazyi swojej, ale z pohańcami na dom szlachecki napadać, chrześcijańskie dziecko w ręce niechrzczeńców oddawać—to mogło sądem starościńskim zapachnieć, a gdyby się nie obeszło bez krwi rozlania, to i kat mógłby się o głowę synaczka upomnieć. Jedno tylko na pocieszenie w strapieniu onem pan marszałek miał, że Michałkowi dziewczkę się uda bez wielkiego rwetesu chwycić, bo jeżeli pachółkowi jakiemu łeb rozbije, to nawiązkę zapłaci i wieżę, byle jak, odsiedzi. Pan Bylina tylko mógłby krzywdy swojej po trybunałach dochodzić, ale pan Paweł, bądź co bądź, wierzył w dawną amicitję, którą, choć teraz naderwała się trochę,

hojnym przywiankiem zszyć się uda, nie chcąc zaś dziewczki swojej na pewien despekt narażać, wypryska się prędko i pozwolenstwo swoje ojcowskie da.

Co wieczór tedy wychodził przed dwór i w stronę Kaczorówki patrzył; po nocach nie spał a nasłuchiwał jeno, czy tentent kopyt i piski Tatarów się nie odezwą. I oto tej nocy właśnie psy okrutnie zawyły i wielki rejwach podniosły, aż pan marszałek porwał się od misy zsiadłego mleka i zawołał:

— Psi wyją... synaczek jedzie!

Pan Michał wpadł na dziedziniec a za nim tatarstwa tłum. Wybiegła dwornia cała i pan marszałek na ganek poskoczył.

— Jest?—zawołał do zeskakującego z kulbaki Michałka.

— Wždy nie potom ku Krymowi sięgnął, by nie była!

— A bez oporu dała się wziąć?...

— Ot, na rozmowę czas!—prysnął pan Michał... Wolej dziewczki zawołaj, ociec, niech ją wezmą a do rozumu przyprowadzą...

Marszałek skoczył do dworu i zwołał babiniec cały. Dwóch Tatarów wniosło do izby Tećkę, która, widząc starego Zawiszyńskiego, z rąk pohańców się wyrwała i podbiegła ku niemu.

— Ratuj mnie, waćpan!—krzyknęła.

— Uspokój się, uspokój! odezwał się Zawiszyński... Żadnej tu obrazy czci waszmość panny nie będzie, wždy w uczciwym domu jesteś?...

— W uczciwym?... wszak to dom syna waszmość pana?—spytała na pół przytomnie.

— Cicho! bo Michałek słucha!

— Czego on chce ode mnie?... — zakwiliła.

— Miłuje waćpannę...

— On?

— Wždy nie wahał się głowy swojej narażić, na dwór napaść...

— ...i spalić—dodała Tećka.

— Spalić?...—zapytał zdziwiony pan marszałek.—Synaczk! ty spaliłeś Bylinów dwór?

— Tatarzy bez ognia się nie obejdą, nie wiesz ociec?

— Bójże się Boga, synaczk!—zawołał stary, ręce załamując... — Na stryczku skończysz, jako widzę!...

— Stul pysk, ociec, a nie twojać już rzecz, jako poradzę sobie! A waćpanna — dodał, zwracając się do Tećki — rozum miej, a ślubuj mnie bez opozycyi żadnej, bo to ja i bez księdza obejść się potrafię!...

Tećka zbladła i ruchem kurczowym chwyciła za ramię pana marszałka, a wodząc oczyma nieprzytomnemi, szepnęła:

— Pan Filip... Gdzie on?

— Cicho mi z nim!...—krzyknął pan Michał, nogą o podłogę uderzając. — A jeżeli mu ślubowałeś, to żałobę po nim noś!...

Tećka spłynęła ku ziemi — i omdlała.

Przywołane dziewczki zajęły się nią, do świetlicy przygotowanej odniosły i trzeźwić poczęły. Oprzytomniawszy, zrazu jak senna była, później ogarnął ją strach, a później popłynęły łzy.

Dziewki rozbierać ją chciały, lecz szatek



z siebie nie pozwoliła zdjąć, a tak słodkimi oczyma patrzyła, a tak skarżąco się a pieściwie mówiła, że rozuzdany babiniec Grobelniański srom jakiś przy niej uczuł, jako to zwykle bywa, gdy prawdziwa skromność się pokaże. Zrazu po swojemu postępować chciały i śmiać się i drwić z przerażenia Tecki, lecz jedno spojrzenie jej zakneblowało usta rozwiązłym babom, a dotknąwszy dziewiczego jej ciała doznały takiego uczucia, jakby coś świętego dotykały. I jedna drugiej zaczęła przyganiać, gdy jakiś wyraz nieforemny z ust której wypadł, zaczęły mówić ciszej, a później szeptać, a później patrzeć na ono stworzenie Boże z uwielbieniem nieznanem dotąd. Maluchny krzyżyk, który dojrzały na białej piersi Tecki, zdał im się tarczą i osłoną przed Michałkiem nawet; gdy, odchodząc, pochyliły się do rąk jej, a ona usty swojemi dotknęła czoła każdej: coś zaskomliło w ich duszach, jakby urodził się wstyd i splonął na jagodach. Tecka przeczuła państwo swoje i odrazu władzę w tem królestwie zaprowadzić chciała: zdjęła krzyżyk z szyi i każdej z osobna do pocałunku podając, mówiła:

— Pan Jezus niech będzie z wami... Nie chrześcijański to dom!...

Dziewki opuścili świetlicę Tecki z nieznanem dotąd uczuciem, a wysunęły się tak cicho, jakby od wielkiego ołtarza szły, na którym Pan Jezus został w złotym kielichu utajony. To też zaraz, gdy do jednej z nich parobek się jakiś podsunął, dostał takiego kuksańca, że w gapę odrazu się przemienił; po drugim przejechała się maglo-

wnica, inny już swej całości narażać nie chciał, sklął jeno brzydko i posłyszał słowa rzucone za sobą:

— Pohany!

Tecka, zostawszy sama, stała chwilę, dumając nad położeniem swoim. Bładła, gdy pomyślała o losie pana Filipa; strach ją ogarnął na myśl, że zabili go pohańce i na rozstaju dróg zostawili; to znów płomienie zalewały jej twarz, gdy przypomniała sobie słowa Michałka, gdy zrozumiała grozę niebezpieczeństwa, oddaną tu będąc na łaskę i niełaskę. Nagle posłyszała szmer — kroki...

Może to szedł pan Michał...

Skoczyła do drzwi, zatarasowała je sprzętami niemal wszystkimi, jakie były w izbie, i, stając pośrodku komnaty, szepnęła:

— Nie weźmiesz mnie, choćbym się życia zbyć miała!

Pan Michał wielkimi krokami przechadzał się po świetlicy, spluwał, wąs targał, znać było, że zupełnie wiedział, co teraz robić ma, a zaszedł zbyt daleko, by mógł się cofnąć. Przed dworem wrzał tumult wśród zabierającego się na odpoczynek tatarstwa, parskanie koni, psi skowyt, nawoływanie straży, która wrota zamykała, besztając się wzajemnie. W drzwiach świetlicy hajduków dwóch stało, czekając na rozkaz pański.

— Wina, gapy! — huknął pan Michał...

Służba znikła, jakby ją wiatr zwał, a marszałek odezwał się niepewnie:

— Synaczku!...

— Czy ociec znów o sznurku konopianym

mówić zacznie?... — prysnął pan Michał i zaklął...

— Nie, synaczku!

— Ażeby mnie mać...

— W mać nie łaj — przerwał stary — jeno opowiedz mi, jak to tam się odbyło?

— Jak się odbyło!... a no!... byłoby wszystko dobrze, gdyby nie ten, ten Filip...

— Filip?...

— Przecie ociec słyszysz, że mówię Filip nie Aleksander!

— A wżdy on we Lwowie?...

— Lepsze teraz miejsce mu dałem!

— Gadaj synaczku, bo mnie się niedobrze robi.

— To womituj, ociec!...

Pan marszałek ściągnął ramiona i na zydlu usiadał.

— Koło Oczakowa spotkałem horde, którą dowodził Tulum-bej — zaczął Michałek. — Przyjął, jak przyjął, i daktylami poczęstował, ale jednego Tataru wypożyczyć nie chciał, bo z Krymem zgoda, a chan, od Chmielnickiego w skórę wzięwszy, na wszystkie łapy przysiadł. Dopiero gdym słowo dał, że to jeno napad przygodny i o dziewczkę, nie wojnę idzie, dał mi siedemdziesięciu psów swoich, położywszy za warunek, żebym ich w całości nazad dostawił. I tak być miało, bo szlachta wszystka we Lwowie, a Bylina to nie Hektor. Musiałem mu dać tysiąc czerwieńców, a każdemu Tatarowi, co ze mną miał być, po trzy ofiarować i prowiant. Na czele wyprawy, pod mojem przewodnictwem głównem, stanął Safan-Ulla, któremu pod grozą wybicia zębów wszystkich, przykazał pilnować nie-

chrzcęńców i w całości ich przywieźć. I wszystko byłoby dobrze! Ominęliśmy stanicę, przebyli stepy i nocką pod Kaczorówkę podeszli. Huknął tam z rusznic Bylina, ale szkody nijakiej nie sprawił. Tatarzy zaraz ogień skrzesali i tylko stajnie a spichrze podpalili, nie dwór, jako Tecka mówiła dla odwrócenia uwagi. Nim ksiądz Opoćko w dzwon walnął i wieś zbudził, jużemy dziewczkę porwali i do Grobelnej gościńcem ruszyli. I wszystko byłoby dobrze!... Aż tu ten dyabeł z Konopi wpadł i o mało nie wymordował do cna; dopiero się uspokoił, gdy go na arkan wzięli. Chodź ociec, a do wiemy się, jaką stratę chan poniósł.

Wyszli przed dwór, gdzie wszystko powoli uspakając się zaczęło. Zagięgnięte warty odzywały się raz wraz, konie gryzły podrzucone siano, a Tatarzy w kucki siedzieli na ziemi, zawalając całą przestrzeń od lamusu do dworu. Pomiedzy nimi chodziły psy i obwąchiwały każdego z osobna. Księżyc wydłużał cienie siedzących, na który krzywymi ślepiami patrzyli, kiwali się, bełkocąc swoje: Alla, Alla! — Safan-Duła, zobaczywszy Zawiszyńskiego, zbliżył się ku niemu.

— Czego chcesz? — zapytał Michałek.

— Tułum-bej wam dał siedemdziesięciu pięciu, a wiele mu odeślecie do Oczakowa?...

Pan Michał groźnie brwi zmarszczył.

— Tylu, ilu zostało — odpowiedział.

— A ilu zostało? — spytał Safan-Duła.

— To twoja rzecz...

— Co chan powie? — rzucił z trwogą Tatar.

— Strata niewielka, gdy nie doliczy się psów pięciu.

— Dwudziestu sześciu brak! — odezwał się Safan-Dulla.

— Co?... — zawołał zdziwiony pan Michał.

— Czterdziestu dziewięciu zostało i to nie każdy żebro całe ma... A daliście słowo Tułum-bejowi, że bitwy nie będzie, że ubytku nie będzie; a on się zwrócił do mnie i kazał, by było tak, bo inaczej zęby mi powybijają, a teraz i zębów nie stanie dla gniewu Tułum-beja!...

— Dwudziestu sześciu! — odezwał się pan Michał. — I to... jeden tylko kaszy takiej nawarzył...

— Bagadir! — rzucił Safan-Dulla.

— Czem-że wy jesteście? psi syny! — wrzasnął Zawiszyński.

— Przed chanem wy odpowiedź!

— Ja? — krzyknął pan Michał — i porwał Tatara za brodę. — Ja?...

— Synaczkę, nie obrażaj chana! — zawołał marszałek.

Zawiszyński puścił Safan-Dullę, któremu oczy ogniem złym zabłysły za despekt doznany.

— Ja zniosę, ale chan nie zniesie... A jaki okup mu dacie?...

— Więcej, niż złoto — bo oddam mu twojego bagadira!... Ha! uśmiechnął się, psie?... Nie stracisz już zębów — co?... Tułum-bej ładny podarunek chanowi robi, a ciebie na straży u seraju postawi... Zły okup — he?

— Dobry! — mruknął Safan-Dulla. — A mnie — za brodę?...

— Masz!...

Tu w pysk go trzasnął.

Tatar kozła wywrócił.

— Będziesz miał swojego bagadira... i oddasz mu z nawiązką, com ci dał, zanim do Krymu go zawiedziesz...

— Co ty wyrabiasz synaczku! — szepnął pan marszałek.

A po chwili dodał:

— Czy ty rzeczywiście prezent z pana Filipa chanowi zrobisz?...

— Zła myśl?...

— Dobra, synaczku. A gdzie jest ten katolicki bisurman?...

Michałek na lamus wskazał.

— Muru osypanego ziemią nie zgryzie. A choć mu pęta popuściłem, by nie zdechl przed czasem, nie ucieknie...

Obszedł wartę, o Kosmyka i Wichronia zapytał, dwukrotnie podchodził pod drzwi pokoju Tecki, dwukrotnie za klamkę brał, ale wejść nie śmiał. Wrócił do świetlicy i pić zaczął.

— A ty, ociec, nie tkniesz miodu?

— Strutym jest, synaczku.

— Czego się obawiasz?

— Nie byle jaki to rycerz ów pan Filip. Brać szlachecka za nim, i pan Czarniecki, i sam król.

— O podkomorzego mi idzie, nie o tego zbója, który dziennego światła już nie zobaczy. Niech Bylina bez oporu Teckę mi da, a spokojnie spać będzie.

— Mnie tamto więcej trapi — westchnął Zawiszyński.

— A kto się dowie, co z panem na Kono-

piach się stało? Bez świadków nic! a wždy ja, ani Tatarzy przeciwko sobie świadczyć nie będziemy.

— To się widzi.

— Uważałeś ociec, jak pohaniec zęby wszystkie z radości pokazał, gdy mu tego bagadira darował. Uglaska nim Tulum-beja, a parobka Filipowego sobie ostawi: będzie mu kozy pasał i wszy z głowy wybierał, a wždy w Krymie nieraz bez śladu przepadało i senatorskie nasienie.

— Inaczej już nie można zrobić, synaczku—westchnął Zawiszyński. — Niech Tatar ich weźmie i na galary sprzeda, albo sułtanowi na uciechę w prezencie da. Później z Byliną połudzić trzeba.

— Ten o dziewczkę będzie się bał, bym jej przed czasem kornetu na głowę nie włożył. Ale i tego uglaskają rychło Grobelna, Topiele i Jaworzyn, które mam.

— Jaworzyn jeszcze nie twój, synaczku—zauważył marszałek.

— Przecie ociec na ziemi wiekować nie myśli?

— Zdrow jestem.

— Choróbsko poradzi!

Gąsior szedł za gąsiorem, wytrawny miód w głowach poczał mącić i na powiekach ciężkim osiadać snem. Pan marszałek ledwie się dowlókł do izby swojej, synaczek resztę wychylił, i, wywracając ławy i stoły, przez korytarze do świetlicy szedł zapomocą ścian, o które się opierał. Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami Tecki, dotknął klamki, zawahał się, łeb o uszaki oparł, wykrzywił się,

marszczył, znać, że myśli, jako gadziny złe, w mózgu mu się plątały — ale odszedł. W progu swojej sypialni spotkał Kosmyka i Wichronia z fioletowymi nosami; z pode łba spojrzeli na Michałka, który, dostrzegłszy ich, zabelkotał:

— Drrranie... Rozbierać pana!...

I runął na łoże.

Cisza zaległa dwór... Kiedy niekiedy słychać jeno było krótkie nawoływanie straży albo senne warczenie psów. Księżyc wzbil się wysoko i w srebrne plamy pomiędzy drzewami się rozsiał, wydłużał cienie pasących się koni na murawie dziedzińca i śpiących Tatarów, którzy od lamusa do dworu obozowiskiem przestrzeń całą zalegli. Jeden tylko Safan-Dulla nie spał, siedział chwilę na ziemi w księżyc patrząc, później wstał i pomiędzy drzewami jarzębinowemi, ubranemi w grona bujne, do lamusa podszedł.

— Bagadir! — szepnął.

Przyłożył ucho do drzwi...

Były ciężko okute, zawalone drągiem żelaznym i zamknięte na kłody. Żadnego szmeru, żadnego westchnienia za nimi nie słyszał.

— Tułum-bej przebaczy, gdy tego bagadira na powrozie przywiodę; pięście mu tylko okuć trzeba będzie, bo mocny Lach!... A za brodę Zawiszyński czerwieniami zapłacić musi — mruknął.

Obszedł lamus i powrócił do swoich, którzy kamiennym snem spali. Sam chciał się na spoczynek ułożyć, ale sen odleciał od oczu jego. Może spać mu nie pozwalało uczucie doznanej zniewagi; może radość z jeńca, którego na powrozie Tułum-bejowi przywiedzie.



Pan Filip leżał na dnie piwnicy i oddychał ciężko. Czy dzień, czy wiek cały w nieświadomości stanu swojego przeżył — powiedziecby nie umiał. Gdy się obudził z onego snu, czuł jeno ból w piersi i członkach wszystkich, a dokoła nic, okrom ciemności, nie widział. Ziemia wilgotna pod nim a dokoła noc była. Chciał oczy przetrzeć, lecz powrozy krępowały ruch wszelki.

Powoli zaczął zmysły zbierać i przypominać sobie wypadki nocy bieżącej. Przez mózg jego przesuwały się obrazy, grozy pełne i strachu. Pożar Kaczorówki, porwanie Tecki, bój z Tatarami, krzyk porwanej, uderzenie przez Zawiszyńskiego obuchem w piersi. Runął — i oblało go jakieś ro-bactwo czarne, czuł skręty węzowe, oplatające jego ramiona, nogi, ręce — i słyszał Zawiszyńskiego głos:

— „Żywcem go brać;... ja żebra sam mu po-lamię!”

Po raz pierwszy dreszcz strachu przeszedł po ciele pana Filipa, a włosy dębem stanęły. On i Tecka w ręku Zawiszyńskiego; ona bezbronna i on bezbronny!...

Porwać się chciał z ziemi, na której leżał, ale te węże, które go tam, na stepie oplotły, i teraz trzymają, a choć rozluźniły się trochę, trzymają o tyle mocno, że wstać na nogi nie sposób, ani ręką swobodnie ruszyć nie może. Ciemność, chłód piwniczny i zapach wilgoci mówiły mu o więzieniu strasznie, w którym był. I zdawało mu się, że lada chwila drzwi się otworzą, i wejdzie Zawiszyński, by żebra mu łamać... Niech łamię, gnął po gnacie wyjmuję, żyły wszystkie wypara,

byleby Tecki nie tknął... Lecz nie na to on dziewczkę tę porwał, by ją w spokoju ostawić. Nie uszanuje jej; choćby przez zemstę — nie uszanuje!... A kto z ratunkiem przybieży? kto pomoc jej da? z onego utrapienia wyzwoli, gdy mur dookoła, szabli nie ma, a powróż na rękach? Nim Bylina z odsieczą przybiegnie, tam może nieszczęście się stać!...

Tecka!... Zawiszyński!... Tatarzy!...

Pan Filip więc się począł a jęczeć, jak potępieniec ostatni.

Nagle posłyszał, że coś o kilka kroków od niego także skomli.

— Kto tam?—zapytał.

— I wy tu?—dał się słyszeć głos Iwaśka.

— Jezu!—zawołał pan Filip.

I wydało mu się, że słabe jakieś światelko piwnicę rozjaśniło.

— Gdzie my, Iwaśku?—zapytał po chwili.

— A w lochu u Zawiszyńskiego.

— Czy masz sznury na sobie, jako i ja?

— Mam, Filipku.

— Jak długo tu jesteśmy, bom tylko co do zmysłów przyszedł i nie wiem nic!

— Widno co długo, kiedy ja miał czas zębami powróż jeden przegryść. Ale, jak wy się macie, bo ja widział, co Zawiszyński obuchem w pierś was rznął, aż z gęby krew poląła. Rzucił się ja do was i leć-bym temu pohańcowi rozszczepił, ale koń mi się utknął o zabitego Tatara. Nasiedli zaraz na mnie i za grdykę chwycili, żem mógł już tylko jednego ułapić i — przed omdleniem—udusić. Jak wy się czujecie, Filipku?

— Pierś boli—ale to nic... Więcej boli myśl, co tam, tam się dzieje?...

— Z panną?

— O, Jezu!—jęknął Filip.

— Nie lamentujcie!... Zapłacze jeszcze na nas Michałek...

— Co tam gadasz!... Tatary, mur, powrozy! Ostatnia godzina moja wybiła!...

— Nie może być!—rzucił Iwaśko.

— Wszystko swój koniec ma!—odpowiedział głucho pan Filip, i wargi przygryzł do krwi, by z bólu nie syknąć.

— Przytoczcie się do mnie, a ja do was... Lżej będzie!

— Lżej!—szepnął rycerz.

I zaczęli się toczyć po ziemi, na głos się swój kierując, aż się dotknęli ciałami.

— Aa!—odezwali się jednocześnie, jakby po dokonaniu dzieła wielkiego.

— Ot i dobrze, co razem jesteśmy...

— Dobrze!

— Mnie się zdaje, Filipku, co my i pomrzemy razem—i co nas do jednej jamy zakopią...

— Zawiszyński postara się o to.

— Niedoczekanie jego!

— Iwaśku! — odezwał się po chwili pan Filip.—Mów, co robić mamy, bo mnie już rozum na nic się nie zdał.

Iwaśko nie odpowiadał nic, jeno słyhać było jak stękał, sapał, mocował się, wysiłał, kulił się, oziemię się tarł—nagle się rzucił i zawołał:

— Ataman już ze mnie!

— Co? co?...

— Wylazł ze sznurów—a teraz do was!...

Iwaśko, jak tylko w piwnicy się znalazł, natychmiast zaczął pracować zębami nad przegryzieniem węzła, który mu pod sam nos wlaźł, co, gdy mu się udało, wydymając się, to kurcząc rozluźnił sieć go oplatającą, aż się wysunął z niej, jak wąż ze skóry i zaczął pana Filipa macać. Robota teraz poszła łatwiej, bo zębom i ręce w pomoc przyszły, i wkrótce pan Filip, jak i on, wolny był. Nie mogli jednak słowa przemówić: całować się jeno poczęli a płakać.

— A teraz co?—zapytał pan Filip, gdy wypłakali się, jak bobry.

— Ściany obmacać — odpowiedział Iwaśko.

I zaczęli obchodzić dokoła, lecz wszędzie był mur jednolity, twardy, nieustępujący pod naciskiem. W jednym tylko miejscu znaleźli szyję korytarza o schodach idących ku górze, ale drzwi kute zapierały wyjście.

Przyłożyli ucho.

Jakiś tatarski koń pasł się tuż prawie, szczypał trawę i sapał.

— Podważmy drzwi!—szepnął Iwaśko.

Dwoje silnych, potężnych ramion oparło się o dębowe podwoje, lecz osadzone na zawiasach żelaznych, wzmocnione sztabą poprzeczną, na klody zamknięte nie poruszyły się nawet.

— Na nic!—szepnął pan Filip.

Iwaśko kląć począł, lecz i to nic nie pomogło. Wrócili na dno piwnicy, nic już do siebie nie mówiąc.

— Nadeszła ostatnia godzina!—znów szepnął do siebie po chwili milczenia pan Filip.

Iwaśko nie odpowiadał, nad ratunkiem przemyślał, grzebałby rękami własnymi, ale widział, gdy go pakowano do lamusu, że ten miał parolokciowy mur i z wierzchu nasyp ziemny. „Ostatnia godzina”—i on powtarzał w duchu, lecz słowami owemi nie chciał dobijać pana Filipa, który nie o sobie, jeno o Tećce myślał. Rzekł tylko:

— Chmiel nie tknął, Szweda pobili, Bałtyk przepłynęli — a Zawiszyński nasby zadławił?... to nie może być!...

Iwaśko był pewny, że razem z panem Filipem Bałtyk przepłynął.

— Zadławi nas ten mur!—odparł głucho pan Filip.

Nagle zwrócił się do Iwaśka i, chwytając go za ramiona, rzekł głosem rozpaczy:

— Zabij mnie!

— I to nie może być!...

— Zwolniesz od mąk...

— A Tećka?

— O, Jezu!

Około drzwi piwnicznych szmer dał się słyszeć i kroki.

— Idą!...

— Po nas!...

Słychać było ujęcie kłód, wsadzenie i zgrzyt klucza i odsuwanie żelaznego drąga.

— Masz szablę?—spytał pan Filip.

— Wzięli, złodzieje!...

Drzwi się otworzyły... W ciemną szyję pi-

wnicy wbiegło naprzód światło miesięczne, a później blask pochodzi. Dał się słyszeć szelest kroków... Ktoś schodził, światło migało i chrzęszczała broń.

— Idzie mi zebra łamać — szepnął pan Filip.—Ale—dodał szybko—pochodnią oświeca siebie. Iwaśku—baczność!...

I w ciemności, ramię przy ramieniu, stanęli przy sobie, opierając się potężnie w kroku, naprzód podani, podobni do wilków dwóch, do szalonego rzutu się gotujących. Dziwiło ich tylko, dlaczego tak cicho, tak bez hałasu szedł Zawiszyński i inni z nim, bo nie sam jeden był, znać to było po krokach splątanych. Połami żupanów otulali światło, a szli cicho, na palcach, jakby się skradali i bali cienia własnego.

— Dwóch...

— Więcej...

— Nie zmożem—szepnął Iwaśko.

— Wiem o tem — odpowiedział pan Filip—lecz drogo żywot swój sprzedam. A gdybyśmy i zmogli tu, to tam Tatarzy nas chwycą... Śmierć zawsze!

— Byle z wami!—dodał Iwaśko.

— Dwóch idzie. Widzę już stopy... szable... pasy... Czuj!...

Na stopniu ostatnim stanęli Kosmyk i Wichroń.

— Naprzód wysłał ich, a sam z Tatarami w ślad dybie—mruknął pan Filip.

Lecz nie nadchodził nikt—w korytarzu było cicho.

Kosmyk niósł pochodnię, Wichroń dwie

szable przed sobą. Blask światła migotał w klejnotach pochw i głowic, na które padło spojrzenie więźniów.

— Co to jest?—szepnął pan Filip.—Szable nasze!...

Kosmyk uniósł pochodnię ku górze, oświetlając ciemnicę, a Wichroń rozglądać się począł. Nagle drgnął,—dojrzał pana Filipa i Iwaśka pochylonych naprzód, z nozdrzami rozdętymi, z rozczepierzonymi palcami, jak szpony krogulcze, do skoku gotowych, do walki na śmierć lub życie. Szybkim ruchem ręki zdjął czapkę z głowy, to samo Kosmyk uczynił—i, wyciągając naprzód dłoń z szablami, rzekł szybko:

— Wasze—bierzcie—w nogi!...

— Co to jest?—odezwał się pan Filip.

— W ręce waszej miłości Michałka oddajemy!—rzekł Wichroń—i szable podał.

Pan Filip i Iwaśko wzięli broń, a czując szable w rękach, poczuli siłę, potęgę, moc.

— A wiele chcecie za to? — rzucił przez zęby pan Filip.

— Weź wasza miłość nas na służbę do siebie.

— Was?...—głosem zdziwionym zapytał rycerz.—Przygodzi wam się lepiej Tatar lub wierzba sucha przy drodze... Dla mnie — za uczciwi jesteście!...

— A wždy wam ratunek niesiemy i—nietylko wam!

— Ratując mnie, zdradzacie tego, któregoście chleb jedli! Preczbym was przegonił, gdyby tu o mnie jenô chodziło, lecz tak, jako jest, mu-

sze srom przenieść uratowanego przez was żywota. Co was tu sprowadza? Krzywdy mojej poczucie, czy nosy wasze rozbite? Znieważany honor szlachecki, czy gęby opuchłe? — pytał pan Filip drwiąc.

— Przed miesiącem dał w gębę, a dzisiaj nosy rozbił—nijak wytrzymać już było!

— Pomstę więc zaprzysięgliście?

— Tak, wasza miłość!

— Której dokonać przez moje ręce chcecie?

— Bo sami boim się!

— Dam ją wam!—odpowiedział pan kasztelan.—Opatrzność czasami przez łotrów zbawienie zsyła...

— Świętą prawdę wasza miłość powiada.

— Lecz biada wam, jeśli i mnie zdradzicie!

— Na majdanie spoilim straż, Tatarzy śpią, Michałek pijany... Jako barana zarzezać go teraz można.

— Precz łyki, bo was wpierw pomacam!... Ale zaswobodę dziękuję i sutą nagrodę dam. Zgasić pochodnię, a niech nie widzi nikt, żem z wami wyszedł.

Wichroń i Kocmyk zgasili światło i wyszli szybko, otwarte drzwi zostawiając za sobą.

— Ja mówił, co nie może być, żebyśmy marnie zginęli—odezwał się Iwaśko.—Chmiel nie ubił, Szwed nie usiekł, Bałtyk nie utopił, a Zawiszyński miałby zadławić?... Pan Jezus drugi raz ukrzyżowałby się musiał, gdyby nas w tej piwnicy nie spostrzegł...

— Cichoj, a bierz powrozy! — szepnął pan Filip.



Smuga księżycowego światła osrebrzała ciemną szyję korytarza, przez którą szli wyzwoleńcy. W dłoniach szable, zaparty dech w piersi mieli. Pan Filip czuł, że porywał się na rzecz ogromnej wagi; że pijaną straż nowa warta zastąpić może; że musiał przejść przez szeregi śpiących Tatarów, których lada szelest, lada warknięcie psa obudzi, bo do obozowisk przywykli, czujny sen mają i jednym okiem śpią, jednym uchem słuchają zawsze. A gdyby mu się i udało minąć szczęśliwie legowisko tatarskie, to dwór czekał służby pełen i bab krzyczących, które rozbudzić się mogą i przeszkodzić uratowaniu Tecki. We dwójkę tylko musiał się krzątać w obejściu cudzem, zdrad pełnem i pułapek; jeden krok nieważny, potknięcie się jedno, a cała wyprawa na nic, tylko niezatrzymana śmierć przyjąć musi i spełni się wyrok straszny nad dziewczką jego ukochaną. Cieniem potrzeba być, marą potrzeba być, by nie zaszeleścił liść pod stopą, pies nie dostrzegł, drzwi nie skrzypnęły, rozeszły się ściany domu.

Wyszli z lamusa...

Koń, szczypiący trawę przy drzwiach, leł podniósł i zarżał krótko.

Musieli przystanąć.

Lekki wiatr poruszał gronami jarzębin, pomiędzy drzewami snuły się ruchome blaski miesięczne, a dalej tatarstwo spało, zalegając ziemię pokotem aż do drzwi dworu. Konie puszczone luzem skubały trawę, pies jeden szyję wyciągnął i na księżyc wyć począł.

Pan Filip z Iwaśkiem czas pewien ukrywali

się pomiędzy pniami przew, czasami blask miesięczny padł na nich i zamigotał na ostrzu szabel, czasami cień osłonił, a oni szli cicho, jak widma, jak duchy, zbliżając się do skraju zarośli. Teraz na pełne światło księżycy musieli wyjść i omijać, albo przestępować Tatarów śpiących.

— Iwaśku!—szepnął pan Filip.—Jeżeli który leb podniesie—tnij! ale tak szybko, by wpierv stanął przed prorokiem swoim, zanim zmiarkować by mógł, co to za *casus* go spotkał.

Przestępowali więc przez śpiących pohańców, lecz nie zbudził się z nich nikt. Kilkadzieściąt piersi oddychało snem ciężkim, tu i tam chrapanie, urwane nagle, słyhać było, wstrętny zapach skór kozich i potu niemytych ciał rozchodził się w powietrzu. Spali, nie wiedząc nic, że nad nimi przechodziła śmierć. Jeden Tatar tylko, który w znak leżał, poruszył się i ślepie otworzył. Może przerażenie wydarłoby ryk strachu z jego piersi, ale Iwaśko wbił ostrze szabli mu w gardło tak szybko i tak okrutnie, że jeno zacharczał, bluzgnął fontanną krwi, pokopał ziemię nogami i usnął snem twardszym, niż inni. Ta śmierć Tataru uratowała idących, bo spuszczone z łańcuchów psy już porywały się ku nim, lecz je powstrzymał krwi świeżej zapach. Zbliżyły się do trupa i chleptać zaczęły posokę ciepłą, krwawiącą się ohydnie.

Pan Filip z Iwaśkiem zbliżali się do dworu. Nagle rycerz zatrzymał się i wskazał ręką przed siebie.

Otulony w kozuch barani, wywrócony włosem na wierzch, wsparty plecyma o słup podtrzy-

mujący ganek, siedział Safan-Ulla i patrzył w księżyc. Lewą rękę trzymał na główicy noża za pas wetkniętego, prawą dotykał pochwy szabli krzywej na kolanach leżącej. On jeden nie miał prawa spać, bo na jego odpowiedzialności spoczywała całość oddziału Tulum bejowego. Usiadł więc na stopniach schodów, o słupek się wsparł, wpatrzył się w księżyc, o rozkoszach raję myśląc może.

Pan Filip zbliżył się, pochylił i spojrział w źrenice Tataru.

Safan-Ulla spał, białkami tylko oczu świecąc.

Minęli więc go i zbliżyli się do drzwi dworu.

Jeżeli zaparte, tu ich cicha wędrówka skończyć się musi. Lecz Wichroń i Kosmyk nie zapomnieli o niczem. Rygle poodsuwane, zamki poodmykane były.

W sień weszli — przez okna wpadał księżyc i oświecał im drogę.

Izba jedna, druga — korytarz... Jakiś instynkt wiódł ich prosto do sypialni pana Michała.

W żupanie papuzim, obluzganym krwią, na łożu, nieposłanem nawet, spał Zawiszyński. Barwy buraczanej policzki miał z przepicia się, odychał nudnawym słodem miodu i chrapał. Oliwna lampa paliła się na stole i oświecała twarz pijacką, szabli nawet nie odpasal od boku, tak go miód zwałił. Za przepierzeniem słychać było oddech drugi — to pewno pacholek spał.

Pan Filip dał znak Iwaškowi.

Zrozumieli się.

Chłopak znikł, a pan na Konopiach z powrotem przyśtaąpił do Zawiszyńskiego.

— Śpij, jeżeli ci żywot miły... — szepnął. — Śpij, nie budź się, bo ostatni dzień twój być może.

Zrobił pętlę, zarzucił na szyję pana Michała wiążąc go począł.

— To ty, ociec? — zamamrotał Zawiszyński.

— Ja, synaczku! — odpowiedział przez zęby pan Filip, krępując mu ręce.

— Pomóż wstać, ociec.

— Dobrze, synaczku!

I pętla zacisnęła się.

Michałek stęknął, lecz wszystko z sobą robić pozwalał. Pan Filip sznurował go, jakby pokojówką niewiasty jakiej był, jeno pętlicy zaciskał i przywiązywał Zawiszyńskiego do szabl jego własnej. A śpieszył z robotą, jakby nad nim dom się palił, lub ściany zawalić się miały. Nagle za przepierzeniem posłyszał znajomy sobie głos marszałka Zawiszyńskiego.

— Synaczku, to ty?

— Ja, ociec! — odpowiedział Iwaśko.

— Dlaczego ty mnie obłapiasz tak serdecznie?

— Stul, ociec, pysk, bo nie czas na rozmowę dzisiaj.

Ta dziwna wymiana słów musiała wpaść do sluchu pana Michała: zmarszczył czoło, powiekami ruszył, jakby podnieść je chciał, ale prze-możny sen nie pozwolił na to, a pan Filip przewrócił go jak barana, sznury podłożył i wziął się do nóg.

Michalek nosem ugrzął w pierzynę a brzuchem dotknął skraj łoża. Pozycja ona nie podobą się mu widocznie.

— Ociec!—zawołał.

— Co, synaczku? — spytał pan Filip, zaciągając pętlicę, jednocześnie i z za przepierzenia się ozwało:

— Co, synaczku?

— Coś mnie dusi—wybelkotał Zawiszyński.

— A niechby i zadusiło, synaczku, światby na tem nic nie stracił—odpowiedział pan Filip.

To ojcowskie życzenie przywołało do przytomności pana Michała. Wykręcił głowę, oczy otworzył, w których nagle przerażenie się odmalowało—i ryczeć na całe gardło począł.

— Milcz, byku, bo cię wołem uczynię! — wrzasnął pan Filip.

W tej chwili i pan marszałek gwałt podniósł.

— Ratujcie! — wrzeszczał. — Kto w Pana Boga miłosiernego wierzy, ratujcie!...

Marszałek darł się, jakby go kto ze skóry obciągał, a pan marszałek synaczkowi swojemu sumiennie wtórzył. Michalek rzucał się na łożu i krzyczał:

— Ociec—ratuj!

Z za przepierzenia wołał marszałek:

— Ratuj—synaczku!...

Pan Filip wielką miał ochotę dźgnąć go, lecz w tej chwili szum jakiś powstał, gwizdy i krzyki, zamęt i zgiełk...

To dwór się budził, a przerażony Safan-Dulla nawoływał Tatarów, przeczuwając niezrozu-

miany napad jakiś. Dało się słyszeć trzaskanie drzwiami i łopot stóp biegnących w korytarzach; zapalone pochodnie migwały po izbach wszystkich, konie parskać, psy wyć poczęły. Przed samemi drzwiami sypialni Zawiszyńskiego uderzyła burza i groźne: Allah! zagrzmiało.

Pan Filip z dobytym mieczem czekał spotkania.

Drzwi z hukiem się otwały i wpadł Safan-Duła.

— Bagadir!... — zawołał nagle i stanął przerażony.

— Widzisz, psie! — odezwał się pan Filip, wskazując na wijącego się w pętach Michalka.

W oczach Tatarza odmalowało się zdumienie. Ukośne oczy patrzyły na skrępowanego pana Grobelnej, to przenosiły się z zabobonna trwogą jakąś na pana Filipa. Skulił się, zmałał, spokorniał, w pałąk się zgiął, jakby szyję pod miecz katowski oddawał, i czapkę baranią powoli z głowy usunął. Za przykładem wodza swojego to samo uczynili i inni Tatarzy.

— Posłuch, bo kulą w leb!...—zagrzmiał pan Filip.—Z Tułum-bejem ja pogadam!...

— Rab wasz!—odpowiedział Tatar.

— Dwornię wiązać!... A tego (wskazał na Michała)—możecie chanowi w podarunku dać!...

— Czy ty słyszysz, synaczku?...—jęknął z za przepierzenia pan marszałek.

Z ust Zawiszyńskiego toczyła się piana, jak u wściekłego psa. Rzucił się i runął z łoża na ziemię. Źle związane sznury zwolniały.

— Poprawić!... — wydał krótko rozkaz pan Filip.

Kilku Tatarów skoczyło do Zawiszyńskiego.

— Psy!...—krzyknął pan Michał.

— Bagadir kazał—zabrzmiała odpowiedź.

— Dwór wasz! jeno ludzi oszczędzać, bo drzew na różgi nie stanie! — rzekł pan kasztelan.

W tatarskim umyśle Safan-Duły pan Filip na wielkoluda urósł. Już podczas boju cześć uczuł dla niego, a teraz to wydobyć z lamusa, niedostrzeżone przejście przez obozowisko, związanie Zawiszyńskiego, rozkaz, miecz w ręku — oszołomiły Tatarą. Był pewien, że z istotą nadprzyrodzoną do czynienia ma, której nie usłuchać niepodobieństwem by było. Gdyby w tej chwili obwiesić mu się rozkazał, bez wahania rozkaz by ten spełnił; a on tylko z Tulum-bejem sam pogada, z pana Michała chanowi prezent zrobił, dwór im wydał, dwornię zwiazać rozkazał. I czego chcieć?

Zabelkotał coś do swoich — „Bagadir” dwukrotnie powtórzył i pośpieszył wypełnić polecenie pana Filipa.

Krzyki i wrzaski odezwały się wnet we dworze całym: to Safan-Duła wiązał czeladź pana na Grobelnej, a pan Filip począł izby przebiegać i szukać Tecki swojej. Poznała głos jego i, jak szalona, na korytarz wypadła...

— Jesteś waćpanna... O, Jezu!... Może to sen, mara... Panno Tecko, a ozwij-że się, bo we łbie mi szumi, a serce swojego rytmu nie znajduje!...

— Jam jest! widzisz waćpan, jam jest!...  
I teraz ja wołam: o, Jezulu!... pochwalon na wieki  
bądź!...

— Amen!—rzekł rycerz.

I ujął jej dłonie i z mocą wielką do serca  
swojego przygarnął.

— Jako-żeście wy z opresyi onej wyszli? —  
pytała Tećka.

— Glob ziemski dla wasbym rozwalil!

— Cud!

— Cud!... — zawołał pan Filip. — Ale już pe-  
wnikiem jest, żeście dla mnie przez Boga same-  
go przeznaczeni.

— Tak, dla was!—szepnęła Tećka.

— Miła moja!...

— Wasza!...

Nie wrywała się z uścisków pana Filipa,  
jeno nie poddawała mu ust...

— Pocałujcie mnie!... — poprosił pan kasz-  
telan.

— Całem życiem dziękować wam będę, cóż  
pocałunek jeden?—odpowiedziała.

— Nie o dziękowanie tu chodzi, jeno o mi-  
łowanie nasze.

— Miłuję — ledwie dosłyszonym odpowie-  
działa głosem.—Miłuję, inaczej nie może być!...

— Nie może!—odpowiedział pan Filip.

— A ociec? mój ociec? — zapytała nagle,  
odrywając twarz od piersi rycerza.

— Żyw! zdrów!... Lecz śpieszyć musimy, bo  
włosy rwie za wami.

Szli śpiesznie przez korytarze, za ścianą  
słyszeli jęczący głos: „Synaczku!”, a w dworcu



całym tatarstwo hulalo, zdzierając obicia, rozbijając szafy gdańskie, druzgocąc sprzęty i kufry, gdzie sadzone kamieniami drogiemi polyskiwały ornaty złote.

Przed gankiem stał rumak pana Filipa i deresz Iwaśka. Dwóch Tatarów za uzdy trzymało, a dwóch z rozkazu Safan-Dully gotowych było do konwoju, ale pan Filip kazał im precz pójść. Nie upłynęło ćwierć godziny, jak Tećka, w ramionach rozmiłowanego rycerza, stepem równym, gładkim ku Kaczorówce pędziła...

— Bóg ze mną!—szeptał pan Filip.

— A ja mówił, co inaczej nie może być! — dodał Iwaśko.

— Teraz nie weźmie mi ciebie nikt, nikt!—mówił rycerz, kołysząc w ramionach swoich dziewczkę ukochaną. — Krwią własną, serca bólem, niewolą i piersi pęknięciem zdobyłem cię. Tećko ty moja umiłowana!... niebo mojej!... Nie weźmie nikt mi już ciebie, nikt a nikt!...

Zaledwie ujechali staj kilkanaście, jak wielka łuna pożaru błysnęła za nimi. To płonął dwór Grobelniański, to Safan-Dulla hulał i płacił Tatarom swoim ornatami pana Michała.

W połowie drogi spotkali pana podkomorze-go, który na czele dwustu chłopów, uzbrojonych w widły, kosy i kłonicę, pędził na odsiecz gościńcem.

— Stój!—krzyknął pan Filip do wymijającego ich orszaku.

— Tećka!—wrzasnął podkomorzy.

I przypadł do dziecka.

Po chwili kołpak zdjął z głowy, ku białemu księżycowi uniósł i rzekł uroczyście:

— Wiem, iż na nic się już nie przyda powtórzenie przysięgi złożonej ongi przed waćpanem, żem nie w stanie nic mu odmówić, a jednak raz wtóry pod odkrytym onym firmamentem niebieskim powtarzam, jako dowód szczerości słów moich, które nie z chwilowo przepelnionego serca wdzięcznością wybiegły, jeno ze zrozumienia, że za życie życiem płacić się powinno. Tećko! Filipie, a teraz jeno kościół i organy, i ksiądz i ślub...

— I szczęście!—dodał pan kasztelan.—Prawda, Tećko?

— Tak, szczęście!... — odszepnęła dziewczyna, patrząc w dal jakąś omgloną.

---

#### XIV.

Odwiecznym lipom zawdzięczał podkomorzy ocalenie domostwa swojego. Zapalone przez Tatarów spichrze i inne budynki gospodarskie ogień szybko ogarnął, przerzucal się z dachu na dach z jakąś radością zwycięską, że nic nie jest w stanie oprzeć się jego sile przemożnej. Wobec owego szalejącego żywiołu wszelka pomoc ludzka marną była. Płomienie broniły dostępu, żar wysuszał powietrze, piersiom tchu brakło, a stopom odwagi iść w ono morze gorejącego piekła. Podkomorzy na pół ubrany z pościeli wypadł, czeladź biegła tu i tam bezradna, a gdy ten i ów doj-

rzał twarze pohańców, o ratunku już własnym myślał, nie o dobytku pana Byliny.

— Tatarzy!—rozległ się okrzyk.

I uderzył dzwon z wieżycy kościelnej, zbudziło się sioło, ze snu się porwali ludzie, za cepy i kłonicę chwycili; wszczął się tumult, wrzawa, gwar — kupą biegli, tłoczyli się, pchali, lecz nie wiedząc, jak wielką była Tatarów moc, trzymali się odpornie, wrzaskiem jeno powietrze wypełniając. Gdy czeladź cała do płonących budynków pobiegła, wtedy to do dworu Zawiszyński z Tatarami wpadł i Teckę porwał. Dokonawszy tego, nie zabawiali się już Tatarzy, zakazanym zresztą, rabunkiem, lecz do Grobelnej się zwrócili. Za umykającym napastnikiem pobiegły klątwy i złorzeczenia, podkomorzy szaty rozrywał, lecz ani gonić za Michalkiem, ani ratować dobytku swojego nie mógł. A ogień, objąwszy budynki wszystkie, na dom się rzucił, lecz w obronie jego stały potężne lip konary, świeżym, bujnym, zielonym i soczystym liściem okryte. Przed tą zaporą zatrzymała się fala ognia, skruszyła się moc, omdlała siła płomienia. Wysuszyły się liście, nadpaliły gałęzie, pierś drzew gdzieniegdzie poczerniała; znać było jaki zawzięty stoczyły bój, lecz przy lipach zostało zwycięstwo.

Dom Bylinów ocalał.

Ale dokoła dworu ogromne zaległo popieliisko; zgłiszczą dymity, gdzieniegdzie płomyki, niby gądziny złe, wyskakiwały i żądłem ognistym groziły każdemu, kto do tych rumowisk się zbliżył, albo konew wody wylał. Czeladź pana Byliny i ludzie ze wsi noc całą i dzień uwijali się z wia-

drami. Zóraw przy studni nieumęczenie pracował, woda strumieniem się lała, gaszono żarzące się belki i krokwie opadłych dachów, bo lada wiatr rozdmuchiwał ognisko, iskry sypały się i nowym pożarem groziły.

Podkomorzy jednak strat nie obliczał, choć były duże, uratowanie Tecki wynagrodziło mu wszystko. Budynki się odbudują, drzew w lesie, chwalić Pana Boga, nie brak; lany bujnem zbożem się kołyszą, będzie czem nowe wypełnić śpichrze; konie i bydło udało się w pole wygnać, nie zmarnieją więc na stepie trawą porosłym. Gdyby, nie daj Boże, jaka przygoda zła dziewczkę jego spotkała (a tego się więcej, niż ognia piekielnego bał), na nic dobytek cały, grosz do grosza zbierany; zemrzećby z utrapienia musiał, boć krzywdy onej nie wynagrodziłby już dzisiaj Zawiszyński, ani ślub żaden, ani pasy i ornaty, ani Grobelna, Jaworzyn i Topiele. Nie przyłgnęłaby Tecka do gwałciciela, z pokorą może losby swój zносиła, lecz usychałaby dzień po dniu, jako ona brzezina w lesie, której źli pastuszkowie rdzeń wypalą; usychałaby, milcząc, lecz codziennie przygasałym spojrzeniemby mówiła:

— Widzisz, ociec, jakąś mi dołę zgotował!...

Na samą myśl, że takby mogło być, pan Bylina czuł skóry drętwienie i sumienia niepokój. Zdawało mu się, że zły duch w postaci dyabelskiej przyszedłby do niego i rzekł:

— Chodź waćpan w tany ze mną, do piekielka, do piekielka, boś jego ludzkie szczęście zabił!

Obejmował tedy dziewczkę swoją, do serca

przyciskał i całował, a pana Filipa raz wraz ob-  
lapiał i powtarzał:

— Jak ja miluję waćpana, to tego wyimagi-  
nować sobie nie możesz!

I teraz prawdę mówił.

Filip nie wątpił równie już dzisiaj o szcze-  
rości słów pana podkomorzego, nie wątpił też  
o sercu Tecki, która nikomu innemu, jeno jemu  
ocalenie swoje zawdzięcza; a ocalił on ją poświę-  
ceniem życia i zdrowia własnego, i, aczkolwiek  
żyw jest, poboliwa pierś mu od uderzenia obu-  
cha Michalkowego, że czasami wstrzymać  
dech musi, a czasami krew ukryć, która rdzawym  
zapachem żelaza w ustach mu się rozleje. Lecz  
jedno spojrzenie na Teckę każe o tym bólu  
i krwi tej zapomnieć. Terazby się położył u stóp  
najmilszej i czoło na kolana jej wsparł i zakoly-  
sałby się na śmierć; teraz już wiedział, że nie  
inną, lecz ją Bóg mu przeznaczył, że nie zdobył  
jej sobie gładkością lica, słówkami, jako cukier,  
słodkimi, przymileniem się kawalerskiem, lecz  
poświęceniem żywota, ofiarą krwi, tem wszyst-  
kiem, co najdroższego ma człek, co utracone raz,  
nie powraca raz drugi. Nikt z taką pewnością,  
jako on, powiedziećby nie mógł:

— Moja!

I gdy Tecka wpatrzyła się raz w pana Filipa,  
i długo, długo nie spuszczała z niego swoich oczu,  
on pochylił się ku niej, za obie ręce ją wziął, do  
serca przycisnął i głosem silnym a pewnym po-  
wiedział:

— Moja!...

Tećce w oczach zakręciły się łzy... a pan Filip mówił tak dalej:

— Zdoylem ciebie, Tećko, a jakkolwiek zawsze byłem twój, ty nigdy jeszcze tak moją nie byłaś. Żaden skarb, jaki posiadałem kiedy, nie był z takim trudem a bólem zdobyty. Ziemia, którą na własność mam, dalszą mi jest od ciebie; nie tak mi drogą jest własna dusza moja, ta szabla więcej obca, mniej pewniejszy król tronu swojego, niż ja ciebie. Skarby można roztrwonić, ziemię sprzedać, duszę zatracić, szablę odpasać, tronu się zbyć, ale ciebie — nigdy!... Biada temu, ktoby teraz sięgnął po ciebie; to jedno, coby chciał ołtarz ze świętości obedrzeć, kielich z eucharystyi opróżnić, Boga ze świątyni wygnać. Zdoylem ciebie, Tećko, dla twojego i mojego szczęścia i wiem, że miłujesz mnie, i wiem, że prędzej świat w prochyb się rozsypał, niżbyś ty mnie miłować przestała.

— Przeznaczona wam jestem—odpowiedziała Tećka.

— Ktoby się spodział—wtrącił podkomorzy— iż rzeczy tak pójdą, aczkolwiek już, podczas noclegu w brzezynie, coś mnie za serce szarpnęło, gdym zauważył, że dziewczka moja mile zaczęła na waćpana patrzeć. Jednakżem o Michałku myślał wtedy i prawdę rzec, nie bardzo mi się spodobało ono zerkanie Tećki. Ale widać, że Prowidencya czuwała nad nami i takie, a nie inne drogi nakreśliła dla waćpaństwa obojga. Z terminów wojennych wyszedłeś waćpan szczęśliwie, a nie raz jeden usiekany być już powinieneś. Atak na moją karocę nie zaszkodził waćpanu, wilki nie zjadły,

Zawiszyński nie ubił; miast starostwa kasztelaństwo otrzymałeś, z królową drabanta tańczyłeś, z tatarskiej niewoli uwolniłeś się i jeszcze Michałka w prezencie chanowi dałeś; a co ważniejsza, żeś Teckę z rąk pohańców oswobodził. Oczywiście, że Pan Jezus miłosierny na coś przeznaczył waćpana. A na co? wždy jasne jest, że na zięcia podkomorzego Byliny.

— I mnie się tak widzi — odpowiedział pan Filip.

Nie śpieszył do Konopi, tak mu dobrze było na dworcu podkomorzańskim; nie śpieszył i dlatego jeszcze, że Tećka zachorzała i miasto jasnymi oczyma patrzeć, przez mgłę patrzyła, jakby smutek jakiś w źrenice jej dmuchnął i radość zwiął. Widocznie strach napadu i porwania teraz dopiero odezwał się i jakąś chorobą groził. Nie dokuczał jej ból żaden, a znać było, że czuła cierpienie jakieś; drażnił ją lada szelest głośniejszy, bladła na okrzyk nagły. Pokojówka panny mówiła, że nie prędko sen powieki jej sklejał, a gdy usnęła, budziła się wnet, niespokojna, strwożona, nieprzytomnemi patrząc dokoła oczyma.

— Musi panna coś widzieć—dodawala Agatka.

— Tatarzy jej się śnią, straszy obraz Zawiszyńskiego — mówił pan Filip i brwi marszczył.

Pomimo niezdrowia Tećka nie szła do łóżka. Jak cień przesuwala się przez komnaty, dni całe przepędzała wraz z ojcem i panem Filipem, na wirydarzu siedząc; mówiła bardzo mało, jakby ciężko było słówko jej wypowiedzieć, uśmiechała się jeno wtedy, gdy pan Filip na nią spojrzał, a gdy zajęty rozmową z podkomorzym, nie patrzył, wtedy ona

patrzyła na niego tak uporczywie, jakby zapamiętać każdy rys twarzy jego chciała. Pan kasztelan dostrzegł to spojrzenie i zdało mu się, że skrzydła anielskie rozwinęły mu się w piersi, uśmiechnął się i spytał:

— Czy wy patrzycie tak na mnie, panno Tećko?

— Przyzwyczajam się do was — odpowiedziała.

— Chyba mnie poznać lepiej chcecie!

— Ano tak — odszepnęła.

Najczęściej rozmowę prowadzono o ślubie, który pod koniec lipca miał się odbyć. Pan Filip z niecierpliwością dni i godziny liczył. Tećka z niepokojem. Dla obojga czas się dłużył, ale pan Filip roił o szczęściu, a Tećkę trwoga jakaś ogarniała.

— Co wam? — pytał pan Filip.

— Czyby nie można dzień naszego wesela przyśpieszyć? — odpowiedziała.

Rycerz ukląkł i czoło na jej kolanach oparł.

— I jabym chciał, i jabym chciał, panno Tećko... Ale ażeby godnie was przyjąć, kazałem dom odświętnie przystroić, ubrać w zieleń i kwiaty, by wszystkie wczas rozkwitły i powitały was barwą i wonią. A zresztą i sam pokrzepić się muszę, bo szczerze powiem wam, że od obucha Michałowego jeszcze mię pierś boli i czasami pokazuje się krew.

Tećka zaniepokoiła się.

— Panie Filipie — odezwała się przez łyżę.

— To nic, nic, to przejdzie, panno Tećko, byleście wy zdrowi byli.



I całował kolana dziewczki ukochanej, a ona drżąca, bladą i wychudzoną trochę dłonią po włosach go gładziła, nie mogąc słówka jednego powiedzieć. Po chwili, stłumiwszy w sobie uczucie jakieś, szepnęła:

— Spójrz waćpan mi w oczy!

Pan Filip spojrział.

Twarz miał wychudłą, oczy lekko wpadnięte, nie patrzył dawnym zdrowiem i czerstwością.

— Jezus Marya! wy nie wyglądacie tak, jako dawniej! — zawołała przestraszona.

— Za silnie grzmotnął mnie ten zbój, ale to nic! Lada dzień do Konopi się udam, a tam już mi ciotka Sójkowska poradzi. Dryakiew przygotuje, niedźwiedziem sadłem wymaże i nie poznacie mnie w dzień ślubu, tak będę zdrowo wyglądał.

— Nie zaniedbujcie się — szepnęła Tecka. — Przecz wasze zdrowie już mojem jest.

— Wy innym zdrowiem mi patrzcie, a to dla mnie medykament będzie najlepszy.

Dwie całe niedziele pan Filip zabawił w Kaczorówce, i rad byłby dłużej jeszcze w niej pozostać, ale zauważył sam, że potrzebował się udać do apteczki pani ciotki, bo zaczęła się krew znów ukazywać i pierś zasilnie boleć. Niepokoił się jednak więcej o zdrowie Tecki, niż o własne, ale ona uspakajała go, mówiąc, że to z przerażenia, doznanego onej nocy napadu, do siebie jeszcze nie może przyjść, ale z dniem każdym lepiej się czuje i gdy ją raz drugi pan Filip odwiedzi, będzie już zupełnie wesoła i spokojna.

Tak tedy pan Filip pożegnał dom podkomorzego i do swoich Konopi się udał, prosząc pana

Bylinę, by codziennie zawiadamiał go o zdrowiu Tećki.

Nie pan Bylina jednak, lecz Tećka list po liście wysyłała do pana Filipa. A czego w listach onych nie było? Opisywała strój każdy, każdy drobiazg ślubnej i nieślubnej sukni, pantofelki, jakie pokojówki jej szyją, kornecik, jaki na dzień drugi po ślubie weźmie. A list każdy kończyła: *wasza*, albo: *przez was ukochana...*

Pan Filip obcałowywał te listy, choć ani razu nie napisała: *miłująca was...*

— Sroma się jeszcze — mówił. — I urządził dwór Konopiański na przyjęcie ukochanego gościa.

Wiadomość o kasztelaństwie ciotka Sójkowska z uniesieniem — o żeniączce zaś z lekkim drgnięciem swojej suchej postaci przyjęła.

— A widzisz, acanna! — szepnął Radwański.

— Dobrze, żeśmy pamiętali o sobie! — odpowiedziała.

Radwański, otrzymawszy ziemi kawał i sadybę, z ogromnym pośpiechem na swoim gospodarstwie się urządził. Obejście całe ogroził, z chałupy dworek zrobił, czerepicą pokrył, ganek na słupach zbudował, a i sprzęty wcale porządne do ozdobienia wnętrza znalazły się. Wprawdzie pan Filip pomiędzy sprzętami onymi poznał znajome swoje: tam stół mahoniowy z ojcowskiej komnaty, tu szafę z kredensu lub krzesła z gościnnych pokojów — lecz na zapytanie o wędrowce rzeczy onych, otrzymał odpowiedź: że „to pan stary przed śmiercią mu dał, jako upominek za służbę wierną”.

— Nie chciałem, panie dziedzicu, brać, Bóg

świadkiem — ale świętej pamięci ociec wasz uparł się, mówiąc: „Zbawienia nie otrzymam, Radwańsiu, jeżeli pogardzisz prezentem moim”. Na takie *dictum*, panie dziedzicu, wolałem na podejrzenie ludzkie narazić się, niż, ażeby dusza pana nieboszczyka ucierpieć miała. Ale to wasze, nie zaprzeczam, i jeśli tylko każecie, zaraz odstawię.

— A niech mój ojciec spokój ma! — odpowiedział pan Filip.

Radwański częściej na swoim polu był, niż przy robotnikach dziedzica. Pan Filip zauważył to i samby gospodarstwem się zajął, ale od ostatniego spotkania się z Zawiszyńskim, wytrzymałości mu nieco ubyło, nużył się szybko, a pierś paskudnie bolała. Czasami mu coś we wnętrzu zakłóło, jakby ostrze strzały tatarskiej; czasami zakaszlał i krwią plunął. Pani Sójkowska sporządziła mu dryakiew i sadłem niedźwiedziem smarować się kazała, co mu ulżyło nieco.

— Nie daj Bóg teraz, ażebym zmarł... — szeptał do siebie, gdy razu pewnego wziął korzec pszenicy i udźwignąć nie mógł, a w piersi mu brzydko zakłóło. — Umierać teraz, gdy tak wielkie szczęście do mnie dybie — toczy chyba Pana Jezusa w niebie nie było!

Czuł jednak, że niedobrze mu jest, do łoża się udał, dryakiew pił i niedźwiedziem sadłem smarował się.

Skuteczniejsze jednak nad te medykamenty były listy Tecki. Strach mijał, doznane wrażenia przygód zacierały się, a choć znać było pewien smutek, dostrzegał już i uśmiech weselny i jakąś serdeczność większą. W każdym z tych listów,

choć krótko, ale musiała być wzmianka o weselu, o ślubie, zdawało się, że Tećka z wyrazami tymi oswoić się chciała, przylgnąć do nich, ukochać, a może nimi samotnego pana Filipa pocieszać. Z troskliwością dowiadywała się o zdrowie jego i napisała raz, że tęskni, że prosi, ażeby przyjechał.

Pan Filip, dni kilka wyleżawszy się uczciwie, po otrzymaniu listu tego na równe nogi skoczył. Nieodstępujący go na krok Iwaśko niezmiernie się uradował: ale radził, by jeszcze spokoju zażył i sadłem smarował się...

— Zdrow jestem.

— Jeszcze chudość na twarzy znać.

— Daj-no mi, wasze, pszenicy korzec...

Podany wór zboża dźwignął, jakby to był snóp słomy.

— Nie zakłóło nawet! — odezwał się z uśmiechem.

Kazał wierzchowca okulbaczyć.

Miał już wsiadać, gdy drogę mu zaszedł Radwański, a za nim ciotka Sójkowska wsunęła się. Pan Filip z uśmiechem ich powitał.

— A co tam słyszać?... — rzekł.

Radwański przestąpił z nogi na nogę i tak zaczął:

— Pracowało się, panie dziedzicu, wiek długi, a rzetelnie mówię, że nie dla siebie się pracowało; teraz czas nieco spoczynku zażyć i o sobie pomyśleć. Rad nie rad, muszę pana dziedzica opuścić, a na własne śmiecie się przenieść, boć to wiadomo, że oko pańskie konia tuczy, a mnie na rządców, ani ekonomów nie stać — samemu

potrzeba być wszędzie, dojrzeć, dopilnować, ażeby chudoba nie zmarniała... Przyszedłem tedy prosić pana dziedzica o zwolnienie mnie z obowiązku.

Pan Filip stał chwilę, jakby zdumiony.

— Jakto? — zapytał — opuścić mnie chcesz? Wždy widzisz, że nie zupełnie zdrow, a i do żeniaczki przygotowuję się!...

— Prawda panie dziedzicu — ale bliższa koszula ciała...

— A sam ci tę koszulę dałem!... — zaśmiał się pan Filip. — Niech więc będzie, jako chcesz. Powrócę z Kaczorówki, rozrachuję się, księgi oddasz (tu pan Radwański drgnął) i pożegnamy się po przyjacielsku... Pani ciotka na czas pewien będzie mi musiała zastąpić ciebie.

Sójkowska poruszyła się.

— Ja już, Filipku, po słowie jestem z panem Radwańskim...

— Bierzecie się?...

Pani Magdalena oblała się rumieńcem.

— Wola Boża!... panie dziedzicu — rzekł Radwański.

— Mając swoje bogactwo, nie potrzebujemy cudzych kątów wycierać... — wtrąciła Sójkowska.

Pan kasztelan uśmiechnął się, choć wargi przygryzł.

— Niezłe to były kąty — rzekł — ale wolę nieskrępowaną i błogosławieństwo moje macie.

Dosiadł konia i wraz z Iwaśkiem do Kaczorówki pojechał.

Późną nocą powrócił, a wracał rozmarzony, zadając sobie pytania, na które odpowiedzieć nie umiał. Z uśmiechem powitała go Tecka, na ganek

wybiegła, zaczęła sama o zbliżającym się dniu ślubu mówić, a mówiła z gorączką jakąś. Poufalszą dziś była, niż dawniej, a jednak dawniej inną była. Zdawało się panu Filipowi, że całym sercem pragnęła, ażeby ten ślub najprędzej nastąpił, jakby z nim ciężar jakiś z piersi jej spadł, jakby on z jakichś więzów ją wrywał, które jej myśl, jej wolę, jej spokój krępowały. On na ten dzień uroczysty z uczuciem niezmiernego szczęścia czekał, a ona z pożądaniem chorobliwym; on mówił o nim z sercem przepelnionem radością, a ona z nerwowym niepokojem, który blaski dziwne w jej oczach zapalał, lecz jednocześnie białym obłokiem twarz okrywał; on patrzył na nią, jak w obraz święty i ona nie unikała jego spojrzeń, rzec można było nawet, iż prześladowała go niemi, że chciała się w nim roztopić, zatracić *ja* swoje, zwiać wszystko, co stanowiło jej istotę, jej myśl, jej życie, jej przeszłość całą. Pan Filip czuł, że dobrowolnie szła w poddaństwo niezrozumiałe; że chce tego, całą potęgą duszy chce tego. On widział w tem miłowanie ogromne z zupełnem zaparciem się siebie, owinięte jednak w sieć jakąś nierozwiązanej zagadki.

Niepokoili go jednak ta dziwna żądza roztopienia się w nim; czuł, że to będzie połączone z ogromną stratą jej osobowości. Zdawało mu się, że Tecka, jako istota, zniknie zupełnie; że będzie musiał szukać jej w sobie, nie zewnątrz siebie. Jak to ma się stać — nie rozumiał, lecz uczuciu temu oprzeć się nie mógł. Brał ją w posiadanie i tracił zarazem; łączył się z nią i pochłaniał. Był jakąś wielkością, niszczącą ten drobiazg ukochany!

fatalną siłą, która łamała kruchą lodygę powoju.— I myśl ta pozbawiała go pełni szczęścia i do słodczy marzeń dorzuciała kroplę innego napoju. Nieraz chciał w tej materji rozmowę z nią zacząć, lecz czuł, że słowa niewypowiedziałyby myśli, które w nim nurtowały.

Puścił wolno cugle koniowi i rozumowania wszelkie kończył słowami, szeptem wypowiedzianymi:

— Dziewko ty moja, jak ja miłuję ciebie!...

Dojeżdżając do dworu, zauważył blask jakiś w oknie oficyny, w której mieszkał Radwański, później dym, płomień, krzyk stróżów i przerażony głos pana Ignacego:

— Gore!...

— Oficyna się pali! — zawołał pan Filip.

I na dziedziniec wpadł, gdzie już czeladź uwijała się, z ratunkiem śpiesząc.

Cale wewnątrz w ogniu było, ludzie się tłoczyli, ale coraz gęstsze i czarniejsze kłęby dymu wydobywające się ze środka mówiły, że groźny żywioł opanowany został i niebezpieczeństwo minęło. Radwański, widząc nadjeżdżającego pana Filipa, co miał sił jął wołać:

— A psiel!... teraz się już od sznurka nie wywiniesz!...

I prowadził nieszczęsnego Bedryka za kudły, pętlę na szyi jego wiążąc, który, nie podejrzewając pana Radwańskiego o żadne zamiary krwawe, skakał wesoło i zębami ostrymi delikatnie za rękę go chwycił.

— Co to takiego?— spytał pan Filip.

— Mówilem, jaśnie wielmożny panie dzie-

dzicu, że ten pies nieszczęście sprowadzi. Siedziałem przy oknie nad księgami, porównywając rachunki, ażeby sumiennie wszystko panu dziedzicowi zdać, a ten, psia wiara, jak to zwyczaj jego, przez okno skoczył, o kałamarz zawadził, świecę wywrócił, która zaraz na bibułę upadła i, anim się spostrzegł, jak żywym zajęła się płomieniem. A tu wiatr dmuchnął i ogień zaraz do firanek się wziął i futryn imać się zaczął. Panie Jezu, jaki mnie strach ogarnął!... Do czego brać się, co w pierw ratować? Za księgi chwytam, bo tam, panie łaskawy, sumienie moje leży, a tu ściany drewniane kopcić zaczynają; do ścian biorę się, a tu księgi skwierczą, tak się palą... Rozdwoić się nijak, a strach przez oczy mi patrzy. Zacząłem wołać: gore! bo myślałem, że skonam, tak mnie o dobro pańskie i moje sumienie chodziło. Szczęście, że ludzie nie spali jeszcze, a toby oficyna cała, i dwór, i zabudowania, a może i Konopie całe z ogniem poszłyby przez tego psu brata... Poczekaj, psi synu!...—mówił.—Podyndasz raz przynajmniej na wierzbie suchej!...

— Trzy razy waćpan o swoim sumieniu wspomniałeś, a sumienie nie może mścić się nad głupiem zwierzęciem, które nie wiedziało nic o szkodzi, jaką wyrządzić mogło. Ludzie nieraz z umysłu złe robią, a i to szlachetniej jest przebaczać, niż karać. Puść mi go zaraz, bo ledwie już dycha, tak pętlę zaciągnąłeś — a wolej bacz, niech ogień dobrze zagaszą; lada iskra zostawiona pożar na nowo wywołać może.

Oswobodził z pętlicy nieszczęśliwego kundla, który z radości wielkiej o pierś się pana Filipa



wsparł i ręce lizać mu począł. Na Radwańskiego jeno szczechnął parę razy, który, tłómacząc się z wypadku, w płomieniach przed panem Filipem stał, a za każdym psa szczeknięciem: „Milcz, psia krew!” odzywał się, jakby się bał, by Bedryk nie wygadał się z czemś niepożądanem.

Oficyna ocalała, napalily się trochę ściany i sprzęty, a księgi rachunkowe ogień strawił.

Miesiąc cały upłynął od chwili wydarcia Tecki z rąk Zawiszyńskiego. Co z panem Michałem stało się, nie wiedział nikt, bo podkomorzy zajęty odbudowaniem się, jako też zaniepokojony trwającem niezdrowieniem Tecki, zapomniał zupełnie o Jaworzynie i Grobelnej, tem mniej o to wszystko dbał pan Filip, każdy dzień upłyniony, a zbliżający go do szczęścia marzonego, wymazując z ogólnej liczby dni, na dębowych drzwiach swego pokoju, lubryką naznaczonych. A czynił to tak:

Dwa miesiące, czyli dni sześćdziesiąt, od dzielające go od ślubu, naznaczył sześćdziesięciu kreskami, które codziennie po jednej zmazywał. Trzydzieście okrutnych palic w ten sposób przemazał, drugie tyle zostało jeszcze, a ile westchnień przy manipulacyi onej wypadło z piersi pana kasztelana, to jeno Pan Jezus wiedział i Matka Jego Przenajświętsza.

Zrazu niepokoił się Tecki i swoim zdrowiem; chciał już do Lwowa po medyka jechać, bo choć dziewczynę nic nie bolało, nie dolegało nic widocznie, coraz wiotszą, przezroczytszą i coraz smutniejszą stawała się. Ale Bóg dał, że się unormowało wszystko; mgła, pokrywająca oczy

Tecki, zaczęła znikać, wracająca pogoda zwiła smutek z czoła, a uśmiech coraz częściej na bladych usteczkach siadał. A i pan Filip pokrzepił się: jej czas, jemu sadło niedźwiedzie pomogło. Jednak Tecka nie była jeszcze zupełnie taką, jaką dawniej bywała. Zamyślała się długo, odpowiała z roztargnieniem, a, licząc dni zbliżającego się ślubu, niespokojniejszą wciąż była. Nieraz, jeden, to drugi sąsiad nawiedził dom Bylinów; poważne matrony, mające córki na wydaniu, głośno winszowały Tećce losu, że za małżonka takiego rycerza, jak pan Filip, mieć będzie: a ona zwracała wtedy oczy na przyszłego męża i pana i, nie odpowiadając nic, nieruchomie wpatrywała się w niego. Cieszyło go i smuciło zarazem to spojrzenie; cieszyło, bo rad widzieć zawsze jej oczy zwrócone na siebie; smuciło — bo smutne były. On przy spotkaniu każdym w miłośnem uniesieniu powtarzał:

— Najdroższa! najmilsza!...

A pod jej powiekami pojawiały się łzy.

— Czy miłujesz mnie, jako ja ciebie?... — pytał.

A ona:

— Kogóż miłować mam?—odpowiała.

Nie tego pan Filip chciał, który jeno w Tećce świat cały widział, który śmiertelny grzechby popełnił, gdyby kto między nią a nim teraz stanął.

Tłómacząc się ze smutku swojego, Tecka tak mówiła:

— Nie dziw się waćpan! to jeno dawny, doznany strach ze mnie patrzy. Krzyk, gwałt, po-

żar, porwanie... A czy waćpan myślisz, że pewność jego śmierci — bom widziała, jak Zawiszyński uderzył was — nie zamąciła mi na czas dłuższy umysłu... „Obrońcy mego niema, co ze mną będzie?” — myślałam. I czułam strach, śmiertelny strach!... Zembrzeć można było, a ja tylko smutna jestem. To wszystko w myśli mi stoi, jako obraz płomieniem i krwią malowany... A wy?... coście przecierpieli dla mnie!... Ja boję się, czy będę tak dobrą, uległą i cichą, bym mogła odplacić to wam. Wyście mnie zdobyli inaczej, niż pan Michał; żywota, ni krwi nie żalowali, oddali serce całe i ja — muszę być waszą!... Lecz tak malutka jestem w porównaniu z wami, tak niepewna własnego uczucia..! Słowa wam daję jeno, a wyście czyny dali!...

I, mówiąc to, drżała jako liść osiny, nad przepaścią głębią stawu zawieszony, a pan Filip u nóg jej skomlił i odzierał siebie z szaty bohaterskiej, w jaką go ona ubierała.

— Tećko, duszo moja! — wołał — a toć ja mizerny proch a grzesznik!... Drobiażdżek z ciebie, jako mówisz, a szczęścia świat dajesz; malutka jesteś, a oto ja pod stopy twoje kładę się!... Com zrobił, to więcej dla siebie, niż dla ciebie, bom umiłował, bo bez onego miłowania żyćbym nie umiał!... A cóż to za zasługa żywot dać za ukochanie swoje, bez którego ten żywot to marność, nicość, pył!... Poświęcić siebie, dla zdobycia szczęścia... — dla siebie — nie wielka to rzecz!... Brzydki samolub ze mnie, że jeno mnie ze wstydu spłonąć!... Nie myślcie, że ja dobry, nie myślcie, że jabym puścił was, gdybyście odlecieć ode-

mnie chcieli... Nie! Tak bardzo jużbym duszy swojej nie rozdarł, nie mógłbym już was oddać nikomu. I słuszość przy was jest: zdobyłem was za cenę swej krwi!... Ohydny ze mnie człek, jako widzicie, gdy o zapłacie wspomnam.

Tecka długo, długo wpatrywała się w pana Filipa—i rzekła z uśmiechem:

— Nie wierzę wam!...

— Samolub ze mnie... niżki człek! — mówił pan Filip.

— Gdyby ten odlot, o którym wspomnieliście—ciągnęła Tecka—szczęście mi dał—puścilibyście mnie.

— Nigdy! — zawołał pan Filip. — To byłoby już nad siły moje!... Wiem, czuję, że śmiertelny popełniłbym grzech, lecz w piekłobym poszedł, a was już nie puścił.

— Nie wierzę!...

— Wierzcie—bo większa to prawda, niż zaćność moja!

— Nie popełnicie więc grzechu śmiertelnego, bo ja was nigdy nie opuszczę!

I, śmiejąc się przez łzy, podała mu rączki obie, i gdy pan Filip do tych rąk się pochylił, pocałowała go w czoło.

— Najmilsza!... najukochańsza!... niebo utraciłbym za drugi pocałunek taki!... Bierz duszę, bierz krew moją, zbawienie całe bierz, tylko czuj szczęście, tylko szczęśliwą bądź!...

Wejście podkomorzego przerwało gruchanie ono.

— Bodaj was!—zawołał pan Filip...—A czyście nie mogli tam chwilę za drzwiami postać?...

— Ostaw waćpan coś na po ślubie!—zaśmiał się podkomorzy.

Nigdy jeszcze Tećka tak zamyślona, jako dnia tego, nie była. Coś się w jej duszy przewalało, układało; coś żegnało ją, jakby wspomnienia, o których nie wiedział nikt, jakby sny, które wymarzyła dusza dziewicza, a które moc żadna w ciało przyoblec nie może. Raz w raz łzy jakieś niewołane do oczu napływały, tłumione wyrywało się westchnienie, a dłoń mimowoli do serca biegła.

Pewnego dnia byli wszyscy na Mszy świętej w Kaczorówce, gdy z ambony zapowiedź pierwsza padła. Pan Filip spojrział na Tećkę, a ona na klęczki się osunęła, ukryła twarz w dłoniach i długo a długo modliła się. Była to jednak jakaś przelomowa chwila w jej chorobie, bo powstała rzeźka i uśmiechnięta, jako dawna Tećka, którą pan Filip najbardziej kochał. Gdy msza się skończyła i ludzie z kościoła wychodzić zaczęli, ona pierwsza podeszła do rycerza, uśmiechnęła się wesoło i rzekła:

— Rękę mi waćpan daj—i prowadź!

I uczuł pan Filip, jak się o ramię jego oparła, jak lekkim a swobodnym krokiem szła, jak serce jej było spokojnie, a usta szepnęły:

— Teraz już jesteś mój, waćpan!...

Pan Filip tchnął na świat szeroki, na ten step naddniestrzański, który rozciągał przed nim i zielenił się, złocił, srebrzył, aż w roztopionym opalu mgły się roztopił.—Na stepie zieleń i złoto—i w sercu jego maj zakwitł; nad stepem błękit pogodny—i w duszy jego nieboskość srebrzysta.

Już żadnych chmur, już żadnych burz nie widzi. Gromy ujarzmił, błyskawice spętał, w otwarte podwoje niebios mu iść teraz i chwalić Pana na wysokościach...

Głośnem, już było po ziemiach wszej Rzeczypospolitej, że imćpan Filip z Konopi, kasztelan zakroczymski, zabiera się do stanu małżeńskiego z podkomorzanką Tecką Bylinówną, dziewczicą piękności wielkiej i cnót, a i fortuny niemałej. Król jegomość listem odręcznym, pisany do Byliny i pana kasztelana, winszował parze młodej i szczęścia życzył, a pana Filipa sygnetem złotym obdarowywał; królowa jejmość przesłała Tećce w podarunku ślubnym puzderko misternej roboty, z palisandrowego drzewa wyciosane, perłową masą sadzone, a wewnątrz kornek niewieści z brabanckich koronek, tkaniny tak cienkiej, jako sieć pajęcza bez mała, jeno w różne przedziwne arabeski splątana, wiotka, jak mgła, że trzymaj dech w piersi, aby ono sztukmistrzostwo się nie rozwiało. Ale nadewszystko rad był pan Filip, że nie zapomniał o nim Stefan Czarniecki, wódz ukochany, „trzepaczka” niemiłosierny, i błogosławieństwo swoje wraz z szablą bojową przesłał, z rozrzewnieniem wspominając o przygodach wspólnych, krwi razem wylanej, o tej uczciwej pracy dla macierzy, dla której ostatni piersi dech poświęcony być powinien. I kończył list słowami:

— „A gdy Bóg waszmość panu synów da, to mów im, żeś Czarnieckiego znał, który wacpana był druhem wiernym. A gdyby (co nie daj Panie Jezu!) coś się splątało w Rzeczypospolitej,

niech synowie i wnukowie waszmość pana mój i twój wizerunek w sercu swem noszą i *propter bonum Republicae* nie żalują żywota swojego. Szablę i błogosławieństwo moje posyłam waszmość panu: to sobie weź, a tamtę pierworodnemu dasz”.

Nie pamiętał pan Filip, czy kiedy płakał takimi łzami rzewnymi, jak po odczytaniu onego listu pana wojewody. Wszystko a wszystko, co przesypywało się szarym popiołem wspomnień, jako żywe w pamięci jego stało; i groźne Chmielniczeńki czasy, i potop szwedzki, i strach, i przerażenie ostatnie, i otrząśnięcie się z trwogi, i porwanie się, i bój na śmierć lub życie.—Życie wróciło, przerażona odbiegła śmierć. Pan w dom swój powrócił i wśród czeladzi swej stanął... Przepelniona radością pierś tchnąć ledwo może, w gospodzie niema złych mar, trwożących widm, upiornych snów!...

W rękę pana Filipa drży Czarnieckiego list, na palcu migoce pierścień królewski, szabla polyska napisem: *Pro Deo...* a przed nim stoi, jako cudowny zjaw, Tećka jego najmilsza, i tchnieniem swej piersi roztrąca mgły podarunku królowej. Już naznaczony ślubu dzień, już Ruś cała wybiera się na gody do pana podkomorzego Byliny; kilka jeszcze kresiek zostało na drzwiach dębowych—i—gdy je zmaże, w dom jego wejdzie najzłocistszy promień słoneczny, otuli, ogrzeje, zaleje światłem wszystkie komnaty dworu, wypełni czarem, wypełni szczęściem, osypie wszystkimi gwiazdami niebios.

Jak Polska długą a szeroką była, wiedziano

wszędzie o zbliżających się godach onych. I jak tu było nie wiedzieć, gdy zajął się nimi sam król jegomość, gdy Marya Ludwika wspominała nieraz o drabancie z panem Filipem tańczonym, i komedyantki nawet z teatru francuskiego zapomnieć o nim nie mogły. Dowiedział się i pan Jan Chryzostom na Gosławcach Pasek, i radby może był przypomnieć się panu na Konopiach, ale termedye różne, jakie miał z magnifiką swoją, wodzenie się z imcipanem Myszkowskim i klótnie z pasierbami, którzy go z majątności wyrugować chcieli — nie pozwoliły mu z okazji onej skorzystać i ze stosowną oracyą, jako to czynić lubił — wystąpić. Chciał jednak wiadomości różne z ust przednich o godach onych powziąć, by je kunsztownie w pamiętnikach swoich opisać—lecz onej myśli zacnej, wspomnienie Dunki na przeszkodzie stanęło.

— Ni dębniaka mi twojego spróbować, ni wdzięcznej dziewczki zapomnieć...—szepnął.—Nie przejdiesz do potomności, panie Filipie z Konopi!...

I lukę okrutną na samym końcu księgi swojej zostawił, pamiętników nie skończył, jeno naładował pszenicą gabary i do Gdańska popłynął.

A pan Filip w dworcu swoim rozwieszał adamaszki, ściany pokrywał obiciem ze skór w desenie wygniatanem i codziennie do róz w doniczkach zazierał, czy rżęsystemi pączkami się okrywają...

Nawiedził był go raz Kasper Piwoński, gdy tak od kwiatów do kwiatów chodził i szeptał:

— Rozkwitnijcie mi wszystkie naraz, gdy



Tećka moja w dom wejdzie ten, a wdzięcznem mi okiem na dziewczkę moją patrzajcie. Którą z was dotknie najpierwej, to najmilsza ze wszystkich mi będzie.

— Cha, cha, cha!... — śmiał się Kasper Piwoński, obłapiając niespodziewanie pana Filipa.— „Niczem pancerze, wierzcie rycerze”, gdy Amor łuku się imnie...

— Tak, tak, tak! — odeśmiał się pan Filip, ściskając serdecznie prawicę przyjaciela. — Dla nas obu ta piosnka się przygodzi, boś i ty strzałą onego figlarza ugodzon został... Prawdę mi rzeknij, czy są smakowitsze delicye nad miłowanie?

— Niema!

— I ja tak powiem.

— Oczywiście, że nie kto inny, jeno ja, pannę Bylinównę do ołtarza poprowadzę.

— Jak ja pannę Bytomską od ołtarza.

— Inaczej nie może być — mówił Kasper — gdyż tobie dziewczkę oną zawdzięczam.

— Opatrzności, nie mnie, to Ona jeno przez nas wolę swoją objawia. Ale chodź na wirydarz ze mną, tam przy wina szklanicy rozgadamy się o rzeczach przeróżnych.

Gdzie jeno pan Kasper spojrział, czy na stokrocie, czy na kwiaty bratnie, wszędy plątało się imię Tećki. Znać było, że takim miłowaniem przepełniło się serce pana Filipa, iż na zewnątrz wylać się musiało.

— Długoś w stancy bawil? — zapytał pan kasztelan.

— Dopóki wojewody Bytomskiego nie docze-

kał się. Ale nie wiesz nic pewnie o pułapce na onych Tatarów... Pamiętasz?... zastawionej?...

Pan Filip poruszył się szybko.

— Praw mi, praw — zawołał... — A ja ci powiem o pogoni za nimi, o porwaniu Tecki mojej, pokonaniu mnie, uwięzieniu.

— ...I potem zalaniu sadła panu Michałowi za skórę — dokończył, śmiejąc się Piwoński.

— Wiesz? — spytał zdziwiony pan Filip.

— Jako widzisz!

— Skąd?...

— Od Safan-Dully, który Zawiszyńskiego na powrozie chanowi prowadził.

— Praw, praw, bo wszystko muszę o tym zbóju wiedzieć.

— Wracali ze zdobyczą, objuczeni skarbami pana Michała, gdy drogę im zastąpił Wołodyjowski podjazd. Mały rycerz tak ich obsaczył, że ani uciekać, ani bronić się nie mogli. Powiązał wszystkich, jak baranów, ale w gapę się przemienił, gdy dostrzegł pana Michała na powrozie a marszałka do tatarskiego konia, twarzą do ogona, przywiązanego. „A to co? — zawołał — psu braty! szlachcica na kawecanie prowadzić? Kto wam pozwolił? Dokąd idziecie i skąd?” — A Safan-Dulla łbem o ziemię grzmotnął i tak prawil: „Idziemy do chana, wiedziemy prezent mu od pana Filipa z Konopil!...” — Święty Dyonizy tak się nie zdziwił, gdy głowy swojej na karku nie ujrzał, jako Michałek. — „Bacz! — zwrócił się do mnie (bo i ja na onej wyprawie byłem) — jako pan zakroczymski poczytna sobie. — Do pana Michała tedy i pyta: jak

i co było? a gdy ten łąć począł, marszałek się odezwał: „Synaczk, mów prawdę!...” Prawdę jednak Safan-Dulla powiedział, nie mogąc słów znaleźć na chwałbę dla ciebie. — „Bagadir! i nas pomordował, i z piwnicy wylazł i Zawiszyńskiego chanowi dał” — prawil...

— I co? mów dalej?... — spytał pan Filip, gdy Kasper przerwał na chwilę opowiadanie i po dzban wina sięgnął.

— Tatarom daliśmy po dwieście łóz i puściłiśmy, by ich Tulum-bej osądził; obu Zawiszyńskich do stancy przywiedliłiśmy, gdzie pan Czarniecki oczekiwał już na nas. Na widok wojewody pan Michał pobladł, a marszałek rzekł: „Źle z tobą będzie, synaczk!...” — Lecz lotr nie czekał sądu: zamknięty w karceresie na belce się obwiesił.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać panie — szepnął pan Filip. — Biedny marszałek — dodał.

— Płakał, jak bóbr, i mówił: „Psu brat był, ale synaczek zawždy!”...

— A niech go sądzi Bóg — odezwał się pan Filip — lecz, że wart był stryczka, to sam pan Jezus na sądzie ostatecznym przyzna.

Dni kilka bawił pan Kasper w Konopiach, nie o rycerskich jednak przygodach rozmawiając z panem Filipem. Na ustach ich wciąż plątały się imiona: Tećka, Zośka — Zośka Tećka, jako paciorki na jedwabistym sznurku bukszpanowego różańca, jako perły dwie, wypływające z głębin serca na życia powierzchnię.

## XV.

Choć się panu Filipowi czas dłużył, choć wydawało mu się, że, jakby na przekór jego pragnieniom serdecznym, wciąż wolniej biegł, kreska po kresce znikająca z drzwi dębowych, zostały dwie już tylko, na które pan kasztelan z przepelnieniem serca a niepokojem duszy patrzył.

Dziś, o północy, wraz z przyjaciół drużyną, z którą wieczór kawalerski przepędzi, tę kreskę przedostatnią zmaże, ostatnią zaś Tećce zostawi, gdy w dom jego wejdzie; niech ją sama dłonią swoją zetrze, jako ostatni ślad trosk, niepokojów i cierpień dla niej przeniesionych.

Za dni kilka nawiedzi jego dom ta umiłowana — nad życie!...

— Tećka, tu u mnie!... — szeptał. — Moja, moja, na wieczność moja!...

I szczęście ogromne czuł, i lękał się tego szczęścia ogromu; niewymowna słodycz pierś jego zalewała, i jakiś ogarniał go strach. Snem wydawało mu się to wszystko, co przeżył, co pozostało za nim, i snem to wszystko, co przyszłość mu niesie. Dni jeszcze kilka, a wielka jasność zaleje kąt każdy jego domu, ściany rozdzwonią i roześmieją się, on wie czym dźwiękiem i śmiechem czym.

— Bądź pochwalony, Panie, za szczęście, jakim mnie darzysz... Bądź pochwalony w cierpieniach i radościach moich!... — szeptał.

Dwory pana Filipa i podkomorzego od dni kilku, jako dwa ule rojne brzmiały. Karoce pakowne zataczały się przed dom Bylinów, z których ze śmiechem wesołym wyskakiwały druchny i przy-

jaciółki Tecki, jako też i poważne wychodziły matrony, mitygujące zbytnią wesołość panien. Nieraz i wyniosła postać letniego męża na stopniu landary stanęła, do której z szacunkiem należnym pan podkomorzy podchodził, dziękując za pamięć, za zaszczyt, za nawiedzenie dworu jego w dniu tak uroczystym. Mężowie brali puchary do rąk, stare matrony na kanapach siadały, a panny napełniały wnet komnaty wszystkie śmiechem i gwarem srebrzystym, iż rzekłbyś, że ptactwo z rajy wysypało się i pióry różnobarwnemi trzepoce, a kręci się, a gaworzy, a grucha i grucha nieustannie.

Młodzież, kawalerowie przeważnie, na dwór pana Filipa ciągnęli. Mało to było pojazdów, brać szlachecka na koniach przyjeżdżała; ciągnęły się za nią tylko furgony pod rzeczy, na których trzęśli się pacholkiwie, pilnujący dobra pańskiego. Kawalerami więc dom pana Filipa — pannami dworzec Bylinów przepelniony był; kawalerski w Konopiach a dziewiczy wieczór w Kaczorówce obchodzono.

Pan kasztelan w otoczeniu druhów i towarzyszków broni wesoło ostatki kawalerstwa swojego przepędzał. Więcej marzeniem, niż winem podniecony był, do grona przyjaciół swych i Iwaśka wprowadził a nikt się nie skrzywił z gościa nowego, którego pan Filip przyjacielem swym zwał, dłoń ścisnął i raz jeszcze, w obliczu wszystkich, kielichem pełnym moc onej przyjaźni stwierdził. Krążyły puchary, rozwiązywały się języki, otwierały się szeroko wspomnień wrota. A każdy niemało ich miał, lecz bogactwem onych pan Filip wszystkich przewyższał.

Znane dzieje pana na Konopiach jednały mu serca wszystkich. Na wieść o ślubie z Tecką Bylinówną ruszył się tłum szlachecki, niejeden z braci z darem wystąpił i albo konia z rzędem mu przywiódł, albo piękną szablę w prezencie dał. Pan kasztelan z rozrzewnieniem za pamięć dziękował, ale nadewszystko miłszym mu był sygnet królewski i szabla Czarnieckiego.

Nazajutrz mieli wszyscy z brzękiem i szczękiem do Kaczorówki się udać, ale gdy uczta się skończyła, zauważył każdy, że pan Filip zaledwie ustać mógł, roztargnienie rzucał pytania, odpowiadał roztargnienie, wzdychał, jak miech kowalski, miejsca nigdzie zasiedzieć nie mogąc.

— Filipku! — szepnął mu Piwoński. — Jako widzę, radbyś wasze choć na chwilę do Kaczorówki się wymknąć.

— Nie mogę was ostawić — odpowiedział pan Filip.

— Zastąpię ciebie, a waćpan sercu swojemu dogódź.

— Kusisz mnie Kasperku!...

— Może jeszcze dziewczkę z druchnami zastaniesz, a choć waćpana przepędzić zechcą, nie dasz się i pocałunek u Tecki ukradniesz!...

— Kasperku, litość miej!...

— Bo co? — śmiał się Kasper.

— Nie strzymam!

— Pofolguj sobie, zniknięcia twojego nie uważy nikt — kusił dalej pan Kasper. Dwa razy jeszcze wino pójdzie w kolej i tak się umysły zamąca, że mnie za ciebie wezmą. Morfeusz zresztą

porządny uczynił ład, a nim kur raz drugi zapieje, z powrotem już tu będziesz i gościa każdego nad ranem w łóżu odwiedzisz...

— Iwaśku! gotuj się do drogi — zawołał pan Filip, zwracając się do chłopca.

Ucałował pana Kaspra i z domu wymknął się cichaczem.

Księżyc wschodził, a w łisną czapkę był ubrany. Pan Filip nie spodziewał się zastać jeszcze w domu pana Byliny gości czuwających, ale może Tecka spać nie będzie, może z jedną lub drugą druchną, sercu jej bliższą, na wirydarz wyjdzie, by gwiazdom się przypatrzeć i srebrnemu księżycowi tajemnicę jaką powierzyć. A choćby panny i druchny, dla lepszego nazajutrz wyglądu, na spoczynek się udały, Tecka przeczuje, że on jej nie ostawi tak, choć nocką późną przybieży, pod oknem stanie, w dłoń kłaśnie i pokolysze w ramionach swoich. Pomykał więc szybko, tylko step grał za nim tententem kopyt, tylko rosa rozpryskiwała się w duże perły brylantów.

Gwarno było przez dzień cały na dworcu Bylinów; turkot pojazdów, okrzyki, powitania nie ustawały na chwilę, a gdy wieczór nadszedł, ów wieczór dziewiczy, dom on pieśnią się ozwał, jakby w jedną arfę się przemienił.

Do dziewiczego pokoju Tecki wąsom nie wolno było wchodzić. Niejeden podtusiały szlachcic zajrzeć tam chciał, lecz wnet go z wrzaskiem okrutnym panny wypędzały, i musiał, jak niepyszny, wynosić się, rzucając przeze drzwi pytanie:

— A niema tam czasami Filipa?...

— Nawet i Filipa spotkałaby taka sama konfuzya, jak i waćpana — odpowiadały ze śmiechem.

— Głupiby był — mruzczał szlachcic przeze drzwi — gdyby rady dać sobie nie umiał.

— A jak?...

— Każdą druchnę by ułapił, i w buzię!

— I co?...

— Wy w nogi, a on do dziewczki swojej.

— A patynków nie mamy?...

— Oł, strach dla rycerza takiego!

— No, no — niech próbuje!

— Pilnujcie się, panny, bo on gotów spróbować!

— Wždy go tu niema?...

— A właśnie, że jest i idzie, idzie, idzie — grubym głosem szlachcic powtarzał, stukając przytem butami.

Dziewczęta zrywały się i do drzwi biegły, a Tecka niespokojnie patrzyła.

— Puśćcie go?

— Nie, nie, nie!

Szlachcic za klamkę brał.

— Patynki! — wołała wtedy pierwsza družka.

Szelest okrutny się robił: to panny zdejmowały pantofelki, z czego szlachcic korzystał, otwierał drzwi nieco i łeb wsuwał. Dziewczęta, fortel widząc, niemilosiernie okładały go patynkami, że ciekawski rad nie rad podawać tył musiał, od Tatarów wymyślając.

— A jakże się waszmości udało? — ten, to ów pytał uciekiniera.

— Puszczają,— odpowiadał.



— To i ja zajrzę.

Zazierał i z konfuzyą równą umykać musiał.

Dzwonił więc śmiech, przeplatany piosenkami, jedna tylko Tećka nie śmiała się; szalony niepokój nią miotał, a gorączkowe rumieńce to występowały, to znikwały z jej twarzyczki. Rada była jednak z towarzyszek i piosnek onych; samotności się bała, chciała noc całą tak z druchnami przepędzić, drząc na szelest każdy, na każde szczenięcie psa na dworzu. Śmiały się dziewczęta z tej trwogi Tećki, choć rozumiały ją, niektóre zazdrościli nawet.

— Mąż jak mąż — mówiła starsza družka — ale takiego Filipa nam nie dostać!

— Rycerz jest — odpowiadała Tećka.

— I rycerza znajdziesz, ale miłującego tak, niezawsze!

— To prawda!...

— Szczęśliwa ty, Tećko, że taki ci się przygodził...

— Mówią wszyscy, że jestem szczęśliwa.

— A ty?

— W głowie mi się kręci, serca nie czuję!...

— To tak zawsze bywa przed ślubem — upewniała starsza družka.

— I z każdą tak bywa? — spytała Tećka.

— Z każdą.

— A potem jak?

— Tego już nie wiem — odpowiedziała dziewczyna, rumieńcem się oblewając.

Gdzieniegdzie cichy, srebrzysty odezwał się śmiech, lecz twarze dziewcząt pokrył róż szkarłat.

— Ale milujesz swego? — badała starsza družka.

— Inaczej nie może być — mój jest! — odpowiedzia Tećka.

Długo tak gawędziły z sobą i śmiały się, każdy śmiech szeptem kończąc, ale że dwór Bylinów uciszał się i nawoływania stróżów znak dały, by czeladź gasiła światło i do snu się zabierała, umilkły powoli gwary i piosnki, i w Tećki pokoiku płynął tylko szept nieustanny, kiedy niekiedy wesołym śmiechem przerwany. Lecz nie mrużyły się dziewczętom oczy do snu, do świtu-by gawędziły, ale stare matrony, dbające o świeżość ich jagód, z napomnieniem raz wraz pokojówki wysyłały, a gdy to nie pomogło, zjawily się same i pytkami to ptactwo świegotliwie wyganiać poczęły.

Frrr!... frrr!... pierzchały, jak perlice, kiedy jastrząb zakoluje nad niemi, a co to śmiechu było, a krzyku, gdy chustka z altembasu miękkiego, w pytkę skręcona, ramion białych dotknęła. Przez pokoje i przedpokoje, sienie i korytarze umykały napędzane dziewczęta, a matrony z pytkami za niemi — i tak się rozochociły tą gonitwą damy one letnie, że śmiechem głośnym, gwarem i tupaniem zabrzmiał Bylinów dwór, aż podkomorzy, w szlafmocy białej na głowie, z sypialni swojej wysunął się, myśląc, że koty powściekały się, i szlachcic niejeden wyjrzał, a widząc co się dzieje, sam pytkę skrzył, bo do krotochwil różnych był skory, i gdy matrony za pannami, on za matronami onemi pognał, jeno nie żałował pleców, które mu się pod nos nawinęły. Okrutny podniósł się wrzask, tem większy, gdy w sukurs figlarzowi to

ten, to ów pośpieszył: podkomorzy nawet wigoru nabral i z pytką na korytarz skoczył.

— A spać, dziewczęta — wołały matrony.

— A spać, baby!... — zabrzmiało za nimi.

Szast-prast!

— Ojoj! — dało się słyszeć.

I jedną wielką falą śmiech buchnął.

Podkomorzy za wojewodziną, wojewoda za kasztelanową pognał, służba nawet z pościeli się zerwała, a widząc wesolość oną, państwu swojemu przyświecać zaczęła, kręciła pytki, a do rozpuku się śmiała.

Jak tylko wążacze do onej batalii babskiej wmieszali się, rzecz cała inny zaraz obrót wzięła. Pędzone dziewczęta stanęły wnet w obronie matek swoich, a starsza družka przewodnictwo nad nimi wzięła:

— Patynki! — zakomenderowała.

Lupu-cupu zaklekotało na plecach męskich.

Śmiechy i chichotania, piski i krzyki odezwały się w każdym zakątku dworu podkomorzańskiego. Ferwor wojenny udzielił się i Tećce nawet, a gdy jedna z dziewczyn z pantofelkiem podbiegła do niej i wręczając go jej, zawołała:

— Wall!...

Skoczyła i Tećka i pierwszy lepszy kark męski oną bronią niewieścią zmierzyła.

— A mnie za co?—zawołał snadź niewinnie ukarany.

Zwrócił się ku Tećce, a jej patynek z rąk wypadł, a twarz szkarłatem się powlekła.

Przed nią z uśmiechem wesolym na ustach stał pan Filip.

— A waść skąd? — odezwały się głosy.

— Kto?

— Co?... — zabrzmiało wokół.

— W sukurs przybyłem — zawołał pan kasztelan zakroczymski.

Ze śmiechem głośnym wnet skupiono się około pana Filipa.

— W sukurs? a komu?

— Oczywiście, że narzeczonej mojej!...

— I pantoflem dostał...—zaśmiały się panny.

— To przez nieuwagę, tylko przez nieuwagę!... Prawda, panno Tećko? — zwrócił się do panny Bylinównej rycerz.

— Nie spodziewałam się was!...

— Skądżeś się tu wziął, kasztelanie—pytano.

— Ba, skąd!... Aż w Konopiach rwetes posłyszałem...

— Takiego wrzasku niewiasty narobiły — ktoś wtrącił.

— To, jak waszmość panowie się wdali, głośno się tak zrobiło — odpowiedziała matrona jakaś. — Gdyśmy wojowały — pana kasztelana nie było: zjawił się dopiero, gdy do nie swojej rzeczy wzięliście się.

— Wždy czasu trochę potrzebował, by z Konopi do Kaczorówki przybyć. Pisk kokoszek zawezwał go, a przybył, gdy już do batalii onej nie-jeden kur się wmieszał... Ale gdzie się pojawił odrazu!

— W pokoju dziewczki swojej — ktoś wtrącił.

— Umówili się!—wyrwała się starsza družka.

Śmiech buchnął, a Tećka żywym rumieńcem

się oblała i przyjaciółkę potrąciła, która zmiarkowała teraz dopiero, że powiedziała głupstwo.

Zjawienie się pana Filipa kres położyło batalii. Śmiano się jeszcze i chichotano po kąciakach, przymawiano sobie od czasu do czasu, ale dziewczęta na rozkaz pań starszych, rade, nierade, na spoczynek musiały się udać. Zmęczone matrony oddychały szybko, piersi męskie, jak miechy sapaly, lecz każdy do snu szedł z myślą wesołą, wiedząc, że po krotchwili onej kamiennym snem zaśnie. Pan Filip jeno ociągał się, tak mu nie na rękę było owo rozstanie się z Tecką. Stał przy niej i szeptał coś, i w oczy patrzył miłośnie i raz wraz za obie dłonie ją brał i całował, bez końca. Ale opróżniały się pokoje i korytarze, zatraskiwały się drzwi — cisza obejmowała dwór cały; pożegnał więc i on miłowanie swoje, bo do Konopi pośpieszać musiał, by gospodarski obowiązek spełnić.

Na ganek wyszedł — i westchnął.

Gwiazdy mrugały, księżyc był w pełni, olbrzymie lipy ogrodu pana Byliny stały nieruchome, na tle nieba ciemnymi konturami rysując się.

— Wyprowadź konie za wrota. — Zaraz na dejdę — rzekł do Iwaśka pan Filip.

I błędzić poszedł po tajemniczo wijących się alejach ogrodu.

Dwór usnął, światła pogasły, tylko w Tecki pokoiku bladym płomykiem lampka pełgała. Gdy druchny ją opuściły, zbliżyła się do śnieżną pościelą zasłanego łóżeczka — i zamyśliła się. I stała tak długo z rączkami, opuszczonemi do kolan,

wpatrzona przed siebie, z ogromnym smutkiem na twarzyczce pobladlej. I popłynęła łza, a za nią druga i trzecia — i posypały się te perły rzęsiście, a biegly cicho i spadały cicho, bez łkań żadnych, bez silniejszego nawet piersi poruszenia. Po chwili otarła te łzy, raz jeden, jedyny głębokie westchnienie z piersi wypadło i zaczęła złote war-kocze włosów rozplatać. Lecz przerwała w pół rozpoczętą robotę—spojrzała w okno, na księżyc, na niebo usiane gwiazdami, i ogromna jakaś tęsknota zakolatała do jej serca. Zgasila lampę, otworzyła okno.

Owiał ją orzeźwiający chłód nocy i zapach lip.

Cisza!... zdawało się tylko słyhać było hukanie koniuchy i konający wsi pogwar. Skrzypnęły gdzieś wrota, zaterkotał wóz, wpółurwana zabrzmiała piosenka.

Lecz szybko uciszyło się wszystko, biały sen rozwiął skrzydła milczenia i zapanował nad światem. Tylko coraz więcej noc się wysrebrza, tylko coraz silniej lipy pachną. Na ciemnym błękicie rysują się fantastyczne zarysy drzew; jakby w oczekiwaniu czegoś, stoją milczące i nieruchome. Szybki, tajemniczy ruch skrzydeł nietoperza zrysuje niebo, jak błyskawica czarna — i znowu spokój, i cisza znowu.

Ta noc lipcowa rozmarza Teckę; stanęła przy oknie i patrzeć zaczęła. I zdało się jej, że lekko poruszyły się bżów kitki. Ale to złudzenie! A zresztą ptak jakiś może usiadł na wiotkiej gałązce krzewu i krzew się zachwiał.

Co to? słowik? Słyhać już gwizd pierwszy,

pierwsze pieśniarskie westchnienie, trel — akord... i śpiew.

Ach, jak śpiewał! Ogród cały zabrzmiał od gwizdów i nawoływań.

Nagle Tecka porwała się i rączkami obiema chwyciła za ramy okna. Jej piersi zabrakło tchu, krwi jej sercu. W maju śpiewają słowiki, a to nie maj, i żaden słowik tak, jak ten, nie śpiewa. Gwizdnął—i rozplakał się perlami dźwięków i w jakiś wielki uderzył płacz. Szczególnie nuta jedna zadrgała taką prośbą błagalną, takim wołaniem namiętne, takim krzykiem duszy rozdartej, że dźwięku tego żaden słowik uchwycićby nie mógł! A Tecka, jak szalona, porwała się z miejsca i skoczyła przez próg na schody, i, jak strumyk rzuca się z gór, tak ona szybko przez wszystkie rzuciła się stopnie, otworzyła pośpiesznie boczne drzwi wieżyczki, wybiegła na ogród i do tego krzewu bzu, gdzie ten słowik śpiewał — przypadła. Słowik przestał nucić, natomiast zadzwonił nieprzytomny krzyk Tecki:

-- Jaśko! to ty... ty, Jaśku?

Tak!... to Jaśko stał, stał w dobrze sobie znajomej altance bzu, i śpiewał... jak ongi śpiewał, gdy mu po raz pierwszy w sercu rozbudziło się miłowanie do Tecki Bylinówny. Na głos tego słowika zbiegało zawsze dziewczę rozkochane i teraz zbiegło, bo ten śpiew, to wołanie, wszystkie dawne marzenia i pragnienia, wszystkie sny dawne, w jeden wielki, a złocisty węzeł ujęły i rzuciły do stóp dziewczyny. Nie miała czasu zastanowić się, myśli zebrać, taki ją olśnił blask. Nie wiedziała

nic, czy leci w przepaść czy w grób — ale tam Jaśko był, tam Jaśko śpiewał, i wołał, i płakał, i — kłął. A cóż gdy go ujrzała w drzew cieniu, gdy posłyszała oddech jego piersi, zobaczyła ramiona wyciągnięte. Płacz wtedy rozdarł jej pierś... i upadła na Jaśka pierś, lkań serdecznych powstrzymać nie mogąc.

— Jaśku... to ty?...

— A ty myślałaś, że widmo, upiór, duch?— wyszeptał Jaśko. — Tećko moja! moje najpierwsze i ostatnie miłowanie, krzyżu mój, męko moja!...

On mówił, a ona, przytulona do piersi jego, płakała głośno, tak, że aż dziwno musiało być ptaszętom, gdzieś po gniazdach śpiącym, że płacz jakiś przerywa tak uroczystą ciszę nocy. A Jaśko trzymał w objęciach dawne kochanie swoje, twarz do jej głowy przytulił i napawał się zapachem jej warkoczów, wonią dziewiczego ciała, posiadaniem bez posiadania.

Po chwili, o której długości trwania nie wiedzieli nic—Tećka ukoila łkanie gwałtowne, cicho chlipała tylko, ale i to przemogła, i urywanym, tłumionym przez łzy, a smutnym, jak słowo wieczystego rozstania, odezwała się głosem:

— Skąd ty przyszedłeś?... i — na co ty przyszedłeś?...

— Skąd?... aż z pod Karpackich gór, Tećko!... Po co?... może po śmierć!...

Tećka drgnęła i przytuliła się silniej do piersi Jaśka.

— Żyj... Janku! — chlipnęła.

— Dla kogo? — szepnął Cichocki.



— Dla myśli mojej, że żyjesz, że jesteś... gdzieś!

— O, jaki ja nędzny człek, jaki nędzny! — zajęczał Jaśko — że nie mam nawet gniazda takiego, jakie szare wróblę plecie sobie, a żeby ciębie wziąć, unieść i mieć gdzie ułożyć podczas burzy, deszczu i gradu... Ty wtedy poszłabyś za mną, Tećko! ty poszłabyś wtedy?...

— Nie, Janku!...

— Nie?!... nie?!... A pocałunki, przysięgi, a zaklęcia twoje?...

— Ja zabić się chciała, nie mogąc twoją być... a to był grzech, Janku!... i otec o tym grzechu dowiedział się, i z Zawiszyńskim, któremu przeznaczona byłam, zerwał... Ale o tobie marzyć nie pozwolił, mówiąc mi: — „Nie dałem ci się zabić, nie dozwól i mnie — struć się!” Pozostał klasztor, ale i tamto śmierć!... a ja umrzeć prawa nie miałam. Janku! nam już do siebie nic. Zobaczyć się... pożegnać... i już się nigdy, nigdy nie spotkać.

— Męka!... męka!... męka!... — wyszeptał Jaśko.

— Wszystko przechodzi, Janku, na tej ziemi—a szczęście najprędzej... Ono już przeszło!... Próżno wołać—nie wrócił!... Serce płacze, płacze, ale zgodzić się musi na to, co los mu napisze... Nam już napisał los: milczenie — zapomnienie, wieczne... wieczne... wieczne!...

— Męka! męka! — jęczał Jaśko.

— Ja twoją nie mogę być... Kto inny weźmie mnie i poprowadzi w świat. Jutro... Janku... mój — ślub!...

— Wiem o tem, wiem, wiem, wiem, i zgodzić się muszę, i zgodzić się nie chcę, i wołam: męka!...

— Grzech wielki, grzech wielki, Janku, że wyszłam dziś do ciebie... Ale nie wyjść—nie mogłam!... to było już nad siły moje!... Dóbrzy Pan Jezus mnie przebaczy, bo to ostatni raz... ostatni... Janku mój!...

I rękami oplotła szyję Jaśka, a on się w jej usta wpił i całował, jakby chciał słodycz wszystką, życie wszystkie wycalować, by kropli jednej słodyczy tej i życia nikomu już, nikomu nie zostało.

Nagle dał się chód słyszeć, i kroki, i oddech ciężki. Jakaś postać olbrzymia zarysowała się w cieniu drzew i rozgarnęła bzu gałązki, które w pięści wścieklej łamały się i pękały.

— Ociec! — szepnęła przerażona Tecka.

Wyrwała się z objęć Janka — i pierzchła.

Cichocki nie odrazu zrozumiał o co chodzi, nie odrazu pojął niebezpieczeństwo. Ale, gdy Tecka umknęła, gdy zmysły do równowagi przyszły i świadomość wróciła, cała groza położenia stanęła przed nim w nagiej swej postaci. Przypomniał sobie policzek dawny, który od Byliny otrzymał, tu, w tej altanie, choć wtedy żaden ślub jeszcze nie wiązał Tecki, żaden pierścień na jej palcu nie błyskał, ni druchny, ni družbowie nie czekali na pannę młodą...

A dzisiaj!...

— Śmierć! — szepnęła.

Po chwili dodał:

— A!... niech raz już się skończy to życie męki!...

I uczył siłę, moc i jakąś wielką pogardę do tego żywota.

Nagle drgnął... Ból straszliwy od ramienia wzdłuż piersi jego przeszedł, aż zęby zacisnąć musiał. Najłżejszego jęku jednak nie chciał wydać, jako znaku cierpienia, choć w jego ramię prawe zanurzały się jakieś szpony krogulcze, coraz głębiej i głębiej, wścieklej i wścieklej, i czuł ciepło krwi, która tym szatańskim uściskiem wydobyta, piekącym strumieniem po ciele splywała, i czuł niezmierny ból rozchodzących się stawów, mękę poddających się kości i torturę żył obrzmiewających. Nie wrywał się jednak z tych sępicznych uścisków, tylko z jakimś kamiennym spokojem odwrócił twarz i spojrzał w oczy swojego oprawcy.

Bladość nagle powlekła oblicze Jaśka, oczy na chwilę mgłą zaszyły—ale opamiętał się szybko.

Przed nim stał pan Filip, żywy, dygocący, wściekły—lecz inaczej nie wyglądałby trup. Twarz miał białości kredy, oczy szeroko otwarte, nozdrza rozdęte i drżące wargi. Nie mówił nic, jeno dyszał, jak zwierz, śmiertelnym ugodzony pociskiem, a palce rąk, niby kleszcze żelazne, wpijał coraz potężniej w omdlewające z bólu ramię Jaśka.

— Na co waćpan mnie dusisz? — wyszeptał Cichocki, śmiałym spojrzeniem patrząc w oczy swojego przeciwnika.

— Smarkaczul... błażnie!... — wyleciało z ust pana Filipa, i z taką mocą zacisnął pięść, że Jaśko skulił ramiona i syknął z bólu.

— Puść mnie, waćpan! — wyszeptał.

— Nie wyjdiesz mi tu żyw, nie wyjdiesz! — zacharczał pan Filip. — Dość męki miałem, dość

rozdawałem złota i krwi, ale tego, co serce zdobyło, co już jest ostatnim duszy mojej promieniem — nie oddam!... za zbawienie wieczyste, za światło wiekuiste, za królestwo królestw, gdzie mieszka Bóg sam — nie oddam!... Zgnać musisz... a o prochu zapomina świat!... Żywych miłuje się, nie pyły, które rozwieje wicher i ślady ich zetrze... Wiedziałeś—że ja... wiedziałeś—że dziś... i — i — i...

Dłoń pana Filipa ciążyła coraz bardziej na ramieniu Jaśkowem.

— Zabij mnie waszmość, lecz nie męcz!...— wyszeptał Cichocki.

— Zabić, zabić... cha, cha, cha!... zabity zabija!... Świat nie widział krotoczwili takiej!... — zaśmiał się dziko pan Filip.

Ale widocznie sam omdlał, bo ręka, jakby bezwładna, spłynęła po ramieniu Jaśka.

— Skrzywdziłem waćpana — zaczął Cichocki—alem w pierw miłował, niż ty; i — klnę się na duszę moją, żem serce jej miał.

— Widziałem... słyshałem—odpowiedział nieprzytomnie pan Filip.—I nie ujdiesz mi żyw, nie ujdiesz!...

— Zasłużyłem na śmierć — ciągnął Jaśko — i na miejscu waćpana będąc śmierciąbym zapłacił!...

— I dam ci ją, dam, dam, dam! — chrapał pan Filip.

— Ostra być musi szabla waćpana!... dość pchnięcia jednego pomiędzy żebra, by serce dostać i kazać mu przestać bić... Pomścisz siebie, a mnie łaskę uczynisz!

Mówiąc to, żupan rozpiął, obnażył pierś, dwa palce położył na tętnie serca i rzekł:

— Uderz, waszmość — tu!... Lepiej, niż oszaleć, poczuć chłód szabli waszmościnej. Dlaczego się waćpan wahasz?... — zapytał po chwili.

Pan Filip broń dobył.

— Śpiesz, waćpan!... — wyszeptał Jaśko. — Skończy się raz miłości męka!

— Nie tu!... — odezwał się po chwili pan Filip. — Nie pod jej oknami krew waćpana popłynie.

— Waćpan broń chowasz! — zawołał Cichocki.

— A ty chcesz śmierci, koniecznie chcesz śmierci!

— Chcę, chcę!... Nie folguj... Chwila jedna, ból krótki—i spokój!

— ...I jęk—dodał pan Filip—jęk, który doleci tam, do jej uszu, i każe tu jej przybiedz, na ciało waćpana paść, ramieniem pierś otoczyć, ustami w usta się wpić, i szeptać słowa, które mi zmysły odejmują?... Aaa!... ty tego chcesz!... po śmierci jeszcze uścisku jej chcesz!... Nigdy! przenigdy!... Jej — krwi widoku oszczędzę, siebie — od szaleństwa ochronię, a ciebie... ciebie pozbawię ostatniego pocałunku Tecki. Tam, na rozstaju, stoi krzyż, gdzie wichry szaleją, gdzie złe duchy szaleją; tam, na rozstaju, pod tym krzyżem koniec twój będzie!

Za ramię Jaśka wziął i z ogrodu go wywiódł, a gdy się na wąskiej ścieżynie znaleźli, wyprzedził go o kroków parę i szedł szybko, dysząc

ciężko, jakby na barkach swych ciężar dźwigał ogromny. Jaśko pośpieszał za nim, a jak lunatyk szedł; zaparty w piersi miał dech, serca nie czuł. Gdy nie mógł zdążyć za szybkimi a dużymi krokami idącego naprzód pana Filipa, podbiegał. I tak minęli sad, łączkę; rzeczulkę przebyli, oddalając się wciąż od dworu Bylinów. Pan Filip co chwila ruchem powolnym głowę odwracał i partrzał na idącego Jaśka; zdawało mu się, że przed rzeczka w bok skoczy i w gęstwinie trzcin się ukryje. Lecz zarośli szmat mały był, a może tam była głąb przepaścista, o której Jaśko wiedział, a może tych trzcin nie zauważył.

Przeszli w poprzek gościniec bity i zapuścili się w jar. Jar był porośnięty krzewami karłowatymi, pełen rozdołów i wywrotów, i cieni tajemniczych, i lisich jam.

Pan Filip zwolnił kroku, bo Jaśko odstał... ale wnet nadbiegł.

— Idziesz?—zapytał.

— Idę! — odpowiedział głosem słabym Ci-chocki.

W jarze panował cień, bo księżyc za górami został. Jaśko omijał drzew wywroty, obchodził jamy lisie, zda się, że o ucieczce nie myślał wcale.

Wydobyli się z jaru... księżyc błysnął i wydłużył cienie idących. Pan Filip znowu Jaśka wyprzedził, szedł szybko i szeptał:

— Zginać musi, zginać powinien i — zginie!

Przed nimi zarysowała się ciemna wstęga lasu. Las był sosnowy, duży, zbity, gdzieniegdzie

tylko przedzierał się srebrny księżycyca blask i białą plamą na murawie się rysował.

Pan Filip z ukosa znów spojrzął na Jaśka.

Pnie drzew były olbrzymie, cienie czarne, nieprzebity labirynt dróg leśnych. Za pierwszym lepszym krzewem ukryć się można było i zniknąć, jak duch baśni. Ale Jaśko szedł wciąż śladami pana Filipa, pierś tylko oddychała ciężej i szybciej i zdawało się, że krok omdlewał.

— Krew za krew, ból za ból i szczęście za szczęście—szeptał pan Filip.

Minęli las, kawał łąki zasrebrzył się w dali i wzgórze niewielkie. Oparzelisko jakieś niedaleko musiało być, bo długimi pasmami posnuły się mgły.

Pośród mgieł coś zamajaczało...

Jaśko podbiegł, ręką wskazał i rzekł:

— Krzyż!...

---

## XVI.

„Ojciec, nie ojciec był?”

Tecka nie wiedziała napewno.

Pierzchnęła, jak ptak, na pierwszy głośniejszy szelest krzewu i zdyszana na korytarz wpadła. W sieni zatrzymała się chwilę, zrobiła krok ku schodom, na górkę prowadzącym, i zawała się.

Dwór spał—cisza! Może i podkomorzy spoczywa w głębokim śnie pogrążony?... Jeżeli tak, któż ją spłoszył z onej altanki bzu?

Niepokój ogarnął Teckę i jakiś wstyd, i uczuła coś, jakby wyrzut sumienia.

Płomienie ją oblewają, policzki ogniem pa-  
lą, a w sercu coś łka i łka.

Dziś już, bez grzechu, nie mogła do Jaśka wyjść, ni ramion wyciągnąć, ni główki na jego pierś złożyć. Na rękę jej pierścień polyska — znak wiary, a jutro... ślub!...

Tecka czuje, że ją przygniata ogromny win ciężar, pod stopami usuwa się ziemia, a nad nią gniewny stoi Bóg. Napróżno uniewinnić siebie chce nieświadomością swojego postępkę, szalem, jaki ją ogarnął na głos słowika, zapomnieniem zupełnem, że ona już prawa nie miała do Jaśka wybiedz i na jego ustach zawisnąć... Grzech! grzech! grzech! nienaprawiony niczem, nieodkupiony niczem!

— O, Jaśku! dlaczegoś przybył ty? w ten właśnie dziewiczy wieczór przybył!...

Stała w mroku, oparta o uszaki drzwi—i płakała cicho.

— Jeżeli to ociec był—ból jaki, jaki wstyd!... a jeżeli to pan Filip był...

Dreszcz przerażenia przebiegł po ciele Tecki, szare ściany zakręciły się wkoło niej i wirują, wirują, wirują... Musiała obiema rękami za drzwi się chwycić, by nie upaść.

— Ale nie!... Pan Filip odjechał, ojciec spać musi — to jakiś nieproszony był gość, włóczęga stepowy, a strach, Bóg wie jakie mary wytwarza.

— Ociec, nie ociec — szepnęła po chwili—zawsze pozostaje grzech!



Ale przeszłości wrócić nie można, Jaśkowego pocałunku z ust strącić, nawet powstrzymać łez, które płyną ze szczęściem minionem. Lecz dzień jutrzejszy będzie zapomnienia dniem, nie będzie na nią pan Filip narzekał, o Jaśku nie wspomni nigdy, całe życie i serce mężowi i panu swojemu odda, pokorną, cichą i dobrą będzie, i miłować go nawet będzie, bo on wart szczęścia i kochania. I życie przejdzie, jak każde życie, w smutkach trochę, w radościach trochę. Może tak nie będzie, jak z Jaśkiem byłoby, Tecka czuje, że tak nie będzie, ale są niedole większe, a ludzie żyją, śmieją się i mówią nawet, że dobrze im na świecie.

Stanie się i z nią tak!

Nie rozumie jeno, dlaczego ten Jaśko tak w serce się wgryzł? dlaczego nikt inny, tylko on? Wie to jeden Bóg, co serca ludzkie stworzył i, jak puhar winem, marzeniami je wypełnił.

Wróciło uspokojenie, tylko łzy płyną i duszą Tecki niepokój miota na myśl o tajemniczym gościu onym w altance z bzu.

— Byle nie ociec, byle nie...

Objęła głowę rękoma.

— To byłby strach! strach! strach!...

I dręczyć ją znów zaczęła niepewność.

— Niech ociec będzie!... wolej niech ociec będzie!.. — szeptała, posuwając się cicho wzdłuż korytarza, do ojcowskiego pokoju się kierując.

Jeżeli śpi, jeżeli przez szpary światła nie dojrzy?

Piersiom jej tchu zabrakło.

A!... światelko!

Z piersi Tećki spadł ciężar ogromny.

— Ociec—to ociec był!—pocieszała się.

Pewnie gniewny, gniewny jak lew... Może skoczy, zagrzmie i bić będzie... Ale ona ni jęku, ni krzyku nie wyda, do nóg mu jeno padnie, rękami kolana oplącze, do grzechu się przyzna, powie wszystko, wszystko, wszystko, i cały ciężar win, smutków i boleści u stóp jego złoży — i ojciec zobaczy, jak silna będzie, gdy jutro gości weselni zjadą; z jakim uśmiechem powita pana Filipa, jak krokiem pewnym do stopni ołtarza podejdzie i powie głosem spokojnym:

„Biorę ciebie sobie...”

Drżąc, jak listek, otworzyła cicho drzwi ojcowskiego pokoju.

Oliwna lampka paliła się, podkomorzy w szlafroku siedział, pochylony nad stołem, nad rachunkami jakimiś.

— Kto tam? — odezwał się, gdy Tećka weszła.

— Ja, tatuś!...—szepnęła.

— Tećka?—zawołał pan Bylina.

Obrócił się szybko, uśmiechnął się i rzekł:

— A co ciebie o tej porze sprowadza do mnie, Tećko?

Uśmiech ojca, łagodny głos jego, zmieszały i przestraszyły dziewczynę. Nie on to więc był, nie on, nie on!

— No, cóż tak chwiejesz się!... Pójdź tu, Tećka!

Zbliżyła się, jak senna, na powiekach wisiała lży, a biała jak ściana była.

Podkomorzy uniósł się z siedzenia.

— Tećka!—zawołał.—Co tobie?

A ona do nóg mu upadła, jak kwiat kosą podcięty—i głośno chlipać zaczęła.

Podkomorzy dłoń na jej główce położył i gładzić zaczął rozpuszczone warkocze płowych włosów. Nagle drgnął — bladeść lekka pokryła twarz jego, wargi zaczęły drzeć, a czoło sfalowało się. Tak się nie płacze przed ślubem, jak dziewczka jego płacze, takie jęki z piersi dobywa tylko—nieszczęście.

Lewa dłoń podkomorzego spoczywała nieruchomie teraz na głowie Tećki, i Tećka czuła, że ciężyla jak glaz; prawą powiódł po czole gniewnie zmarszczonem, jakby zbierał myśli, czy odganiał natrętne. Nie mówił nic, jeno piersią dy-szał, tłoczył ją ciężar jakiś, tem większy, że niespodziewanie i dzisiaj spadły.

— Tećka!—odezwała się głosem suchym. — Boga się bój!...

Dziewczyna chlipała cicho, ale znać było, że uspakajała się.

— Tećka!... jutro twój ślub...

— Wiem, tatuś!—szepnęła.

— Zła mara ci się wyśniła, czy co? Gości dom pełny, kasztelan z drużbami zjedzie—a ty?...

Dziewczyna odetchnęła głęboko—podkomorzy powtórzył:

— A ty?...

— Już przeszło—tatuś!...

— Wstań—a Pana Boga nie obrażaj!

Podniosła się i spojrzała na ojca przez lzy.

— Tećka!... Tećka!...—zaczął pan podkomorzy poważnie, a głową kiwał. — Ja nad rachun-

kami ślęcę, obliczam kapitały, które udziałem twoim będą, zabezpieczam byt twój, by przez życie całe dostatku nie zabrakło... a ty — Tecka?... Gdybym mógł — rzekł ciszej — ale nie mogę... Stanowisko! ród... Od Zawiszyńskiego odsta-pił... a tamto... nigdy!... Widzisz, jako łagodnie mówię do ciebie... Rozum miej, dziewczyno, a odgoń mary złe... Myślałem, że po latach dwóch... A ty jeszcze... Boga mi, że zerwę wszystko, gości odproszę, ale dla waćpanny... już tylko—klasztór!

— Nie, tatuś, nie!...—zawołała szybko Tecko.

Pochwyciła dłoń ojca i zaczęła pocałunkami okrywać.

— Pojutrze waćpanna czepiec niewieści weźmiesz—rozumiesz?

— Rozumiem, tatuś — odpowiedziała, dech tłumiąc w piersi.

— Mąż!... pan!... uległość!... pokora!...—Żadnych myśli nielicujących z dostojeństwem mę-zatki... Rozumiesz?...

— Tak, tak... Ja wiem, tatuś! to wszystko wiem!...

Bylina pod blade wargi dziecka dłoń podsunął.

— Pocałuj!—rzekł.

— Sto razy, tatuś—tylko mnie nie sądź źle! Przyłożyła usta do ręki ojcowskiej.

Po chwili podkomorzy odezwał się:

— A teraz powiedz, co ciebie przyprowadziło tu, Tecka?

— Nie wiem, tatuś! ot—tak... ból jakiś, żal! Podkomorzy poruszył się.

— Ale to już przeszło — podchwyciła szybko. — Ja wiem, że musi tak być, jak jest — musi.

— Tak, Tećka—musi!...—rzekł dobitnie podkomorzy.

Pocałował ją w czoło i dodał:

— Z taktem, panno Bylinówno, z taktem!...

Tećka wyszła z izby ojcowskiej, a nie wiedziała sama, czy spokojniejsza, czy zaniepokojona więcej była. Serce jej biło tak szybko, że drzeń jego policzyć nie mogła, co chwila ciemniało w oczach, a wielki strach stawał przed nią. Chciała, ażeby ta noc przeszła szybko, ażeby gwarem dwór Bylinów zawrzał, ażeby stanął już przed nią pan Filip. Jeżeli uśmiechnie się, powita, jak zawsze... Ach! pamięć tej nocy na wieki wymaże z pamięci swojej! Lecz—jeżeli...

Przed Tecką znów zakołował świat.

— Matko Najświętsza! wszystkie nieszczęścia na mnie spuść, byle to nie był pan Filip.

Przeszła korytarz — i znowu zatrzymała się w sieni, przed onymi schodkami na górkę prowadzącymi. Stała chwilę, wreszcie powzięła postanowienie jakieś, bo szybko wyszła przez dwór i do altany, ukrytej w krzewach bzów, skierowała się.

Cicho było... i pusto!... tylko księżycyca białe plamy na ziemi się kładły, tylko szersza smuga światła przedarła się przez liście drzew, i w poprzek ławę kamienną przecięła.

Tu Jaśko był!...

Ach!... zda się, że wiek cały od tego spotkania upłynął, pozostał tylko smutek, nieogarniony, niezwiązany niczem smutek.

Gdzie on teraz, ten Jaśko jej?...

Milczenie, cisza, spokój!...

Obejrzała się dookoła.

To tędy, tędy wszedł jakiś duch, widmo, mara...

Zbliżyła się do krzewu — i serce ścisnął strach.

Gałązki bzu były porwane, zmiążdżone, zmięte... Targała je jakaś ręka wściekła, jakaś dłoń, w której się szal zrodził.

A Jaśko gdzie?

Dookoła cisza—spokój—milczenie!...

Teraz już Tećka nie czuje serca—jakiś nie-ludzki głos w jej duszy szepce, że mara straszna, straszne tu widmo było... Mówią jej o tem potargane gałązki bzu, przerażają, i trwożą, i grożą...

— O, mijaj prędeej, ty, nocko przedweselna!... O, Jaśku! dlaczego ciebie tak umiłowało serce moje?...

Jak senna wróciła do siebie—i nie wiedziała, kiedy do snu się układała, zasnęła kiedy...

Ale niedobre miała sny, budziła się wciąż, przestraszona widzeniami mar i widm szeptami...

Raz ją obudził jakiś krzyk... Z daleka, z daleka przybiegł—ale nie wiedziała skąd... Innym razem posłyszała szelest w bzu krzewie; ktoś targał gałązki, rwał i miotał niemi. Lękała się do okna podejść—umarłaby, gdyby dojrzała widmo jakieś. Tuliła tylko serce rozbujające, szepcząc koronki do Przemienienia Pańskiego.

A raz potrąciło ją coś...

Spojrzała—przed nią Jaśko stał...

Wtedy zerwała się, jak szalona, a duch, czy cień rozplynął się—i znikł...

Nad ranem dopiero usnęła spokojnie... i wyśnił się jej ślub... Białe kwiaty pomarańczowe sypały się na nią ze stropu świątyni, zapach tych kwiatów upajał, wiał wonią niezrównaną, nieznanym czarem wiał... I przyszedł ksiądz — dłoń jej w dłoń Jaśka włożył, a ona szepnęła:

„Biorę ciebie sobie...”

Na sennyh ustach dziewczyny uśmiech pozostał—strącił go dopiero dzień biały.

Gwarno już było w Bylinów dworze, kręcili się pajucy, szwendaly się dziewczęta służebne, a w kuchniach ckrutną siekaninę słyhać było i od czasu do czasu dolatywał zapach szafranu. Panna Terlecka, powinowata podkomorzego, niewiasta letnia już, doglądała wszystkiego: do kur zajrzała, zmyła głowę pastuchowi krów, a gdy dwór budzić się zaczął, aromatyczną kawę ozdabiała kożuszkim tłustym, na tackach kładła chleb z masłem i sera krajanke, popychała pacholków, niosących one dary boże, a sama przebiegała korytarze, zazierając do pań, a panów przededrwi o różne potrzeby wpytując.

- Dzień dobry, mości wojewodo.
- Dzień dobry pannie Jagnieszce.
- Jakże się spało?
- Sardanapalowe sny miałem.
- A pfe!...

I do następnych drzwi biegła.

- Dzień dobry!
- Dzień dobry!

— Może czego brak waszmość panu?

— Żony, mościa dobrodziko!

— Ot, koncept!

I zastukała do izby kasztelańskiej.

— Kto tam?

— Ja.

— W sam raz, mościa dobrodziejko. Guz mi się od żupana naderwał.

— A daj mi go waćpan.

— Przepraszam za fatygę.

— Nic nie szkodzi.

Tak usłużony każdy został, wychwalając gościnność domu podkomorzańskiego.

Do izb niewieścich zabiegała bez ceremonii. Posiadając różne sekrety białogłowskie, mile była widziana. Tu soku ogórczanego od piegów przyniosła, tam wodę do kąpieli olejkami zaprawiła, opowiadając, jak to za jej czasów „panieńskich” ubierały się i czesały niewiasty i jakie to figle, nie starzejący się nigdy Amor, wyprawiał. Ale z podwojoną niecierpliwością oczekiwało panieństwo zjawienia się panny Terleckiej. Poddawało się to zupełnie jej sądowi, i było dobrem, co panna Agnieszka za dobre uznała, złe, co za złe.

— Waćpanna wyglądasz, jak róża, nieprzy-  
mierzając, ale pieprzyk około buzi nie zawadzi.

I siadał pieprzyk.

— A ja? a ja?—ta i ta pytała.

— Korek u waćpanny za mocno przypalony był. Kto widział wrota takie z brwi robić! Zetrzeć!... O tak!... Tu zwięzić, a tu rozszerzyć. Wiesz, waćpanna, jako teraz wyglądasz inaczej.



A waćpannie odrobiny barwiczki radzę wziąć. Ziarnko maku wystarczy. Tak!... Są białogłowy, które smarują się, jak oś u wozu, że zarumienić się nawet nie mogą, choć okoliczność się przygodzi, ale waćpanny całą ozdobą młodość jest.

Wąsacze nie potrzebowali zachodu tyle, to też w pierw napelnili wyglądające odświętnie komnaty podkomorzańskie, a gdy matrony weszły i panny błysnęły—taką wiosną powiało zewsząd, że mimowoli tchnąć musiałeś, ażeby onej świeżości wiosennej zachwycić.

I okrutnie barwnie, a migotliwie, a kwiecisto się zrobiło. Mieszał się bławat z czerwienią, szmaragd z szafirem, topaz z ametystem, a guzy żupanów i długie zausznice niewieście przedrzeźniały słońcu, a panieństwo w tkaninach lekkich jak w mgłach chodziło, i gdy się rozbiegło po muraw zieleni — ni to motyle, ni jakieś ptactwo jasnopióre, na duszębyś przysiągł.

Z kościoła odezwała się sygnaturka. Ksiądz Opoćko z Mszą Świętą czekał.

Przed dom Byliny zawałyły karoce—i ruszyli goście pana podkomorzego do świątyni pańskiej.

Tecki nie było — lecz podkomorzy wiedział gdzie jest.

W sukience białej klęczała u stóp konfesyonału i spowiadała się. Świątynię wypełnił tłum, a ona nie wstawiała z klęczek; z Mszą Świętą zakonnik jakiś, przybyły z daleka, wystąpił—a ona jeszcze ciężar grzechów z dziewiczej duszy swojej zrzuciła i słyhać było płacz, i widać było drzenie kającej się przed Bogiem pokutnicy.

Ksiądz Opoćko od dziecka ją znał, kryształ jej duszy był tak mu przezroczysty, że nie potrzebował spowiedzi. Dziś jednak spowiadał długo—i—gdyby oko czyje mogło pod stulę zajrzeć, łez parę dostrzegłoby w oczach kapłana i twarz niezwykle poważną i pierś dyszącą.

— O moc proś Boga!—szepnął pod koniec spowiedzi.—Co człowiek wart, gdy się poświęcić nie umie!

I ręce złożył, modlitwy szepcąc, a później stukanie dało się słyszeć—znak, że od trybunału bożego odejść można.

Spokój niebios, cisza anielska patrzyła z oczu i czoła dziewczyny, gdy od konfesyonału powstała. A gdy zakonnik kielich podniósł i wzdłuż świątyni rozległ się uroczysty głos:

— „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata...”

Jasność jakaś oblała Teckę, jakby dusza bez zmazy żadnej, przez śmiertelną powłokę ziemską wypromieniała się ku chwale wiekuistej.

Bylina najpierwszy opuścił dom Boży — lada chwila oczekiwał przybycia gości z Konopi, a musiał naprzeciw wyjść, jako nasz zwyczaj każe, z puhaem wina i serca otworzystością. Za gospodarzem ruszyli wszyscy; ksiądz Opoćko z zakonnikami i innymi księżmi, którzy na ślub panny Bylinówny z Filipem przybyli, poprzedzał orszak, a za nim karoce i inne pojazdy z trzaskiem i wrzaskiem woźniców na dziedziniec podkomorzańskiego dworu się wtoczyły.

Tecka z niepokojem dusznym, choć powierzchnym spokojem patrzyła na gościniec

z Konopi idący. Szybko się on zaroi drużyną szlachecką, błysnie karmazynem szat, zatętni grzmiącym odgłosem kopyt, ozwie się pieśnią druzbów nowożeńca i hałasem piszczałek i trąb, a wśród drużyny onej, onej tęczy żupanów i strusich piór, ujrzy pana Filipa z radosnym uśmiechem na twarzy, albo z brwią gniewną ściągniętą i druzgocącym spojrzeniem wyrzutu? Jeżeli na czole gniew, piorun w jego źrenicach zobaczy—wtedy zdobędzie się na siłę, przechodzącą jej siły; podejdzie pierwsza, do kolan się pochyli, rozwieje włos i powie:

— Niegodna jestem waćpana!... Ukarz mnie wielką miłością swoją, przebaczeniem upokórz!... Nie upadłam, jeno pochyliłam się lekko, ale cierpię, cierpię za ono zapomnienie, za ono chwilowe omdlenie serca... Kajam się i płaczę, i słyszysz co mówię, a w słowach moich niema obłudy: Będę twoja—i tylko twoja! wspomnień nie wezmę, marzeniom precz pójść każę, do przyszłości całem sercem się zwrócę—będę cichsza, niż noc majowa, bielsza, niż kwiat wiśniowy, a pod twoją wolą się ugnę, jako fala pod dłoni naciskiem. Umiłuję ciebie za to kochanie i przebaczenie twoje; zaufaj mi więcej, niż szabli i tarczy... Tarcza usunąć się może, szabla omylić cios—ja nie zdradzę!... Jeżeli szczęście może dać człek—ja ci to szczęście dam.

Tak w duszy swej błagała i modliła się Tećka, ku gościńcowi patrząc, a druchny śmiały się z jej niepokoju i raz wraz podbiegały do niej, gdy na chwilę odwróciła się od okna, i wołały:

— Jedzie! jedzie!...

Dziewczynie zapierał się dech w piersi,  
bladła, zwracała ku oknu oczy—a one w śmiech.

Ale gościniec był pusty...

Zaniepokoił się i pan podkomorzy zwłoką  
oną, bo już i obiadowy czas minął i na nieszpór  
zadzwoniono, i koło domu Bożego zaczęły się  
kupić tłumy wiejskiego ludu, zakrywając stoły bia-  
łymi obrusami, sól kładąc i duże bochny chleba,  
by nowożeńców powitać i nie stracić nic z uro-  
czystości weselnej.

Lecz oto nagle rum zrobił się na dworze,  
coś jak w kotle zawrzało — na dziedzińcu tętent  
się rozległ, trzask rusznic i szablic śpiewny brzęk.  
Tecka do okna skoczyła, podkomorzy z puharem  
w ręku na ganek wyszedł, a od wrót pieśń  
huknęła:

Słyszeliśmy, gospodarzu,

Słyszeli —

Że twój stary dworzec dziś się

Weseli;

Do twej dziewczki wali Filip

Z Konopi —

A ksiądz wodą poświęconą

Już kropi.

Z za gór siedmiu, z za mórz siedmiu

Jedziemy...

Kędy nocka nam przypadnie —

Nie wiemy —

A tu w kuchni grzmią siekańce:

Łup cupcup!

W piecach ogień, w izbach ławy,

W stajni żłób!

A przyjmij nas, gospodarzu,

A przyjmij!...

Butelczyny i gąsiorki

Z szafy wyjmij!..

W tan pójdziemy z panną młodą:

Ram-tata!..

Aż się ozwie szczękiem, brzękiem

Komnata!..

— Prosimy waszmość panów, prosimyl... — wołał podkomorzy, kielich podnosząc do góry.— Ale coś za odświeżenie na gości przygodnych wyglądacie, a o mojej dziewczce i Filipie wspominać, jakoteż o godach, które wyprawiam jej. Zali wieść o tem za góry i morza się dostała?

— A wasza miłość myślałaś, że nie?— huknęło głosów kilka.— Patrząc jeno, jako delfiny i inne monstra wodne przydybią, by przypomnieć się znajomości imć pana Filipa z Konopi.

Służba wносиła puhary, w słońcu polyskał złoty sok winny, a coraz to nowe kupy z praskiem i trzaskiem, z hukiem rusznic i szabel pobrzękiem waliły we wrota... Ale družbów i pana Filipa nie było.

Okolo godziny siódmej, kiedy nieszpór się kończył, na gościńcu zamajaczyło jeźdźców kilkudziesięciu. Jechali wolno, poprzedzani przez trębaczy, a od bławatu, złota i czerwieni świeciły stroje. Przed wjechaniem do siola orszak ony na dwie połowy się rozdzielil: jedna skręciła ku plebanii, a druga stępa do dworu Bylinów się zbliżała. Uroczysta powaga jakaś w onym cichym pochodzie była—na czele jechał mąż rosły w złotogłowi szat, kita piór czaplich iskrzyła się od ziarn brylantów, a i rumak pod mężem onym okapywał klejnotów bogactwem.

— Jedzie! jedzie!—odezwały się panny.

Pomiędzy gośćmi szmer przebiegl:

— Jedzie!

Podkomorzy wziął do rąk kielich z górnego kryształu rżnięty z misternie wyrzeźbionym herbem Bylinów—i czekał na ganku u słupca; Tecka w otoczeniu druchn i panien, walcząc z niepokojem śmiertelnym, stała pośrodku komnaty w zieleń i kwiecie przybranej, w welonie ślubnym, w koronie kwiatów mirtowych, w dwubarwnej szacie koloru pola herbu Bylinów i panów z Konopi. Czerwienią więc i bławatem świeciła suknia podkomorzanki; miecze i półksiężyce, pióropuszem kit strusich nakryte, dziergane wprawnyimi palcami panien służebnych, mieniły się od złota i pereł, a znać lekkie nie były, bo Tecka uginała się pod ich ciężarem, jakby pod brzemieniem przyszłych obowiązków żony, matki i obywatelki.

Drżąca i blada, walcząc z bladością i strachem, patrzyła w drzwi wchodowe. Chwila ciszy— a potem tętent, gwar, szcęk szabel i huk trąb się rozległ. Tecka słyszy słowa ojcowskie, pytania i odpowiedzi krzyżujące się, ale nie rozumie tych słów i odpowiedzi. W jej głowie szum, a w sercu strach; strach, jaki odczuwać musi gołąb biały przed burzą nadchodzącą. Uśmiechają się druchny, kwiaty pachną, a panna Terlecka w lokieć ją szczypie i szepce:

— Krzep się!

Lecz w jej duszy dzwonią słowa księdza:

— Moc miej! Co warte byłoby życie bez poświęceń.

Słysząc trzask drzwi — i wszedł pan Filip przez druzbów prowadzony.

Poważny był, z jakimś smutkiem na twarzy, ale spokój ogromny z czoła mu patrzył. Widząc umiłowaną dziewczkę swoją, krok zrobił — i zachwiał się, a widząc, że i ona chwieje się i blednieje, uśmiechnąć się ustom swoim rozkazał i szybko podchodząc, rzekł głosem przyciszonym:

— I wy i ja nie patrzymy, jako w dniu onym się godzi. Nie dziwno jest mnie, niechże i wam dziwno nie będzie. Ważny to dzień, panno Tecko zbyt ważny, bo stanowi o szczęściu ludzkim.

— Panie Filipie — jęknęła Tecka.

I już się uginały kolana, a usta otrząść miały spowiedzi jakiejś słowa, lecz on ją powstrzymał:

— Uśmiechnij się, waćpanno, a zatrzepoc sercem weselej! — rzekł w głos. — A jeśli dobrego przykładu chcesz... to patrz! jakimi się radośnemi oczyma spoglądam, patrz! z jakim rozognieniem na ony ślub czekam, na oną chwilę błogosławioną, w której rozmiłowane dwa serca ozwą się, jako dzwon jeden; dwie dusze stopią się, jako metale dwa, że już nie rozeznac, który z nich złotem, a który srebrem był. Druzbowie! pannę młodą otoczcie, a wy, druchny! podajcie mi dłonie, i przy dźwięku kapeli, dzwonów! biciu, a okrzyku oddanych mi serc, prowadźcie do świątnicy pańskiej...

Tu do Byliny się zwrócił.

— Mości podkomorzy! — rzekł. — Patrzysz, a czekasz, kiedy do stóp się twych pochylił i o rodzicielskie błogosławieństwo poprosim. Przed drzwia-

mi kościoła zadość zwyczajowi się uczyni; nie takci to, prawda, jako bywało za czasów dawnych, lecz Filip z Konopi ni w pięć ni w dziewięć wyrwać się umie, a i waszmość sam rzekł ongi, że wzdycham i miluję, i w szablę trzaskam modą inną. Kapela! od ucha mi i naprzód! — zawołał. — A teraz ty, panno młoda! za tobą ja, a za mną wszyscy!

Ryknęły trąby, bębny zagrzmiały, a głos ich pochwyciły piszczalki i fujary. Do Tecki pan starosta Piwoński się zbliżył z młodzieńcem jakimś, uśmiechniętego pana Filipa družki ujęły — i tak poszło par sto, wijąc się, jako wąż „perlicz” przez dwór, dziedziniec i gościniec do kościoła wiodący.

Podkomorzy ramionami wzruszył i szepnął z uśmiechem:

— On modą inną i dzieci płodzić będzie!

A surmy i puzony wciąż grały, w takt poloneza, para za parą poszli goście weselni. Państwo młodzi naprzód, za nimi matrony i mężowie poważni, a dalej kawalerowie i panny, śmiejąc się, gwarząc, zapraszając się do tańca, a przekomarzając się trochę, jako to zwykle między młodymi bywa.

Na wieżycy kościelnej dzwon się rozkołysał, przed gankiem świątyni tłum ludu stał, a chwasty z dębów i jodeł, na słupach malowanych zawieszane, chwiały się w rytm dzwonu i muzyki trąb.

Kościół... stopnie... ganek.

Przez otwarte drzwi świątyni widać ołtarz, las drzew i światła jarzące.

Nagle pan Filip w świątyni drzwiach się wstrzymał i zawołał głosem donośnym:



— Stójcie!

Stanęli—podkomorzy się zbliżył, Tećka spojrziała na pana Filipa.

Na progu kościoła stał, jak dąb wysoki, zapierając ogromną postacią swoją wejście do wnętrza. Twarz miał uroczystą, a na ustach uśmiech; wargi mu drżały lekko, lecz w słowach nie było drżenia — zwrócił się do gości i rzekł:

— *Homo proponit, Deus disponit!* Niezbędna w wyrokach swoich Opatrzność nie — jako człek chce — czyni, lecz wedle mądrości a zapobiegliwości swojej o dobro mizeryi ludzkiej, postępuje. Gdzież jest mędrzec, któryby powiedział: „Źle robisz, o Opatrzności Boża!?” gdzież jest prorok, któryby w zarozumieniu swem rzekł: „Wiem, że jutro ziemia się zatrząsie, a słońce przeciw księżycowi stanie!” Ni ja, ani wy prorokiem onym nie byliśmy; ni ja, ani wy, nie zgrzeszymy nadętością mędrca onego.

Tu zwrócił się do pana Byliny i dziewczki jego — i dalej tak prawił:

— Jaśnie wielmożny podkomorzy i ty, całym sercem umiłowana panno Tećko Bylinówna!... Stoimy przed świętym kościoła progiem, za którym jarzą się światła, ołtarz w zieleni i kwieciu na nowożeńców czeka — i do ołtarza pójdziesz ty z umiłowanym swoim i przed tym ołtarzem wypowiesz słodką przysięgę ślubu... Ale oblubieńcem onym nie ja będę, przysięgi słodkich słów nie ja posłuszę... Oto jest ten, którego przenaczył Bóg; ten, którego Prowidencya, przez grzeszne ręce każe mi ci dać, Tećko Bylinówna!...

Umilkł — a w ościeży drzwi kościoła stanął

Jaśko Cichocki, piękny jak sen, z rumieńcami na licach, w kierezyi i z szablą przy boku, prowadzony przez imćpana wojewodę ruskiego.

— Czarniecki!... dał się słyszeć szmer.

Fala tłumna posunęła się naprzód... Tećka zachwiała się, płomienie ją oblały — a podkomorzy zbladł.

— Mości panie! — zawołał rwącym się głosem. — Nie czas na krotochwile!

— Nie *theatrum* to, jeno świątynia!... Nie marne *spectaculum*, jeno niecofnięty wyrok Boży!... A tragedia mogłaby być, gdyby wczas ~~nie~~ Bóg nie opamiętał — odpowiedział pan Filip. Panno Tećko... oto — twój!...

Tłum patrzył, zdziwiony słowami temi, jako i całe widowisko one niezrozumiałe mu było. A Tećka nie wiedziała sama, co się z nią dzieje; jak ptak, błyskawicą olśniony, nie czuła serca w sobie; wzrok jej przenosił się z poważnej postaci wojewody na ojca, z ojca na pana Filipa, aż na Jaśku spoczął, który pochwycił nagle dłoń Tećki i runął na kolana przed Byliną.

— Nigdy! — zawołał podkomorzy.

A pan Filip dłoń wznosił ku niebu i uroczystym głosem zawołał:

— „Po raz wtóry przysięgam pod onym otwartym niebios firmamentem, iż słowa moje, którem rzekł ongi, nie z chwilowo przepełnionego serca wdzięcznością wybiegły, jeno ze zrozumienia, że za życie życiem płacić się powinno!” Czyje to są słowa, mości podkomorzy! Czyja przysięga? Komu była dana, i czy wyplacony ów dług został?... Upominam się o należność moją, a nie szlachcic ten,

kto słowom swoim zaprzeczy. — Zaprzecz, jaśnie wielmożny podkomorzy!?

— Tchu!... tchu!... — zawołał Bylina, szaty rwąc.

— Nie mdlej, waszmość — ozwał się wojewoda. — W dziewosłęby za Janem Cichockim — jam przybył... A jeśli ci za mała persona moja, oto dziewosłęb drugi!

To mówiąc, zwrócił się ku drzwiom kościelnym.

A tam jakiś szmer powstał, i ruch pochodni, i księży śpiew, i organów huk ogromny... Sto serc zabiło niezwykłością jakiegoś wypadku, oczy wszystkich ku podwojom świątyni zwróciły się, w których, w otoczeniu świty i duchowieństwa, w czerni szat swoich, z orderem złotego runa na piersi, stanął... król Jan Kazimierz.

— *Vivat rex!* — jak tchnienie jedno wybiegło z ust wszystkich.

A król:

— *Vivat* Bylinów dom, który w młodzieńcu onym, a protegowanym moim, odrodzić się ma!

To mówiąc, dłoń na ramieniu Jaśka położył. Pan podkomorzy, jak senny stał, nie wierzył uszom, nie wierzył oczom, lecz czuł, że wszyscy ci, którzy za nim i przed nim stali, byli nie z nim, lecz przeciw niemu. Powoli bladeść znikła mu z twarzy, usta zaczęły drżeć, a ruch rąk i palców wskazywał, że szukał kogoś, niżej, u kolan swoich.

— A zbliż-że się, waszmość panna — wesolo odezwał się król, do Tecki się zwracając. — Zali nie widzisz, że ojciec błogosławić chce?...

Tecka wzrok błędny w pana Filipa utkwiała,

a on uśmiechnął się, wąs zakręcił, za dłoń ją ujął i rzekł:

— A idź-że, najmilejsza moja — a idź-że!

— A wy? — wyszeptała Tećka, dech chwytając. — A z wami co będzie?...

Na ustach pana Filipa uśmiech zamarł, wargi przygryzł do krwi, by jęk powstrzymać — i rzekł poważnie:

— Zalim nie mówił wam, że szczęście wasze jest mojem szczęściem...

A ona w cichy płacz uderzyła, ujęła rękę pana Filipa, której nie bronił już — i drżącą lekko, do swoich ust przytuliła.

— Tećko — dał się słyszeć podkomorzego szept.

Król za rękę ją wziął i podprowadził do Byliny, a teraz ona przy Jaśku na klęczki upadła i zaczęła stopy rodzica całować i szeptać przez lzy:

— Ociec, ociec!... a dyć to widno, że sam Bóg tak chce!...

— *Benedico te filia mea, benedico te mi fili* — zabrzmiał głos podkomorzego.

*Veni Creator* gruchnęły organy dźwiękiem potężnym...

I ruszył król, i pany, i cały tłum szlachecki za Jaśkiem i Tecką Bylinówną przez kościół rozśpiewany, przed ołtarz ukwiecony. Jaśko szedł dumny, jakby świat zdobył; szedł z podniesioną głową i pan Filip, bo szczęście dał... I sprawdził się sen dziewiczy o woni kwiatów, i deszczu z kwiatów, i wypowiedziała Tećka, rozmiłowanemi oczyma patrząc w oczy Jaśka swojego.

„Ja—biorę—ciebie—sobie...”

## XVII.

W takt poloneza, który dziś w pieśń kolen-dową się przemienił i ze słowami: „W żłobie le-ży...” przez Polskę całą jest śpiewany; w takt po-loneza, który ongi mianem Władysława IV-go ochrzczony był: przez ganki i krużganki, komnaty i korytarze, szedł król z Tecką Bylinówną, a za nim Jaśko z družką starszą, a za nim pan Stefan Czarniecki z wojewodziną Bytomską, a za nim podkomorzy z kasztelanową Wieluńską, a za nim pan Filip z narzeczoną Kasperka, i Kasper z pan-ną Terlecką, i dalej tak i dalej wił się on sznur wspaniały, niby błyskawica przedziwna, o barwie tęczy, szeleście zbóż, pełen brzęku, szczęku i szumu, a powagi olbrzymiej i rycerskiej piękno-ści. Król płątał i rozplątywał oną zawieruchę po-lonezową, to marszem bojowym uderzał w pierz-chający przed nim tłum taneczny, to dłoń so-juszniczą podawał, damom i kawalerom się kła-niał i już w rytm dźwięków pogodzonych dalej szedł z królewskim uśmiechem na ustach, przy szpadzie u boku od brylantów się lśniącej, trzę-sąc puklami ciemno-kasztanowatych włosów, aż się rozwinął „Nieskończony”, niby myśl ludzka, niby wicher pożądań, niby pragnienie serc i dusz, którym kresu niemasz na całym przestworzu świata. Szły pary za parami, plątały się, rozdzie-laly, w poważny i powolny polonezowy rytm szły, a wir panował, zamieszanie i barw zawieja. Tan-cerki przechodziły z rąk do rąk, iż żadnej dłoni niewieściej dłużej nad uśmiech nie można było w ręku zatrzymać, więc uśmiech trwał ciągle,

kobiece ręce wlatywały i ulatywały jak motyle, aż dłoń Tećki znalazła się w uścisku Jaśkowym i on już nie puścił jej, na czoło się wysunął, z dumą tryumfatora salę okrążył i płas zakończył.

Tećka, szczęściu swemu oddana, nie zapomniała o panu Filipie; raz wraz wzrok posyłała ku niemu i z trwogą a niepokojem patrzyła. Lecz w tańcu, czy przy uczcie, pan Filip nie okazywał przygnębienia żadnego, był jako głębia morska o lśniącej a cichej powierzchni, a czy na dnie tam skorpiony się gryzą, rozbijają się wiry o skały, fale ryją bruzdy i przepaści—to tajemnicą pozostaje topieli, zagadką duszy mórz.

Ze zdumieniem patrzył Kasper Piwoński na przyjaciela swojego; ze stokroć większem zdumieniem pan podkomorzy patrzył, jak pan Filip do Jaśka podchodził, dłoń mu na ramieniu kładł, uśmiechał się i coś mu mówił wesoło. Przy uczcie kielich wzniosł na zdrowie państwa młodych, po uczcie w ochoczy tan z Tecką poszedł, a gdy na chwilę, dla odpoczynku, siadł przy niej, ona uśmiechnęła się przez łzy i szepnęła:

— Panie Filipie! czy wy nie macie żalu do mnie?

— Mam żal, żal wielki, żeście mi wcześniej nie powiedzieli o inklinacyi swojej, a trapiłście się tak długo.

— Jak to się stało wszystko? powiedzcie, bo mi się snem wydaje...

— O tem wam powie mąż, a że wam się nie śni, przekonacie się szybko.

— Wy... Jaśko... Czarniecki... Król!...—szep-  
tała Tećka. — To jak w bajce czarodziejskiej...  
Ale wy mnie miłujecie zawsze? — spytała  
szybko.

Pan Filip zachwiał się, jakby go kto nagle  
za krtani zdusił, a cień szary na twarz jego upadł.

— Co wam?—zawołała Tećka.

— Nic... Żupan nieco ciśnie... Brylantowa  
szpilka uktóła...

— Ale wy znajdziecie sobie żonę, panie Fi-  
lipie?—błagalnym głosem jakimś spytała go znów  
Tećka.

— A jakże!... wždy mnie nie marnieć w sa-  
motności—odpowiedział wesolo.

I pochylił się ku Tećce.

— Weźcie odemnie tę szpilką brylantową  
na znak... przyjaźni.... Przygodzi się ona Jaśko-  
wi, bo męska jest, ale przez wasze palce niech  
przejdzie.

Tećka dar wzięła.

— Dziękuję!—szepnął Filip.

Ujął jej dłoń i pocałował, a dwie łzy duże  
z oczu jego spłynęły na rękę Tećki.

— Panie Filipie...—szepnęła.—Czy i te kro-  
ple żupan wycisnął?

— Waćpanna bo chcesz, żeby miłowanie tak  
odrazu przeszło?—zaśmiał się.

— Niedobra ja!

— Na tem jeno Jaśko źle wyjdzie... Sły-  
szysz waćpanna — muzyka gawota gra, a król  
z wojewodziną Bytomską do płąsu staje. Nie  
siedzieć i nam, gdy u Najjaśniejszego Pana ochota  
taka...

I tańczył z Tecką, uśmiechając się, a Jaśkiem ją drażniąc, jakby nie było nic.

Król patrzył na pana Filipa, a wiedział snadź więcej, niż wszyscy, niż podkomorzy sam. Do Czarnieckiego podszedł, oczyma na kasztelana wskazał i rzekł:

— Oto mąż!...

Gdyby nie przybycie pana wojewody ruskiego i niespodziewane zjawienie się króla jegomości, podkomorzy Bylina nie poddałby się tak łatwo woli pana Filipa, a choć, jako szlachcic, danego zdzierzyłby słowa — brakiem tchu, który mu pierś zaparł, rozdarcie szat i twarzy bladością, zmusiłby Teckę do zaparcia się miłości dla Janka, do zerwania ślubu, do ukazania drogi jedynej już dla niej, na której końcu zabielałyby mury klasztoru. Lecz dwaj dziewosłębi tacy, jak król i Czarniecki, złamały upór Byliny. Klasztoru nie chciał, pana Filipa mieć już nie mógł, a Teckę, acz sercem dumnym, ale miłował zawsze. A Jaśko był piękny — i król go protegował; rycerską postawę miał — i pana wojewodę nad sobą. Nie zapomni o nim pan miłościwy, a znaczy też coś i opiekuństwo takiego Filipa z Konopi. Te wszystkie myśli, jak łagodzące fale, przebiegły przez wzburzoną duszę podkomorzego — i wyciągnął dłonie przed siebie, i błogosławieństwo ojcowskie dał.

Więcej przecierpiał, przewalczył więcej pan Filip.

W fatalny ów wieczór, gdy Jaśka i Tecki szept posłyszał i bezpamiętny pocałunek pochwycy-



cił—szał go ogarnął i chciał się pomścić, krwawo pomścić za krzywdę serdeczną, ból zadany, za ono rozwianie najpiękniejszego snu ze snów wszystkich. Wiódł Jaśka do dróg rozstaju, i szeptał:

— Musisz zginąć, musisz!...

A jednak chciał, by Jaśko do miejsca kaźni nie doszedł; by wśród trzciny się ukrył, w ziemię się zapadł, rozplynał się w cieniach leśnych... a ten nieszczęśnik nie zrozumiał jego myśli; zostawiony daleko, podbiegał sam, dłoń wyciągnął, dostrzegłszy Mękę Pańską, i odezwał się pierwszy:

— Krzyż!...

Pan Filip zmysłów jeszcze nie zebrał, a już Jaśko szaty rozdarł, szyję obnażył, przed onym krzyżem ukląkł, tak mu do śmierci śpieszno było—i rzekł:

— Tnij, waćpan!

Tnij!...

W piersi rycerza dech się zaparł przed grozą onego postępku. Jak senny wydobyl szablę i... ciałby może, gdyby wzrok jego nie spoczął na rozpiętej na krzyżu, umęczonej postaci Chrystusa Pana.

Włos mu się zdebił, a szabla wypadła z rąk. Jezus patrzył, żywemi oczyma patrzył!...

Pan Filip runął na ziemię.

A wtedy Jaśko podbiegł do niego i cucić go począł.

Pan Filip czołem w ziemię się wparł, i wił się, i ryczał, i płakał.

— Waćpan cierpisz, okropnie cierpisz—wyszeptał Jaśko — i to ja przyczyną męki waścinej jestem... zabij — bom winien śmierci!... Nie zabijesz — precz ujdę i nawet cieniem marnym pomiędzy tobą a Tecką Bylinówną już nie stanę... Cięży waćpanu szabla?... Żegnaj... a jej — przebacz!...

— Stój!... smyku palestrancki!—odezwał się, zmysły odzyskując pan Filip. — Do cierpień moich — waści nic! a szabla na kark waćpana za lekka jeszcze.

Tchnął i usiadł na murawie.

Po chwili mruknął:

— Nie sztuka szyję waści ukręcić, a ją — przykuć do siebie... To pierwszy lepszy cham potrafi!... Trudu więcej oderwać się od niej, a... a... waćpanu ją dać!...

— Waćpan szalejesz!—zawołał Jaśko.

— Dzieciaku!...—odezwał się pan Filip, odzyskując już zupełnie panowanie nad sobą. — Wiedz, że nie ten król, co tron posiada, lecz ten, co w drzazgi go rozbije, gdy on ciężarem swoim choć jedno szczęście ludzkie przygniata... A ona... ta Tecka Bylinówna... ta umiłowana przezemnie... nie może cierpieć — przezemnie!... A tobym miłował ją!—zawołał, zrywając się z ziemi.—A tobym pięknie miłował!...

Wyciągnął rękę, na wizerunek Jezusa wskazując:

— To wzorów wzór!... Przez miłość cierpiał, przez miłość umarł!...

— Bóg!—szepnął Jaśko.

— Patrz! jak On patrzy—Ten Jezus!...

— Waszmość...

— Miłuj Teckę, bo jak sumienie zaciągnę nad tobą!...

Jaśko nie wiedział sam, jak na dworcu w Konopiach się znalazł.

Dojeżdżając do dworu, pan Filip zdziwił się, że choć godzina spóźniona była, dwór cały od światła gorzał, a ruch niezwykle wewnątrz panował.

— Ho—ho! uczciwie gospodarzy Kasperek—szepnął do siebie.

Zaledwie do sieni wszedł, jak Piwoński, posłyszawszy tętent kopyt, na spotkanie wybiegł...

— Gości masz!—zawołał.

— Ktoś ważny musi być—ale kto, nie wiem, bo spodziewani wszyscy są.

— Pan Czarniecki Stefan i—król!

— Chwała na mój dom!... — zakrzyknął pan Filip.—A w czas, jako nigdy.

Piwoński spostrzegł Jaśka.

— A to co za Endymion z rozplatanym żupanem na piersi?...

— Dowiesz się wnet.. A teraz zajmij się nim — i przyodziej go przystojnie. Ja zaś wojewodę przywitać muszę, a za kolana pana miłościwego uściskać.

Nie znalazł pan Filip słów do wypowiedzenia radości swojej z przybycia tak dostojnych gości. Czarnieckiego mógł jeszcze spodziewać się, bo stacja niedaleka była, a pan wojewoda pograniczne zwiedzał, ale przez sen nawet przypuścić nie mógł, by król jegomość niski próg jego

domu przestąpił. Dojrzał w tem rękę Opatrzności, która nad dolą Tecki czuwała...

Bez Czarnieckiego, bez króla, nie ugłaskałby się tak łatwo podkomorzy, ani ksiądz ślubu nie dałby bez przeprowadzenia zwykłych formalności, jakie w podobnych wypadkach bywają: tu jeno sam król mógł poradzić, jego monarsza powaga i majestat, i ono pomazanie Boże, które nad wszystkich go wywyższa. Teraz już pan Filip chwili jednej nie wahał się z wykonaniem myśli swojej, wyrok Boży spełniony być musiał, i spełnił się.

Askądże król miłościwywKonopiach się wziął?

Siedzieli sobie na Wawelu królestwo oboje i gawędzili o Filipie z Konopi. I wspomniał sobie Pan straszne czasy Chmielniczenki i Radziejewskiego nieuczciwości różne, a myśląc o tem wszystkim, raz w raz mu się pan Filip nawijał, i jego przygody, i jego charakteru prawość. Jako po nici do kłębka się dochodzi, tak gawędząc, doszło się i do odwiedzin lwowskich i do ślubu z Tecką Bylinówną. Król jegomość przypomniał starostwo szczyrzeckie, królowa jejmość drabanta tańzonego; król jegomość, jako dar ślubny umyślił panu Filipowi piękny sygnet przesłać, a królowa jejmość kornecik z brabantkich koronek Tećce Bylinównej. Gadają tak sobie na Wawelu siedząc, aż król się ozwie:

— Ot, radbym na weselisku być u pana Filipa z Konopi.

A królowa:

— To jedź — jeno mi się nie bałamuć tam, waszmość!...

Król w śmiech — a królowa palcem mu po nosie, i rzecze:

— Znam się ja na stateczności waszej królewskiej mości!

A że wiadomem było, iż pan Stefan Czarniecki wraz z panem Bytomskim wojewodą dwór Bylinów nawiedzą, królowa jejmość zgodziła się na wyjazd swojego królewskiego małżonka, bo chodziło jej o pozyskanie onych panów dla sprawy Kondeusza. Tak tedy, po wysłaniu darów, król jegomość do Konopi wyruszył, dając słowo królowej jejmości, że o bałamuctwach żadnych nie pomyśli.

Dziwiła się szlachta i zazdrościła panu Filipowi onej konfidencyi z królem i łask, jakie go w przyszłości nie ominą; dziwiła się też nie mniej, iż po powitaniu Pana, powaga jakaś i smutek osiadły na twarzy pana Filipa, to coś, co jest odbiciem stanów duszy, a nie pokryło się weselem. A gdy król do przeznaczonej dla siebie komnaty się udał, i pan Filip wraz z Czarnieckim tam poszedł i długo nie wracał, ten i ów przez dziurkę od klucza zerknął do izby pańskiej, i ujrzał pana Filipa leżącego na piersi królewskiej, podrywane-go płaczem wielkim. A później król pocałował go w czoło, Czarniecki dłoń uścisnął; a później Piwoński wszedł i jakiegoś młodzieńca przed oblicze pańskie wprowadził. Młodzieniec, po ucałowaniu ręki królewskiej, do nóg panu Filipowi się rzucił — i długo trwał płacz jakiś i jakieś milczenie uroczyste, jakieś zesłanie Ducha św., który widowym znakiem zwycięskiego spokoju spoczął na czole pana Filipa z Konopi.

Rzecz cała wyjaśniła się nazajutrz w dzień ślubu Tecki Bylinówny: przed ołtarzem stanął z nią Jaśko Cichocki.

Brzmiał polonez, szedł gawot, a podczas mazura parę szyb wyleciało z okien dworu podkomorzańskiego.

Dni trzy trwała ona uciecha, uświetniona obecnością jego królewskiej mości; przez te trzy dni niktby nie dostrzegł, że na dnie duszy pana Filipa wyrastał czarny kwiat smutku, melancholią zwany. Ilekroć Jaśko do Tecki się zbliżył, ilekroć Tecka do Jaśka się uśmiechnęła, w piersi pana Filipa serce bić przestawało, mieszały się zmysły, a we wnętrzu ból jakiś zgrzytał. Ale o tem nie wiedział nikt, Tecka nawet żadnych zmian nie dostrzegła, bo pan Filip na straży duszy swojej wolę silną postawił i nie chciał chwil radości dziewczki ukochanej zakłócać. I podkomorzy Bylina z coraz większem zdumieniem na niedoszłego zięcia swego patrzył, aż do przekonania przyszedł, że nie takie to śmiertelne miłowanie było, o jakim pan kasztelan mówił nieraz.

— Nikt dla podwinki rozumu nie traci—szeptał.

Wielką pijatyką a strzelaniem z rusznic i trąb graniem zakończyły się gody weselne... Król do stolicy się udał, szlachta do domów wracała i pan Filip do swoich Konopi z nieodstępnym Iwaśkiem przy boku. Gdy domu swego przestąpił próg, a ujrzał w donicach kwiaty wszystkie rozkwitnięte, te kwiaty, które miały Teckę jego powitać — zachwiał się, za serce i czoło się schwycił, z piersi ryk wydobywał nieludzki... i runął, jak słup u fundamentu podcięty.

Iwaśko skoczył do pana i cucić go począł.  
— Ubij! — zawołał pan Filip, od zmysłów odchodząc.

Ale go płacz porwał. Dał więc folgę długo tłumionemu żalowi i obłapiwszy Iwaśka za szyję, płakał aż do zachodu słońca, tyle łez w piersi rycerza się zebrało.

Nazajutrz, gdy Iwaśko wszedł do pokoju pana Filipa, przeraził się na widok jego. Oczy zapadłe miał, twarz barwy gliniastej, a taki ból wiadać było i sił upadek, że Iwaśko strach uczuł.

Zmęczonym głosem pan Filip rozkaz wydał do drogi.

Iwaśko zbliżył się i pocałował go w rękę.

— Godzi się już mi do kasztelanii swojej pojechać, a później na sejmik braci do Sądowej-Wiszni... — odezwał się pan Filip.

— Czasu starczy — Iwaśko na to — a wymocy nabierzcie Filipku.

— Ostać? — zapytał z uśmiechem pan Filip.

— Tydzień, dwa... — rzekł Iwaśko.

— Tydzień! dwa!... A czy wiesz, że ona z mężem swoim tu przyjedzie... oczywiście, że przyjedzie... Mam że się jej pokazać wymizerowany taki i miodowych miesięcy szczęście zatruć?... Niech ją pocieszają słowa moje, że jej szczęście mojem jest; niech ją pociesza to wielkie kłamstwo Filipa z Konopi.

Zaledwie pan Filip do Zakroczymia wyjechał, jak Cichoccy do Konopi przybyli. Żałowała Tecka, że nie zastała pana kasztelana, pewną będąc, że on radby ją widział. Obiegła podwórko, klasnęła w dłonie na widok kwiatów w jej imię splełanych;

parę łez błysnęło w jej oczach błękitnych, przez czołko smutek przewiał, ale żal on przelotny utuliły ramiona Jaśka, lzy starły pocałunki jego.

Dwa miesiące nie wracał. Wezwał go dopiero sejmik w Sądowej-Wiszni, na który zbierała się szlachta, głośno mówiąc o poselskim mandacie, o tem zaufaniu narodu, które złożyć zamierzono w ręce pana Filipa. Pośpieszył więc pan kasztelan do ziemi swojej, do Konopi nie zajechał, jeno odrazu w Sądowej-Wiszni się znalazł.

Dom Boży przepelniony był bracią szlachtą. Poważny głos organów rozbijał się o filary świątyni, przed wielkim ołtarzem odprawiała się niekrwawa ofiara Chrystusa Pana, a gdy kapłan przrzucał karty Ewangelii i czytać zaczął: tysiąc szabel do pół pochew wydobyto, jako znak, że każda szabla ona zawsze i wszędzie stanie w obronie wiary. Po Mszy skończonej głos zabrał biskup, namawiając do obrad zgodnych, do poszanowania miejsca świętego, a gdy chwila stosowna nadeszła, podniósł się pan kasztelan zakroczymski i w te słowa do zgromadzenia przemówił:

— Panowie, a bracia!...

„Gdziem się obrócił, wszędy słyzałem głos, że mandatu poselkiego nikomu innemu dać nie zamierzano, jeno mnie...

— Dobrześ słyzał! — zahuczał jeden grom głosów.

— Dziękuję za zaufanie braci szlachty, którego nie zawiodę. Na nas stoi Rzeczpospolita i jeśli się zwali, na nas gmach jej runie; podtrzymuje ją sto tysięcy filarów, lecz ściany jej są za wielkie, szczyt za wysoki, ażeby się ostać mogła,



gdy wichry i burze nią wstrząsną. A niedawneć to czasy, gdy one burze i wichry aż do fundamentu wzruszyły tym domem naszym. Dźwignęła nas łaska Boża, wypełnił się nad nami cud. Lecz one burze były ostrzeżeniem, cud—upomnieniem. A mogą przyjść chwile, że Bóg odwróci oblicze swoje i powie: „Dalem wam ziemię piękną, bogatą i rozległą — brońcie jej! Dziecię tylko piastunki potrzebuje—mąż siłę ma; a jeśli jej brak—niech stworzy”.— Nadszedł czas, panowie i bracia, ażeby w każdym z nas mąż się obudził; nadszedł czas, ażeby każdy z nas powiedział: „Ziemio piękna, bogata i rozległa, ochronim cię od nieszczęść i od klęski; nie na stu tysiącach, lecz na milionach słupów strop twój oprzemy”.

— O czem on mówi? — dał się słyszeć głos.

— O ślubach niedokonanych, o niespełnionej przysiędze!... — zawołał pan Filip.

W kościele szum się zrobił, przebiegł szmer niezadowolenia, i znów się odezwał głos jakiś:

— Jeżeliś ślubował, panie kasztelanie, to do-trzymaj!...

— Nie wiem, kto wyrzekł to, ale rad jestem, że wyrzekł — zawołał pan Filip. — Słowo każde, ażeby walor miało, czynem poparte być winno. W Konopiach moich niema już poddanych, w Konopiach moich niema niewolników. Ziemię i wolność dalem, a teraz wzywam was do onej słodkiej dla ojczyzny ofiary!...

Gwar powstał—i szabel szczękanie... i hałas i krzyki... Głos pana Filipa raz w raz przerywany zostawał, aż musiał zejść z lawy i wśród śmiechu i szyderstw kościół opuścić.

Piwoński podążył za Filipem i zastał go na małym wzniesieniu, tuż za murem kościelnym, wpatzonego w dal omgloną.

— Filipie! — szepnął, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Widzisz! — odezwał się zapytany, palcem mierząc jakąś przestrzeń odległą.

— Co? — spytał Kacper.

— Pęka... wali się.... — szepnął pan Filip.

Piwoński z przestachem spojrział w twarz przyjaciela: w oczach pana Filipa malował się obłęd.

Złożony ciężką chorobą jesień i zimę u pana w Komyszach przeżył. Jak dziecko, robić z sobą wszystko pozwalał; nie mówił nic, żyjąc jakimś życiem wewnętrznym. Melancholii kwiat czarny rozwijał się w zbolełym sercu rycerza; dwa najpiękniejsze sny jego duszy rozwiały się, zostawiając niczem niezapełnioną próżnię.

Dowiedziawszy się, że pan Filip w Komyszach bawi, odwiedzili go raz Cichoccy. Tecka była w błogosławionym stanie, lecz zapragnęła dobroczyńcę swojego zobaczyć.

Przestach ją ogarnął na widok tej ruiny ludzkiej, ale pan Filip uśmiechnął się, a widząc bladeść jej twarzyczki, rzekł głosem spokojnym:

— Jak to dobrze, że Opatrzność nie dała waćpani Filipa z Konopi... Stałby przed wami wciąż nienawistny obraz Zawiszyńskiego, bo to jego obuszek tak mnie zwałił.

Mówił tak, nie chcąc, by myśl inna zrodziła się w duszy Tecki.

Pod wiosnę pan Kasper przygotowywał się do godów weselnych. Dnia trzeciego maja miał odbyć się obrzęd zaślubin. Ale ten dzień był zarazem dniem ostatnim pana Filipa. Udał się do swoich Konopi, by raz jeszcze powietrzem rodzinnem zachłysnąć się, wspomnienie zawezwać i pójść do Boga ojców swoich. Dogorywał sam, mając u stóp swoich nieodstępного Iwaśka. Stan Tecki nie pozwalał jej opuszczać progów domu, Jaśko nie odstępował żony, a Kasper żenił się.

Dnia pierwszego maja przypadły imieniny pana Filipa. Tecka przez męża posłała mu wiązankę kwiatów polnych, które świeciły od kropel rosy. A kto wie, może to były lzy Tecki.

Na dzień trzeci, otoczony tymi kwiatami, pan Filip siedział w krześle głębokiem i oddychał ciężko. Gromada kmieci otaczała umierającego, na czele ich stał wójt i słuchał ostatniej woli kasztelana.

— Mówiłem wam o ślubie króla—wyszeptał pan Filip.—Jam go tylko wykonał... Ale przyjdzie czas, że spełniony on przez wszystkich będzie. Zanim jednak to się stanie, oto ostatnie rozporządzenie moje: Na grobie moim połóżcie głaz duży z krzyżem u góry, z napisem: „Tu leży Filip z Konopi”. Rok rocznie, w dniu mojej śmierci, niech wójt z najstarszymi z gromady uderzy młotem w kamień grobowy i skruszy kawał. W dniu spełnienia się wiadomego wam ślubu, zostawcie grób mój w spokoju. Dałem wam ziemię, dałem wolność, a oto ostatnie słowo testamentu...

Umilkł, a dokoła dał się słyszeć płacz.

— Iwaśko! — odezwał się po chwili głosem słabym pan Filip.

— Co, panie mój? — zaskomlił chłopak.

— Mówią, że śmierć jest straszna, a ja z uśmiechem ją witam.

Pot zimny spłynął mu z czoła, a cień dziwny twarz okrył.

Pan Filip nie żył.

.....

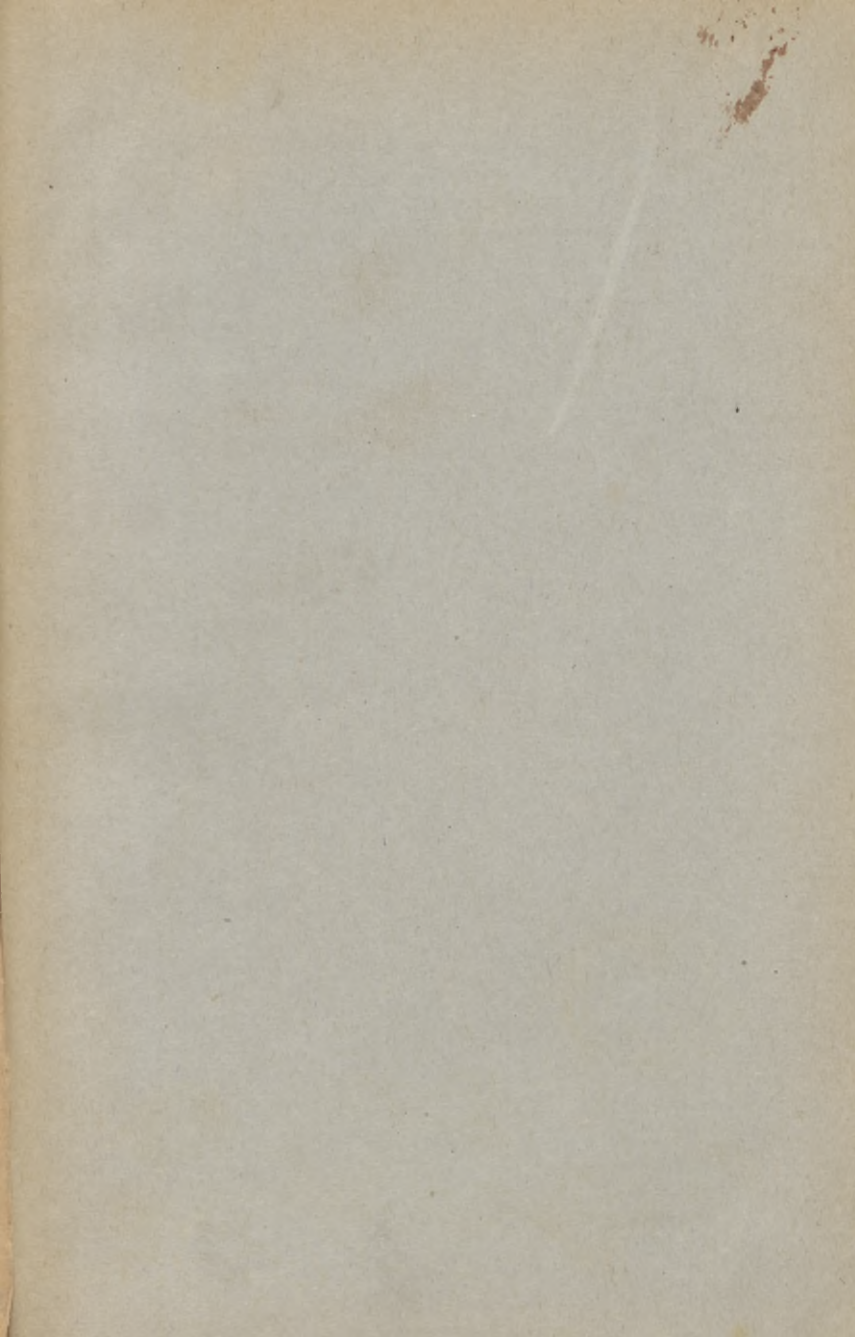
Spełniając wolę zmarłego, rok rocznie, w dniu śmierci pana Filipa, wójt na czele gromady do grobu jego szedł i uderzał młotem w płytę kamienną. Głaz się kruszył, kamień grobowy zmniejszał się.

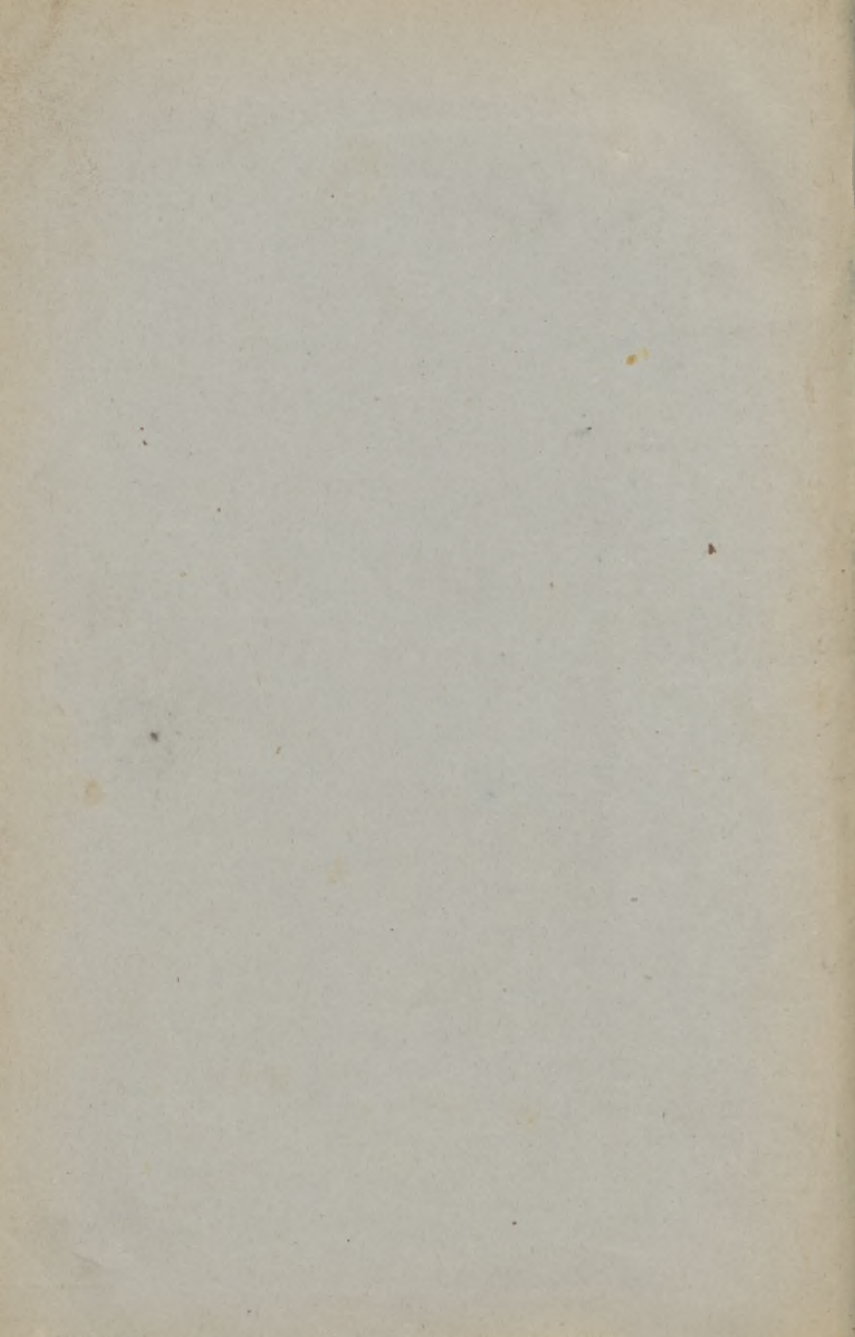
I tak upłynęło lat sto.

Aż przyszedł maj taki, że ręka niczyja nie dotknęła już grobowca. I pozostał ku wiecznej świata pamięci odłam wielki — z krzyżem kamiennym.

K O N I E C.







45 —

383A01

30 0278

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

106105

Biblioteka WSP Kielce



0148391